

## W sieci kłamstw

Joanna Sherwood, piękna, młoda wdowa, dla dobra swych synów postanawia wrócić z Capri do ojczyzny Anglii. Włoska wyspa stała się dla niej schronieniem po rozwodzie, do którego doprowadził Adrian Delacourt, jej pierwszy mąż i pierwszy miłość. Joanna wyjechała w atmosferze skandalu i teraz obawia się spotkania z ludźmi, którzy przed laty odrzucili ją i potępiili, zwłaszcza z Adrianem, który niesłusznie posądził ją o zdradę. Jednak nie wie, że ten sam człowiek, oszczędzając własne życie, ocalał od pewnej śmierci jej ukochanego pierwszoojca, Justina, i zapraśnie zmazać dawne winy...

ISBN 83-7764-034-0



9 788372 460340



Anita Mills

*W sieci kłamstw*

# 1

*Capri, kwiecień 1816*

Joanna Sherwood stała przy oknie ze wzrokiem utkwionym w dal, niepomna jaskrawego słońca i połyskliwego nieba odbijającego się w głębokiej, błękitnej wodzie zatoki. Wraz z Garym uciekli przed wrogim światem, by zamieszkać tu, na wygnaniu, i mimo dotkliwej samotności, jaka jej teraz doskwierała, nie chciała wracać do Anglii. Gary by to rozumiał. Gary nigdy nie nakłaniałby jej do powrotu. Ale kochany, słodki, czuły Gary odszedł. Na zawsze.

- Doprawdy, moja droga - perorowała z ożywieniem hrabina Carew, wdowa - nieważne, gdzie będziesz obchodziła żałobę po moim synu, a nigdy nie uwierzę, że mogłabyś chcieć zostać tutaj, sama z dwoma małymi synkami. Pora, abyś zabrała ich z powrotem do Haven.

Joanna czuła, że zaczyna ją znowu dławić w gardle. Przełknęła ślinę i odparła, zamykając oczy:

- Nie mogę, po prostu nie mogę.

Teściowa krążyła po salonie z szelestem czarnych, jedwabnych spódnic, tłumacząc spokojnie:

- Joanno, nie już nam nie może Garetha wrócić, obie o tym wiemy. I choć to bolesne, musisz się z tym faktem pogodzić. Teraz powinnaś zatroszczyć się o dobro dzieci. Justin musi wejść w wiek męski świadom swoich obowiązków jako następcy mojego syna. Było nie było, jest przecież teraz hrabią.

- On ma dopiero pięć lat - zaprotestowała Joanna.

- Moja kochana, Justin musi wiedzieć, że jest Anglikiem!

Nie możesz wychowywać go we Włoszech i liczyć na to, że zrozumie, co to znaczy być hrabią Carew. Proszę cię, Joanno, w imię twojej miłości do Garetha, w imię miłości, którą on darzył cię, nie skazuj jego synów na wygnanie! - Widząc, że synowa odwraca twarz i nadal milczy, westchnęła ciężko i dodała ściszym głosem: - Błagam cię, pomyśl o nich, najdroższa Joanno. Tego chciałby Gareth, wiem, że tak. Sytuacja była zupełnie inna, kiedy miałaś go przy sobie, ale teraz... Cóż, dobrze wiesz, iż nie życzyłyby sobie, byś mieszkała tu sama. A ja chcę, by moi wnukowie, obaj, dorastali w Anglii, tam gdzie ich miejsce.

Joanna obróciła się gwałtownie w stronę Anne.

- A chciałybyś też, żeby dowiedzieli się o tamtej sprawie, mamó? - spytała z goryczą. - Chcesz, żeby moi synowie usłyszeli, że ich matkę uznano za winną cudzołóstwa i rozwiedziono? Naprawdę sądzisz, że tego życzyłyby sobie Gary?

- Naturalnie, że nie, ale w Haven...

- W Haven nigdy nie pozwolą mi żyć spokojnie. Zapomniałaś już, jak tam było?

- Było, skarbie. Ale od tamtej pory upłynęło sześć lat. Któż może wiedzieć, jak będzie teraz? - Anne delikatnie oparła dłoń na ramieniu synowej. - Taaak, Gary w listach do mnie często pisał, że ma nadzieję, iż pewnego dnia będzie mógł sprowadzić cię z powrotem do domu. I od ciebie zależy, czy to życzenie się spełni. Ja zaś proszę cię, moja droga, abyś sprowadziła ciało mojego syna do Anglii, by mógł spocząć tam, gdzie jego przodkowie, w Haven. Od czterech wieków każdego Sherwooda, który dziedziczył te ziemie, kładziono na wieczny spoczynek w tamtejszej kaplicy. Nie mogę znieść myśli, że mój syn miałby spędzić wieczność pośród obcych.

- Wolałabym wierzyć, że w niebie - odrzekła Joanna. Jej głos zdradzał wzburzenie. - Jeśli ktokolwiek sobie zasłużył na niebo, to właśnie Gary. - Westchnęła przeciąg-

le. - Ale chyba masz rację, jego ciało powinno powrócić do domu.

- Ale ty też pojedziesz? - nalegała Anne.

- Za jakiś czas, ale jeszcze nie teraz. Nie jestem gotowa stanąć z ludźmi twarzą w twarz.

- Ale przecież nic cię tu nie trzyma! Twoje miejsce, miejsce wdowy po Garecie, jest w Haven, tak jak i jego następców, Justina i Robina! - Po tym wybuchu Anne zdołała jakoś opanować emocje i spytała już spokojniej: - Nie możesz zrobić dla Garetha choć tyle? Moja droga, to naprawdę mała prośba, zważywszy na to, że on dla ciebie wyrzekł się wszystkiego. Wszystkiego.

- Nikt nie wie tego lepiej niż ja. Ale jego już z nami nie ma, mamó.

- Dlatego całą moją miłość przelałam na ciebie i chłopców, kochanie.

Joanna spojrzała teściowej prosto w oczy i poczuła się winna. Choć Anne bardzo bolała nad faktem, iż miłość skazała jej syna na wygnanie, nigdy nie obwiniała za nie synowej, i to synowej, której chcieć nie mogła. Nawet kiedy stało się najgorsze, z jej ust nie padło ani jedno złe słowo.

- A skandal, mamó? - rzuciła Joanna z rozpaczą. - Nie chcę, żebyś ucierpiała ty czy chłopcy.

- Kolejny powód, by wrócić *teraz*, skarbie. Im wcześniej wrócisz do Haven, tym szybciej stawisz mu czoło, a skandal pójdzie w zapomnienie. Posłuchaj mnie, Joanno, co chwila pojawiają się nowe tematy do plotek, a stare idą w cień. Och, nie wątpię, że na pewien czas ludzie znowu wezmą cię na języki, lecz twoja stateczność niebawem zamknie im usta. Stopniowo zapomną w towarzystwie i twoją historię.

- Zapomną? - Joanna uciekła wzrokiem. - Szczerze wątpię - kontynuowała z przygnębieniem. - Jakże by mogli? Adrian publicznie wniósł oskarżenia przeciwko mnie, zadbał o to, by nigdzie w Anglii już mnie nie przy-

mowano. A co z Justinem? Myślisz, że powinien się o wszystkim dowiedzieć?

- Na razie jest zbyt mały, by cokolwiek zrozumieć.

- A potem?

- Zanim nadejdzie właściwy moment, nikt już nie będzie o tej sprawie pamiętać - powiedziała Anne z przekonaniem. - A kto mówi, że nie wyjdiesz ponownie za mąż? Jestem pewna, że przy twojej urodzie i z fortuną po Garcie...

- Tylko powiedz mi, proszę, kto mnie zechce. Łowca posagów, którego chciwość przeważa nad poczuciem przyzwoitości? Nie! To się nie zdarzy, mamu, Adrian się o to zatroszczył. W dniu, w którym parlament zatwierdził akt rozwodu, zostałam napiętnowana na całe życie. A Haven mieści się zbyt blisko Armitage'u. Ludzie będą pamiętać.

- On tam nigdy nie bywa. Nie dowie się nawet, że wróciłaś.

- Nie bywa? - Joanna uniosła brwi z niedowierzaniem i oznajmiła: - Armitage był miłością jego życia, zapewniam cię. Poświęcał mu bardzo wiele uwagi. To ich siedziba rodowa, symbol pozycji.

- Cóż, nie wiem, czy to kwestia wstydu, czy dumy, ale nie pojawił się tam od rozwodu. Podejrzewam, że to przez ten skandal.

- Roxbury sam go rozpętał. I choć można o nim wiele powiedzieć, to na pewno nie to, że należy do ludzi wrażliwych.

- Hm, nigdy nie uwierzyłam, że chciał spowodować taki zamęt. Za to, co się stało, winię jego matkę.

- Helen? - Brew Joanny znowu powędrowała w górę. - W końcu nie musiał uwierzyć w jej wersję, prawda? Byłam jego żoną i powinien był zapytać mnie, jaka jest prawda, ale tego nie zrobił. Gdyby mnie kiedykolwiek kochał, zapytałby - oświadczyła Joanna z rozgoryczeniem w głosie. - Ale on wolał zhańbić mnie przed światem.

Czując, że jeszcze chwila i żadna siła nie zmusi synowej do powrotu, Anne uderzyła w inny ton:

- Mówię ci, od tamtej pory nie pokazał się w okolicy. Poza tym moje słowo jest równie dobre jak jego. Zamierzam dać tym wszystkim wścibskim jędzom z naszej parafii jasno do zrozumienia, że nigdy w brednie Helen nie wierzyłam. Jo, obserwowałam was, kiedy dorastaliście - całą waszą trójkę, Garetha, Adriana i ciebie - i całą trójkę traktowałam jak własne dzieci. Patrzyłam, jak mój syn zakochuje się w tobie, i wiem, że nie było w tym niczego zdrożnego. Jeśli będę musiała wykrzyczeć to całemu światu, to tak właśnie uczynię.

- Przypominasz mi Gary'ego. Zawsze byłeś dla mnie taka dobra. - Joanna ponownie odwróciła się i wyjrzała przez okno na podwórze. Wokół tyle żywej zieleni, światła, a w jej sercu gościł mrok. Zupełnie tak, jakby cały świat nie rozumiał lub nie chciał zrozumieć, że jej życie legło w gruzach. Kolejny raz.

Anne czekała bez słowa, przyglądając się synowej, myśląc o tym, jakim głupcem okazał się Roxbury. Podczas sezonu Joanna Milford podbiła niejedno serce. Kilkunastu mężczyzn, w tym Gareth, oświadczyło się o nią, nie bacząc na to, że nie miała majątku. Joanna, córka zwykłego barona, wybrała Roxbury'ego i pobrali się przed końcem sezonu, by rozwieść się w przeciągu roku. Oskarżono ją o cudzołóstwo z Garethem, najlepszym podówczas przyjacielem Roxbury'ego, a kiedy wybuchnął skandal, Gary stanął po jej stronie, co powszechnie odebrane zostało jako przyznanie się do winy. I rzeczywiście, nie minął miesiąc od zatwierdzenia rozwodu przez parlament, a wywiózł ją do Włoch, gdzie się pobrali. Po ślubie napisał do matki: „Jestem dziś najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi”. O swoim szczęściu pisał też często w późniejszych listach. A kiedy zginął podczas sztormu, Joanna wysłała do Anne list ze słowami: „Gary był najlepszym przy-

jacielem, mężem i ojcem, o jakiego można prosić los. Będzie mi go brakowało do końca życia .

Rzecz dziwna, ale skandal i przeżyta tragedia nie przyćmiły niewiarygodnej urody Joanny. Nie zmieniły się jej pszenicznoszłote włosy, wyraziste, modre oczy, kształtny nos i delikatnie zarysowany podbródek, nie zmieniła się też znakomita figura, którą wychwalała cała londyńska socjeta. Chociaż wciąż była w żałobie, nie brakowało chętnych spośród włoskiej arystokracji, by zająć miejsce Garetha. Tym bardziej Anne zależało na tym, by jej synowa jak najszybciej wróciła do domu.

Na małym, otoczonym płotkiem podwórzem młoda guwernantka, Włoszka, pilnowała bawiących się Justina i Robina. Obaj chłopcy byli całkowicie pochłonięci papierowymi łódkami dryfującymi w fontannie. Starszy skierował swoją tak, że przepłynęła, kołyszac się, przez sam środek fontanny, młodszy tymczasem dopingował go głośno. Bracia byli wyjątkowo urodziwi, choć zupełnie do siebie niepodobni: Justin, wysoki jak na swoje pięć lat, o niemal czarnych włosach i ciemnych, brązowych oczach, Robin, niebieskooki, mocniej zbudowany, z chmurą miedzianych loczków.

Kiedy tak Joanna przyglądała się im, papierowa łódka nagle wyróciła się do góry dnem. Justin chwycił ją gwałtownie, rzucił na ziemię, po czym wybuchnął płaczem i wtulił twarz w spódnicę guwernantki. Joannę przeszył taki żal, iż miała ochotę zbiec na dół i porwać chłopca w ramiona. Już prawie rok minął od śmierci Gary'ego, a jej starszy syn nadal go opłakiwał. Wydawało się, że każdego dnia coś na nowo przypomina mu o poniesionej stracie, a że wyspa, na której mieszkali, była niewielka, nie było przed takimi wspomnieniami ucieczki.

Westchnęła, zastanawiając się, jak taki mały skrawek ziemi zdołał osłonić ją nie tylko przed towarzystwem, które ją potępiło, ale i światem, ogarniętym płomieniem



wojny. Tutaj mieli z Garym dom. Tu, w cieniu Monte Solario, urodziła synów. Niezliczone wieczory spędzała, spacerując wzdłuż otaczającej zatokę wąskiej plaży w towarzystwie najczulszego męża, jakiego może wymarzyć sobie kobieta. Teraz jednak ta sama jasna morska woda potęgowała jedynie ból jej syna, niezdolnego pojąć, dlaczego morze odebrało mu ojca. A czas goił jego rany niezwykle powoli. Musiała przyznać się sama przed sobą, że tylko egoizm powstrzymywał ją przed powrotem do kraju. "Wybór nie należał do łatwych: chłopiec był nieszczęśliwy tu, ona cierpiałaby tam, w Anglii. Choć bała się wyjazdu, w głębi duszy musiała przyznać rację Anne.

- Justin ściągnie na siebie powszechną uwagę - powiedziała głucho, myśląc o skandalu.

- To rzeczywiście wyjątkowe dziecko. - Anne, zakochana w swoich wnukach, opacznie zrozumiała słowa synowej.

- I masz pewność, że Adrian nie pojawia się u siebie w Armitage'u?

- Przez ostatnich sześć lat nie pojawił się ani razu.

- Cóż, nie sądzę, żebym musiała dużo bywać - zastanowiła się w końcu Joanna. - Prawdę mówiąc, to wątpię, czy w ogóle będę dokądkolwiek zapraszana.

Przeczuwając zwycięstwo, Anne uśmiechnęła się tryumfalnie.

- Moja droga, jeśli mogę cokolwiek powiedzieć w tej sprawie, to nigdy nie pożałujesz tej decyzji.

Guwernantka pocieszała Justina wypowiedzianymi po włosku śpiewnymi słowami, a Joanna czuła się tak, jakby miało jej pęknąć serce.

- No dobrze - ustąpiła niechętnie - zabiorę ich do Anglii. Może Justin nie będzie tam tak bardzo tęsknił za Garym. - Obracając twarz ku Anne, zmusiła się do krzywego uśmiechu. - Mam tylko nadzieję, że się nie mylisz co do Roxbury'ego, nie sądzę bowiem, żebym zdołała znieść jego widok - ani teraz, ani kiedykolwiek.

## 2

*Armitage, początek czerwca 1816*

Helen Delacourt zdecydowanym ruchem złożyła gazetę, którą usiłowała czytać, i podniosła wzrok, rozdrażniona; jej syn, z założonymi na plecach rękami, przemierzał właśnie po raz kolejny szerokość biblioteki .

- Adrianie, mógłbyś nareszcie usiąść? - spytała z irytacją. - Zachowujesz się jak jedno z tych zamkniętych w klatce zwierząt z Menażerii Królewskiej.

- Wciąż jednak nie widzę powodu, by przyjmować tu Almerię - warknął.

- Wypada, żeby odwiedziła twoją główną siedzibę - odpowiedziała już mniej kwaśnym tonem. - Powinieneś być dawno się o nią oświadczyć i świetnie o tym wiesz. W odróżnieniu od tamtej kreatury, droga Almeria byłaby dla ciebie idealną żoną.

- Słyszałem to już ze sto razy - odburknął. - Niemniej jednak, moja pani, nie powinnaś jej tu zapraszać bez mojej zgody. Gdybym wiedział o twoim małym spisku, zostałbym w Londynie.

- Ze swoimi ladacznicami? - spytała z sarkazmem. - Nie sądzisz, że przyszła pora pomyśleć o potomstwie?

- To moja sprawa, mamó, nie twoja.

- Adrianie, Armitage potrzebuje twojej uwagi - przekonywała, wzdychając teatralnie. - Od ostatnich dwustu lat mieszkał w nim każdy książę Roxbury, a przed nimi dziewięciu hrabiów, nie mówiąc już o wszystkich Delacourtach, od kiedy Henryk VII nagrodził lorda Richarda

małżeństwem z dziedziczką Esmondów, gdy ten zasłużył się w bitwie pod Bosworth. Masz obowiązki wobec rodu. Nie wierzę, żebyś chciał, by skończył się na tobie.

- Naturalnie, że nie. Ale nie mam ochoty zająć się tym teraz.

- Ani niczym innym, zdaje się. Nie przyniosłeś do tego domu nawet jednej nowej draperii, od kiedy ta kobieta odeszła.

- Nie mieszkam tu od tamtej pory ani też zamieszkać nie zamierzam - wycedził z goryczą. - Znienawidziłem to miejsce.

- Z powodu tej czarownicy, co nie najlepiej świadczy o twoim rozsądku, powiadam ci. Ona nigdy nie lubiła tego domu ani niczego, co się w nim znajduje - zagrzmiała Helen, posapując wzgardliwie. - Nie, chciała tylko twojej pozycji, Adrianie, ale nawet i ona nie wystarczyła, by...

- Sądziłem, że jasno dałem do zrozumienia, że nie zamierzam dyskutować o Joannie. Nie chciałem wtedy... nie chcę teraz... nie będę chciał nigdy - uciał ze zdecydowaniem w głosie.

Niezrażona, kontynuowała z uporem:

- Cóż, synu, jeszcze kiedy się z nią żeniłeś, wiedziałam, że popełniasz błąd. Uroda nie poparta odpowiednim wychowaniem, w kółko to powtarzałam. Ale nie: mała Joanna Milfred, albo żadna inna. Takie nic, Adrianie, córka byle barona!

- Powiedziałem, że nie chcę o niej rozmawiać.

- No tak, oczywiście, to rozumiały. Nie po tym, jak razem z Carewem romansowali sobie tuż przed twoim nosem - przypomniała mu złośliwie. - Nie wyobrażam sobie, że mógłbyś chcieć pamiętać, jak przyprawili ci rogi. Ale też i nigdy nie zrozumieję, co ty czy Gareth Sherwood widzieliście w tej podstępnej, małej bałamutce.

- Wydawało mi się - odparł, siląc się na względny spokój - że nasza dyskusja tyczyła powodów, dla których

powiniennem przyjąć w Armitage'u Almerię Bennington. I żadną miarą nie jestem przekonany, że...

- Adrianie - przerwała mu matka - dobiegasz już trzydziestki. Jeśli wolno mi powtórzyć, najwyższa pora, żebyś znalazł odpowiednią żonę i zadbał o sukcesję. Chyba dość jasno wyraziłam swoje zdanie w tej kwestii.

- Na wszelkie możliwe sposoby. - Zatrzymał się w pół kroku i wbił w nią spojrzenie pociemniałych nagle oczu. - Uparł się na to małżeństwo, tak?

- Owszem. Dziewczyna ma urodę, pieniądze i wychowanie. Z pewnością nie miałbyś na co się uskarżać.

- Niepotrzebna mi bogata żona - uciał sucho. - Udało mi się, jak sądzę, utrzymać wszystko, co ojciec mi zostawił, całe siedemdziesiąt tysięcy funtów. Co więcej, zdołałem nawet tę sumę nieco powiększyć.

- Pieniędzy nigdy nie za wiele, Adrianie.

- Panna Almeria Bennington obchodzi mnie w równym stopniu, co zeszłoroczny śnieg. Nie mam nawet pewności, czy pod tą jej maską niewzruszonego spokoju kryje się bodaj cień intelektu.

- Cóż, nie sposób powiedzieć, żeby zależało ci na jakiegokolwiek innej kobiecie, nieprawdaż? A Almeria mogłaby ci się przysłużyć, temu chyba nie zaprzeczysz. Marzyłeś kiedyś o karierze politycznej, prawda?

- Dawno temu.

- Almeria byłaby wyśmienitą gospodynią.

- Ta kobieta to sopol lodu - mruknął.

- Z pewnością ma więcej wychowania niż ta bezwstydną rozpustnicą, którą wybrałeś na pierwszą żonę - odwarknęła. - Jestem pewna, że ona, w odróżnieniu od Joanny Milford, będzie godnie nosić twoje nazwisko.

- Nie zamierzam dawać nazwiska pannie Bennington - zdołał wycedzić przez zaciśnięte zęby. - Powtarzam po raz ostatni, nie mam ochoty na dyskusję o mojej żonie!

- *Byłej* żonie - poprawiła Helen z emfazą. - Jak sądzę,

teraz nosi nazwisko Sherwood, chociaż ręczę, że Anne nie bardziej cieszyła się z mezaliansu Garetha z Joanną Milford niż ja wtedy, kiedy ty się o nią oświadczyłeś. Najpierw księżna, potem hrabina. Jakież ambitne stworzenie było z twojej drogiej Joanny, nie zgodzisz się ze mną?

Twarz mu pociemniała, ręce zacisnęły się w pięści. Furia nie pozwoliła mu dobyć głosu, odwrócił się tylko na pięcie i wypadł z pokoju długimi krokami, ścigany wołaniem:

- Czekaj! Adrianie, gdzie idziesz? Musimy przygotować się na przyjazd Almerii!

Księżna wdowa ciężko opadła na fotel i pokręciła głową. Stare rany bynajmniej się nie zagoiły, rozmyślała ponuro. Przeciwnie, jątrzyły się nadal. Cóż, przy odpowiedniejszej żonie w końcu się zabliznią. A w zimnej, pięknej Almerii wyczuwała gotowego na wszystko sprzymierzeńca, dostrzegła jej najgorętsze pragnienie: zostać księżną. Tak, tym razem będzie miała synową godną nazwiska Delacourt.

Wzrok jej powędrował na puste miejsce nad jednym ze stojących naprzeciwko siebie kominków, gdzie niegdyś wisiał portret Joanny. Nadszedł czas, by zawisł na nim nowy, im szybciej, tym lepiej, bo od chwili, w której Helen dowiedziała się, że Gareth Sherwood utopił się gdzieś przy wybrzeżu Włoch, miała złe przecucia. A teraz pojawiły się jeszcze bardziej niepokojące pogłoski, jakoby pełnomocnik Joanny był już w Haven, zajęty przygotowaniami do jej powrotu. Cóż, gdyby Joanna rzeczywiście miała czelność ponownie pokazać się w Anglii, zastanie Adriana bezpiecznie uwiązanego do innej kobiety, obiecała sobie Helen.

Spojrzała w kierunku drugiego kominka i przez chwilę wpatrywała się w wiszący nad gzymsem portret syna. Naturalnie, nie była to wierna podobizna, ale też nie sposób było uchwycić Adriana takim, jaki był w istocie, przynajmniej nie na płótnie. Och, wystarczyło spojrzeć na obraz, by wiedzieć, że to przystojny mężczyzna - wysoki, o szerokich ramionach, muskularny, lecz nie mający

w posturze nic z grubianina, włosy czarne, kręjące się na tyle, by bez dotknięcia grzebienia tworzyć fryzurę, na której ułożenie niejeden elegant musiałby stracić kilka godzin. No i te oczy o przenikliwym spojrzeniu. Był typem mężczyzny, który podoba się wszystkim kobietom bez wyjątku, a przecież od czasu rozwodu z Joanną Milford nie zainteresował się żadną, nie licząc kokot.

Tamta podstępna mała szelma, choć o cztery lata od Adriana młodsza, zdołała zwrócić na siebie jego uwagę, nie mając więcej niż trzynaście czy czternaście lat. A od kiedy do końca stracił dla niej głowę, świata poza nią nie widział. Helen była na siebie porządnie zła - żeby nie zauważyć, co się święci... Ale nawet przez myśl jej nie przeszło, że Adrian mógłby tak bardzo się zatracić, tak dalece zapomnieć o swoich powinnościach wobec rodu i wyobrazić sobie, że ta pannica z Milfordów mogłaby zająć jej miejsce.

Joanna. Przez chwilę Helen siedziała ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, z zaciśniętymi w wyrazie dezaprobaty ustami, potem westchnęła. Sądziła wcześniej, że wyleczyła syna z tej nierozsądnej namiętności raz na zawsze, teraz jednak nie była już tego taka pewna. Panna Milford zadała dotkliwy cios jego dumie, a on wciąż nie umiał znieść rozmowy, w której bodaj wspomniano jej nazwisko. Tym ważniejsze stawało się, by oświadczył się Almerii. I to szybko.

### 3

*Haven, 22 czerwca 1816*

Służący krzątali się, zajęci zdejmowaniem płóciennych pokrowców z mebli, dom pełen był odgłosów i za-

pachów świadczących o gruntownych porządkach. Stukały młotki w rękach stolarzy, schły nowe gipsowe sztukaterie, w powietrzu unosił się zapach świeżej farby. Joanna sprawdziła postęp robót rozpoczętych przed jej przybyciem, po czym udała się do niewielkiego gabinetu, który niegdyś należał do Gary'ego, by sprawdzić stan swoich finansów, studiując księgi. Chociaż pieniędzy nigdy jej nie brakowało, dopiero teraz zdała sobie sprawę z wielkości majątku po zmarłym mężu. Jakkolwiek by na to patrzeć, była bardzo zamożną wdową.

- Mamo! Mamo!

Podniosła wzrok i zobaczyła swojego starszego syna, który wpadł właśnie do pokoju. Za nim wbiegła nowa guwernantka, panna Finchley. Wyraz twarzy kobiety mówił jasno, że młodego panicza rozpira dziś energia. Rozbawiona Joanna zapanowała nad głosem i spytała surowo:

- A czegoż to nie zrobiłeś tym razem, młody człowieku?

Justin Sherwood umilkł i zaczerwienił się ze wstydu. Nie czekając na odpowiedź chłopca, guwernantka złapała go za rękę, mówiąc pospiesznie:

- Pani wybacz, milady, że ją tak nachodzę. Zapewniam, że sytuacja jest w pełni pod kontrolą.

- Tak, widzę. Rozumiem, że zamierzała pani dać mu reprimendę, a on uciekł - odparła Joanna z leciutkim uśmiechem. Wbijając zaś w chłopca swoje najbardziej surowe rodzicielskie spojrzenie, spytała: - Słucham, Justinie?

Gdy mały wymamrotał z cicha coś zupełnie niezrozumiałego, panna Finchley pospieszyła z wyjaśnieniem:

- To nic takiego, proszę pani, on tylko zmieszał wszystkie akwarele i teraz do niczego się nie nadają. Ale pozwolę sobie powiedzieć, że mogę posłać do miasta po nowy komplet.

- Wszystkie kolory, Justinie? - spytała Joanna. - Dlaczego?

- Ot, taka chłopięca psota - odpowiedziała za niego guwernantka.

Zadarł głowę, w ciemnych oczach mignął błysk.

- Bujda, Finch! - odparował rezolutnie. - Zmieszałem, żeby zobaczyć, jaki wyjdzie kolor. - Obrócił się twarzą do matki i wyprostował szczupłe plecy. - Mówiła nam, że niebieski i żółty dają zielony, mamó, i chciałem zobaczyć, co wyjdzie ze wszystkich.

- Rozumiem - Joanna z powagą kiwnęła głową. - I jaki kolor wyszedł?

- Brzydki.

- A może powinieneś być najpierw spytać, nie uważasz? Wtedy panna Finchley powiedziałałaby ci, czy warto je mieszać. - Nachyliła się ku synowi i odgarnęła mu z czoła niesforny kosmyk włosów. - Wiesz, że trzeba pytać, prawda?

- Tak - padła smętna odpowiedź.

- Co, twoim zdaniem, powinnam zrobić z tą sprawą? - spytała ciepło. - Co zrobiłbyś na moim miejscu?

- Użył różgi - odparł bez wahania.

Wydawała się przez chwilę zastanawiać, po czym pokręciła głową.

- Nie. Gdybyś najpierw zapytał, a potem z rozmysłem nie posłuchał panny Finchley, naturalnie użyłabym różgi, ale skoro tak nie było, nie ma takiej potrzeby. Uważam jednak, że powinieneś przeprosić pannę Finchley za to, że jej nie zapytałeś, a także brata za zniszczenie jego farb.

Na twarzy chłopczyka pojawił się wyraz ulgi.

- Proszę o wybaczenie, Finchley. Nie chciałem ich popsuć, słowo.

- Przeprosiny przyjęte, Justinie - odpowiedziała guwernantka z uśmiechem. - Jeżeli tylko będziesz pytać o to, czego nie powiedziałam, a co chcesz wiedzieć, będzie nam się świetnie układało.

- Teraz, mój synu, musisz znaleźć Robina i sprawa za-



łatwiona - podpowiedziała Joanna. - Szybciutko, zrób, jak mówię, a poczujesz się lepiej, obiecuję ci. Potem będziesz mógł wrócić, to porobimy coś tylko we dwoje.

Obie kobiety przyglądały mu się z pobłażliwością, gdy wychodził.

- Uczyłam niejednego małego chłopca, lady Carew - powiedziała guwernantka z wolna - ale nie spotkałam takiego, jak nasz mały panicz. Jest taki... - szukała właściwego słowa. - Cóż, jest taki... zasępiony. Może nie nazwałam tego najlepiej, ale...

- Wiem - odparła Joanna z westchnieniem.

- Naturalnie nie można go winić - usprawiedliwiała chłopca panna Finchley - utrata rodzica to ciężkie doświadczenie. A jednak można by przypuszczać, zważywszy na jego wiek, że szybciej dojdzie do siebie. Trochę czasu już minęło, prawda?

- Prawie rok. - Joanna długo wpatrywała się niewidzącym spojrzeniem w otwarte drzwi, w końcu jednak wzięła się w garść. - Niełatwo jest go pocieszyć, skoro wciąż pamięta Garetha. Widzi pani, oni uwielbiali się nawzajem od samego początku. Gary wciąż zabawiał go opowiastkami, brał go wszędzie ze sobą. - Twarz jej spochmurniała, gdy powróciły wspomnienia, wciąż zbyt bolesne, by móc je bezkarnie przywoływać. Bezwiednie otarła oczy. - Mąż był niezwykle dobrym człowiekiem.

- Przepraszam - powiedziała guwernantka ze współczuciem. - Nie powinnam poruszać tego tematu.

- Nie, nie, nic mi nie jest, zapewniam panią. Chodzi tylko o to, że nikt nigdy nie zrozumie, jaki był wspaniały. Miałam wielkie szczęście, że go znałam. - Przełknęła ślinę i pociągając nosem, wyjęła chusteczkę z kieszeni prostej, błękitnej sukni. Wytarła oczy i dodała: - To tobie należą się przeprosiny, moja droga, za to, że tak panią zasmuciłam. - Wracając myślami do syna, spytała z drżeniem w głosie: - Poza tym dobrze sobie radzi...?

- Nigdy nie widziałam podobnego dziecka, lady Carew, mówię szczerze. Jak na tak młodą osobę, rozumie wyjątkowo wiele spraw. Zna wszystkie nazwy kolorów, podstawy arytmetyki, czyta lepiej niż wiele dzieci starszych od niego o parę ładnych lat. Doprawdy, radzi sobie wspaniale. Co zaś do panicza Robina, to daleko mu do błyskotliwości i dociekliwości brata, ale ma dopiero trzy lata i ledwie wyrósł z niemowlęctwa.

- Obawiam się, że panicz Robin wyrośnie na nieoprawnego łobuziaka. Jest o wiele bardziej podobny do mnie niż Justin.

- Och, nie chciałam zasugerować, że...

- Naturalnie, że nie, ale to prawda. Justin będzie świetnie się uczył, pewnie zrobi karierę w parlamencie, a Robin będzie pakował się w jedną awanturę po drugiej. Ja sama byłam okropną łobuzicą, dopóki...

- Mamo! - Justin Sherwood urwał, widząc, że obok matki nadal stoi panna Finchley. - Przepraszam, że biegłem, mamó - dokończył niezręcznie.

Joanna schowała chustkę do kieszeni i przywołała na twarz promienny uśmiech.

- Tak długo, jak będziesz się rozsądniej zachowywał i chciał pracować nad sobą, masz moje przebaczenie. I tak sobie pomyślałam, że jeśli uda się nam przekonać pannę Finchley, by zgodziła się zwolnić cię z zajęć, to moglibyśmy we dwójkę pójść tam, gdzie bawiłam się, będąc o parę lat starsza od ciebie. Wiesz, mieliśmy tam fortecę i kiedy byłam bardzo grzeczna, chłopcy pozwalali mi trzymać straż.

- Fortecę! Mieli pistolety? - spytał z przejęciem.

- Niestety, broń mieli taką samą, jak ty, ale patyki i w ich przypadku świetnie się sprawdzały. - Z czułością zmierzwiła Justinowi włosy. - O ile pamiętam, twój tatuś i... i jego kolega dawali odpór całym armiom.

- Kiedy? Kiedy tam pójdziemy, mamó? - Od wielu

miesiący nie widziała takiego błysku ożywienia w ciemnych oczach syna.

Joanna zerknęła ponad jego głową w stronę guwernantki.

- Cóż, panno Finchley, co pani sądzi? - spytała konspiracyjnie. - Można go dziś zwolnić z zajęć?

- Och, proszę pani, myślę, że to w niczym nie zaszkodzi. Wykorzystam sposobność, by poćwiczyć liczenie z paniczem Robinem.

- Byczo! Mówię ci, Finch, prawdziwy z ciebie kumpel!

- Zatem sprawa załatwiona - oznajmiła Joanna. - Każę kucharce zapakować dla nas małą przekąskę i ruszamy. Tam, gdzie się bawiłam, stykają się trzy posiadłości i znad rzeki widać ziemie, na których się urodziłam.

- Tam też pójdziemy, mamó, dobrze?

Uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Nie, Justinie... nie dziś. - Raptownie zmieniła temat: - Lepiej załóż solidne buty, czeka nas dłuższy spacer.

- Pół minutki, mamó!

Wychodząc, Justin i guwernantka minęli się w drzwiach z Anne.

- Cóż, wyraźnie poprawiłaś mu nastrój - zauważyła.

- Wybieramy się na piknik tylko we dwoje. I śmiem twierdzić, że gdy tylko Justin pochwali się tą nowiną, panna Finchley będzie miała pełne ręce roboty przy Robinie.

- Wydaje się całkiem kompetentna jak na tak młodą osobę, nie uważasz? Chociaż muszę powiedzieć, że aż żal pa-trzeć, jak taka ładna dziewczuszka całe dni spędza na wbi-janiu moim wnukom rachunków do głowy. Jest całkiem niezgorsza, wiesz, ale gdybym to ja miała takie niesforne miedziane loki, nosiłabym je modnie przycięte, a nie związane w brzydki węzeł. Przy takiej fryzurze te śliczne orzechowe oczy czyniłyby wstrząsające wrażenie, nie uważasz?

- Owszem, ale bez wątpienia przekonała się już, że wy-

gląd nie pomaga zdobyć godziwego zajęcia. Jest przekonana, że musi jak najmniej rzucać się w oczy, by utrzymać jakąkolwiek posadę.

- Ale przecież dostała bardzo dobre referencje od lady Rivington?

- A tak. Sądząc jednak po przesadnych pochwałach, powiedziałabym, że przemawia przez nie gorące pragnienie, by znalazła się gdzie indziej - zauważyła Joanna z uśmiechem. - Miałam wątpliwą przyjemność poznać lorda Rivingtona i spodziewam się, że biedna dziewczyna musiała ciągle robić uniki, żeby nie wpaść mu w ręce. Dzięki temu trafiła się nam prawdziwa perła, nie sądzisz?

- Bez dwóch zdań, moja droga. Nie daje najmniejszych powodów do niezadowolenia, chociaż świetnie rozumiem, dlaczego kobieta, której mąż strzela oczami, musi widzieć w pannie Finchley rywalkę. W twoim jednak przypadku stwierdzenie to traci rację bytu, sama bowiem jesteś piękna jak poranek.

- Obawiam się, że już nie.

- Nonsens, moja droga. Spójrz w lustro. Wciąż mogłabyś zaćmić dziewczęta na balu debutantek.

- Jesteś niezwykle uprzejma, ale obawiam się, że ta faza mojego życia już się zakończyła. I dlatego nie żywię urazy do panny Finchley za jej urodę - dodała Joanna pogodnie. - Cóż, najlepiej będzie, jeśli sama dopilnuję pakowania prowiantu, bo inaczej Justin zdaży zgłodnieć, zanim wyruszymy.

## 4

Po chwili spędzonej w kuchni znalazło się obiecane jedzenie i wkrótce matka z synem ruszyli na podbój ścieżek,

które Joanna pamiętała z dzieciństwa. Słońce osuszyło na łąkach ostatnie ślady porannego deszczu, powietrze było świeże i słodkie od zapachu trawy i polnych kwiatów. Szli wolno, bo Justin drobił krótkimi kroczkami i często zatrzymywali się, by odpocząć, a wtedy zasypywał matkę morzem pytań, od nazwy jakiegoś kwiatka poczynszy, skończywszy na tym, czy jego ojciec wspinał się kiedyś na to czy inne drzewo. Po odpoczynku na szczycie zielonego wzgórza, gdzie zjedli większość chleba, sera i owoców, które ze sobą zabrali, porzucili wiklinowy koszyk pod drzewem i podreptali dalej, trzymając się za ręce.

Z zarośli wypadł królik i przemknął przez polanę tuż przed nimi ku zachwytowi chłopca, który natychmiast zapragnął rzucić się za nim w pogoń. Joanna zatrzymała się nagle, słysząc w oddali huk wystrzałów.

- To musi być wartownik - pomyślała głośno.

- Gdzie, mamu? A co tam jest, mamu? Myślisz, że polują na tego królika? Mam nadzieję, że nie, bo śliczny z niego zwierzaczek.

- Nie, nie, oczywiście, że nie - zapewniła go. - Strzały słychać daleko, a poza tym nie sądzę, żeby ktokolwiek tam polował.

- Gdzie tam?

- W Armitage'u. Tak się nazywa pewne miejsce po drugiej stronie rzeki.

- Chcę je zobaczyć, słyszałem o nim, serio. - Pociągnął ją za rękę. - No chodź, mamu, pójdźmy tam!

- Nie ma tam nic do oglądania, Justinie, daję ci słowo. Zresztą już pora wracać.

- Powiedziałaś, że pokażesz mi, gdzie są trzy dwory - przypomniał jej z wyrzutem. - Obiecałaś, obiecałaś!

- Justinie...

- Proszę, mamu, proszę! Nie chcę wracać, naprawdę! Chcę je obejrzeć, mamu.

Entuzjazm Joanny wypalił się wobec bliskości miej-

sca, o którym całym sercem pragnęła zapomnieć. Wahała się. Sądziła wcześniej, że po latach gorycz i ból znikną, ale była w błędzie. Poczowała w piersi ukłucie żalu.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, przynajmniej nie dzisiaj - odpowiedziała wymijająco.

- Tata by mnie tam wziął, na pewno. A ty mi obiecałaś - nalegał przymilnie. - Obiecałaś, że pokażesz mi fortecę.

Wpatrywała się w syna i czuła się winna jego rozczarowaniu. Było nie było, przedsięwzięła tę małą wyprawę jedynie po to, by podnieść go na duchu, a teraz wzdragała się dotrzymać danego słowa. Poza tym zde gustowała ją własna, irracjonalna reakcja na znajome okolice, rozumiała być może u romantycznego podlotka, ale nie u dwudziestopięcioletniej kobiety. Sama zadecydowała o powrocie, a teraz im wcześniej stawi czoło przeszłości, tym szybciej z nią się upora. Ścisnęła chłopca za rękę i zdobyła się na lekki uśmiech.

- Faktycznie, kochanie, i sądzę, że powinno mi się udać ją odnaleźć. Jeśli dobrze pamiętam, znajduje się na następnym wzgórzu nad rzeką, która oddziela posiadłości. Justynie, z miejsca, w którym mieścił się nasz zamek, widać kominę Winton Abbey, tam się urodziłam. Jeśli potem iść wzdłuż rzeki na południe, dochodzi się do Armitage'u.

- Mogę obejrzeć miejsce, gdzie się urodziła? - spytał niewinnie.

- Gdzie się urodziłaś - poprawiła machinalnie. - A odpowiedź brzmi „nie”. Obawiam się, że dziś nie.

- Ale dlaczego? Jeśli się tam urodziłaś...

Joanna nie chciała mówić Justinowi, że została wydziedziczona przez własnego ojca, i pokręciła tylko głową.

- Dlatego, że nie można.

- Ale...

- Ścigamy się na szczyt wzgórza? - spytała, by zająć go czymś innym.

W odpowiedzi puścił jej rękę i wyrwał w te pędy na-

przód, biegnąc zyzakowatą ścieżką tak szybko, jak tylko zdołały go ponieść nóżki. Ignorując wszelkie zasady, uniosła spódnicę i pobiegła za nim, uważając, by go nie wyprzedzić, zanim nie wbiegnie na samą górę. Na szczycie obrócił się tryumfalnie.

- Pierwszy!

- Cóż, wiesz, damy zazwyczaj nie biegają.

- Wiem, ale tata powiedział, że fajny był z ciebie kumpel jak na damę.

- Tak powiedział?

- Aha. Powiedział, że jesteś najwspanialsza.

- Twój tato mówił takie rzeczy.

W ciemnych oczach coś zamigotało, drobna bródka zadrgała niebezpiecznie. Joanna opadła na kolana i przygarnęła dziecko do siebie, widząc, jak usta wyginają się mu w podkówkę.

- Chcę do taty! - wykrzyknął. - Nienawidzę morza! Nienawidzę!

- Ciiii, najdroższy - uspokajała bezradnie. - Ja też tęsknię za Garym, ale nie możemy przecież płakać bez końca, wiesz? A tatuś na pewno nie chciałby, żebyś płakał, Justinie. - Pieszczotliwie przesunęła palcami po gęstych, ciemnych włosach, odgarniając je z twarzy dziecka. - Posłuchaj mnie, synku, tatuś chciałby, żebyś był silny, dla mnie i dla brata. Robin też cierpi, tylko jest zbyt mały, żeby rozumieć dlaczego.

- Tata najbardziej kochał mnie!

- Nie, nieprawda, Justinie, i nie wolno ci tak nigdy mówić Robinowi. Będzie mu bardzo trudno pamiętać Gary'ego, więc nie możesz pozwolić mu myśleć, że nie był kochany. Gary kochał was obu.

- Mną się bardziej zajmował.

- Naturalnie, ale to dlatego, że jesteś starszy. A teraz chodź, pokażę ci, gdzie twój tatuś bronił wałów obronnych przed wikingami. - Puściła syna i zaczęła delikatnie

ocierać mokrą od łez twarzyczkę zmiętą chusteczką. - Będziesz musiał udawać, że ich widzisz.

Miejsce jej zabaw niewiele się zmieniło: stare kłody nadal leżały pod kątem, tworząc coś, co razem z Garethem i Adrianem określali mianem fortecy lub zamku w zależności od tego, czy odpierali ataki piratów i wikingów, czy też oblegających mury rycerzy. Było nawet wysokie, rozłożyste drzewo, które skrywało ich dziecięce skarby. Znajomy widok sprawił, że ogarnęła ją fala wspomnień ze szczęśliwych czasów.

- Znałaś tatę, kiedy miał tyle lat, co ja?

- Hm? - Niechętnie wróciła do teraźniejszości, by odpowiedzieć: - Obawiam się, że kiedy był w twoim wieku, Justinie, ja dopiero uczyłam się chodzić. Miałam mniej lat niż Robin. Dopiero kiedy byłam troszkę starsza niż ty teraz, poznałam chłopców, a to dlatego, że moja guwernantka poślubiła korepetytora Delacourtów. W okresie zalotów nasi nauczyciele spotykali się tutaj, żeby porozmawiać, i zostawiali nas samopas, o czym na szczęście rodzice żadnego z nas nie wiedzieli.

- To głupie.

- Czy ja wiem... Darzyli się szczerym uczuciem, Justinie. I dzięki temu mogłam poznać twojego tatę i księcia, do czego w przeciwnym razie zapewne by nie doszło. Gdyby rzeczy potoczyły się zwykłym torem, musiałabym poczekać, aż będę w odpowiednim wieku, by zostać im oficjalnie przedstawiona na balu. A tak, myślę, że chłopcy pozwalali mi za sobą chodzić, żeby nie mieć lekcji. Zwykle panna Scatterly i pan Bates spotykali się tam - mówiła, wskazując ręką - i mogliśmy się swobodnie bawić, gdy on czytał jej wiersze i wygadywał różne głupstwa. Zaloty trwały całe lata, rzecz jasna, żadne z nich nie miało większych widoków na małżeństwo. W końcu jakiś stary wuj pana Batesa zostawił mu małą sumkę w spadku i młodzi uciekli do Szkocji.



- To dalej brzmi głupio.

- Raczej wzruszająco, zapewniam cię. Poza tym mogłam brać udział w ekscytujących zabawach Gary'ego i Adriana, zamiast siedzieć w domu i haftować czy brać lekcje malarstwa jak każda grzeczna dziewczynka. A mój ojciec niczego nie zauważył. Po śmierci mojej mamy był nazbyt zajęty poszukiwaniem dobrej partii, która podreperowałaby stan jego finansów. Rzadko bywał w domu, rzecz jasna, bo wszystkie damy w okolicy wiedziały, że jest biedny jak mysz kościelna.

Wyjaśnienia te przekraczały zdolności pojmowania pięciolatka. Odbiegł od matki i na czworaka wgramolił się na kłody. Wyobraźnię miał równie żywą jak Gary czy Adrian. Wymachując patykiem jak mieczem, pokrzykiwał na wyimaginowanych wrogów, wzywał ich do ataku. Przyglądając mu się, Joanna powróciła myślami do innych, niemal zapomnianych już czasów, gdy to ona, Adrian i Gary drwili sobie z niewidzialnych najeźdźców. Oczywiście, Adrian zawsze dowodził ich obroną, w końcu był księciem, a Gary tylko hrabią. Nawet wówczas pozycja niosła pewne przywileje, przypominała sobie. Ale dla niej zrobili wyjątek: przymknęli oko na fakt, iż jest córką zwykłego barona, i powierzyli jej rolę księżniczki, której musieli bronić przed maruderami. Gary zrobił nawet dla niej koronę z papieru.

Przeniosła wzrok na miejsce, w którym niegdyś tylekroć pałaszowali przyniesione z domu wiktuały z dala od zakochanych nauczycieli. Stary pień leżał tu nadal, odarty z kory i wyblakły po latach na słońcu i deszczu. Podeszła do niego bezwiednie, by jak kiedyś usiąść tam, gdzie spędziła wiele szczęśliwych dni w czasach swojej młodości. Podciągnęła nogi, objęła rękami kolana i zapatrzyła się w przestrzeń, zasłuchiwała w echa zapomnianej przeszłości.

Adrian był wysoki jak na swój wiek, wyższy od Gary'ego i od niej, i zawsze przypadała mu rola Robin Hoo-

da, króla Ryszarda czy króla Artura. I bynajmniej nie umknął jej uwagi fakt, że jak na ironię losu jej samej przypadła kiedyś rola Ginewry, a Gary'emu - sir Lance-lota. Zły omen, zapowiedź zdarzeń, które miały dopiero nadejść. Nie, takie myśli nie zasługują na uwagę, powta-rzała sobie w duchu, czując, jak wzbiera w niej stara go-rycz. Lepiej już wspominać szczęśliwsze czasy, czasy, gdy wszyscy troje byli przyjaciółmi.

I kiedy tak siedziała, przypomniała sobie ostatni dzień przed wyjazdem chłopców do szkoły. Uciekając przed wyimaginowanym Hunem, potknęła się o pień i mocno skaleczyła w nogę, rozrywając pończochę i okrwawiając sukienkę. Gary opatrzył wówczas jej skaleczenie, nie szczędząc ciepłych słów, Adrian tymczasem stał z dzi-wnym wyrazem twarzy, wpatrując się jak zahipnotyzowa-ny w jej obnażoną nogę. Joanna miała wtedy trzynaście lat. I upłynęło jeszcze kilka następnych, zanim nauczyła się rozpoznawać w tym wyrazie twarzy pożądanie.

Oderwała się od tamtego wspomnienia i skupiła uwa-gę na ich dawnej skrytce w wydrążonej jamce u podsta-wy ogromnego, rozłożystego drzewa. Trzymali w niej niegdyś skarby swojego dzieciństwa, drobiazgi, które by-ły im szczególnie drogie. Drzewo wciąż stało, jednak ze-schła trawa i patyczki, które ją wówczas kryły, zdażyły dawno już rozłożyć się i spróchnieć. Zsunęła się z pnia i podeszła bliżej. Gnana ciekawością, zaczęła rozgarniać ziemię czubkiem buta.

Pudełko wciąż było na miejscu - natrafiła na nie niemal od razu. Uklękła na rzadkiej trawie, chwyciła patyk i za-częła gorączkowo dłubać. Kiedy ukazał się róg zardzewia-łej, blaszanej puszkii, podkopała ją, wreszcie podważyła i wyjęła. Mieszkająca pod nią dżdżownica, wijąc się, znik-nęła w wilgotnej, miękkiej ziemi. Joannie spieszo było zajrzeć do wnętrza puszkii. W mgnieniu oka uporała się z zasuwką i patrzyła, zafascynowana, na dawno zapomnia-

ne pamiątki, które niegdyś zakopali jako skarb piratów.

Najpierw wyjęła srebrną tabakierę ojca Gary'ego: zdo-  
biąca ją emalia wciąż miała żywą barwę, tym żywszą że  
srebro, w które była wtopiona, zdążyło ściemnieć. Obró-  
ciła ją w dłoni, przypominając sobie, jak dumny był ma-  
ły Gareth, gdy jego ojciec, wyniosły hrabia Carew, poda-  
rował mu ją zamiast po prostu wyrzucić. Wzrok jej padł  
na połyskliwą, złotą dewizkę, własność Adriana, leżącą  
na strzępach wyblakłego papieru, pod którymi widać by-  
ło pożółkłą kopertę.

Znalazła też własny skarb: medalion, który podarowa-  
ła jej matka na krótko przed śmiercią, nie uszkodzony, je-  
śli nie liczyć drobnych przebarwień powstałych pod wpły-  
wem zmian temperatury. Odłożyła tabakierę, podniosła  
medalion i delikatnie go otworzyła, by obejrzeć namalo-  
waną w nim miniaturę. Wpatrując się w piękną twarz mat-  
ki, musiała przełknąć ślinę. Czuła, że zaczyna ją ścisnąć  
w krtani. Jak mogła go zakopać? Chyba tylko dlatego, że  
chciała odsunąć od siebie myśl o niepoważnej stracie,  
o której nie pozwalał zapomnieć. Zamknęła wieczko  
i wsunęła go do kieszeni. Teraz mogła już się nim cieszyć.

Z rozmysłem ignorując przyżółconą kopertę, zajęła się  
skrawkami papieru. Ich porozumieniem, które podpisali  
we trójkę, gdy obiecywali sobie, że zawsze będą przyja-  
ciółmi i że spotkają się w jej osiemnaste urodziny. Spisa-  
li je, by przestała płakać po tym, jak dowiedziała się o ich  
wyjeździe do Eton. W paczce obaj przyrzekli pisywać raz  
w tygodniu. Przez jej twarz przemknął lekki uśmiech, gdy  
przypomniała sobie, że Gary obietnicy dotrzymał, Adrian  
natomiast zawiódł ją i w tej kwestii. Faktycznie, po pierw-  
szym miesiącu, może trochę później, listy od niego przy-  
chodziły tak rzadko, iż była pewna, że o niej zapomniał.

Do jej debiutu. Zamknęła oczy i pozwoliła sobie wró-  
cić do tamtej rozgwieżdżonej nocy majowej w Londynie.  
Kiedy jej ciotka Kate rozesłała zaproszenia, tak wiele cza-

su minęło od ich ostatniego spotkania, że była *szczerze* przekonana, iż Adrian Delacourt nie zaszczyli tak małego i skromnego przyjęcia swoją obecnością. Kiedy skończyła się ceremonia powitalna, zobaczyła, jaki jest uderzająco przystojny, jakim stał się światowcem, słyszała westchnienia zazdrosnych kuzynek, szeptem rzucane uwagi: „Obecność Roxbury'ego nawet z ubogiej krewnej może uczynić osobistość”.

Cóż to był za tryumf! Adrian Delacourt zatańczył z nią nie raz, a cztery razy, ujawniając skłonność, która zbulwersowała wszystkich obecnych, a zanim noc dobiegła końca, wyprowadził ją do ogrodu ciotki i wprawił w osłupienie, oświadczając się. Wciąż czuła woń kwiatów jak wtedy, gdy pocałował ją po raz pierwszy i powiedział, że czekał tylko, by dorosła. Pocałunek ten zrodził namiętność, której istnienia wcześniej nawet nie podejrzewała. Od tamtej chwili była w nim szaleńczo zakochana.

Biedny Gary. Niefortunnie złożyło się, iż oświadczył się tej samej nocy, i choć przyjął jej wyznanie miłości do Adriana dość spokojnie, nie zdołał ukryć bólu i rozczarowania, które tak wyraźnie widziała w jego orzechowych oczach. Naturalnie życzył jej szczęścia, mówił, że skoro nie może być jej mężem, ma nadzieję pozostać przyjacielem. Był też drużbą Adriana na ich weselu.

Ach, jak mogła nie rozumieć, że dobry, uprzejmy, łagodny Gary okaże się lepszym z nich dwóch? Ale miłość jest ślepa, a Adrian ją po prostu olśnił. Nie żeby Gary nie był przystojnym mężczyzną. Młody hrabia Carew był bardzo zgrabny i niejedna młoda piękność zagięta na niego owego sezonu parol, przypomniawszy sobie kwaśno. Ale Adrian, cóż, Adrian był podniecający - ze swoją mroczną urodą, gwałtownym usposobieniem. Koniec końcem, właśnie ta ostatnia cecha złamała jej serce.

Straciła ich obu, każdego w inny sposób, jednak utrata każdego z nich napełniła ją cierpieniem. Nawet teraz,

gdy myślała o nich obu, czuła w piersi nieznośny ból. Łzy same napłynęły jej do oczu i spływały po policzkach, a ona, nieświadoma tego, nawet nie próbowała ich otrzeć. W milczeniu złożyła papierki, włożyła je z powrotem razem z dewizką i tabakierą, a puszkę odłożyła tam, gdzie ją znalazła. Zepchnęła na nią nogą trochę ziemi. Wycierając ręce o spódnicę, odwróciła się.

- Robi się... późno, Justinie - wykrztusiła z trudem. Zaczepnęła powietrza i wzięła się w garść. - Lepiej wracajmy, zanim Robin zacznie się niepokoić.

Nie było odpowiedzi, nie było też chłopca, który jeszcze przed chwilą tak dziarsko wymachiwał swoim patykowym mieczem. Schował się, żeby ją nastraszyć, pomyślała, a nie miała nastroju na zabawę.

- No chodź, Justinie, pora wracać! - zawołała. Nasłuchiwała z nadzieją, jednak nie doczekała się odpowiedzi. Doprawdy, nie miał w zwyczaju droczyć się z nią, a tym bardziej już ignorować jej prośby. Podeszła do fortecy. - Nie baw się z mamą, Justinie, chodź już, zrobiło się późno.

Panowała zupełna cisza i Joanna uzmysłowiła sobie, że jest sama. Zaniepokojona wspięła się na pniaki i zaczęła nawoływać:

- Justin! Justin!

Odpowiedziało jej złowieszcze echo:

- Justin!

Musiał odejść kawałek, gdy siedziała zbyt pochłonięta własnymi myślami, by to zauważyć czy usłyszeć. Rozejrzała się gorączkowo, jednak nic nie wskazywało kierunku, w jakim się udał, i ogarnęło ją przerażenie. Sam do domu przecież by nie wrócił, nie zna okolicy. Niewielką polankę, na której stała, otaczał las, a za nim płynęła rzeka oddzielająca Haven od Winton Abbey i Armitage'u. Winton Abbey wzbudziło jego ciekawość, ale przecież nie wybrałby się tam, skoro powiedziała mu, że iść tam nie mogą.

Nasłuchiwała z bijącym sercem. Uszu jej nie dobiegał

żaden dźwięk. Nagle ciszę przerwała seria wystrzałów jakby ze strony Armitage'u. Dobry Boże, dziecko nie może przecież kręcić się koło polujących mężczyzn! Uniosła spódnicę powyżej kostki i pomknęła na południe, w stronę z której dobiegły strzały, myśląc jedynie o tym, że musi coś zrobić, zanim Justinowi stanie się krzywda. Że cokolwiek Roxbury o niej myślał, jego rządcą czy wartownik nie odmówi pomocy małemu chłopcu. Wybiegła z lasu powyżej miejsca, w którym rzeka była płytką; okoliczni mieszkańcy wytyczyli tam bród, który ułatwiał przeprawę na drugi brzeg w czasach, gdy jeszcze łączyły ich przyjazne stosunki. Nieopodal rozległ się kolejny wystrzał. Aż nazbyt blisko.

- Przestańcie! Pomocy! Nie strzelać! - krzyknęła. Biegła, potykając się, niepomna na błotnistą wodę chlupiącą w pantoflach.

Zatrzeszczały gałązki pod ciężkimi butami i z zarośli wyłoniło się dwóch mężczyzn. Joanna zatrzymała się jak wryta i, zrozpaczona, ukryła twarz w dłoniach.

- To ty! - zawołała bez tchu. - O, nie!

- Jo - rzucił Adrian Delacourt bezgłośnie; stał wpatrzony w nią, zbyt wstrząśnięty, by dobyć głosu.

Jego towarzysz spoglądał to na jedno, to na drugie, nie rozumiejąc wyrazu zgrozy i niedowierzania malującego się na ich twarzach. W uszach nadal rozbrzmiewało mu wołanie Joanny o pomoc. Zrobił krok do przodu:

- Hm... może mógłbym jakoś pomóc - powiedział ostrożnie, przerywając niezręczne milczenie.

Byle tylko nie patrzeć na Adriana, Joanna z wdzięcznością zwróciła się ku drugiemu mężczyźnie:

- Nie widział pan przypadkiem małego chłopca? Syn znikł mi z oczu, usłyszałam strzały i przeraziłam się, że ktoś mógłby go postrzelić. - Opuściła wzrok na strzelbę, którą miał w ręku, i dodała z widoczną ulgą: - To panna musiałam usłyszeć.

- Przed chwilą tu przyszliśmy - odpowiedział obcy. Boże, ale ta kobieta jest piękna, zbyt piękna, by samotnie błąkać się po lesie. Przywołał się do porządku i dodał szarmancko: - Jednakże z chęcią pomożemy pani w poszukiwaniach.

Joanna podniosła wzrok na jego piękne, szare oczy, męską, przystojną twarz o wyrazistych rysach. Zbyt zaferowana, by zauważyć wyśmienity krój kurtki myśliwskiej, nienagannie leżące bryczesy, niepowtarzalny kształt butów od Hoby'ego, nie wydawała się być pod szczególnym wrażeniem, co zaintrygowało go jeszcze bardziej. Elegancki mężczyzna posłał jej swój najbardziej czarujący uśmiech.

- Barrasford. John Barrasford, do pani usług. Jeśli tylko opiszę pani wygląd chłopca, Roxbury i ja przeczesemy te lasy, a pani tu na nas poczeka. Zważywszy na ukształtowanie terenu, nie mógł zbyt daleko się oddalić.

- Nie! - Adrian niemal wypluł to słowo. - Nie pozwolę jej tu zostać!

- Ależ, Roxbury! - zaprotestował Barrasford. - Niemożliwe, żebyś chciał, by dziecko błąkało się samo jak palec w takim miejscu. Ale skoro nie chcesz pomóc, pójdę sam. - Zwracając się na powrót do Joanny, powiedział: - Przepraszam za pożałowania godny brak manier u naszego księcia. Przyprawiam konia i przejadę się wzdłuż brzegu, potem wrócę lasem. Przydałoby się jednak, żeby udzieliła mi pani wskazówek co do kierunku, w jakim mogła się udać pani zguba, bo to piekielnie rozległe tereny.

Pokręciła głową bezradnie.

- Oddalił się, kiedy byłam Zajęta czym innym. Niech pan tylko sprawdzi ten brzeg, ja wrócę tą samą drogą, którą tu przyszedłam. Może jest tam, gdzie go ostatnio widziałam.

- Umowa stoi - zgodził się Barrasford. Zamierzał już odejść, ale odwrócił się jeszcze, by zapytać: - Jak mu na imię? Jak go wołać?

- Justin, Justin Sherwood. To jeszcze małe dziecko, nie ma nawet sześciu lat, ale nie boi się obcych.

Kątem oka zauważyła, że Adrian Delacourt nieruchomieje, po czym odwraca się i bez słowa znika w zaroślach. Lord Barrasford pokręcił głową.

- Nie wiem, co w niego dziś wstąpiło, lady Sherwood - mruknął przepaszająco. - Roxbury zwykle nie miewa humorów.

Wstrzymała oddech i przygotowała się na najgorsze:

- Ściśle rzecz biorąc, nie jestem lady Sherwood, a Carew. Moim mężem był Gareth Sherwood, hrabia Carew. Owdowiałam zeszłego lata.

Nazwisko nie wydawało się mu cokolwiek mówić.

- Przykro mi, ale chyba nie miałem przyjemności go poznać. Dużo czasu spędzam w Irlandii. Irlandzki tytuł, rozumie pani - wyjaśnił dość kwaśno. Wracając do najważniejszej sprawy, powiedział: -Jeśli chłopca nie będzie po tej stronie, przejadę na drugą. Jeśli go znajdę, oddam dwa strzały w powietrze, żeby cię powiadomić.

- Dziękuję.

Johnny podszedł do konia i wskoczył na siodło; Roxbury zdążył zniknąć mu z oczu. Dziwna sprawa, ale nigdy nie przypuszczał, że z Adriana jest taki dureń, gdy idzie o piękne kobiety. Zawrócił ku brzegowi rzeki. Cóż, tym lepiej. Lady Carew zaintrygowała go i nie chciał mieć w księciu rywala. Sam przyjechał tutaj tylko po to, by obejrzeć nową posiadłość, którą wygrał w kości, i odpocząć od matron usiłujących za wszelką cenę wydać za mąż swoje niewydarzone córki. Jednakże to niespodziewane spotkanie z piękną hrabiną sprawiło, że lato wydało się mu nader obiecujące. Pozostawało jedynie odnaleźć chłopca.

Przygnębiona zniknięciem Justina i wzburzona po spotkaniu z Adrianem, Joanna ruszyła w drogę powrot-



na. Zatrzymywała się co krok, by zawołać syna, i modliła się w duchu, by szybko się znalazł.

Oddalający się Adrian słyszał cichnące nawoływania. Walczyły w nim sprzeczne uczucia: to miotał się w bezsilnej furii, to zżerała go tęsknota. Niech ją diabli! Niech ją diabli za to, co mu zrobiła! Nie miała prawa tu być. Nie miała prawa wracać do Anglii.

Ponad sześć lat upłynęło od ich poprzedniego spotkania, lecz te nieliczne wspomnienia, które pozwolił sobie zachować, nie oddawały w pełni jej urody. Chciał wierzyć, że czas zrobił swoje, ale się mylił. Zawsze uważał ją za najcudowniejsze stworzenie, jakie w życiu widział, i lata tego nie zmieniły.

Zamknął oczy, by wymazać jej obraz, ten jednak powracał z przeszłości, by go dręczyć: ona, pobladła i zdumiona, gdy rzucał jej oskarżenia prosto w twarz. Zdradziła go z jego najlepszym przyjacielem, a mimo to coś w nim pragnęło, by została. Chciał, by zaprzeczyła wszystkiemu, by próbowała go przekonać. A ona po prostu wyszła, ignorując jego krzyki i urażoną dumę.

A jaka była wcześniej... Cudowne oczy rozświetlone namiętnością, niesamowite pszenicznoszłote włosy jak jedwabny szal, połyskujący w blasku świec. Miał kobiety przed nią, miał wiele po niej, żadna jednak nie mogła porównywać się z Joanną. Jako młodzik kochał się w niej na zabój, ożenił się z nią, a ona go zdradziła. Rozgoryczenie wzbierało w nim niczym żółć, budził się stary gniew. Okazał się głupcem, skończonym głupcem, zrobił z niej księżną pomimo obiekcji rodziny, a ona odpłaciła mu zdradą, odbierając nie tylko honor, ale i przyjaźń Gary'ego. Piekło to zbyt mała kara za to, co mu uczyniła.

- Mamo... Mamo?

Cienki, drżący niepewnie głosik rozległ się po drugiej stronie żywopłotu. Adrian chciał spać konia ostrogami

i pojechać dalej, ale nie potrafił. Cokolwiek Joanna zrobiła, nie można za jej grzechy winić dziecka. Z westchnieniem szturchnął kolanem w bok gniadosza, kierując się ku skrajowi pola, po czym zsiadł i ruszył wzdłuż żywopłotu. Słychać było spazmatyczny szloch.

- Tutaj! Tutaj! Wyjdź, nie chowaj się! - zawołał.

Płacz, który brzmiał trochę jak czkawka, urwał się na chwilę, zaszeleściły gałęzie i z gęstych krzaków wypadł mały człowieczek. Podbiegł do niego i kurczowo przywarł mu do nogi.

- Chcę do mamy! - krzyknął. - Nie chciałem tutaj przyjść! Nie chciałem!

Pod wpływem nagłego impulsu Adrian porwał chłopca na ręce. Gdy twarz dziecka znalazła się na wysokości jego własnej, książę zadrżał nagle. Wstrząśnięty, wpatrywał się w bezruchu w gęste, czarne włosy, ciemne, niemal czarne oczy i wydatne kości policzkowe, które tak często widywał w lustrze. Stał z zapartym tchem, niepomny upływu czasu. Chłopiec przestał płakać, patrzył tylko na dziwnego pana, który trzymał go na rękach. Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie nawzajem.

- Jesteś Justin - rzekł Adrian po prostu, gdy udało mu się wydobyć głos.

Chłopiec kiwnął głową i potarł oczy ubrudzonymi piastkami.

- Chcę do mamy - powtórzył już spokojniej. - Proszę, chcę się zobaczyć z mamą.

- Ja również - odparł Adrian ponuro i podszedł do koźnia. W głowie kłębiły mu się setki pytań.

Całkiem już spokojny, Justin Sherwood ufnie przytulił się do Adriana.

- Chciałem zobaczyć, gdzie się urodziła moja mama, ale nie chciała mnie zabrać - wyjaśnił najpierw. Gdy mężczyzna nie odpowiadał, chłopiec kontynuował: - Moją mamą jest lady Carew, wiesz, a mój tata... - dziecięcy gło-

sik umilkł na chwilę, po czym mały dokończył mężnie: - mój tato był hrabią, ale umarł. - Zadarł głowę, żeby spojrzeć na Adriana: - Znałeś mojego tatusia? Tęsknię za nim, ale mama mówi, że muszę się z tym pogodzić, a ja n-nie mogę. Chcę, żeby Bóg go oddał.

- Zrozumiałe - mruknął Adrian ciepło.

- To co, znałeś go? - dopytywał się Justin. - Mieszkał w Haven, jak był mały jak ja.

- Tak - odpowiedź była aż nazbyt lakoniczna, Adrian jednak nie otrząsnął się z wrażenia, jakie wywarło na nim odkrycie, że ma syna. W końcu wykrztusił: - Naturalnie, że tak. Od kiedy wyszliśmy z powijaków.

- A mamę znałeś?

Było to niewinne pytanie, jednak bardzo bolesne.

- Tak, ją też wtedy znałem.

- Była taka ładna jak teraz? Tata mówił, że jest najpiękniejszą kobietą na całym świecie.

- To prawda.

- Tata mówił, że jest najwspanialsza.

Adrian chciał jak najprędzej zmienić temat, w taki jednak sposób, by chłopca nie urazić. Spytał:

- Podobało ci się we Włoszech?

- Aha. Ale babci nie. Kazała mamie wracać, żebym mógł zostać hrabią, ale ja nie chciałem tu przyjechać - wyznał Justin. - Nie chcę być hrabią.

- Dlaczego? - Adrian zatrzymał się, żeby posadzić chłopca w siodle, po czym sam usiadł za nim.

- No bo wszyscy mówią do mnie „milordzie” zamiast po imieniu.

- Tak, to rzeczywiście wielki problem.

- Śmiejesz się ze mnie!

- Zapewniam cię, że nie.

- Hm, a ty chciałbyś, żeby przez cały czas mówili do ciebie „milordzie”?

- Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałem, chociaż

borykam się z tym problemem przez całe życie. Z tym że teraz mówią „wasza miłość”.

- Serio? - Justin obrócił głowę, żeby na niego spojrzeć. - Też jesteś hrabią?

- Nie, księciem, a księżę powinien mieć świadomość własnej pozycji, tak przynajmniej mawia moja mama.

- To ty masz mamę?

- Jak większość ludzi na pewnym etapie swojego życia.

- Aha... Mam nadzieję, że jest taka dobra, jak moja. Moja jest świetnym kumplem, wiesz? Chyba że jest nie-szczęśliwa. Wtedy płacze. Jak dzisiaj.

- Ach, tak?

Justin kiwnął głową.

- Poszliśmy poszukać fortecy i było kapitalnie. Ale potem zaczęła coś czytać i było jej smutno. No to poszłem się rozejrzeć i się zgubiłem.

- Odwiedź mnie kiedyś w Armitage'u.

- Nie. Mama nie chce chodzić z wizytą. Słyszałem, jak mówiła babci - wyznał Justin. - Ale - dodał, rozjaśniając się - mogę powiedzieć Robinowi, że całkiem sam przeszedłem na drugą stronę rzeki.

- Robinowi?

- To mój brat. Jest mały.

Nie wiedzieć dlaczego, myśl, że Joanna urodziła Gary'emu syna, wydała się Adrianowi nie do zniesienia. Zapadł w ponure milczenie, ale chłopiec tego nie zauważył.

Justin szczebiotał bez chwili wytchnienia, opowiadał o młodszym bracie, a w końcu pochwalił się:

- Tata *mnie* kochał najbardziej. Ja to wiem, ale mama nie chce, żeby Robin się dowiedział, bo on jest mały i by nie zrozumiał.

- Hm?

- Patrz! Widać rzekę! - zawołał nagle chłopiec.

Niemal w tej samej chwili rozległ się głos Johnny'ego Barrasforda:

- Widzę, że go znalazłeś! Pięknieś się spisał, Roxbury! Adrian ściągnął wodze i poczekał, aż jego towarzyszy do nich dołączy.

- Lady Carew! Lady Carew! - krzyknął Barrasford gromko, wypatrując jej na przeciwległym brzegu. - Roxbury znalazł chłopca!

Jej ogromna wdzięczność zmalała nieco, kiedy dostrzegła, kto wiezie jej synka. Zdobywając się na zimną krew, ruszyła przez płytką wodę na spotkanie mężczyźni, którego niegdyś kochała ponad wszystko.

- Dziękuję serdecznie, milordzie - powiedziała szorstko, wyciągając ręce po Justina.

-Jo...

- Mamo, to książę i chce, żebym go odwiedził.

- Nie. - Ściągnęła chłopca na ziemię, obejrzała go i spytała cicho: - Nic ci się nie stało?

- Nic, ale się bałem. Mamo, ja nie chciałem...

Joanna opadła na kolana i uściskała go mocno.

- Naturalnie, że nie, skarbie, ale nie tylko ty się bałeś. Tak się martwiłam, myślałam, że oszaleję.

- Zbijesz mnie?

- Zbiję.

- Na miłość boską, Jo! Przecież to tylko...

Joanna wyprostowała się, obróciła jak fryga i przerwała Adrianowi w pół zdania:

- Nie mieszaj się do tego, milordzie! To nie twoja sprawa!

Zdumiony czymś, co nie do końca pojmuwał, lord Barrasford przypatrywał się to jemu, to jej, czując narastające między tym dwojgiem napięcie. Następnie przyjrzał się chłopcu i Roxbury'emu. W jednej chwili zrozumiał wszystko.

- Mój Boże - powiedział miękko.

Joanna spłonęła rumieńcem i złapała Justina za rękę.

- Cóż, chwala Bogu, że się znalazł. A teraz naprawdę musimy już iść. Mama zwoła wyprawę ratunkową, jeśli

zaraz nie wrócimy. Justinie, bądź grzeczny i pożegnaj się z lordem Barrasfordem i księciem.

I dosłownie powlokła za sobą chłopca w stronę płytkiego brodu. Adrian przyglądał się jej bezradnie. Lord Barrasford, który zainteresowanie uroczą lady Carew miał wręcz wypisane na twarzy, zawołał za nią:

- Lady Carew, może kiedy pani się uspokoi... to jest, chciałybym złożyć pani wizytę jutro rano...

Zatrzymała się na chwilę, zawahała, następnie skinęła głową, patrząc na Adriana wyzywająco.

- Oczywiście, jeśli pan ma takie życzenie.

Twarz Roxbury'ego pociemniała, żeby jednak nie wyjść na głupca w oczach Johnny'ego Barrasforda, nie odezwał się słowem. Jedna myśl krążyła mu jednak uparcie po głowie, powracając co chwila. *Ma syna, lecz jego syn nosi nazwisko innego mężczyzny.*

Adrian nie był wolny od osławionej porywczosci Delacourtów; teraz jednak przypływy wściekłości, tak dla niego typowe, przeplatały się z napadami wisielczego nastroju i zwątpienia. Atmosfera w Armitage'u stała się tak napięta, że nie tylko cała służba, ale i sama księżna wdowa schodzili mu z drogi, pozostawiając go sam na sam z jego bulwersującym odkryciem. Gdy matka pozwoliła sobie delikatnie napomknąć o rychłym przybyciu Almeirii Bennington wraz z rodzicami, odpowiedział jej grymasem tak złowrogim, iż - po raz pierwszy w życiu - poniechała kłótni z synem i po prostu zrejterowała.

W samotności Adrian zżymał się na jawną bezczelność Joanny, która podjęła decyzję o powrocie. Potem

jednak zaczęła dręczyć go nikła, lecz niezwykle niepokojąca myśl: a może pomylił się owych sześć lat temu? Myśl ta była nie do zniesienia. Gdy furia w nim osłabła, po-  
użalał się trochę nad sobą. W końcu zaś, przy dziesiątej  
butelce madery wypitej w ciągu trzech dni, musiał szcze-  
rze przed sobą przyznać, że cierpi z powodu śmierci Ga-  
retha Sherwooda.

Gary. Był kiedyś taki czas, gdy głową poręczyłby za  
jego lojalność i przyjaźń. Boże, ileż to razy przez tych  
sześć lat chciał podzielić się z nim przemyśleniami, spy-  
tał o zdanie? A potem przypomina! sobie, że to właśnie  
z Garym zdradziła go Joanna, i chciał zabić ich oboje.  
Ale teraz... teraz boleśnie odczuwał brak prawdziwego  
przyjaciela. Czuł w sercu pustkę.

A Joanna... Za każdym razem, gdy stawała mu przed  
oczami, starał się utopić jej obraz w kolejnym kieliszku  
wina. Podczas ostatniego, przypadkowego spotkania po-  
czuł się tak, jakby coś rwało jego duszę na kawałki. Czuł  
taki sam ból jak wtedy, gdy zdradziła go z najlepszym  
przyjacielem. Przez wszystkie te lata duma nakazywała  
mu skrywać własne uczucia nawet przed sobą samym,  
dławić w sobie ból, maskując go zimnym, nieprzejedna-  
nym gniewem. A teraz? Jedno krótkie, niespodziewane  
spotkanie wystarczyło, by zaczęła pojawiać się w jego  
snach, burząc spokój duszy. Niech ją piekło pochłonie!  
Jak śmiała wrócić?! Pokazać w Anglii swoją twarz?! Jed-  
nakże kiedy zamknął oczy, ujrzał przed sobą twarz jej  
syna: swój własny obraz zatrzymany w czasie. Zrozumiał  
prawdę. Popełnił błąd. Los spletał mu okrutną psotę.

Dopił maderę. Głośne bicie zegara wytrąciło go z po-  
nurej zadumy i wrócił do teraźniejszości. Słońce tymcza-  
sem zdążyło nie tylko wzejść, ale i znaleźć się wysoko na  
niebie. Szybko przeciągnął ręką po policzku i poczuł pod  
palcami kilkudniowy zarost. W ustach nadal miał smak  
wina, jednakże wyczuwał pod nim gorzkawy, mdlący po-

smak tego, co przeszło przez nie wcześniej. Głowa bolała go jak diabli.

Wstał, zachwiał się i zacisnął powieki, czując pod czaszką tępy ból. Obraz chłopięcej twarzyczki nie zniknął. Przed oczami nadal miał czarną czuprynę, ciemne, świetliste oczy, tak podobne do jego własnych. Jęknął i niepewnie ruszył w stronę drzwi.

- Cóż - powitała go z wyrzutem matka, nie patrząc na niego, gdy wchodził do jej pokoju - doprawdy najwyższa pora, żebyś się opamiętał. Droga Almeria będzie tu...

- Niech idzie do czorta! - wykrztusił tak gwałtownie, że Helen się cofnęła.

Tknięta złym przeczuciem, podniosła wzrok; ubranie miał wymięte, w oczach dzikie błyski. Zbliżał się powoli, na chwiejnych nogach, wreszcie pochylił nad nią.

- Jesteś pijany - syknęła.

- Powiedz mi prawdę, matko, i to zaraz!

- Jesteś pijany - powtórzyła z widocznym obrzydzeniem.

- Owszem, ale nie na tyle, żeby nie wiedzieć, co robię - odparował. Nachylił się bliżej, oparł rękami o zagłówek fotela, na którym siedziała. - Opowiedz mi jeszcze raz, jak to mnie zdradziła i skąd tak dobrze o tym wiedziałaś, matko.

- O czym, u nieba...? Przykro mi, Adrianie, ale naprawdę nie mam bladego pojęcia...

- Joanna. Chcę znowu usłyszeć to wszystko.

Była zaskoczona, że po raz kolejny wywlekał stary skandal. Ledwo ukryła strach.

- Nie widzę powodu. Ta sprawa nie przynosi ci zaszczytu, o czym sam powinieneś wiedzieć.

- Wróciła.

- Owszem, i nie wierzyłam własnym uszom, kiedy się o tym dowiedziałam. Szczyt bezczelności! Ale nie warto o tym myśleć, prawda? Jak gdyby ktokolwiek mógł zapomnieć, kim jest?! Ja nie zapomniałam, zapewniam cię.



Doprawdy, wtedy nie znalazł się nikt, kto przyjąłby ją w swoim domu, i jestem pewna, że...

- Nie - przerwał brutalnie. - Nie zmieniaj tematu. Chcę jeszcze raz usłyszeć historię, którą opowiedziałaś wtedy. Powiedz mi, matko, co sama widziałaś, i to, co o Jo i Garym słyszałaś.

- Adrianie, usiądźże wreszcie! - poleciła z rozdrażnieniem. - Nie każesz mi chyba powtarzać, jak to zrobiłeś z siebie głupca na oczach całego świata.

- Matko - rzucił ostrzegawczym tonem. - Uprzedzam, nie jestem w nastroju do wysłuchiwanie twoich wykrętów.

- Cóż, nie zamierzam odezwać się słowem, dopóki będziesz sterczeć nade mną jak kat nad dobrą duszą.

- Proszę bardzo - wyprostował się i cofnął kawałek. - A teraz, matko, proszę, powtórz mi to, co powiedziałaś wtedy.

- Adrianie, nie możesz oczekiwać, żebym wszystko pamiętała ze szczegółami po tylu latach. Chciałam powiedzieć, że nie wszystko pamiętam. Zresztą Almeria ma przybyć lada chwila i nie jest to ani najlepsza pora, ani najlepsze miejsce na takie wynurzenia. Almeria...

- Nie słyszałaś mnie? Powiedziałem, niech idzie do czorta!

- Proszę, żebyś nie odzywał się do mnie takim tonem - fuknęła, obrażona. Spojrzała na syna. Stał z zaciśniętymi szczękami. - Dobrze, dobrze, chociaż...

- Mów dalej.

- Adrianie, widziałam ich na własne oczy! Widziałam, jak ta... ta szelma wdzięczy się do Garetha Sherwooda za twoimi plecami. O, byłeś zbyt zadurzony, żeby coś zauważyć, ale ja miałam oczy szeroko otwarte. Wodziła za nim cielęcym wzrokiem, a on czuł się tu jak u siebie w domu. Stanowili ładną parę, mówię ci - obsypywali się upominkami, wzdychali do siebie tuż pod moim nosem, jakbym była głucha i ślepa. Tak właśnie było, Adrianie,

wyszła za ciebie dla twoich pieniędzy, dla twojej pozycji, innych powodów nie było. Nosiła biżuterię po twoich przodkach, nazwała się księżną Roxbury, a przyjmowała u siebie hrabiego Carew jak zwykła ladacznica! Chciałeś, to powiedziałam!

- Była moją żoną - przypomniał jej zwięźle.

- Phi! Dla mnie nigdy nie była niczym innym jak zwykłą Milfordówną. Ale to nie tylko ja byłem jej przeciwna. Twój ojciec doznał szoku, kiedy się dowiedział, że popełniłeś mezalians, poślubiając córkę Johna Milforda, możesz mi wierzyć.

- Nastawiłaś go przeciwko niej. Nie znał Joanny, a ty w mówiłaś mu, że nie jest godna nazwiska Delacourt. Dopóki tolerowałaś jego rozliczne romanse, tańczył, jak mu zagrałaś - przypomniał jej obcesowo. - O ile pamiętam, wam dwojgu nie układało się na tyle dobrze, by powołać na ten świat -więcej niż jednego następcę.

- Byliśmy cywilizowanym małżeństwem, zwykłym w naszych sferach. I gdybyś poszedł w nasze ślady, nie miałbyś za sobą rozwodu.

- Szukałem namiętności. Nie chciałem, jak to nazywasz, cywilizowanego małżeństwa. Pragnąłem prawdziwego uczucia, matko.

- Mariaże łączą fortuny, Adrianie. Namiętność w małżeństwie jest dla niższych klas, dla tych, którzy nie mogą kupić jej sobie gdzie indziej. Twoje nazwisko, ród, zasługują na kogoś o wiele lepszego niż Joanna Milford i świetnie o tym wiesz. Nie, ale ty musiałeś dokonać najgorszego wyboru, a ona kazała ci słono za ten błąd zapłacić.

- Nie rozmawiamy o mnie. Pytałem o Joannę. Jak na razie jedynym twoim zarzutem był fakt, że przyjmowała w swoim domu przyjaciela z dzieciństwa.

- On jej słał prezenciki! Ona pisała do niego listy miłosne! Byłeś ślepy!

- Nie widziałem żadnych listów.

- Ale ja tak! Kiedy zorientowała się, że ją obserwuję, zniszczyła wszystkie. Wrzuciła je w ogień na oczach własnej pokojówki. Adrianie, posłuchaj mnie. Ona dała mu kosmyk swoich włosów! Zapomniałeś, co mówiła pokojówka?

- Nie, ale chciałbym to usłyszeć znowu.

- Sam słyszałeś, dała mu kosmyk włosów! Pokojowej powiedziała, że w chwilach rozłąki ma przypominać mu o jej miłości.

- Skąd wiedziałaś, że mówiła o Garym?

- Och, na miłość boską! Jemu go podarowała!

- Kochał ją, mamó. Kochał już wtedy, kiedy byliśmy dziećmi, to jednak nie znaczy, że ją uwiódł.

- Nie musiał tego robić, Adrianie, bo to ona uwiodła jego!

- Skąd wiesz? Opowiedz mi jeszcze raz.

- Widziałam ich! Widziałam, jak sobie spacerują po lesie. Poszłam za nimi, Adrianie, i... to była schadzka! Przytąpałam ich! - Helen Delacourt podniosła się, podeszła do syna i zaczęła nerwowo krążyć za jego plecami. - Każesz mi zapomnieć o tym, że jestem damą, i opowiadać, jak leżała w jego ramionach, jak oddawała się rozpuście na moich własnych oczach? - spytała. - O tak, dość było dowodów, by skazać ją po trzykroć. W Anglii mężczyzna nie może odprawić żony bez niezbitych dowodów, a ja dałam ci ich tyle, że parlament bez wahania zatwierdził akt rozwodu. Nie masz więc prawa żądać, bym opowiadała ci to od nowa. Tego nie zrobię.

- Nie... - odparł ze zmęczeniem w głosie. Czuł pustkę. - Ale będę musiał poprosić cię, żebyś uprzedziła Benningtonów, że na razie nie mogę ich tu gościć.

- Adrianie, nie zrobiłbyś... nie możesz mi tego zrobić! Spodziewają się, że...

- ...że złożę Almerii pewną propozycję, mamó, ale ja nie mogę.

- Ależ dlaczego? Adrianie, ona jest wymarzona dla

mężczyzny z twoją pozycją! Do tego wszystkiego lord Bennington skłonny jest przymknąć oko na twój rozwód!

- Już ci mówiłem, nie ożenię się z kimś, kto nie wzbudza we mnie namiętności. I to nie ma nic wspólnego z Joanną. Nie można zmusić mężczyzny, który poznał, co to ogień, by zadowolili się górą lodu.

- Ogień?! - Usta Helen Delacourt wykrzywiły się we wzgardliwym grymasie. - Tak, Joanna Milford to był sam ogień, zupełnie tak jak Hariette Wilson. Jeśli chcesz znać moje zdanie, obie ulepione są z tej samej gliny, z tym że ta pierwsza skończyła jako dziwka, a ty z drugiej uczyniłaś księżnę!

- Kochałem ją.

- Byłeś głupcem.

- Byłem? Może i tak - mówił bardziej do siebie niż do matki. - Zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek poznam całą prawdę o tym, co się wydarzyło.

Tego już jego matka znieść nie mogła. Chwyając go kurczowo za rękaw, wykrztusiła z pasją:

- A nie znasz?! Trzeba nie lada ignorancji, by tak myśleć! Jeśli nie chcesz wierzyć rodzonej matce, przypomnij sobie, że twoja była żona wyszła za hrabiego Carew chwilę po tym, jak parlament zatwierdził akt rozwodu! To jasne jak słońce, że zalegalizowali swój grzeszny związek ze względu na jego dziecko! Ludzie mówią, że była porządnie zaokrąglona, zanim jeszcze wywiózł ją z Anglii!

- Jego dziecko? - Adrian odwrócił się do Helen z gorzkim grymasem na twarzy: - Los płata okrutne figle, matko. Ugodził mnie prosto w serce. Następcą Gary'ego jest mój syn.

- Nie!

- Widziałem tego chłopca, nawet głupiec zauważyłby, że to moja krew. - Przez pewien czas patrzyli na siebie bez słowa, po czym dodał: - Zupełnie jakbym widział własną twarz.

- Ależ, Adrianie, to niczego nie zmienia! Almeria...

- To zmienia wszystko! Mam syna, matko. A teraz wybac, ale cię opuszczę. Muszę uporządkować myśli.

Gwałtownie otworzył drzwi.

- Poczekaj, nie zamierzasz chyba zniknąć z domu! Nie teraz, kiedy ma przyjechać Almeria!

- Jest twoim gościem, nie moim! - odparował, po czym wypadł z pokoju.

Helen Delacourt opadła ciężko na fotel. Na twarzy miała udrękę.

- To już zakrawa na ironię - mruknęła cicho. Widać Joanna zdołała jakoś powołać na ten świat dziecko podobne do Adriana. Nic to jednak nie zmieniało. Było nie było, chłopak urodził się jako Sherwood.

Pokrzepiona tą myślą, Helen skoncentrowała się na przyjeździe Almerii. Pora szczerze porozmawiać z tą młodą damą. Owszem, pojawienie się Joanny w Haven skomplikuje sprawy, jednak we dwie zdołają przypomnieć tej małej parweniuszce, gdzie jej miejsce. Kilka dyskretnych uwag przy sąsiadach wystarczy, by Joanna Sherwood i tym razem przekonała się, że została wykluczona z towarzystwa raz na zawsze. Zerkając na puste miejsce nad kominkiem, Helen wyobraziła sobie na nim portret nowej księżnej, drugiej żony Adriana.

## 6

Po długiej, samotnej przejażdżce Adrian wrócił do domu. Stał na półpiętrze nad westybulem, gdy usłyszał turkot powozu zbliżającego się długim podjazdem. Benningtonowie. Ze zdławionym jękiem rzucił się ku schodom dla służby, a kiedy znalazł się na tyłach domu, wymknął się korytarzykiem, który za czasów królowej Elżbiety

prowadził do starej kuchni. Usłyszał, jak powóz zwalnia, wreszcie zatrzymuje się, potem krótką wymianę zdań między jego służącymi a stangretem lorda Benningtona. Jedno spojrzenie wystarczyło, by Adrian nabrał nieprzyjemnego przeświadczenia, iż Almeria i jej rodzice planują dłuższą wizytę; za pierwszym powozem zatrzymał się drugi, otworzyły się drzwiczki i oczom księcia ukazało się wyładowane kuframi wnętrze.

- Doprawdy nie wiem, gdzie też on się teraz podzie-  
wa - Adrian rozpoznał głos matki. - Będzie niepokieszony, że nie wita was tu ze mną. Od kilku dni mówi tylko o waszym przyjeździe.

- Zaryzykuję stwierdzenie, że to wielce zajęty człowiek - oznajmił Bennington, rozglądając się. - Zaiste piękna posiadłość.

- Cóż, przyznaję, że jestem zawiedziona - wyznała Almeria. - Można by sądzić... Upředzono go o naszym przybyciu, nieprawdaż?

- Ciii, koteczko - pouczył ją cicho ojciec. - Pokorne cieleń dwie matki ssie.

Adrian miał już serdecznie dość tego wszystkiego. Nie nęciło go towarzystwo wyniosłej Almerii ani jej rodziców. Poszedł w stronę stajni. Benningtonom dobrze zro-  
bi, jak sobie trochę poczekają, pomyślał złośliwie.

Głowa bolała go jak diabli, w jego duszy panował taki zamęt, że sama myśl o grzecznościowej rozmowie przyprawiła go o mdłości. Odetchnął głęboko i spojrzał w niebo. Słońce świeciło jasno pomimo ciemnych chmur na horyzoncie, wiatr był ciepły i wilgotny, w powietrzu pachniało deszczem. Z przyjemnością skonstatował, że zapowiada się na burzę: przejażdżka będzie miała w sobie coś dzikiego, gwałtownego. Tego właśnie mu było trzeba.

Począł, aż stajenny osiodła jego ulubionego gniadosza, i zwinnie wskoczył w siodło. Koń był niespokojny. Adrian trzymał go krótko, dopóki nie wyjechali z pado-

ku, po czym puścił wodze. Ajaks lekko przeskoczył przez płot i z wiatrem w zawody pomknął przez pole.

Pędzili wzdłuż zarośli aż do okalającego Armitage żywopłotu, gdzie teren łagodnie opadał ku rzece. Adrian ściągnął lejce i rozejrzał się; w tym właśnie miejscu Haven i Winton Abbey graniczyły z Armitage'em. Błądził wzrokiem po przeciwnym brzegu i wzruszenie ścisnęło go za serce. Był kiedyś taki czas, gdy tereny te znał równie dobrze, jak swoje własne. Dawno, dawno temu. Zanim żona zdradziła go z Garym. Patrząc na spowitą letnią mgiełką ziemię, niemal widział Joannę, idącą ku niemu znajomą ścieżką: burza jasnych włosów, cudowne oczy, tak dobrze znany promienny uśmiech. Odnalazł spojrzeniem miejsce, w którym widział ją po raz ostatni. Ale teraz panowała tu martwa cisza.

Boże, jakżeż wstrząsnął nim jej widok... Jeszcze teraz rozpierał go bezsilny gniew, wrzała w nim gorycz. Nie tak powinno było wyglądać to spotkanie, pomyślał. Nie powinien był nic czuć.

Co ten chłopiec mówi? Że przyszli obejrzyć miejsce, w którym bawiła się jako dziecko. I znowu serce ścisnęło się w nim boleśnie. To nie były tylko jej wspomnienia - dzieliła je z nim. I z Garym. Pod wpływem nagłego impulsu spiął konia i przejechał przez żywopłot i dalej, po kamienistym dnie brodu. Woda bryzgała spod końskich kopyt, gdy przejeżdżali na stronę Haven.

Dziwne, że w życiu człowieka zachodzi tyle zmian, a przyroda niemal się nie zmienia, rozmyślał Adrian, przyglądając się miejscu, które znał niegdyś jak własną kieszeń. Popatrzył na stare pniaki, które dla niego i dla Gary'ego stały się fortecą, i zamknął oczy, jakby raz jeszcze mógł usłyszeć przebrzmiałe odgłosy dziecięcych zabaw. Nie powinien był przeprawiać się na ten brzeg. To było czyste szaleństwo, do przeszłości wrócić nie można. Podjechał do polanki, zauważył świeżo zruszoną ziemię

pod starym drzewem i jakaś nieprzeparta siła kazała mu się zbliżyć do tego miejsca. Zsiadł z konia i zaczął rozgrzebywać ziemię czubkiem buta, dopóki nie natrafił na twardą krawędź jakiegoś metalowego przedmiotu i w jednej chwili zrozumiał, jakiego dokonał znaleziska. Skrzynia dziecięcych skarbów trojga młodziutkich przyjaciół. Nie zważając na kaszmirowe bryczesy, padł na kolana i zaczął gorączkowo grzebać w miękkiej ziemi.

Otworzył puszkę drżącymi dłońmi, a potem zapatrzył się na jej zawartość - tabakierę Gary'ego i własną dewizkę. Brakowało tylko medalonu Joanny. Musiała go znaleźć i zabrać. Pełen przejęcia, rozprostował pośódkły zwiitek papieru i przeczytał młodzieńcze obietnice, jakie sobie nawzajem złożyli. *Spotkać się ponownie za pięć lat. Zatańczyć z Joanną na jej debiucie. Zawsze być przyjaciółmi.*

Obracając w ręce tabakierę, zaczął bezwiednie myśleć o Garym. Jaki był z niego wspaniały kompan, żywiołowy, wiecznie roześmiany, z tym jego ironicznym, kaśliwym poczuciem humoru. Stanęła mu przed oczami jego twarz - nie chłopca, lecz blada, pełna złości twarz mężczyzny, który nazwał go skończonym głupcem. Było to gorzkie wspomnienie. Czym prędzej odłożył skrawek papieru i sięgnął po kopertę.

Ciekawostka, ale nigdy wcześniej jej nie widział. Mnąc ją w dłoni, poczuł pod palcami obły kształt. Zaintrygowany, wyjął z niej niewielki przedmiot. W chwili, w której padły nań promienie słońca, roziskrzyły się brylanty i szafiry. Pierścienek zaręczynowy Joanny. Ważył go w dłoni, wpatrując się w niego w osłupieniu. Dał za niego majątek, to pamiętał. Pamiętał również moment, w którym włożył go jej na palec.

Powróciły wspomnienia. Boże, nigdy nie zapomniał uniesienia, które ogarnęło go wtedy, gdy zgodziła się zostać jego żoną. Jego, a nie Gary'ego. „Dree” - powiedziała po prostu - „myślę, że kochałam cię całe moje życie.



Nie, ja to wiem". Szczerze współczuł Gary'emu. Biedaczysko spóźnił się z oświadczeniami o kilka minut.

Miał tylko dwadzieścia trzy lata, kiedy się pobrali, niewiele wiedział o życiu. Wiedział jednak, że pragnie jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety. Ignorował prośby rodziców, by się jeszcze zastanowił. Do dziś brzmiały mu w uszach ich słowa. „Córka zwykłego barona” - sarkał ojciec, „nieuleczalna bałamutka, która uwzięła się cię zniszczyć, chciwa awanturka” - dodawała jadownicę matka. Ale młodość kazała mu wierzyć, że z czasem przyjmą do wiadomości to, czego zmienić nie mogą. Tak się jednak nie stało. Nawet na łożu śmierci ojciec Adriana nie zaakceptował synowej. Matka była jak szpieg - najmniejszy błąd urastał do rangi grzechu śmiertelnego. „Droga Joanna pozwala, by służba zwracała się do niej per »lady Jo«, droga Joanna powinna wiedzieć, że córce barona ten tytuł nie przysługuje”. Nic jednak nie usprawiedliwiało niewierności.

Myśli te, wspomnienia z czasów, o których wołałby zapomnieć, były zbyt bolesne, by snuć je dalej. Schował pierścionek do kieszeni, resztę dziecięcych skarbów na powrót powierzył ziemi. Wprostował się, wytarł ręce o kaszmirowe bryczesy i podszedł do czekającego spokojnie konia.

Niech ją piekło pochłonie. Kto kazał jej wracać, i to z chłopcem? A właśnie, chłopiec. Urodziła mu syna, ale zataiła to przed nim. Syna, który nosi teraz nazwisko Sherwood i dziedziczy tytuł po Garym. Dla niego to dopiero musiał być cios! Jakże musiał się czuć, gdy patrzył na Justina... Tylko ślepiec nie rozpoznałby oczu Delacourtów, tych gęstych czarnych włosów. Ledwie Adrian o tym pomyślał, a już w uszach rozbrzmiał mu dziecięcy głosik: *Papa mnie najbardziej kochał!* Widać Gary okazał się lepszym człowiekiem niż on sam.

Dosiadł konia i ruszył w drogę powrotną. Zawrócił jednak w pół drogi. Nie, musi wiedzieć, musi usłyszeć

z jej ust, że Justin jest jego synem. Skierował Ajaksa w stronę Haven. Pomimo całej swojej nienawiści do Joanny, pomimo tego, że wzdrygał się na samą myśl o spotkaniu, chciał to usłyszeć z jej ust.

Zbyt pochłonięty nurtującymi go pytaniami, nie zauważył nawet, kiedy dotarł na miejsce. Z zadumy otrząsnął się dopiero na widok znajomych murów siedziby Sherwoodów. O ile pamiętał, hrabiowie i baronowie z tego rodu mieszkali tam od czasów, gdy Henryk VII Tudor, objąwszy tron po Ryszardzie III, podarował ją ich przodkowi w nagrodę za zasługi w bitwie pod Bosworth. Sherwoodowie sąsiedowali z Delacourtami od ponad trzystu lat. Choć nie dorównywali im tytułem, dodałaby jego matka. Skręciwszy w podjazd dla powozów, poczuł się prawie jak w domu, zupełnie tak, jakby miał za chwilę zobaczyć Gary'ego. Rozpoznawał nawet twarze służących, którzy zatrzymali się, by sprawdzić, kto nadjeżdża.

Jeszcze siedział na koniu, gdy stanął przed nim stary Perkins, rządcą Gary'ego. Z jego ponurej twarzy wyczytał, że nie jest mile widziany.

- Witajcie, Perkins.

- Wkracza pan na cudzy teren, milordzie - przypomniał mu zimno starszy mężczyzna. - Lepiej, żeby pan zawrócił, bo będzie problem.

- Przyjechałem zobaczyć się z lady Carew. - Nie wiedzieć dlaczego, nazwisko to z trudem przeszło mu przez gardło.

- Ona nie chce się widzieć z waszom miłościom.

- Nie wiesz, w czym rzecz. Przyjechałem zwrócić jej coś, co do niej należy.

- Lepiej będzie, jak milord zostawi to u mnie.

Tak zimne przyjęcie ze strony człowieka, który w czasach, gdy Haven było dla Adriana drugim domem, zabierał jego i Gary'ego na polowania, księżę odczuł jak policzek. Rozejrzał się i zobaczył wrogie spojrzenia otaczających go stajennych.

- Perkins...

- Książę czy nie, nie jest pan tu mile widziany, milordzie. W tej samej chwili Adrian dostrzegł wybiegające z za rogu dzieci.

- Już nic - mruknął. - Justinie! Justinie!

Starszy chłopiec zatrzymał się i obrócił na pięcie.

- Książę! To książę! - krzyknął do mniejszego, który truchtał na krótkich nóżkach w stronę Adriana. - Robin, mówiłem ci o nim!

Młodszy miał miedziane włosy zupełnie jak Gary. I takie same świetliste, jasnoniebieskie oczy.

- Justin! Justin, chodź mi tu w tej chwili! - zawołała Joanna, wyłaniając się z wnętrza domu. Obaj chłopcy zatrzymali się w pół kroku.

- Ale, mamó, to...

Nie dokończył, w mgnieniu oka bowiem znalazła się przy nich, zmierzwiła im czupryny i powiedziała ze spokojem, którego bynajmniej nie czuła:

- Idźcie do domu, panna Finchley was szuka. Nie każcie jej czekać, moje skarby.

- Ale...

- Justin! - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Och, dobra, dobra - skapitulował Justin niechętnie - ale...

- Koniec dyskusji, idź z Robinem.

Przez chwilę Adrianowi wydawało się, że chciała odezwać się do niego, ona jednak całkowicie zignorowała jego obecność i pospiesznie podażyła za synami w stronę domu.

- Poczekaj, Jo! Jo, muszę z tobą porozmawiać, ja muszę wiedzieć! - Zsiadł z konia i ruszył za nią długimi krokami.

Zatrzymała się na chwilę i wyprostowała dumnie. Nie odwracając się, odparła:

- Nie mam panu nic do powiedzenia, milordzie. Pa-dło już aż nadto słów.

Chwycił ją za rękę i obrócił twarzą do siebie.

- To mój syn, prawda, Jo?

Niemal natychmiast otoczyli ich służący z Haven.

- Niech ją wasza miłość puści, bo będziemy musieli go zastrzelić za wdarcie się na cudzom posiadłość - uprzedził Perkins rzeczowo.

- Już dobrze, Perkins. Nie trzeba będzie uciekać się do przemocy. Jestem przekonana, że milordowi się spieszy. - Wbiła w Adriana lodowate spojrzenie i potrząsnęła głową. - A odpowiedź brzmi „nie”. Od urodzenia nosi nazwisko Gary'ego i to Gary był mu ojcem.

- Justin nie jest jego synem, Jo, i każdy głupiec to widzi.

- Gary był dumny, że może uznać go za swoje dziecko. - Znacząco spojrzała na rękę Adriana, spoczywającą wciąż na jej łokciu. - A teraz, milordzie, wybaczy pan, ale nie zamierzam zaprosić go do środka.

- Niech wasza miłość ją puści - ostrzegł ponownie rządcą.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytał Adrian.

Wyrwała rękę i syknęła gniewnie:

- Ponieważ nie uwierzyłybyś w ani jedno moje słowo! Odpowiedziałam, to ci wystarcza?

- Nie!

Zmusiła się do spokoju.

- Już ci mówiłam, że nie mam nic do powiedzenia. Ani teraz, ani nigdy. Miłego dnia, milordzie. - Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do domu.

Dwóch mężczyzn usiłowało Adriana przytrzymać, on jednak wyrwał się i pobiegł za Joanną. Przyspieszyła kroku, ale dogoniła ją na schodach. Na jej twarzy malowało się rozgoryczenie. Zwróciła się w jego stronę i spytała ze złością:

- Nie dość złego już zrobiłeś? Nie masz prawa tu przychodzić! Najmniejszego prawa! I już na pewno nie masz prawa wypytywać mnie o cokolwiek! - Głos się jej załamał. - Jak śmiesz, jak śmiesz pokazywać się na ziemi Gary'ego?!

- Ja muszę się dowiedzieć, Jo! Czy to mój syn?

- Nie, mój!

- Nie muszę pytać, Jo, to widać. Nie miałaś prawa trzymać go z dała ode mnie.

Przestała unikać jego spojrzenia, wydeła usta w pogardliwym grymasie, patrząc na mężczyznę, którego niegdyś kochała ponad życie. Uśmiechnęła się drwiąco.

- Obawiam się, że mylisz się w tej kwestii - powiedziała, cedząc słowo po słowie. - Straciłeś do mnie wszelkie prawa w chwili, w której publicznie obrzuciłeś mnie błotem, kiedy splamiłeś mój honor. Jestem cudzołożnicą, jak zapewne pamiętasz, a Gary'ego, kochanego, lojalnego Gary'ego napiętnowałeś jako mojego kochanka. Szczułeś go tak długo, aż wyjechał z kraju, i tego nigdy ci nie wybaczę, Dree. Nigdy.

- To mój syn, Jo. Przyznaj.

Wciągnęła powietrze głęboko do płuc, potem wypuściła je powoli, cedząc:

- Milordzie, to Justin Anthony David Sherwood, hrabia Carew. I jestem przekonana, że gdyby Gary był tu dzisiaj, powiedziałyby, że Justin jest Sherwoodem w każdym calu. A teraz proszę mnie puścić, w domu czekają na mnie pilne sprawy.

- Mścisz się w ten sposób, tak?

- Wiesz, Gary miał rację, byłeś i jesteś cholernym głupcem, Dree. I jeśli nie zabierzesz rąk od mojej skromnej osoby, a sam nie zabierzesz się z mojej ziemi, każę cię usunąć siłą. Nie wiem, co sobie wyobrazasz, ale nie wróciłam do Anglii, żeby narażać się na szykany ani z twojej strony, ani ze strony kogokolwiek innego. Wróciłam, żeby w spokoju wychować moich synów.

- Jo, nie możesz mi tego zrobić.

- Tobie?! - Uniosła brew z niedowierzaniem. - Po tym, co ty zrobiłeś mnie? Nie, Dree, sam sobie jesteś winny. A teraz przepraszam, ale mam lepsze zajęcia.

Wyjął z kieszeni pierścionek.

- Proszę - powiedział, wciskając go jej do ręki. - Znalazłem coś, co zgubiłaś.

Nawet na niego nie spojrzała. Pierścionek wypadł jej z dłoni.

- Nie zgubiłam, pogrzebałam go z resztą wspomnień. Teraz, po raz ostatni, żegnam, milordzie - ucięła.

Tym razem puścił ją i bezradnie patrzył, jak wbiega po schodach i znika w domu. Stojący za nim Perkins szturchnął go w ramię.

- Zdaje mnie się, że milady wyraziła się dość jasno, wasza miłość, i lepiej, żeby pan siadł na konia i ruszył w drogę, bo inaczej będę musiał posłać Willa do wioski po konstabla. A nie chcem tego robić, bo to lady Carew chce tu mieć trochę spokoju, ale nie znajdzie się taki głupek, co by nie powiedział, że waszmość sam się prosił o przykrości, I jakbyście nie byli księżę, to by mnie kornico, coby wam dać posmakować mojej pięści.

- Rozłożyłbym cię - odpowiedział Adrian.

- Pewnikiem - przyznał starszy mężczyzna - ale z chęciom bym spróbował.

Joanna tymczasem wpadła do domu jak burza i zatrzymała się przy schodach. Palce zacisnęła na poręczy, przerażona i wściekła. Jak on śmie?! Jak śmie?! Nie dość ją skrzywdził sześć lat temu?

- Mamo, czemu... czemu nie mogłem pokazać go Robinowi?

Spojrzeła na starszego syna; był tak zdezorientowany, że ścisnęło się w niej serce.

- Obawiam się, że jesteś za młody, żeby zrozumieć.

- Tata nigdy by tak nie powiedział.

- Tato umarł. - Niebacznie wypowiedziała te słowa i natychmiast zapragnęła je wymazać, ale było za późno; drobne usteczka wygięły się w podkówkę. - Przepraszam, Justynie - powiedziała z trudem - ja... ja też za nim tęsknię, wiesz?

- Ale on mnie najbardziej kochał, bardziej niż Robina, niż wszystkich! - krzyknął. - Nie chciałem, żeby mnie zostawił! - Chwycił za matczyną spódnicę i wtulił w nią twarz. Ramionka zadrżały mu od niepohamowanego szlochu.

Serce Joanny ścisnęło się z żalu nad nim, nad Garym, nad samą sobą, gdy gładziła chłopca po czarnych, lekko wijących się włosach, starając się nie wybuchnąć płaczem.

- Kochanie, on nie chciał nas opuścić - wyszeptała. - Pan Bóg zabrał go do nieba.

- Ale poszedł beze mnie, mammo... Dlaczego nie mogłem pójść z nim?

- Bóg chce, żebyś dorósł. Chce, żebyś stał się mężczyzną takim jak twój tata.

- Ale ja chcę do tatusia! - wykrztusił przez łzy. - Mammo, ja chcę do niego! Bozia nie potrzebuje go tak bardzo, jak ja!

Chciała mu powiedzieć, że z czasem wszystko zrozumie, ale nie potrafiła. Sama mając dwadzieścia pięć lat nie była w stanie pojąć, dlaczego ktoś tak dobry jak Gary musiał umrzeć.

- Wiem - powiedziała tylko. Nie mogąc znieść bólu syna, delikatnie wysunęła się z jego uścisku, potem uklękła, by otrzeć chusteczką jego zapłakaną twarz. - No, mój duży chłopczyk. Musisz mi pomóc z Robinem. On też ciebie potrzebuje. - Siłąc się na uśmiech, poczyniła mu lekki wyrzut: - Widzę, że znowu udało się wam uciec przed panną Finchley.

- Myśmy nie uciekali, mammo. Mieliśmy malować drzewa, ale Robin zapomniał pędzli i miałem go pilnować, aż ona je przyniesie.

- Ach, tak. I gdzie on teraz jest?

- Chciał opowiedzieć Finch o księciu. - Chłopiec, zawstydzony tak niemęską reakcją jak płacz, wbił wzrok w swoje buty. - Ja... hm... pójdę go poszukać.

Ledwie dokończył, a na schodach pojawiła się guwernantka, prowadząc Robina.

- To tutaj jesteś, paniczu Justinie. Pani wybaczy, milady, chciałam zabrać ich na dwór, żeby pomalowali akwarelami, póki jest dobre światło, bo później może padać. Staram się nauczyć chłopców, jak dostrzec piękno świata, który ich otacza, nawet w tych szarych chmurach. Chcę, żeby wiedzieli, że gdyby nie deszcz, nie mielibyśmy co rysować. Nie byłoby kwiatów ani tych pięknych drzew.

- Nie zostało pani zatem dużo czasu. Wygląda na to, że w każdej chwili możemy spodziewać się ulewy.

- Tak. - Młoda kobieta zawahała się, po czym dodała: - Mam nadzieję, że nie uważa pani, iż zaniedbuję moje obowiązki, milady.

- Ależ skąd.

- Pomyślałam sobie, że w trakcie popołudniowej drzemki panicza Robina moglibyśmy z Justinem poćwiczyć alfabet. Doprawdy, wcale nie najgorzej mu to idzie. To wyjątkowe dzieci, każde na swój sposób.

- Dziękuję.

- Narysuję dla ciebie duże drzewo, mamó - obiecał Justin. - I ładne.

- Cieszę się.

- A może byście tak poszli przed dom znaleźć najładniejsze drzewo? Za chwilę dojdę do was z farbami i pędzlami.

- I papierem - przypomniał jej starszy.

- I papierem. - Kiedy wypadli z holu, guwernantka ponownie odwróciła się w stronę Joanny. W orzechowych oczach malowało się zatroskanie: - Przepraszam za śmiałość, milady, ale wygląda pani na niezdrową. Mam posłać po kogoś?

- Nie - westchnęła ciężko Joanna. - To tylko smutek. Troszeczkę sobie popłakaliśmy, zanim pani przyszła.

- Staram się podnosić go na duchu, pani wie...



- Tak. Tyle tylko, że obojgu nam potrzeba czasu.

Dopiero kiedy panna Finchley się oddaliła, Joanna zdała sobie sprawę z tego, że nadal drży jak w gorączce. I poczuła się strasznie samotna i zupełnie przerażona. Doświadczenie podpowiadało jej, że Adrian Delacourt potrafi być groźnym wrogiem.

## 7

- Przed tym nie uciekniesz, moja droga - tłumaczyła cierpliwie lady Anne. - Możesz zabrać chłopców z powrotem do Włoch, ale to tylko odwlecze sprawę.

- Ale, mamó, Adrian był tutaj! Pytał o Justina, nie, żądał żebym mu o nim powiedziała!

Hrabina zerknęła ukradkiem na służące sortujące ubrania przed wyjazdem i pokręciła głową. Chociaż nigdy nie zaprzeczała temu, że uderzające podobieństwo Justina do Adriana stanie się przedmiotem komentarzy, szczerze wierzyła, że gdy tylko Joanna zdąży się w Haven zadomowić, kwestia ta przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jednakże niefortunne pojawienie się Adriana Delacourta w okolicy było całkowitym zaskoczeniem, a moment jego przypadkowego spotkania z Justinem nie mógłby być gorzej wybrany. Jego złowróżbna wizyta w Haven wyprowadziła z równowagi zwykle nieustraszoną Joannę.

- No dobrze, czyli już wie - ustąpiła Anne. - Ale z pewnością zachowa zdrowy rozsądek.

- Rozsądek?! - spytała Joanna piskliwie. - Zachowa rozsądek? Mamó, on już dawno go stracił! Przyjechał tu i wręcz wykrzyczał swoje w obecności pana Perkinsa i całej reszty! Jutro będzie huczało od plotek!

- Cóż, całe to zajście stawia cię w lepszym świetle niż

jego - perorowała starsza kobieta. - Może to nawet i lepiej, że sprawa wyszła na światło dzienne, niż gdyby miała ci dalej wisieć nad głową jak...

- Jak miecz Damoklesa? - podpowiedziała Joanna. - Owszem. Z tym że nie tylko nad moją głową, ale i nad głowami moich synów. Co sobie pomyśli Justin, kiedy się dowie? - pytała, chodząc w tę i z powrotem. - Kochał Gary'ego.

- A Gary kochał Justina - stwierdziła Anne spokojnie. - Moja kochana, Justin jest zbyt mały, żeby cokolwiek z tego zrozumieć. Zresztą szczerze wątpię, żeby Roxbury rozmawiał na ten temat z dzieckiem.

- Adrian jest zdolny do wszystkiego. Moje ewentualne wątpliwości rozwiały się w chwili, w której otrzymałam wezwanie do sądu - powiedziała Joanna z goryczą. - Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy go tu dziś zobaczyłam. Z chęcią posłałabym pana Perkinsa po konstabla, ale wtedy plotki rozeszłyby się jeszcze szybciej. Chciałabym zobaczyć minę Adriana, kiedy zostałby aresztowany za wkroczenie na cudzy teren.

- Kochana, całkiem niepotrzebnie się denerwujesz - mruknęła Anne pojednawczo. - Zastanówmy się nad tym na spokojnie. Zatem on wie, i możliwe, że z czasem dowiedzą się wszyscy, ale cóż to w końcu zmienia? Są tak do siebie podobni, że było to nieuniknione i obie o tym wiedziałyśmy.

- Miał być w Londynie! Dałam się przekonać, że nie zakłóci mi spokoju, tymczasem już pierwszego dnia, kiedy wzięłam Justina na spacer, pcha mi się przed oczy, arogancki jak zawsze!

- Ale cóż on może takiego wskórać w tej sprawie? Choćby nie wiem do kogo Justin był podobny, w glorii prawa pozostaje Sherwoodem. Zaś co do szerzenia się plotek, jestem pewna, że gdy tylko Adrian się opamięta, zrozumie, że może jedynie narazić się na śmieszność. Nie, duma każe mu powściągnąć język.

- Duma doprowadziła go do rozwodu.

- Och, ale był wtedy bardzo młody. Nie. Jeśli narobi hałasu, wyjdzie na skończonego durnia, a tobie ludzie będą współczuć.

- Nie chcę współczucia. Po prostu chcę, żeby mnie zostawili w spokoju. Nie powinnam była wyjeżdżać z Capri, mamó.

- Justin był tam nieszczęśliwy.

- Nie powiesz chyba, że tutaj czuje się lepiej - odpierała Joanna ze znużeniem w głosie. - Przeciwnie, tęskni za Garym o wiele bardziej niż przed naszym powrotem do domu. A jeśli Adrian uprze się, żeby mały o wszystkim się dowiedział, będzie się czuł jeszcze bardziej zagubiony.

- Uważam, że kiedy Roxbury się zastanowi... Cóż, będzie to dziwnie wyglądało, skoro oskarżył cię o cudzołóstwo z moim synem w momencie, kiedy nosiłaś jego dziecko.

- O niczym nie wiedział. Gary chciał, żebym mu powiedziała, ale nie mogłam. A zresztą, nawet gdybym mogła wrócić do Adriana, nie zrobiłabym tego po tym, jak uwierzył w te wszystkie bzdury o mnie. Myślę, że później, kiedy Gary usłyszał oskarżenia odczytane w obecności biskupa, w końcu zrozumiał, dlaczego nie chciałam, żeby Adrian poznał prawdę.

- Wiem - rzekła Anne, podchodząc do Joanny i kładąc jej rękę na ramieniu w geście pocieszenia. - Nie myśl, że kiedykolwiek obwinałam cię za to, co się stało, moja kochana. Kiedy Gary powziął decyzję, wiedziałam, że nie ma odwrotu. Wiedziałam też, że jest z tobą bardzo szczęśliwy, że kocha chłopca, i to mi wystarczało. Doprawdy, byłam dumna z tego, że okazał się człowiekiem honoru.

Łzy napłynęły Joannie do oczu. Otarła je, mówiąc przepraszająco:

- Nawet nie zauważyłam, kiedy zrobiła się ze mnie ta-

ka płaczka. Ale życie jest takie niesprawiedliwe, mamó. Zupełnie jakby Bóg karał mnie za coś, czego przenigdy bym nie uczyniła.

- Nie wolno ci tak mówić, kochanie. Gary...

- Gary nie żyje! - Twarz jej wykrzywiła się żałością. - Umarł, a sama sobie nie poradzę!

Palce Anne Sherwood mocniej zacisnęły się na ramieniu synowej. Potrząsnęła nią lekko i oznajmiła z mocą:

- Potrafisz i poradzisz sobie! Jesteś o wiele twardsza, niż ci się zdaje. Podniesiesz głowę do góry i stawisz czoło całemu światu, dla swoich synów!

- Nie mogę!

- Joanno, weź się w garść! Czas zagoi rany, wyjdiesz ponownie za mąż, jestem tego pewna. Przekonasz się.

- Nigdy! - Joanna usiłowała odzyskać panowanie nad sobą, ale udało się jej jedynie zamaskować szloch napadem czkawki. Wytarła nos i pokręciła głową. - Nawet bym tego nie chciała, utrata kogoś bliskiego jest zbyt bolesna.

- Nie chcesz chyba wychowywać dwóch chłopców w domu pełnym kobiet, prawda? - spytała rozsądnie Anne. Joanna nie odpowiedziała, Anne kontynuowała delikatnie: - Jo, jesteś Angielką, twoi synowie są Anglikami. Stara kobieta z głębi swojego serca prosi cię, nie zabieraj synów z kraju, w którym urodził się ich ojciec. Nie pozwól Adrianowi i ich skazać na wygnanie.

- Ludzie będą stronić od chłopców tylko dlatego, że jestem ich matką - odparła Joanna z goryczą.

- Nie wierzę w to. Kiedy zobaczą, jak bardzo Justin jest podobny do Adriana, zrozumieją, że jesteś niewinną ofiarą zazdrości Roxbury'ego.

- Jego matki, chciałaś powiedzieć. Choćbym nie wiem jak starała się ją zadowolić, i tak mnie nienawidziła. Myślę, że zniszczyłaby Adriana, byle tylko pozbyć się niegodnej go żony.

- I prawie się to jej udało. - Czując słabnący opór sy-

nowej, Anne parła dalej: - Proszę cię, moja kochana, przenigdy nie chciałabym, żebyś znowu cierpiała, ale chociaż spróbuj wyjść z domu. W czym to może zaszkodzić, pytam? Jeśli okaże się, że sytuacja jest rzeczywiście beznadziejna, wrócę razem z tobą do Włoch.

- Naprawdę?

- Mam tylko ciebie i chłopców na tym świecie, i tylko was kocham.

- A ty znaczysz dla mnie więcej niż rodzona matka.

- Nie pozwól Roxbury'emu znowu wygnać cię z kraju. - Z wielką powagą spojrzała synowej prosto w oczy.

- Nie daj Helen wygrać i tym razem. Wyjdź do ludzi i noś głowę wysoko dla dobra Justina.

O niełatwą rzecz prosiła Joannę matka Gary'ego, jednak słowa teściowej poruszyły jej ambicję. Uciekając spojrzeniem, odetchnęła głęboko, po czym odpowiedziała:

- Zgoda. Nie jestem chyba na tyle słaba, by bać się byle afrontu. Ale jakkolwiek bym się zachowywała, wątpię, czy będę gdziekolwiek zapraszana.

- Świetnie. Pierwszym naszym krokiem będzie niedzielna wyprawa do kościoła. I chciałabym, żeby Justin siedział obok mnie, zamierzam bowiem pokazać, że w równym stopniu jest moim wnukiem jak Robin.

Przerwało im dyskretne pukanie do drzwi. Anne skinęła na pokojówkę, która szybko je otworzyła. Lokaj o imieniu James przeprosił za najście i wręczył jej elegancką kartę wizytową.

- Pewien dżentelmen chciałby się z panią zobaczyć. Czeka na dole - zwrócił się do Joanny. - Powiedziałem mu, że nie sądzę, by przyjmowała pani gości, ale nalegał, żebym zapytał.

Joanna wzięła wizytówkę i obróciła ją. Napis na niej głosił: „J. T. E. Barrasford”.

- A któż to taki, moja kochana? - spytała Anne z ciekawością, zaglądając synowej przez ramię.

- Poluje z Adrianem, poznaliśmy się przy brodzie, kiedy szukałam Justina. - Joanna wpatrywała się w kartę ze zdumieniem, myśląc głośno: - Pewnie przyszedł zapytać o zdrowie Justina. Pomagał przecież w poszukiwaniach.

Anne popatrzyła tylko na śliczną twarz synowej, jej smukłą sylwetkę, i nie była tego taka pewna.

- Zatem musisz się z nim koniecznie zobaczyć. Ester, przynieś zimny kompres, zrobimy lady Joannie okład na oczy. A ty, Kate, zostaw na wierzchu tę szarą jedwabną suknię.

- Mamo, jest zbyt strojna jak na noszenie po domu - zaoponowała Joanna. - Ta brązowa, którą mam na sobie, jest odpowiednia.

- Nonsens - zbyła ją żywo hrabina. - Dla kobiety w żałobie uroda wzoru i tkaniny musi nadrabiać brak koloru. Poza tym brąz jest nietwarzowy. Powiem szczerze, czekam chwili, w której zrzucimy te wdowie kolory. Jeszcze tylko tydzień. Za dużo ponuractwa w tym domu.

- Mamo?!

- Cóż, to święta prawda - oznajmiła Anne ze zdecydowaniem w głosie. - No, ale spiesz się. James, poinformuj lorda Barrasforda, że pani za chwilę do niego zejdzie.

Gdyby Joanna nie była tak przygnębiona, zespołowe wysiłki Anne i pokojówek, by godnie się zaprezentowała, z pewnością by ją rozbawiły. Została przyodziana w szarą suknię, włosy jej wyszczotkowano i upięto gładko na czubku głowy, tak że jedynie kilka delikatnych pasemek przy twarzy łagodziło surowość fryzury, policzki otarto chusteczką zwilżoną wodą lawendową, by ukryć ślady łez, a wszystko to w przeciągu kwadransa.

- Mógłby zostać na obiedzie - zasugerowała Anne, gdy Kate czekała już przy otwartych drzwiach.

- Żeby pomyślał sobie, że jestem taka szybka, jak głosi moja szokująca reputacja? - spytała Joanna, unosząc brew. - Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

John Barrasford odwrócił się, gdy weszła do błękitnego salonu, i wręcz zaparło mu dech w piersi. Od chwili, w której ujrzał ją pierwszy raz, powtarzał sobie, że nie może być tak piękna, jaką ją zapamiętał, a oto stała teraz przed nim w pełnej krasie. Niezdolny odezwać się słowem, chłonał wzrokiem doskonałość jej drobnych rysów, figurę o waziutkiej talii. Gdy spojrzeniem wrócił na jej twarz, w błękitnych oczach malowało się nieme pytanie. Była smutna, a smutek przy jej urodzie wydawał się mu nie na miejscu. Z pewnym wysiłkiem odzyskał panowanie nad sobą i zdołał podejść, żeby się przywitać.

- Lady Carew. Wybacz, pani, najście pomimo tak krótkiej znajomości, chciałbym jednak zapytać o zdrowie chłopca.

Kąciki jej ust uniosły się w lekkim uśmiechu, który nie zagościł jednak w pięknych oczach.

- Jeśli nie liczyć dziesięciu uderzeń różgą, sir, z przygody wyszedł bez szwanku. - Gestem wskazała niską sofę stojącą naprzeciw pustego kominka. - Zechce pan spożyć? Zadzwoń na służbę. Napije się pan herbaty?

- O niczym innym nie marzę - odparł, śląc jej ujmujący uśmiech. - Jazda w słońcu wysuszyła mnie na wiór.

- A tak, gorący mamy dzień, nieprawdaż? Może lemoniada byłaby lepsza.

- Dość larwo mnie zadowolić, lady Carew. Z chęcią napiję się tego, co pani.

Czuła się skrępowana w obecności tego przystojnego nieznanego, niepewna, czy aby nie przyszedł po to, żeby z bliska przyjrzeć się zniesławionej kobiecie. Obawa ta rozwiązała się pod wpływem jego następnej wypowiedzi.

- Prawdę mówiąc, lady Carew, przyszedłem tu dlatego, że od niedawna bawię w tych stronach i nie znam właściwie nikogo oprócz Roxbury'ego. Lady Sheffield wydaje skromne przyjęcie, by przedstawić mnie znajomym... - urwał, zauroczony jej szarą suknią, po czym od-

ważył się na tyle, by spytać otwarcie: - Czy wciąż jest pani w żałobie po lordzie Carew, milady?

- W przyszłym tygodniu minie rok od jego śmierci - odpowiedziała ze spokojem.

- Och... - Chrząknął, zmieszany; mimo swoich trzydziestu trzech lat i obycia w towarzystwie czuł się przy Joannie jak sztubak. Dokończył jednak mężnie: - Zatem w przyszłym tygodniu nie będzie już pani w żałobie, prawda?

- Prawda - odparła, mierząc go pełnym zaciekawienia wzrokiem.

- Cóż, to jest, chciałem zapytać, czy mogę liczyć na to, że zobaczę panią u Sheffieldów?

- Przykro mi, ale nie jestem zaproszona.

- Szepnę słówko pani Sheffield, żeby przesłała pani zaproszenie, lady Carew. Z pewnością nie poinformowano jej o pani przyjeździe. Ja też o nim nie wiedziałem. Byłbym szczęśliwy, gdyby zechciała mi pani towarzyszyć.

Joanna wstrzymała oddech i na moment odwróciła się, szukając właściwych słów.

- Mam nadzieję, że nie posądzi mnie pan o niedzięczność, ale nie chcę nadużywać pańskiej dobroci - rzekła po chwili. - Najwyraźniej nie słyszał pan o mnie, jestem bowiem pewna, że w przeciwnym wypadku nie przyszedłby pan tutaj.

- Przepraszam, nie rozumiem?

- Milordzie, myślę, że najlepiej będzie, jeśli powiem bez ogródek. - Patrzyła mu prosto w twarz, zastanawiając się, czy cofnie się z odrazą, gdy dowie się o jej skandalicznej przeszłości. Był z niego przystojny, postawny mężczyzna, a jego oczy, choć szare, a nie orzechowe, przywodziły jej na myśl oczy Garetha. - A wtedy *może* się okazać, że stracił pan chęć na lemoniadę. - Wzięła głębokimi wdech, po czym wyznała otwarcie: - Moim pierwszym mężem był Adrian Delacourt. - W ciepłych oczach rozmówcy dostrzegła zaskoczenie i odwróciła wzrok, by



dać mu czas na oswojenie się z tą szokującą nowiną. Na-  
stała cisza, którą Joanna przerwała po chwili, dodając  
z wysiłkiem: - Rozwiedliśmy się sześć lat temu.

- Rozumiem - odpowiedział w końcu. - Naturalnie,  
to tłumaczy wygląd dziecka.

- Oskarżono mnie o cudzołóstwo - wyznała cicho, nie  
oszczędzając sobie niczego.

- Dobry Boże...

- Jeśli nie chce pan zostać na lemoniadę, zrozumiem to.

- A potem wyszła pani za hrabiego Carew - myślał gło-  
śno.

Na twarzy gospodyni malował się wyraz goryczy.

- Lord Carew był moim przyjacielem z dzieciństwa, naj-  
droższym przyjacielem. Stał po mojej stronie i poślubił  
mnie, gdy tylko dowiedzieliśmy się o tym, że parlament za-  
twierdził akt rozwodu, o który ubiegał się Adrian. Wyje-  
chaliśmy do Wioch, ściślej mówiąc, na Capri. Mieszkali-  
śmy tam we względnym spokoju mimo szalejącej wokół  
nas wojny. Zeszłego lata Gary wypłynął na morze z jed-  
nym z miejscowych rybaków. Rozpętał się sztorm i nie  
zdołali wrócić. Dwa dni później morze wyrzuciło jego cia-  
ło w zatoce. - Wspomnienie tragedii nie pozwoliło jej mó-  
wić dalej. Po chwili bolesnego milczenia dokończyła cicho:  
- Przywieźliśmy ciało mojego męża do Haven. Kilka tygo-  
dni temu złożyliśmy je w kaplicy.

- Lady Carew, proszę przyjąć moje kondolencje - po-  
wiedział łagodnie Barrasford.

- Dziękuję panu - jej głos zmienił się niemal w szept. -  
Justin wierzy, że Gary był jego ojcem. Bardzo go kochał...  
Nigdy nie podejrzewałam, że Adrian tak szybko zobaczy  
mojego syna. Mówiono mi, że nie przyjeżdża już do Ar-  
mitage'u.

- O ile wiem, szykuje się na przyjęcie... - urwał nagle,  
w ostatniej chwili ratując się przed popełnieniem gafy. -  
Hm... po co powtarzać cczą gadaninę, prawda?

- Prawda. Nie obchodzi mnie, dlaczego się tu pojawił. Żałuję tylko, że zobaczył Justina. Że nie zostaliśmy we Włoszech - powiedziała ze smutkiem, po czym dodała z cieniem buntu: - A zatem, milordzie, jeśli nie życzy pan sobie pogłębiać znajomości z kobietą o mojej reputacji, zrozumiałem to doskonale. Było nie było, nie odzywa się do mnie własny ojciec, dlaczego pan miałby zachować się inaczej?

- Nic nie odwiedzie mnie od zamiaru wypicia z tobą, pani, lemoniady - oświadczył z uśmiechem. - Miła pani, swego czasu znałem niejedną kobietę lekkich obyczajów i mogę szczerze powiedzieć, że nie mam pani za jedną z nich. Przeciwnie, znajomość z panią będzie dla mnie zaszczytem, będę też dumny, mogąc pokazać się z panią w towarzystwie. - Chwytał jej ręce w swoje i spojrzał prosto w modre oczy. - Mam tylko jedno pytanie: gdyby udało mi się pozyskać zaproszenie dla pani na przyjęcie u lady Sheffield, czy rozważyłaby je pani?

Przed chwilą powiedziała mu, że jest rozwódką, i trudno jej było uwierzyć, że nie miało to dla niego znaczenia. Kiedy jednak podniosła oczy, na twarzy Barrasforda malowała się sama życzliwość.

- Nie wiem - odparła słabo. - To dość nagłe...

- Jeżeli nie ma pani poważnych obiekcji, lady Carew, zamierzam zabiegać o znajomość z panią - zapewnił. Uśmiech jego stawał się coraz mniej promienny, po czym gość dodał zupełnie już poważnie: - Niech mi pani tylko da szansę zdobyć jej przyjaźń.

- Jestem przekonana, że lady Sheffield wolałaby zaprosić żmiję.

- I stracić możliwość przedstawienia w sąsiedztwie dobrej partii w mojej skromnej osobie? - odparował żartobliwie. Świadom, iż jego namowy mogą wydać się nazbyt natarczywe, posłał Joannie figlarny uśmiech. - Nie musi pani odpowiadać teraz, milady.

- Tak, hm, najpierw musiałabym dostać zaproszenie,

prawda? - mruknęła. Przemknęło jej przez myśl, że Johnny przypomina jej Gary'ego Sherwooda. Jak Gary, jest pełen życzliwości.

## 8

Powóz turkotał po wyboistej wiejskiej drodze, Joanna siedziała wsparta plecami o miękką poduszkę i zamknęła oczy, starając się nie okazywać paniki. Musiało chyba z niej być najbardziej naiwne stworzenie na ziemi, skoro pozwoliła, by lord Barrasford podsunął jej równie niedorzeczny pomysł. Czuła się zupełnie tak, jak gdyby matka Gary'ego i Barrasford spiskowali przeciwko niej: on, zdobywając zaproszenie, Anne, upierając się, że bywanie w towarzystwie dobrze jej zrobi. Na szczęście miała do dyspozycji własny powóz i gdyby sytuacja stała się nieprzyjemna, będzie mogła wymknąć się niepostrzeżenie.

- Głowa do góry, moje dziecko - powiedziała półgłosem hrabina. - To dla ciebie nowy początek.

- Albo kolejny rozdział starego koszmaru - mruknęła w odpowiedzi Joanna. - Nie wiem, co mnie opętało, że przyjąłam zaproszenie.

- Jesteś zbyt młoda, żeby zamykać się w czterech ścianach, kochanie.

- Być może, ale czuję się jak stuletnia staruszka.

- Nonsens! Świetnie dziś wyglądasz.

Na tym rozmowa urwała się i żadna z kobiet nie odezwała się, dopóki powóz nie zajechał pod rezydencję Sheffieldów i zatrzymał się przed gankiem. Stangret zeskoczył na ziemię, żeby otworzyć drzwiczki, a Anne szepnęła jeszcze do synowej:

- Pamiętaj, że dostałaś zaproszenie jak każdy z gości.

- Tylko dzięki uprzejmości lorda Barrasforda. Boże Ty mój, ciekawe, co pomyślała Annabelle, kiedy ją o nie poprosił, nie sądzisz? - Wysiadła, wspierając się na ramieniu służącego, wilgotnymi ze zdenerwowania rękami wygładziła lekko pomiętą wskutek podróży błękitną suknię. Poza tym jednym gestem nic nie zdradzało jej niepokoju.

Ludzie oglądali się za nią, gdy niemal bezszelestnie w sandałach z koźlej skóry podążała za teściową po schodach, i niejeden młody mężczyzna szepnął: „Kim jest ta płowowłosa piękność?” Joanna wolała nie słyszeć odpowiedzi.

Choć dziewiąta dawno już minęła, wieczór był dość ciepły, w domu zaś wręcz duszno. Joanna pojawiła się w sali balowej dokładnie w chwili, gdy służący otwierali przeszklone drzwi do ogrodu, żeby zrobić lekki przeciąg. Powietrze, które wpadło do środka, było ciężkie od zapachu róż, ulubionych kwiatów lady Sheffield, i Joanna zatrzymała się w pół kroku, oniemiała. Takiego właśnie wieczoru odbył się jej londyński debiut.

- Jakże się cieszę, że przyszedłaś, moja droga - mruknęła półgębkiem gospodyni, pochylając się ku Anne Sherwood, by cmoknąć ją w lekko upudrowany policzek. -- Minęło już tyle czasu, że przestaliśmy żywić nadzieję na twój powrót.

- We Włoszech jest naprawdę prześlicznie - odparła Anne - ale nie ma jak w domu. - Wskazując Joannę delikatnym skinieniem głowy, dodała: - Pamiętasz zapewne moją synową.

Przez ułamek sekundy Joanna bała się, że zemdleje. Ku jej wielkiej uldze Annabelle Sheffield ograniczyła się do potakującego skinienia, po czym podała jej rękę.

- Lady Carew... - Ton jej głosu wydawał się zupełnie neutralny.

- A jednak przyszłaś, pani - usłyszała za sobą szept; niski głos wydał się jej znajomy. - Teraz jestem pewny, że wieczór będzie udany.

Obróciła się i niemal zderzyła z lordem Barrasfordem. W jego oczach malowało się zainteresowanie, którego naturę rozpoznała natychmiast. W odróżnieniu jednak od wielu innych mężczyzn John Barrasford patrzył na nią z niekłamana życzliwością. Jego zachowanie podczas kilku porannych wizyt, które zdążył złożyć jej od czasu pierwszej szczerzej rozmowy, było wręcz nienaganne.

- Dziękuję, milordzie - odpowiedziała półgłosem z wyraźną wdzięcznością.

- Straszny tu ścisk, nie sądzisz, pani? A może poszukamy spokojniejszego miejsca, spocznesz i napijesz się czegoś. Z radością przyniosę obu paniom lemoniady. - Uśmiechnął się ujmująco. Ogarnął spojrzeniem kibić Joanny i uznanie zabłysło w jego szarych oczach; w wąskiej, niebieskiej sukni z jedwabiu o niewielkim dekolcie i podwyższonym stanie wyglądała jak marzenie. Strój był prosty, wręcz surowy, i w tej surowości zachwycający.

- Moja droga, twoja uroda przydaje blasku tej sukni - powiedział miękko. - A aż nazbyt często rzecz miewa się odwrotnie.

- Pochlebca z pana, milordzie - odparła z uśmiechem rozbawienia. Zawahała się, gdy Barrasford podał jej ramię. - Jesteś pan pewny, że życzysz sobie tak publicznie afiszować się znajomością ze mną?

- Będę przedmiotem zawiści każdego z obecnych tu mężczyzn - odpowiedział szarmancko.

- Nie daj się prosić, kochanie - zniecierpliwiła się Anne. - Widzę Margaret Thayer, a nie rozmawiałyśmy od wieków.

Joanna nie zdążyła zaprotestować; jej dłoń spoczęła w zgięciu ręki Barrasforda i zmierzali już w spokojniejsze miejsce.

- Miałyby mi pani bardzo za złe, gdybym pozwolił sobie zwracać się do niej po imieniu? - odważył się spytać. - Łatwo o nieporozumienie, gdy wśród gości znajdują się dwie lady Carew.

- Lordzie Barrasford...

Dostrzegł w jej oczach zmieszanie i zrozumiał, że zbyt szybko się pospieszył.

- Dobrze więc, pozostajmy przy lady Carew.

- Nie, nie trzeba, milordzie - poddała się wreszcie.

- John albo lepiej Johnny. Tak mówią do mnie przyjaciele.

Jak na umówiony znak przyłączył się do nich młody mężczyzna.

- Johnny, przedstaw mnie, proszę, swojej jasnowłosej bogini. Nieładnie z twojej strony, że próbujesz taką perłę zachować tylko dla siebie, kolego.

Barrasford zatrzymał się, patrząc na niego niezbyt życzliwie.

- Symington, jeśli się nie mylę? Świetnie, lady Carew, pozwoli pani, oto Charles Symington. Charlesie, ta piękna pani to Joanna, młoda hrabina Carew.

W nastawieniu mężczyzny zaszła widoczna zmiana. Nagle ośmielony, przyglądał się jej z nową uwagą. Joanna mierzyła go chłodnym spojrzeniem, starając się nie okazać rozdrażnienia. Ukłoniła się powściągliwie.

- Nie wiedziałem, że wróciłaś... - zaczął, ale nie zdążył zdania dokończyć. Przez tłum przepchnęła się chuda kobieta o zapadniętych policzkach i kurczowo chwyciła go za rękaw.

- Charlesie! - syknęła gniewnie. Nie zaszczycając Joanny uwagą, zwróciła się do Symingtona: - Przyjechała pani Corville z córkami. Zapewniłam ją, że dotrzymasz im towarzystwa, jeśli wiesz, co mam na myśli. Panna Emily jest chrześnicą lorda Wemble'a, a on przecież jest kawalerem... - urwała znacząco, po czym odezwała się, patrząc na towarzysza Joanny: - Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, lordzie Barrasford, ale z pewnością rozumie pan troskę matki o jedyne dziecko. - Nie czekając na odpowiedź, zdecydowanie odciągnęła Symingtona od Joanny.

- Ambitna mamusia - zauważył Barrasford.

- Domyślam się - westchnęła Joanna. - Obawiam się, że byłeś świadkiem pierwszego afrontu, który spotkał mnie dzisiejszego wieczoru.

- To nieciekawa rodzina, nie ma czego żałować - podsumował, po czym nagle zmienił temat: - Powiedz mi, moja droga, umiesz tańczyć walca?

- Tak, ale nie wydaje mi się... to znaczy, od dawna nigdzie nie bywałam i nie wiem, czy to najlepszy pomysł.

- Nonsens. Najlepiej od razu rzucić się w paszczę lwa - poradził. - Inaczej te stare plotkary pomyślą sobie, że zawsze będziesz przed nimi uciekać. Poza tym spodziewam się zatańczyć z tobą przynajmniej dwa razy, naturalnie jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Z drugiego końca pokoju matki panien na wydaniu przyglądały się z żalem i zazdrością, jak lord Barrasford znajduje dla Joanny wygodne miejsce i zabawia ją najwyraźniej przyjacielską rozmową. Z jego niedawnym przybyciem wiązały wiele nadziei - zwłaszcza kiedy przekonały się, że jest nie tylko niezwykle przystojny, ale też, jak głosiła plotka, jego roczny dochód sięgał niemal dwudziestu tysięcy rocznie. Nie był tak majątny jak Roxbury, rzecz jasna, ale, jak powszechnie mniemano, miał zadatki na lepszego męża, nie mówiąc już o pogłoskach, jakoby księżę zamierzał niebawem oświadczyć się o niezrównaną pannę Bennington. To wszystko czyniło z lorda Barrasforda ze wszech miar pożądaną partię. Barrasford tymczasem siedział oto w towarzystwie kobiety, której dowiedziona niemoralność przekreślała wszelkie szanse na korzystny mariaż.

Wymowne spojrzenia rzucane w stronę Johnny'ego bynajmniej nie uszły jego uwagi. Wszędzie to samo, myślał z niesmakiem. Czy to Londyn, czy zabita deskami prowincja; dostojne matrony wręcz wychodziły ze skóry, uparcie krążyły wokół niego jak sępy, czyhajac na

sposobność powiększenia majątku córek. Kiedyś to go bawiło, teraz szczerze tego nie znośli.

- Sądziłam, że droga lady Sheffield ma więcej klasy, nie zgodzisz się ze mną? - rzuciła pani Chatsworth kąśliwie. - Nie przypuszcza chyba, że chcemy odnowić tę znajomość.

- Śmiem twierdzić, że Anne Sherwood przyłożyła do tego rękę - odparła jej towarzyszka. - Nigdy się na Joannie Milford nie poznała, na tej podłej awanturnicy bez serca, która uparła się zniszczyć biednego Garetha.

- Cóż, ja chociażby zamierzam ją ignorować. Zauważyłam też, że Lavinia Symington zdążyła już utrzczyć jej nosa.

- Sama nie wiem. Było nie było, Anne jest taka dobroduszna, może lepiej nie robić jej afrontu.

- Phi! Powiadam, pora, żebyśmy stanęli ramię w ramię i dali jasno do zrozumienia, że drzwi do cywilizowanego towarzystwa są przed Joanną Milford zamknięte. Jeżeli nie zareagujemy, zrobi się jej wszędzie pełno i będzie się za nią uganiał każdy mężczyzna w hrabstwie.

- Cóż - wtrąciła półgłosem Ancilla Carleton, przyłączając się do obu kobiet. - Ciekawe, co się będzie zaraz działo. Jeśli się nie mylę, właśnie wchodzi Roxbury z niejaką panną Bennington, która, jak słyszałam, bawi właśnie w Armitage'u, a wszyscy wiemy, co to oznacza. A oto i lady Helen, a zaraz za nią Benningtonowie.

- Panna Bennington? - W jednej chwili pani Chatsworth przestała myśleć o Joannie. Zezując ku wejściu, przy którym zatrzymali się nowo przybyli, by przywitać się z gospodynią, pokiwała głową i szepnęła konfidencjonalnie: - Podobno Annabelle słyszała od samej księżnej wdowy, że Roxbury zamierza się jej oświadczyć. Szkoda, że musiał jechać aż do Londynu, żeby znaleźć nową żonę, ale muszę przyznać, że to wyjątkowa dziewczyna.

- Niezrównana, jak słyszałam, choć może nazbyt wyniosła, jeśli wierzyć mojemu drogiemu Bevisowi. Kiedy napo-



mknęłam, że Roxbury się nią interesuje, powiedział, że nigdy nie pojmie, dlaczego księżę miałby poślubić taki sopel lodu, skoro względy majątkowe nie wchodzą w rachubę.

Panna Almeria Bennington, której osoba budziła tyle emocji, gestem prawowitej właścicielki oparła dłoń na ramieniu prowadzącego ją w głąb sali księcia; szli śledzeni pełnymi ciekawości spojrzeniami. Wybranka Roxbury'ego była być może nieco zbyt wysoka, ale za to nosiła się jak królowa. Miała na sobie muślinową suknię o prostym kroju, który podkreślał jej smukłą sylwetkę, niemal czarne włosy upięte na czubku głowy w koronę i przyozdobione pączkami róż tej samej barwy co suknia. Pojedynczy sznur idealnie dobranych pereł otaczał jej łabędzią szyję. I w każdym jej poruszeniu, w każdym geście wyczuwało się pewność siebie osoby, która zna swoją wartość. Kobieta, z jaką Roxbury powinien być się ożenić, myślała pani Chatsworth. Absolutne przeciwieństwo Joanny Milford.

Ancilli Carleton udało się jako pierwszej otrząsnąć z wrażenia, jakie wywarło na wszystkich pojawienie się takich znakomitości.

- Sama ta suknia musiała kosztować ze sto funtów - wykrztusiła słabo.

- Och, wątpię, czy tylko tyle. Słyszałam, że lord Bennington nie szczędzi wydatków, gdy idzie o córkę. Podobno połowę jej garderoby uszyła osobiście Madame Cecylia. Chociaż i tak jestem zdania, że to nie suknia wzbudzi powszechny podziw - oznajmiła pani Chatsworth ponuro. - Moja droga Charlotte jest wyjątkowo uroczym dziewczęciem, ale nie sądzę, żeby ją dziś ktośkolwiek zauważył. Najpierw ta rozpustnica Carew, a teraz panna Bennington. Słowo daję, serce mi pęka na myśl o naszych dziewczętach.

- Cóż, ja chociażby nie posiadam się z oburzenia - zagrzmiała lady Carleton. - Moja Emilka jest wielce zawie-

dziona. Liczyła na to, że pozna lorda Barrasforda, on tymczasem nie odrywa oczu od byłej żony Roxbury'ego.

Pani Symington, która pragnęła wyswatać z Emilią własnego syna, zasznurowała usta w wyrazie dezaprobaty.

- Oboje są z tej samej gliny, jeśli chcecie znać moje zdanie. Annabelle Sheffield zaplanowała to wszystko dla własnej rozrywki, nie myśląc o wpływie, jaki wywrze to na naszych młodych. Nasze dziewczęta pójdą w odstawkę, a młodzi mężczyźni zrobią z siebie durniów.

Lord Barrasford przyglądał się Joannie, ciekaw, jakie wrażenie wywarło na niej pojawienie się Adriana Delacourta. Poza tym, że wyprostowała się lekko, a usta jej pobladły, wydawała się spokojna. Odwróciła się do Johnny'ego z uśmiechem, który miał pokazać światu, że księżkę Roxbury 'więcej jej nie zrani.

- A jednak napiłabym się czegoś, milordzie.

- Ponczu czy lemoniady? - spytał natychmiast.

- Może lemoniady...

Poprawiła się na krześle. Bawiła się pięknym orientальnym wachlarzem, czekając na powrót lorda. Podniosła wzrok; Adrian Delacourt wpatrywał się w nią ponuro i zapragnęła uciec. Nie opuściła jednak oczu. Wytrzymała jego spojrzenie, po czym przeniosła spokojnie wzrok na grupkę dość pospolicie wyglądających pań podpierających ścianę, zastanawiając się, dlaczego zawsze zbijają się w stadka, zamiast krążyć po sali.

Obok niej przeszły majestatycznie dwie matrony, pograżone w cichej rozmowie. Po chwili przyłączyła się do nich trzecia. Przechodząc obok, skinęła Joannie. Kobiety umilkły nagle i spojrzały na nią wrogo. Joanna szczerze żałowała, że Barrasford jeszcze nie wrócił.

- Lady Carew?

- Tak?

Podstarzały lowelas w trzeszczącym gorsecie opadł na sąsiedni fotel i pochylił się ku niej aż nazbyt poufale.

Przez chwilę przyglądał się jej twarzy, po czym zatrzymał wzrok na jej piersiach i wydał usta w grymasie aprobaty. Zachowanie jego było nie tyle przyjazne, co obraźliwe. Joanna wyprostowała się wyniośle i utkwiała w nim lodowate spojrzenie.

- Masz pan nade mną tę przewagę, że wiesz pan, kim jestem. Ja pana nie znam i poznać ochoty nie mam.

- Taa... Czy aby pani nie jesteś za wybredna? - spytał kpiąco. - Żebyś wiedziała, są tu i tacy, co nie zapomnieli, że cię Roxbury wygnał ze dwora.

- Jesteś pan pijany, Falburton - wycedził lodowato Barrasford, który zaszedł ich od tyłu, nie zauważony. Podał Joannie lemoniadę i stanął przed starszym mężczyzną. - I zdecydowanie bezczelny - dodał z naciskiem.

- Czekaj no...

- Nie - zbył go krótko Johnny. - Sir, odnoszę wrażenie, że siedzi pan na moim miejscu, i jeśli się nad tym zastanowić, to chciałbym je z powrotem.

Stary lubieżnik rzucił mu złowrogie spojrzenie, ale niechętnie wygramolił się z fotela, mamrocząc pod nosem:

- To do ciebie niepodobne, tak mieszać innym szyki, Johnny.

- Tak mi przykro, moja droga. Nie powinienem zostawiać cię samej z ludźmi jego pokroju - powiedział półgłosem Barrasford.

- Może niepotrzebnie tu przyszedłam.

- Nonsens.

Helen Delacourt obserwowała całe to zajście z pewną satysfakcją. Zastanawiała się tylko, jak wykorzystać je do swoich celów. Wszystko w niej wrzało: Adrian sterczy jak cieleń, ignoruje kipiącą ze złości Almerię, a sam nie odrywa oczu od Joanny. Nie, nie można pozwolić, żeby fortuna Benningtonów przeszła mu koło nosa przez tę pospolitą łowczynię tytułów. Z tą myślą stara księżna ruszyła pozbyć się Joanny z placu boju.

- Ach, droga Sally - zaczęła, podchodząc do żony pastora - doprawdy nie rozumiem, co ludzie widzą w takim ścisku, nie zgodzisz się ze mną? Ja osobiście wolę spotkania w mniej liczonym gronie. Można wtedy przynajmniej mieć pewność, że nie napotka się byle kogo.

Sally Greenlea skwapliwie podchwyciła temat:

- Z ust mi to wyjęłaś. Nie wiem, co też Annabelle strzeliło do głowy. Przypuszczam, że nie chciała urazić Anne Sherwood.

- Cóż, Anne musi być naiwna jak dziecko, skoro nie widzi, co knuje jej synowa. Biedny Gareth zmarł zaledwie rok temu, a ta szelma zdążyła już omotać Barrasforda.

- Biedny Gareth?

- Och, jego nigdy nie winiłam. Po prostu wpadł w zastawione przez nią sidła i to go zgubiło. Nie, Joanna Milford jest jak modliszka, moja droga, niszczy każdego, kto się do niej zbliży. A teraz ma następną ofiarę. Niestety, nie znam Barrasforda tak dobrze, by móc go ostrzec.

Rozmowa toczyła się na tyle głośno, że Joanna i Johnny słyszeli wszystko.

- Szelma, awanturnica, modliszka - mruknęła kwaśno Joanna. - Nie możesz powiedzieć, że cię nie ostrzegałam.

Zdecydowanym ruchem odstawił szklanke.

-Jeśli się nie mylę, grają walca, moja droga. Znajdziesz dla mnie miejsce w karnecie?

- Myślę, że coś by się znalazło, ale...

Nachylił się bliżej i powiedział półgłosem tak, żeby tylko ona usłyszała:

- Nie pora na słabość. Głowa do góry, ja poprowadzę.

- Ale...

Wyjął jej szklanke z ręki i postawił na fotelu.

- Staw im czoło. Nie ma innego sposobu, wierz mi.

Nim zdążyła zaprotestować, pociągnął ją lekko i poprowadził, niechętną, na parkiet. Przymknęła oczy, gdy

objął ją w talii, i żeby jakoś się uspokoić, zaczęła w myślach liczyć kroki.

- Zuch dziewczyna - pochwalił. - Spróbuj się jeszcze uśmiechnąć, a może przekonamy ich, że dobrze się bawisz. To im zamknie usta.

Afront księżnej wobec Joanny nie uszedł uwagi Adriana. Podszedł do matki, a kiedy zrównał się z nią, syknął cicho:

- A propos awanturnic, mamó, nie pochwalam tego, że wywlekasz stary skandal, który nikomu z nas nie przynosi chwały. Jeśli usłyszę, że wymieniasz nazwisko Carew, to wyjadę, a tobie pozostawię bawienie Benningtonów. Będziesz mogła wedle uznania tłumaczyć moją nieobecność.

- A ja nie pochwalam tego, że akurat ty chcesz patrzeć przez palce, jak ona puszy się w towarzystwie po tym, co ci zrobiła - odparowała złośliwie Helen.

- Nie nazwałbym siedzenia w kącie „puszeniem się”.

- A jak byś to nazwał? - spytała księżna, gdy Joanna i Barrasford, roztańczeni, znaleźli się na środku sali. - Ta podstępna mała żmija gotowa zniżyć się do irlandzkiego tytułu, chociaż między Bogiem a prawdą na angielski nie ma co tym razem liczyć. Pociesza mnie myśl, że zawsze to jakiś upadek.

- Johnny'emu nie można niczego zarzucić - odparł Adrian. - Jego tytuł jest młodszy niż mój, ale pieniądze są stare. - Przyglądał się im, czując w piersi ukłucie zazdrości. Z każdym spotkaniem Joanna wydawała mu się piękniejsza. Kiedyś wirowała tak w jego ramionach. Ona, niewinny podłotek, on biegły w sztuce flirtu, ale kiedy ją obejmował, zupełnie tracił głowę. Sprzątnął ją Gary'emu sprzed nosa w wieczór taki jak ten. Zdobył Joannę Milford, wyprzedzając o włos Gary'ego i kilkunastu innych zalotników pewnego ciepłego, letniego wieczoru wiele lat temu.

- Och, Roxbury!

Almeria, wciąż zaróżowiona po ostatnim tańcu z miejscowym elegantem, wybiła go z zadumy, opierając drob-

ną dłoń na jego ramieniu. Adrian milczał. Gdy zorientowała się, w kogo się wpatrywał, w jej oczach pojawił się chłód, była żona księcia nie wydawała się jednak groźną rywalką.

- Jeśli się nie mylę, obiecał mi pan walca, milordzie - przypomniała z kokieterijnym uśmiechem, pokazując mu zapisany karnet. - Ach, tak... To chyba pańskie nazwisko.

- Hm? - Niechętnie oderwał oczy od Joanny, by spojrzeć na Almerię. Słusznie nazywano ją niezrównaną. Powinien coś do niej czuć, ale nie czuł niczego. Szybkie, ukradkowe spojrzenie w stronę Joanny, wdzięcznie płynącej po parkiecie, pomogło mu podjąć decyzję. - Naturalnie, panno Bennington - zgodził się już bardziej ochotczo i uśmiechnął do własnych myśli.

Tryumf Almerii nie trwał długo. Chociaż taniec z księciem nobilitował ją w oczach ludzi, wrażenie to pierzchało wobec manewrów Adriana na parkiecie. Chociaż ani razu nie zmylił kroku, nie ulegało wątpliwości, że widzi tylko Joannę, prowadząc Almerię w tańcu tak, by przez cały czas znajdowali się jak najbliżej jej i Johnny'ego. Kiedy przebrzmiały ostatnie takty, Almeria oznajmiła, że jest spragniona. Jednakże to nie Adrian zareagował, a stojący nieopodal młody mężczyzna. I jakby nie dość było jej upokorzeń, przekonała się, że Roxbury nadal błądzi myślami gdzie indziej. Nie zauważył nawet, że oddaliła się w towarzystwie pana Chiddingtona.

Gdy udało mu się wreszcie otrząsnąć z tego granicznego z transem stanu, panna Bennington, z chłodnym uśmiechem na ustach, stała już w niewielkiej grupie, otoczona wianuszkami wielbicieli. W jej oczach tlił się gniew. Poczuł, że ktoś szarpie go za rękaw, i usłyszał głos matki.

- Jak mogłeś, Adrianie? - syknęła księżna gniewnie. - Kolejny raz robisz z siebie głupca z powodu tej ladacznicy, ale żeby obrażać przy tym swoją wybrankę, tego już za wiele! Co sobie pomyśli lord Bennington?

- A pał go lichu! - warknął tylko. Poczucie obowiązku kazało mu jednak przynajmniej spróbować Almerię udobruchać. W końcu to nie jej wina, że on nie może zapomnieć o Jo. Zręcznie lawirował w tłumie w stronę stolika z napojami, gdy nagle uszu jego dobiegł jadowity głos panny Bennington. Stanął jak wryty.

- Cóż, ja na przykład - wycedziła Almeria - nie zamierzam zadawać się z tą kreaturą, to oczywiste. Ale trochę jej współczuję. Stracić takiego męża, jak drogi Roxbury, przez własne szaleństwo. Cóż to musiał być za cios. Choć naturalnie sama jest sobie winna.

A niech ją szlag! zaklął Adrian w duchu. Także piękna panna Bennington dokładała wszelkich starań, by wszyscy przypomnieli sobie o starym skandalu. Gwałtownie obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku Joanny, zajętej rozmową z teściową. Z twarzy Anne Sherwood wyczytał natychmiast, że jest w pełni świadoma nieprzyjemnych plotek, woli jednak je ignorować. Johnny Barasford gdzieś się zawieruszył. Niewiele myśląc, Adrian chwycił Joannę za łokieć i burknął:

- Jeśli chcesz zachować twarz, to chodź ze mną.

- Wypraszam sobie...

- Nie bądź głupia, Jo! - napadł na nią z furją. - Mam zamiar ci pomóc.

- Co proszę?

Palce na jej łokciu zacisnęły się z wielką siłą, a ona nie chciała robić sceny, próbując się z tego uścisku uwolnić. Zamrugała powiekami, czując cisnące się do oczu łyzy wściekłości, i ze sztucznym uśmiezkiem dała się poprowadzić na parkiet. Pozwoliła mu trzymać się w ramionach, wstrząśnięta, z nerwami napiętymi do granic możliwości, i kołysać w rytm muzyki. Pomyliła krok i niemal krzyknęła.

- Zniesiesz to, Jo. Jeśli ci to pomoże, wyobraź sobie, że tańczysz z Garym - szepnął jej szorstko do ucha.

- Doprawdy nie sędę... Dree, ja nie chcę.

- Uśmiechnij się wreszcie, na miłość boską - rozkazał. Ramieniem mocniej otoczył jej kibić, przyciągając ją do siebie. - Najlepiej do mnie.

- Postradałeś zmysły - powiedziała z najgłębszym przekonaniem. - A ze mnie robisz kompletną idiotkę, jak gdybym miała z własnej woli... - Kątem oka dostrzegła wyraz twarzy Helen Delacourt i poczuła pewną satysfakcję. Tłum zaszemrał i ucichł nagle. Przymknęła powieki, by nie widzieć wpatrzonych w siebie niezycziwych oczu. Próbowwała skupić się na samym tańcu, marząc, by wreszcie się skończył.

Muzycy, czując, że dzieje się coś niezwykłego, coś, czego nie rozumieli, zagrali melodię od nowa, nuta po nucie. Dla Adriana czas zatrzymał się w miejscu. Jak na debiucie Joanny powietrze przesycone było wonią kwiatów, jej ciało ciepłe i miękkie pod jedwabiem sukni, akksamitne jasne włosy upięte w koronę muskały jego policzki. Taką ją zapamiętał i za taką tęsknił.

- Nigdy o tobie nie zapomniałem, Jo - powiedział cicho, wtulając twarz w płowe włosy. - Tak bardzo tęskniłem...

Już prawie uległa pięknu tej chwili, garnąc się do ciepła jego ramion. Jego słowa otrzeźwiły ją i znowu wzbudziło w niej rozgorczenie.

- Czyżby, Dree? - Zesztywniała i odepchnęła go. - A Gary? Za nim też tęsknisz? To ty nas stąd wyгнаłeś - przypomniała chłodno.

Uścisk na jej talii zelżał. Odepchnęła go i już schodziła z parkietu.

- Jo! - zawołał.

Stojąc do niego bokiem, spytała, pogardliwie wykrzywiając usta:

- Naprawdę sądziłeś, że pozwolę ci drugi raz zrobić ze mnie pośmiewisko, Dree?



Zbladł, ale jej to nie wzruszyło. Chciała natychmiast wyjść, brakowało jej powietrza. Z niewidzącym wzrokiem, potykając się, poprosiła o swój szal.

- Nie! - rzucił ochryple Adrian. - Poczekaj! Jo! - Przepychając się łokciami przez zbulwersowany tłum, dogonił ją przy drzwiach. Na oczach oniemiałej służby zmusił do przejścia przez hol i wypchnął na ganek. - Czy myślę o Garym, Jo? Często. I myślę o tobie! - rzucił z pasją. - Boże, jak ja o tobie myślę!

- Puść mnie, Dree.

- Myślę też o chłopcu. Nie miałaś prawa ukrywać przede mną mojego syna, żadnego prawa! I nie próbuj przeczyć! Jest jak moje lustrzane odbicie!

Krew odpłynęła jej z twarzy i pobladła. Żołądek ścisnął się jej boleśnie.

- Zostaw mnie w spokoju!

Bezwiednie wyciągając ku niej ręce, powiedział coś, co zaskoczyło nawet jego samego:

- Jestem gotowy ci wybaczyć, Jo. Ja... ja chcę ciebie i chłopca.

Słowa te zawisły w powietrzu. Oczy Joanny rozszerzyły się, gdy dotarł do niej ich sens. Kiedy odzyskała mowę, wykrztusiła:

- Wybaczyć mnie? Jak śmiesz?! Nie ma czego wybaczać, Dree, za to ja nigdy nie wybaczę tobie!

- Joanno...?

Adrian opuścił ręce, słysząc głos Barrasforda, i cofnął się bezradnie. Barrasford patrzył na ich pałające twarze.

- Proszę o wybaczenie, ale...

- Nie. - Głos Joanny stał się matowy. - Lordzie Barrasford, chciałabym wrócić do domu. Gdybyś był pan tak miły i odszukał moją teściową...

W ręce wciąż trzymała jedwabny szal. Barrasford wjął go z jej palców i skwapliwie owinał wokół ramion.

- Przepraszam cię, Roxbury, ale odwiozę lady Carew

do domu. Bądź łaskaw powiadomić hrabinę. - Patrząc zaś na Joannę, dodał: - Nie będziemy jej psuć wieczoru, prawda?

- Nie, nie, oczywiście. - Spojrzała na Johnny'ego Z wdzięcznością i zmusiła się do uśmiechu. - Jest pan bardzo uprzejmy, milordzie, ale nie chciałabym psuć wieczoru i panu...

- Nonsens. Skoro pani wychodzi, nic mnie tu nie trzyma.

Adrian obrócił się bez słowa i wszedł do domu. Na progu wpadł na Almerię Bennington, która na jego widok poskarżyła się na ból głowy, masując dłońmi skronie.

- Milordzie, czy mógłby pan zawieźć mnie do domu? Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej.

- Tak jak i ja - odparł zwięźle. W skrytości ducha marzył tylko, by znaleźć się u siebie i utopić smutki w takiej ilości madery, jaka pozwoli mu zagłuszyć uczucie, które wypełniało go, ilekroć trzymał Joannę w ramionach. Przymknął oczy. *Niech ją piekło pochłonie. Niech ją piekło za to, co mu znowu robi.*

## 9

Joanna odchyliła głowę do tyłu i zapatrzyła się w ciemność. Powóz lorda Barrasforda jechał powoli, wymijając inne, stojące na podjeździe, dopóki nie wytoczył się na otwartą drogę. Johnny w milczeniu zapalił lampy i wrócił na swoje miejsce naprzeciwko Joanny. Upłynęło trochę czasu, zanim w końcu się odezwała. Głos miała cichy.

- Byłam naiwna, sądząc, że skoro dostałam zaproszenie, wszyscy będą dla mnie uprzejmi. Nie, prawdę mówiąc, wcale tak nie sądziłam. Wiedziałam, że nie powinnam liczyć na uprzejmość - powiedziała ze znużeniem.

- Gdybym miała dziesięcioro dzieci, każde z innym, to co innego. To zostałyby mi wybaczone.

- Ale nie masz, moja droga. I nie wierzę, żebyś była zdolna do zdrady. Każdy, kto mówi inaczej, kłamie.

- Roxbury w takie kłamstwa wierzy. Głupotą z mojej strony było mieć nadzieję, że nie uwierzy reszta towarzystwa.

Jej zgaszony głos poruszył go bardziej niż łzy. Tak bardzo chciał się z nią pokazać, że rozbudził w niej nadzieje, które okazały się płonne. Współczując jej całym sercem, szukał w myślach słów pocieszenia.

- Nie powinnaś się przejmować kilkoma podłymi plotkarkami, moja droga - tłumaczył cicho. - Przemawiała przez nie zazdrość, nic więcej.

- Czyżby?

- Byłaś najpiękniejsza, Joanno. Być może gdybym cię nie zostawił samej...

- Nie, na nic by się to nie zdało. Przepraszam, nie powinnam cię wikłać w moje sprawy, milordzie. - Otworzyła oczy i westchnęła ciężko, spozierając na niego nieśmiało. - Zadawanie się ze mną nie przynosi panu zaszczytu.

- Dla mnie to bez znaczenia, moja droga - zapewnił. - Taki mój męski przywilej, mógłbym mieć własny harem, nie narażając się na komentarze.

Zobaczył, że zmieniała się na twarzy pod wpływem jego słów, i zapragnął je wymazać. Wychylił się do przodu i delikatnie dotknął jej ręki.

- To nie tak, bynajmniej nie uważam cię za kogoś takiego, Joanno. Przeciwnie. I bardzo zależy mi na tym, byś uwierzyła w czystość moich zamiarów. - Ucisnął jej palce.

- Milordzie... - zaczęła, spuszczając wzrok.

- Proszę, wysłuchaj mnie, moja miła... - Jeszcze chwilę wcześniej zamierzał poczekać i bez pośpiechu zabiegać o jej względy. Usłyszał jednak swój własny głos: - Joanno, mam trzydzieści trzy lata. Nie jestem porywczym

młodzikiem, który wyobraża sobie, że jest zakochany po raz dziesiąty w przeciągu tyłuż tygodni. Wiem, czego chcę. - Nie cofnęła ręki; usiadł obok niej i popatrzył na nią z powagą: - Zakochałem się w tobie po uszy. Powiedz „tak”, a ożenię się z tobą i zabiorę cię stąd. Zostaniesz moją żoną i nikt nie będzie cię dręczył.

Deklaracji tej wysłuchiwała w osłupieniu. Bez słowa wpatrywała się w Johnny'ego, po czym odwróciła się i wbiła wzrok w okno. Bezwiednie obracała w palcach brzeg jedwabnego szala.

- Pan nic o mnie nie wie, milordzie - powiedziała w końcu. - Za krótko się znamy. Poza tym nie jestem sama, jak pan wiesz, mam dwóch synów. I decydując o ewentualnym małżeństwie, muszę myśleć również o nich. Nie należę do kobiet, które wysyłają dzieci do dalekich krewnych, żeby ułożyć sobie życie.

- Nie odrzucaj mnie pochopnie, Joanno. Odniosłabyś z małżeństwa ze mną korzyści. Och, wiem, mam irlandzki tytuł, ale dzięki temu moglibyśmy na stałe przeprowadzić się do mojej posiadłości w Irlandii. Chyba że kiedyś chciałabyś wrócić - przekonywał łagodnie. - Lubię dzieci, wiesz? Byłbym dla twoich synów dobrym ojcem. Przekonałabyś się, że nie jestem taki zły, naprawdę.

Czekał na odpowiedź, ale Joanna nadal milczała. Parł więc dalej:

- Jestem już w takim wieku, że zaczynam ze smutkiem patrzeć na pusty pokój dziecienny w moim domu. Nie sądz więc, że oświadczam się pod wpływem chwili i nie myśląc o przyszłości. Mam przynajmniej pewność, że możesz mieć dzieci. Widzę je, kiedy zamykam oczy, jak jeżdżą po parku na kucykach. A ty sobie chodzisz na spacer. Zdążyłem się wyszumieć, Joanno, i dojrzałem do spokoju. Mam dość flirtów, dość nocy spędzonych na grze w karty, dosyć towarzystwa kobiet lekkich obyczajów. Będę dumny, mogąc nazwać cię moją żoną.

I oznajmię to całemu światu, jeśli tylko się zgodzisz.

Na te słowa obróciła się w jego stronę. W szarych oczach malowało się ciepło, które rozbrajało, kusiło... Johnny dodał jeszcze z udawanym smutkiem:

- Nie mam, niestety, matki, która mogłaby cię przesładować. Naturalnie, niezmiernie tego żałuję. Za to oglądasz właśnie całą moją najbliższą rodzinę.

Głęboko poruszona jego słowami, zdobyła się na drżący uśmiech. Głos jej się łamał, gdy odpowiadała:

- Zupełnie jakbym słuchała Gary'ego. Z tym, że on zabrał mnie do Włoch. Powiedział, że nawet wojna nie bywa tak okrutna, jak ludzie.

- Tak bardzo go kochałaś? - spytał Johnny niezbyt ostrożnie.

Milczała kilka chwil, nim odrzekła.

- Na początku chyba nie. Miłość do męża różni się od miłości do przyjaciela - mówiła coraz ciszej i musiał bardzo się starać, żeby cokolwiek usłyszeć: - Ale potem go pokochałam. Wiedziałam, z czego dla mnie rezygnuje. Bez niego nie miałabym siły żyć dalej.

Barrasforda wyznanie to zaskoczyło. Z tego, co słyszał wcześniej tego wieczoru, wywnioskował, że Gareth był największą miłością jej życia. Nie oparł się pokusie, żeby spytać:

- A Roxbury?

- Kiedyś był dla mnie wszystkim - wyznała otwarcie.

- Rozumiem. - Przez chwilę gapił się przez okno, usiłując zebrać myśli. - Ale wtedy musieliście oboje być bardzo młodzi, moja droga. Ludzie się zmieniają. - Nagle wrócił do swoich oświadczeń. - Jeśli nie możesz odpowiedzieć teraz, powiedz mi przynajmniej, że nic już do niego nie czujesz. Dobrze i tyle na początek.

Westchnęła ciężko i spytała:

- Jak mogłabym darzyć uczuciem kogoś, kto uwierzył, że jestem aż tak podła? Nie, Adrian zabił moje uczucia w chwili, w której mnie oskarżył.

- Zatem moja propozycja jest wciąż aktualna. Jeśli nie chcesz zgodzić się teraz, może zgodzisz się później, kiedy to przemyślisz. Jutro, za tydzień, za miesiąc...

- Nie wiesz, o co mnie prosisz! - jęknęła z żałością. - Może ci się teraz wydawać, że moja reputacja nie gra roli, ale później zacząłbyś żałować ceny, jaką musiałbyś za związek ze mną zapłacić. Tak naprawdę to Gary nie chciał wyjechać z Anglii, ale potem zrozumiał, że tu żadne z nas nie będzie mogło żyć spokojnie. Kiedy wychodził z parlamentu w dniu, w którym odczytano decyzję o rozwodzie, ludzie krzyczeli za nim „dziwkarz”. Mało tam nie stracił życia. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, ile nienawiści jest na tym świecie, dopóki sam nie znajdzie się w takiej sytuacji.

- Ciii... - uciszył Joannę, kładąc palec na jej ustach. - Nie będziemy już dzisiaj wracać do tej sprawy. Uwierz mi, za żadne skarby świata świadomie bym cię nie zdenerwował.

- Nie jestem zdenerwowana, milordzie. Po prostu opowiadam, jak było. Gary też mi mówił, że to nie ma dla niego znaczenia, ale już po ślubie zrozumiał, że upłyną lata, jeśli nie całe nasze życie, zanim wrócimy do Anglii.

- Joanno, nie będę udawał, że znam całą- Nie chcę rozgrzebywać starych ran. Jednego jestem jednak pewny: nie jesteś taka, za jaką mają cię ludzie. A jak już chyba wspomniałem, poznałem wystarczająco wiele kobiet tego pokroju, żeby umieć je rozpoznać. - Chwycił ją za rękę, którą nerwowo wygładzała niewidoczną zmarszczkę na sukni: - Czy mnie przyjmiesz, czy nie, masz we mnie przyjaciela.

W jadącym za nimi powozie panowała grobowa cisza. Milczał Adrian Delacourt, milczały jego matka i panna Bennington. Naganne zdaniem obu pań zauroczenie Adriana osobą Joanny Sherwood sprawiło, że dosłownie

wrzały z bezsilnej złości, bardziej jeszcze dotkliwej w obliczu chłodnej obojętności Adriana. Większą część drogi Helen Delacourt układała sobie w myślach tyradę, którą miał usłyszeć, gdy tylko zostaną sami, Almeria zaś zastanawiała się nad kolejnym posunięciem. Nie była przyzwyczajona do tego, by okazywano jej obojętność czy niechęć, i nawet zastanowiła się przelotnie, czy książęcy tytuł może wynagrodzić taki brak kurtuazji. A potem przywołała się do porządku. Nic na tym świecie, z tą okropną Sherwood na czele, nie przeszkodzi jej w zostaniu księżną.

Adrian przyglądał się z istic marsową miną, jak powóz Barrasforda skręca w kierunku Haven. Z twarzą tuż przy oknie śledził widoczny w świetle księżycy pojazd, aż ten znikł mu z oczu. W fatalnym nastroju wcisnął plecy w miękkie oparcie. Zbył Almerię gniewnym pomrukiem, gdy ta posunęła się do tego, by wygłosić idiotyczny komentarz w rodzaju: „Z takim księżycem noc jest wyjątkowo piękna, nieprawdaż?”

Księżna od zamiaru zbesztania syna za jego głupotę nie odstąpiła; jeszcze w westybule życzyła Almerii dobrej nocy, po czym jak furia wparowała do biblioteki. Zamknąwszy za sobą drzwi, rzuciła okiem na kieliszek madery w ręce Adriana i zauważyła jadowicie:

- Joanna Milford raz już zrobiła z ciebie głupca. Dziś udało się jej to ponownie. Powiadam ci, o mało nie zemdlałam, kiedy zobaczyłam, że wyprowadzasz ją z sali! Gdzie twoja duma?! Nie dość zhańbiła twoje nazwisko ostatnim razem?

- Nie chcę tego słuchać - uciał.

- Ale wysłuchasz! Nie rozumiesz, że chce po prostu dopisać nazwisko lorda Barrasforda do listy swoich podbojów? O jej skandalicznym zachowaniu dzisiejszego wieczoru będzie huczało w sąsiedztwie przez wiele tygodni! Drzę na samą myśl o tym, co musiał pomyśleć sobie lord Bennington... Nie, ja to wiem! Ma cię za szaleń-

ca! - dokończyła z nietypową dla siebie histerią. - Coś ty sobie wyobrażał, na miłość boską? Chyba możesz mi powiedzieć choć tyle?

- Sam nie wiem. Po prostu nie wiem, co myśleć. Ale wiem, że nie będę słuchać, jak obrzucasz błotem Joannę Milford. Jak wielka byłaby jej zbrodnia, zdażyła już za nią zapłacić

- Nie zamierzasz chyba pozwolić, żeby ta mała ladacz-nica znowu wodziła cię za... nos?

- Ogłuchłaś? - spytał, podnosząc głos. - Powiedziałem, że nie chcę wysłuchiwać twoich uwag na temat Joanny. Ani dziś, ani nigdy.

- Ale wysłuchasz!! Nie wierzę, że mógłbyś zapomnieć, co ci zrobiła. To przerasta ludzkie pojęcie! Nie, tym razem nie zamierzam trzymać języka za zębami! Niech sobie Joanna wraca do Włoch, czy gdzie tam była, i niech zabierze ze sobą te swoje bachory!

- Najstarszy bachor, jak się wyraziłaś, jest moim synem! - wrzasnął. - Twoim jedynym wnukiem, miła pani! Czy to dla ciebie nic nie znaczy?

- A nic! Adrianie, nie mogę pochwalać tego, że znowu dałeś nabrać się na jej sztuczki! Jeśli chłopak naprawdę jest Delacourtem, dlaczego nie powiedziała tego wcześniej? Jeśli dobrze pamiętam, nie kwestionowała zarzutów - przypomniała mu kąśliwie. - No dobrze, dzieciak nie wygląda na Sherwooda, ale czego to dowodzi? Może biedulka po prostu nie miała pewności, kto jest ojcem - dodała z jeszcze większym jadem. - Mam ci przypomnieć, ilu ciemnowłosych mężczyzn mieszka w okolicy?

- Dość tego! Nie miałabyś cienia wątpliwości, gdybyś go zobaczyła. I to nie jest przypadkowe podobieństwo, mamó. Czułem się tak, jak gdybym spojrzął w lustro i zobaczył samego siebie sprzed dwudziestu lat. - Napełnił kieliszek i wziął duży łyk madery. - Mam syna - powiedział spokojnie.



- No i co z tego? Jeśli Gareth Sherwood był takim durniem, że uznał go za swoje dziecko, nie można już nic zrobić. Nawet jeżeli to faktycznie twój syn, skoro się przy tym upierasz, Adrianie, co zyskasz, ogłaszając to światu? Za Sherwooda wyszła, zanim mały się urodził, tak? Jego tytuł dziedziczy i nic ci do tego.

- Ty mnie wcale nie słuchasz, prawda? To nasz syn, mój i jej.

- W świetle prawa jest hrabią Carew! Zapomnij o nim! Zapomnij o niej!

- Chciałbym, żeby to było takie proste. Prosisz mnie, żebym zignorował fakt, że moja krew płynie w jego żyłach. - Dopił wino i cisnął kieliszkiem o zimny, pusty kominiek; rozprysnęły się kawałki szkła. Adrian spojrzął na miejsce, w którym wisiał niegdyś portret Joanny. - Zniszczyłem ją, rozumiesz? Nawet się nie dziwię, że o niczym mi nie powiedziała.

- Adrianie... - Czując, że posunęła się za daleko, Helen delikatnie położyła rękę na ramieniu syna i poprosiła ciepłej: - Uczyń swoją powinność wobec rodziny, poślub Almerię, będzie z niej wzorowa księżna. No, nie kłóćmy się o coś, o czym lepiej zapomnieć.

Siedział napięty jak struna. Tak niedawno widział Joannę, trzymał ją nawet w ramionach. Na jej widok zawrzała w nim dawna namiętność i wrzała w nim nadal. Dzisiaj wyznał jej nawet, że chce ją odzyskać. Powiedział to pod wpływem impulsu, ale taka była prawda.

- Nie. Nie chcę Almerii Bennington w swoim łóżku i nigdy chciał nie będę.

- Zatem jesteś głupcem! - wybuchła Helen Delacourt.

- Mówiłem ci już, pragnę namiętności.

- Namiętności?! - wypluła to słowo, jakby miało wstrętny smak. - Do tego masz tancerki z opery, ale kiedy chodzi o czystość krwi... - urwała. - Skoro o Joannie mowa, popatrz, do czego doprowadziła ciebie i Garetha! Ugania-

liście się za nią jak psy za suką! O, tak, byliście przyjaciółmi, dopóki między was nie weszła, przyznaj.

- Ranić to dla ciebie za mało, prawda, mamó? - spytał gorzko. - Musisz zabić każde moje dobre wspomnienie o nich obojgu, tak? Zawsze jej nienawidziłaś.

- Była nikim!

- Była moją żoną!

- Zachowywałaś się przez nią jak głupiec!

- Co raczyłaś mi wytknąć dobre tysiąc razy. - Spojrzał na nią; w czarnych oczach malował się zimny gniew. - Ale może okazałem się głupcem, wierząc tobie.

Pobladła, widząc wyraz twarzy syna.

- A cóż by to miało znaczyć?

- Nienawidziłaś jej od zawsze. Krytykowałaś we wszystkim, co kiedykolwiek zrobiła. Być może największą głupotą z mojej strony było zostawienie jej z tobą. Może powinienem był zabrać ją do Londynu, ale sądziłem, że jeśli tylko ją poznasz...

- Poznałam ją aż za dobrze, Adrianie.

- Nie znałaś jej w ogóle. - Podniósł na nią wzrok. - Czasami zastanawiam się, mamó, jak mogła tu wytrzymać. Czasem niemal nie winię jej za to, że zbliżyła się do Gary'ego. Musiałaś jej tu zgotować niezłe piekło.

- To była szmata!

- Urodziła mojego syna!

- To niczego nie zmienia! I nic na to nie możesz poradzić!

Przez chwilę wpatrywał się w matkę z dziwnym wyrazem twarzy.

- Nic? I tutaj właśnie się mylisz. Nawet jeśli miałbym przez to wyjść na głupca, nawet jeśli musiałbym przyznać się do błędu, zamierzam odzyskać syna. I jestem gotów przyjąć ją z powrotem, żeby mieć przy sobie jego.

- Co?! - Księżna przez chwilę nie mogła dobrać głosu. - Nie! Nie zgadzam się!

W pokoju panował zaduch. Adrian podniósł się, rozluźnił krawatkę, zerwał ją z szyi i cisnął na fotel, po czym ruszył długimi krokami w stronę drzwi.

- Gdzie idziesz? - spytała w panice. - Adrianie, gdzie twoja duma?

- Kiedyś miałem jej aż za wiele.

- Nie chcę, żeby Benningtonowie usłyszeli, jak kłócimy się o tę kobietę.

- Gwarantuję ci, mamó, że jeśli nie są kompletnie głusi, usłyszeli już więcej, niżby na to mieli ochotę. Dobranoc, mamó.

- Adrianie!

Boczne drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem. Księżna nalała sobie kieliszek wina i stała, sącząc je powoli. Jej syn był przystojny, miał wszystkie cechy, jakie powinien mieć książę Roxbury, był w nim jednak jakiś upór, wypaczone poczucie honoru, i te cechy charakteru drażniły ją nade wszystko. Dlaczego nie chciał zrozumieć swojej powinności wobec własnego nazwiska?

- Wasza miłość?

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Almeria Bennington.

- Wejdz, kochanie - powiedziała ze zmęczeniem. - Zapewne wszystko słyszałaś.

Młoda kobieta chciała grzecznościowo zaprzeczyć, wpadła jednak na lepszy pomysł.

- Tak, milady, ale nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Nie przypuszczałam, że darzył ją tak głębokim uczuciem.

- Phi! Nie chciałabym, żebyś miała złudzenia w tej kwestii, moja droga. Uczucia Adriana wobec Joanny Sherwood nie różnią się od tych, jakimi pierwszy lepszy byczek darzy ładną, wypasioną jałówkę, tylko że mój syn nie chce się do tego przyznać.

- Maman uważa., że powinniśmy wyjechać.

- Ja jeszcze z nim nie skończyłam, skarbie. - Helen Delacourt dopiła wino i odstawiła kieliszek. Spojrzenie miała twarde, usta zaciśnięte w linijkę. - Nie. Myślę, tak między nami, że zdołamy zapanować nad sytuacją, naturalnie jeśli dalej życzysz sobie zostać księżną Roxbury. Widzisz, mam pewien plan...

- Och, miła pani... - Nadzieje Almerii na tytuł były tak widoczne, że Helen poczuła się pewniej.

- Zatem decyzja zapadła. Rzecz jasna, muszę porozmawiać z lordem Benningtonem, zanim zaczniemy działać.

- Nie rozumiem...

- Jeżeli możemy cokolwiek przyjąć za pewnik - zastanawiała się na głos księżna - to poczucie honoru Adriana. Musimy cię skompromitować i tyle.

- Co? - spytała bez tchu Almeria. - Nie zamierzam...

- Będziesz musiała tylko powiedzieć, że chcesz obejrzeć Wells. Ja ze swojej strony będę nalegać, żeby Adrian ci towarzyszył. Na miejscu zgubi się gdzieś twoja pokojówka. Twój ojciec będzie obstawał, że zostałeś skompromitowana, a mój syn zrobi jedyną właściwą rzecz. - Helen zatrzymała wzrok na pustym miejscu nad kominkiem. - Będzie z ciebie idealna księżna Roxbury, kochanie. - Odwracając się tyłem do Almerii, dodała z zadęciem: - Kiedy przyjdzie mi spotkać się ze Stwórcą, ty zajmiesz moje miejsce.

- Mam nadzieję, że tak, milady, mam szczerą nadzieję.

- Tak się stanie - a jednak wypowiadając te słowa, Helen Delacourt poczuła ukłucie wątpliwości. Być może, pomyślała w skrytości ducha, parę uwag o Joannie i Barrasfordzie poczynionych we właściwych miejscach... Ach, gdyby tylko Mary Cummings była gdzieś pod ręką. Pokojówka, która zna wszystkich służących w okolicy, to prawdziwy skarb. Westchnąwszy bezgłośnie, Helen postanowiła, że tym razem załatwi sprawę sama. - Tak się stanie - powtórzyła z mocą. - My dwie, kochana Alme-

rio, świetnie się dogadamy, jestem tego pewna. Nawet jesteś do mnie podobna.

## 10

W Haven Anne Sherwood z ciężkim sercem wspinała się po wspaniałych schodach, zastanawiając się w duchu, czy pomimo wszystko nie myliła się, nalegając na powrót synowej i wnuków do domu. A już na pewno błędem było nakłanianie Joanny, by poszła na przyjęcie Annabelle, rozmyślała ze smutkiem. Ale po sześciu latach... cóż, przynigdy nie spodziewała się afrontów, których świadkiem była tego wieczoru. I choć wiedziała, komu przypisać za wszystko winę, nie czuła się przez to ani trochę lepiej. Nie, chociaż niechętnie to przyznawała, nienawiść Helen Delacourt do byłej synowej zatryumfowała znowu.

W głowie się jej nie mieściło, że kobieta taka jak Helen mogła urodzić tego ciemnowłosego chłopca, który niegdyś czuł się tu jak w domu. Znając jego rodziców, Anne musiała wręcz współczuć mu pomimo jego bogactwa i tytułu, które miał odziedziczyć. W rzeczywistości darzyła go niemal tak silnym uczuciem, jak Garetha, a obaj chłopcy byli ze sobą bardziej związani niż wielu braci. Wszystko robili razem, nawet pokochali tę samą kobietę. Ale to nie Joanna ich poróżniła. To Helen, a zło, które wyrządziła, zniszczyło ich troje. I choć Anne miała się za osobę dobroduszną, przekonała się, że szczerze Helen życzy, by drogo zapłaciła za swoje grzechy, jeśli nie na tym świecie, to na tamtym.

Spod drzwi do pokoju Joanny biła słaba poświata. Anne zawahała się; zegar w holu na parterze wybił trzecią. Zapukała jednak delikatnie w błyszczący, mahoniowy panel.

- Proszę - padła stłumiona odpowiedź.

Zastała synową w łóżku; młoda kobieta położyła się, nie pomyślawszy nawet o zaciągnięciu zasłon. Oparta plecami o jedwabne poduszki, z rozpuszczonymi włosami, opadającymi na ramiona jak u pensjonarki, Joanna wyglądała młodo i krucho. Anne z ulgą przekonała się, że synowa nie płacze.

- Spodziewałam się, że będziesz już spała. Masz może ochotę na łyk ciepłego mleka, skarbie?

- Nie.

- Och, kochanie, nie powinnam była cię namawiać, ale...

- To nie twoja wina, mamó. Skąd miałaś wiedzieć, że będzie jej tak spieszo odświeżyć ludziom pamięć.

- Nie sądziłam, że ktokolwiek da posłuch jej jadowitemu językowi. - Anne opadła ciężko na brzeg łóżka. - Tak cię przepraszam, Jo... Jeśli nie będziesz chciała zostać w Anglii, postanowiłam poprzeć każdą twoją decyzję. Nadal mamy tę willę na Capri. W każdej chwili możemy przeprowadzić się do niej z chłopcami.

- Nie. Och, przyznaję, że wcześniej chciałam uciec, ale zdecydowałam, że nie pozwolę jej wygnąć moich synów z Anglii. Jak sama mi przypomniałaś, muszę teraz myśleć o nich. Poza tym zdałam sobie sprawę z tego, że nie mogłabym spokojnie spojrzeć w lustro, gdybym znowu stchórzyła. - Odwróciła się w stronę teściowej z wyrazem zdecydowania na twarzy. - Nie miała powodu, żeby tak mnie potraktować, i nie zamierzam już nigdy przed nią uciekać. Jeśli będzie chciała znowu opowiadać te swoje brednie, dopilnuję, żeby tym razem świat poznał prawdę. Byłam naiwnym podlotkiem, mamó, ale teraz mam dwadzieścia pięć lat i już nie jestem taka naiwna.

- A może poszłabyś do Adriana i wytłumaczyła mu... - Anne urwała w pół zdania; Joanna dygotała jak rażona piorunem. - No, tak, widzę, że nie masz na to ochoty.

- Nie musiał jej wierzyć. Nie, jeśli postanowię walczyć, to tylko dla chłopców. Nie chcę, żeby myśleli, że jestem... że ich matka jest kimś w rodzaju ladacznicy. Chcę, żeby byli ze mnie dumni, a nie żeby musieli się mnie wstydzić.

- Cóż, pozostaje mi tylko powiedzieć, że bardzo się z tego cieszę, moja droga, właśnie tego zawsze pragnęłam. Zawsze uważałam, że oskarżenia Helen szyte są tak grubymi nićmi, że ludzie natychmiast to zauważą. Chciałam, żeby Gary podważył je w sądzie, nawet w samym parlamencie. Ale trzeba było brać pod uwagę także inne względy, rzecz jasna - przyznała Anne. - Gdyby doszło do dłuższego konfliktu, Justin urodziłby się przed twoim wyjazdem z Anglii. A wy z Garym nie chcieliście przecieżyć, żeby przyszedł na świat jako bękart. Naturalnie, gdyby Adrian zobaczył go wtedy, możliwe, że sprawy potoczyłyby się inaczej.

- Nie mogłam żyć z człowiekiem, który we mnie nie wierzył. Nie zostałamby i z takim, który chciałby zatrzymać mnie tylko ze względu na wspólne dziecko.

- Pewnie nie.

- Mamo, lord Barrasford powiedział dzisiaj, że nie daje wiary temu, co mówią o mnie ludzie. Jeśli ktoś, kto zna mnie tak krótko, umiał dojrzeć prawdę, może z czasem dojrzą ją inni.

- Tak powiedział? Przyznaję, że miałam go za fircyka, którego jedynym zmartwieniem jest, czy płaszcz leży na nim, jak powinien, ale...

- Poprosił mnie o rękę.

- Co?

Joanna potwierdziła skinieniem głowy. Smutny uśmiech igrał na jej wargach.

- Naturalnie pod warunkiem, że przełknę irlandzki tytuł. Dziwne, prawda? Moja szokująca reputacja znaczy dla niego mniej niż moja opinia o *nim*.

- Tego już chyba nie powiedział.

Kolejne skinienie głową.

- Owszem, powiedział.

- A chłopcy... Przecież człowiek taki jak Barrasford...

- Kocha dzieci. Mamo, musi być pierwszym fircykiem, który do czegoś takiego się przyznał, nie uważasz?

- No cóż... - Anne zerknęła na Joannę, niepewna, czy poważnie brać jej słowa.

- Tak, a do tego nie ma wścibskiej matki, o czym mnie z zalem poinformował - uśmiech stał się weselszy. - Słyszał, co mówiła Helen, rozumiesz... Pomyślał więc, że to może być dla mnie ważne.

Anne w milczeniu przetrawiała tę nieoczekiwaną wiadomość, spoglądając na synową, po raz pierwszy od śmierci Gary'ego pogodną. Zastanowiła się szybko, co wie na temat lorda Barrasforda, ale nie przypomniała sobie niczego, co źle by o nim świadczyło. Ponadto nie dalej jak tydzień czy dwa temu sama przekonywała Joannę, że powinna pomyśleć o powtórnym małżeństwie. Na głos zaś powiedziała tylko:

- Jestem trochę zaskoczona, moja kochana. Hm... I co mu odpowiedziałas?

- Nie nalegał. Próbowałam mu wytłumaczyć, że moja reputacja będzie i jego prześladować, ale nie chciał mnie słuchać. - Uśmiech Joanny zelżał nieco, oczy spoważniały. - To nie jest zła propozycja. Myślę, że byłby bardzo dobry dla chłopców.

- To bardzo przystojny mężczyzna - zgodziła się Anne.

- I tak życzliwy jak Gary.

Kiedy minął pierwszy szok, Anne odzyskała jasność myśli.

- Życzliwość jest ważna, prawda?

- O wiele ważniejsza niż namiętność. Pozwala spokojnie żyć.



- Może powinnaś zastanowić się nad jego propozycją. Stare nazwisko, spory majątek...

- Miałabym się na kim oprzeć - Joanna wymieniła kolejną zaletę Barrasforda. - W dodatku, jeśli postanowię zamieszkać w Irlandii, problem zniknie. A Irlandia nie jest znowu tak daleko. Mogłabyś często odwiedzać chłopców. A zresztą jestem pewna, że lord Barrasford nie miałby nic przeciwko temu, żebyś mieszkała z nami. Nie mogłabym znieść myśli, że miałabyś przestać być częścią naszego życia.

- Bzdura! Jeśli nie ma własnej wścibskiej mamuski, z pewnością nie będzie chciał cudzej. A ja mam jeszcze posiadłości po mężu, Joanno. Dawno już powinnam się przeprowadzić do którejś z nich, ale mieszkaliście we Włoszech i zostałam tutaj. A po śmierci Garetha... Cóż, uważałam, że ty i dzieci potrzebujecie mojego wsparcia.

- Potrzebuję twojej miłości, mamo.

- Ależ masz ją od zawsze! Nigdy nie aprobowałam zachowania starego Milforda, teraz mogę to szczerze powiedzieć. Ale mówiłyśmy o Barrasfordzie, prawda? Po namyśle muszę przyznać, że związek z nim ma wiele plusów.

- Tak. - Patrząc z zadumą przed siebie, Joanna dodała powoli: - Tyle że go nie kocham. I jest za wcześnie, żeby wiedziała, czy zdołam go kiedykolwiek pokochać. To też powinnyśmy mieć na względzie, nie sądzisz?

- W Adrianie byłaś nieprzytomnie zakochana - przypomniała Anne - a nie można powiedzieć, żeby wszystko skończyło się szczęśliwie.

- Na początku byliśmy szczęśliwi - sprostowała Joanna i patrząc teściowej prosto w oczy, dodała z nadzieją: - A lord Barrasford jest o wiele bardziej podobny do Garry'ego.

- Dałaś mojemu synowi wiele szczęścia. - Anne z czułością poklepała Joannę po ręku. - Z drugiej strony, małżeństwo należy do rzeczy, o których decydować powinny

jedynie względy uczuciowe. Och, wiem doskonale, że to dość nowoczesny pogląd na sprawę, ale znam aż nazbyt wiele przypadków, w których zaaranżowany układ popychał obie strony do szukania satysfakcji gdzie indziej, kiedy tylko zatroszczyły się o dziedzica. - Uśmiechnęła się, wstając. - Pomimo tego wszystkiego, co się stało, kochana, śmiem twierdzić, że niejedna młoda dama szczerze ci zazdrości. Rzadko zdarza się kobieta, której oświadczyliby się mężczyźni tacy, jak Roxbury, Carew i Barrasford.

- Helen, jak sądzę, byłaby odmiennego zdania. Powiedziałyby, że trzykrotnie udowodniłam, że nie wiem, gdzie moje miejsce.

- Pewnego pięknego dnia Helen dostanie za swoje - odparła Anne z przekonaniem. - Póki co, pora spać.

Jeszcze długo po wyjściu teściowej Joanna siedziała w bezruchu, nie fatygując się nawet pogasić świece. Myślała o ostatnim spotkaniu z Adrianem i zastanawiała się, jak położyć kres intrygom jego matki. Jednego była pewna: nadal wierzył słowom Helen i myśl ta nawet teraz, po sześciu długich latach, przysparzała jej więcej bólu niż najgorsza obelga rzucona prosto w twarz. Na dole w holu zegar wybił czwartą, świece już dogasały, a ona wciąż nie spała. Podniosła się niechętnie, żeby zdmuchnąć pełgające płomyki i otworzyć okiennice. Powiew wiatru targnął jej lekką, płócienną koszulą, która wyduła się jak balon i zatrzepotała, chłodząc jej rozgrzane ciało. Powietrze było wilgotne - zanosilo się na deszcz.

Joanna stała przy oknie, wpatrzona w ciemne chmury, za którymi skrył się księżyc w pełni. Wróciły wspomnienia: uczucie, które ogarnęło ją w chwili, gdy znalazła się w ramionach Adriana, zapach wody kolońskiej, której zawsze używał, gwałtowność ich fizycznego zespolenia... Miotana emocjami, na które nie mogła sobie pozwolić, usiłowała przed nimi uciec; położyła się, nakazując sobie myśleć o Johnnym Barrasfordzie.

Sen jednak nie nadchodził. Umiała znaleźć się w owym zamglonym obszarze piekła między racjonalną, świadomą myślą a zapomnieniem. Nie była jednak w stanie wykroczyć poza jego granicę. Był tam Barrasford, namawiający, by przyjęła jego opiekę, ale też i Adrian, oskarżający ją o zdradę. Znalazł się tam i Gary, taki dobry i silny. Obiecywał chronić ją i dziecko. A gdzieś ponad nimi wszystkim rozbrzmiewał głos Helen Delacourt i słowa: „Widziałam ich, widziałam na własne oczy. Spytaj pokojówkę - powie ci to samo”.

„Chcę to usłyszeć z twoich ust” - prosił Adrian. - „Na litość boską, powiedz mi, dlaczego?!” Ale powstrzymał ją wyraz jego oczu; wiedziała, że wierzył już w kłamstwa.

Z jękiem obróciła się, by wcisnąć głowę w drugą, nie zmiętą jeszcze poduszkę, i starała się wymazać ich wszystkich z myśli. Pierwsze krople deszczu nieśmiało zadzwoniły o dach, wiatr się wzmógł, po czym rozpętała się ulewa. Nad jej głową rozbrzmiewało miarowe staccato, które stopniowo kołysało ją, otępiało. Kiedy jednak noc ostatecznie zamknęła się wokół niej, wyobraziła sobie, że otulają ją ramiona Adriana, że obejmuje ją, kiedy łagodnie zapada w sen.

- Mamo! Mamo!

Obudziła się z nagłym wzdrygnięciem. Drzwi do jej sypialni otworzyły się z hukiem i do środka wpadli jej synowie. Przewróciła się na plecy, zakryła oczy przed oślepiającym światłem dnia i skrzywiła się, półprzytomna z niewyspania.

- Paniczu Justinie! Paniczu Robercie! - rzuciła panna Finchley teatralnym szeptem, gdy dogoniła ich i złapała obu za rękę. - Nie budźcie mamy!

- Nic nie szkodzi - mruknęła Joanna, siadając, - wciąż jeszcze senna. Potarła piekące oczy. - Wygląda na to, że za długo spałam.

Guwernantka pokręciła głową i rzuciła znaczące spojrzenie swoim podopiecznym.

- Zabroniłam im pani przeszkadzać, milady. Lady Anne życzyła sobie, żeby mogła pani spokojnie odpocząć. - Ze zdecydowaniem popchnęła chłopców ku Joannie i poleciła: - Proszę grzecznie przeprosić mamę za najście i wracamy do zajęć.

- Ale ja nie chcę! - Trzyletni Robin wyrwał się i wgramolił na łóżko. - Mamo, wyjrzyj przez okno!

- Paniczu Robercie... - W głosie guwernantki zabrzmiała ostrzegawcza nuta, która została jednak puszczona mimo uszu.

Pomimo zmęczenia Joanna zdołała jakoś uśmiechnąć się do młodszego syna.

- Co mam obejrzeć, kochanie?

- Tęczę! - wykrzyknął Justin. - Widać tęczę!

- To nie fair! - Robin odwrócił się przodem do brata i rzucił oskarżycielsko: - Chciałem sam powiedzieć mamie! To nie fair! Mamo, ja pierwszy ją zobaczyłem, i chciałem ci sam powiedzieć!

- Chłopcy! - Panna Finchley podeszła do łóżka i wyciągnęła rękę do młodszego. - Proszę się nie kłócić przy mamie. No, chodź. Mamy dużo pracy.

- Ale...

- Nic nie szkodzi - powtórzyła Joanna, żeby udobroczyć guwernantkę. Uściskała Robina. - Jeżeli tylko zjedziesz z narzuty, pójde obejrzeć twoją tęczę.

Chłopiec posłusznie zsunął się z łóżka i uczeplił jej ręki.

- Tutaj, o, stąd ją widać!

Ignorując fakt, że nadal była w nocnej koszuli, dała się podprowadzić do okna i spojrzała we wskazanym kierunku. Justin zazdrośnie przywarł jej do nogi, Robin uwiesił się u drugiego boku. Wpatrywała się w wielki barwny łuk, rozświetlający poranne niebo. Powietrze po deszczu było świeże, ogród w dole płonął feerią żywych barw. Burza przeszła, zrobiło się cieplej. Zmierzwiała jednemu synkowi czuprynę, potem drugiemu i przygarnęła

ich do siebie. Gorycz i wzburzenie, które dręczyły ją w nocy, poszły w niepamięć. Stała, podziwiając piękno tęczy i letniego poranka, czując się najszczęśliwszą z kobiet: cokolwiek by się stało, miała dwóch pięknych synów i swoją miłość do nich.

- Mamuś - spytał zniechęcony Robin - nie jesteś zła, że obudziliśmy cię, bo chcieliśmy ją pokazać, prawda?

- Oczywiście, że nie, kochanie - zapewniła go szczerze. - Przenigdy nie chciałam przegapić takiego widoku. Nie co dzień ogląda się takie śliczności.

- A skąd ona się bierze? - zainteresował się Justin, dociekliwy jak zawsze.

- Ja nie wiem, ale może panna Finchley odpowie ci na to pytanie.

- Tata by wiedział - naburmuszył się.

- Tata dużo wiedział, Justinie, ale nawet on nie wiedział wszystkiego. A znałam go dobrze - odpowiedziała Joanna z figlarnymi iskierkami w błękitnych oczach. - Nie przypominam sobie, żeby kiedyś mówił, skąd biorą się tęcze.

- Aha. - Nagłe Justin rozpromienił się. - Ale na pewno by się dowiedział.

- Wszystko jedno, skąd się biorą - oznajmił Robin buntowniczo. - Jest ładna i mnie się podoba!

- Mnie też - zgodziła się Joanna. - Poza tym, nie trzeba wszystkiego wiedzieć, żeby umieć się cieszyć. - Palcami przeczesywała miedziane kędziory, tak podobne do włosów Gary'ego. To dziecko ma w sobie tę samą słodycz i uczuciowość, co ojciec, pomyślała, i te cechy chociażby należało pielęgnować i cenić.

- Możemy pójść poszukać miejsca, w którym tęcza dotyka ziemi? - zastanawiał się na głos Justin.

- Nie. Nigdy byśmy go nie znaleźli - odparła. - Myślę, że tylko wydaje się dotykać ziemi. To złudzenie.

- A co to takiego?

- Coś, co się tylko wydaje, ale naprawdę nie istnieje. I nie prosz mnie, żebym dalej wyjaśniała, Justinie, bo nie potrafię. Mogę ci tylko powiedzieć, że czasem rzeczy nie są takie, jakimi się zdają, a kiedy się tak dzieje, mamy do czynienia ze złudzeniem. - Kątem oka złowiła niedowierzające uniesienie ciemnej brewki i przez ułamek sekundy widziała w synku Adriana. Potem buzia rozpuodziła się i pojawił się na niej wyraz jakby zrozumienia.

- Aha, to jak wtedy, kiedy zasłonki przy łóżku powiewają w nocy, a mnie się wydaje, że coś tam jest.

- Myślę, że mógłbyś nazwać to złudzeniem, jeśli chcesz - uznała. - A teraz idźcie z panną Finchley, żebym mogła się ubrać, to zaraz zejdę obejrzeć wasze rysunki. Mówiła, że są całkiem ładne, wiecie? - Żartobliwie popchnęła ich w stronę guwernantki. - I dziękuję wam, że podzieliście się ze mną waszą tęczą. Bardzo mi się podobała.

Stała przy oknie przez dłuższą chwilę, podziwiając piękno i spokój, którymi tchnął roztaczający się przed nią widok. Minionej nocy zmagala się z przeszłością, ale przyszedł czas, by o niej zapomnieć. Przecież przeszłości zmienić się nie da. Zatrzymała wzrok na tęczy, symbolu szczęścia, nadziei na lepszą przyszłość, Joanna wiedziała, że zawsze znajdą się tacy, którzy będą jej unikać, ale znajdą się też i tacy, którzy staną u jej boku. Nie będzie więcej uciekać przed kłamstwami, które ją zniszczyły, powiedziała sobie z mocą. I nawet jeśli za Tohnnny'ego Barrasforda nie wyjdzie, będzie miała przyjaciela, który pomoże jej stawić czoło całemu światu.

## 11

- Proszę pani, chce się z panią zobaczyć niejaki pan Thorpe.

- Pan Thorpe? - Joanna odłożyła książkę, którą właśnie czytała, krwawą powieść gotycką ściągniętą z Londynu, i spróbowała skojarzyć to nazwisko. - Obawiam się, że nie znam nikogo o...

Anne podniosła na nią wzrok znad tamborka.

- Na pewno jakiś handlarz przyszedł po zamówienie. Ktoś miał przyjść w sprawie naprawy komina w głównym salonie, prawda?

- Przy takiej pogodzie? - Joanna posłała teściowej kwaśny uśmiech. - Szczerze wątpię, czy miałyby ochotę wejść na dach w takim deszczu, chociaż z drugiej strony, może po prostu chce oszacować zakres robót bez wychodzenia na dwór. - Podniosła się, rzucając spojrzenie ku oknom. - Tak czy inaczej, wołałabym, żeby tak było, bo strasznie leje. Gdzie czeka, Thomasie?

- W głównym salonie, milady.

- Dobrze. - Anne pokiwała głową z aprobatą. - To zobaczy, że komin przecieka. Rozparła się wygodnie w masywnym fotelu i naciągnęła mocniej płótno na tamborku. Nie przestawało padać i były uwięzione w domu. Joanna była jednak ostatnio w wyjątkowo dobrym nastroju pomimo nieprzyjemności u Sheffieldów. Dźgając igłą materiały, Anne pomyślała sobie, że zdania jej i jej synowej zmieniły się diametralnie. Teraz to ona obawiała się, że Joanna nie powinna liczyć na powrót do świata, Joanna tymczasem wydawała się zupełnie o to nie dbać. Być mo-

że to wpływ lorda Barrasforda, przyznała z niechęcią. Z całą pewnością wytrwałości mu nie brakowało. Rzadko zdarzał się dzień bez jego odwiedzin. Z drugiej strony żadne znaki na niebie i ziemi nie zapowiadały, by Joanna zamierzała go przyjąć - przeciwnie. Zeszła do niego rano po przyjęciu u Sheffieldów, uśmiechnięta, a kiedy się oświadczył, oznajmiła, że bardziej ceni jego przyjaźń, a nie tytuł. Wzdychając ciężko, Anne zawiązała na supełek nitkę, którą wykończyła środek małego kwiatka, i zabrała się za płatki.

- Pan Thorpe?

Nie od razu dostrzegła swego gościa, wchodząc do salonu, ale też i dzień był ciemny, tak że niezbyt wiele światła wpadało przez otwarte okiennice. Na dworze deszcz padał jednostajnie. Krople rozbryzgiwały się o kałuże, którymi usłany był trawnik.

- Pan Thorpe? - spytała ponownie.

- Tak. - Mężczyzna zaprzestał obserwowania cienkiego strumyczka wody, spływającego zygzakowato po ceglach i do strategicznie ustawionego garnka i ruszył w jej stronę. - Powinna pani kazać to naprawić, zanim podłoga się zniszczy. - Oczami błędził po urządzonym z przepychem pokoju, przyglądając się misternym sztukatoriom. - Ma pani zbyt piękny dom, żeby ryzykować pojawienie się grzyba albo czegoś jeszcze gorszego. Jeśli trzeba będzie wymienić podłogę, będzie pani musiała wydać trochę grosza.

- Doskonale to rozumiem. Koszty nie grają roli - wtrąciła gładko Joanna - ale ciekawa jestem, jaką naprawę pan proponuje. Człowiek, który oglądał to poprzednim razem, upierał się, że to przez dach, ale nie miał racji. Mam nadzieję, że znajdzie pan źródło przecieku.

- Ja? - Wydawał się zaskoczony.

- Och, naturalnie nie spodziewam się, że wykona pan



pracę osobiście. - Zwróciła uwagę na krój jego brązowego surduta i spodni. Jak na rzemieślnika wyglądał na osobę zaskakująco majątną. Widocznie przyłożył wszelkich starań, żeby zaprezentować się godnie podczas inspekcji w jednej z najświetniejszych rezydencji w okolicy. - Ale *będzie* pan umiał wstępnie się rozeznac, prawda? Chciałabym, żeby naprawa zaczęła się, kiedy tylko pogoda się poprawi.

- Miła pani, nie wiedziałbym, od czego zacząć, słowo daję. Może...

- Nie przyszedł pan w sprawie komina?

- Boże, skądże znowu! To jest... - Wyraźnie urażony jej przypuszczeniem, pospiesznie pogmerał w płaszczu i wydobył z niego wizytówkę. - Może to okaże się pomocne - wyjaśnił, wręczając ją Joannie. - Jestem prawnikiem. Reprezentuję interesy księcia Roxbury - oznajmił z ważną miną. - Najchętniej usiądźmy sobie, żebym mógł przedstawić charakter mojej wizyty, lady Carew.

- Panie Thorpe, jeżeli Roxbury ma jakieś skargi dotyczące granic, może omówić je z panem Perkinsem.

- Nie, nie, nic podobnego! - zachnął się mężczyzna, po czym chrząknął nerwowo: - Ehem... przybywam do pani w o wiele delikatniejszej sprawie.

- Nie mam jego miłości nic do powiedzenia w żadnej sprawie - oznajmiła, kierując się w stronę wyjścia. - Wybacz pan mój brak manier, ale jak pan zapewne wie, nie pozostajemy w najlepszych stosunkach.

Prawnik patrzył na nią ze zbolałą miną.

- Myli się pani, lady Carew. Niechże pani usiądzie, proszę. - Widząc, że nawet nie drgnęła, wyprostował się i wyjaśnił: - Rzecz tyczy chłopca, Justina. Roxbury mnie ma, że ma pewne powody, by się nim interesować, a ja skłonny jestem przyznać mu rację.

Obróciła się gwałtownie; oczy jej płonęły.

- Mój syn urodził się jako Sherwood i księciu nic do tego. Proszę powiadomić jego miłość, że nadal nie mam

mu nic do powiedzenia. Żegnam pana, panie Thorpe.

- Radzę, żeby pani mnie wysłuchała. Jego miłość gotów jest pójść na ugodę, chce jednak poznać młodego Justina. Więcej nawet, pragnie go usynowić.

- Co?! Och, tego już za wiele, miły panie! Księżę nie jest Justinowi nic winny.

- Przecież musi pani rozumieć troskę mężczyzny o swojego syna.

- Swojego syna? - Głos jej uniósł się w niedowierzaniu. - Swojego syna? Jeśli rzeczywiście mówi pan o Justinie Sherwoodzie, pozwolę sobie poinformować pana, że jest dzieckiem moim i Garetha Sherwooda, urodzonym na wyspie Capri sześć lat temu. Ślubnym dzieckiem!

- Może i tak, pani...

- Nie, może pan powiedzieć Adrianowi Delacourto-  
wi, że nie ma do mojego dziecka żadnych praw!

- Z przykrością stwierdzam, że on jest odmiennego zdania.

- Nie obchodzi mnie jego zdanie - warknęła. - To Gareth Sherwood podpisał akt urodzenia. A teraz, jeśli pan wybaczy...

- Jesteśmy przygotowani na to, by zwrócić się do sądu z prośbą o ustalenie ojcostwa, księżę jednak wolałby uniknąć kolejnego skandalu, przez wzgląd na chłopca, oczywiście.

- Nie odważyłby się!

- Niestety, sądzimy...

- Mówiłam panu, że nie dbam o pana i pańskie poglądy! - Z ogniem w oczach cedziła słowo po słowie: - Może pan powiedzieć Adrianowi Delacourtowi, że kiedyś pozwoliłam mu zbrukać moje nazwisko i mój honor, ale to się już nie powtórzy. Jeśli spróbuje wnieść przeciwko mnie pozew, żeby odebrać mi Justina, powiem światu całą prawdę, i to on wyjdzie na głupca. Powinna być prze-mówić poprzednim razem. Niech mi pan wierzy, drugiej

szansy nie zmarnuję. Zobaczymy wtedy, kto będzie musiał wynieść się z okolicy. Roxbury gorzko pożałuje dnia, w którym wpadł na równie niedorzeczny pomysł.

- Podobieństwo między nim a chłopcem jest dość znaczne - przypomniał prawnik poważnie.

- Nie ma żadnego znaczenia, do kogo jest podobny, panie Thorpe. Mój syn urodził się jako syn Gary'ego i wątpię, czy znajdzie się w Anglii sąd, który spróbuje ten fakt podważyć bez mojego wyraźnego życzenia. Jak pan zapewne wie - dodała jadowicie - w tym kraju prawo opiera się na tym, co zdarzyło się w przeszłości. Proszę, niech pan poda jeden przykład, gdzie dziecko, urodzone po ślubie i uznane przez męża za własne, stało się pełnoprawnym potomkiem innego mężczyzny. - Nie czekając na odpowiedź, podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież. - Niech pan nie zapomni kapelusza, sir, bo go pan straci. Nie zostanie pan więcej wpuszczony na teren mojej posiadłości.

- Czy to pani ostatnie słowo w tej kwestii? Jego miłość miał nadzieję, że uda mu się oszczędzić pani nieprzyjemności, ale...

- Czyżby? - Usta jej wykrzywiły się w grymasie rozgoryczenia, którego tak bardzo starała się nie okazywać.

- Tak jak łaskawie oszczędził mi ich w przeszłości? Proszę mu przekazać, że będę walczyć z nim do upadłego, zanim bodaj pozwolę mu porozmawiać z moim synem. A gdyby ważył się kiedykolwiek pojawić na ziemiach należących do Haven, każę go aresztować za najście.

- Nie wysłuchała mnie pani - zaprotestował Thorpe.

- Zegnam pana. - Czekala przy drzwiach.

- Świetnie, lady Carew, choć jego miłość nie będzie zadowolony. Przeciwnie, może się pani spodziewać, że skontaktuje się z nią w mniej przyjemny sposób. Nie muszę chyba przypominać, że jest majątnym i ustosunkowanym człowiekiem. - Prawniki złapał kapelusze i prze-

szedł do holu, gdzie Thomas i kamerdyner Wilton czekali, by wypuścić go na deszcz.

Joanna wróciła do salonu i stanęła przy oknie, obserwując zza kotary, jak staroświecki powóz toczy się nieporadnie w dół podjazdu, po czym skręca na drogę. Do oczu cisnęły się jej łzy wściekłości i rozgoryczenia, lecz nakazała sobie spokój. Zastanawiała się nad następnym krokiem. Zatem Adrianowi się zdaje, że dostanie Justina, tak? No to się grubo myli. A jeśli nie? Sama taka możliwość sprawiła, że serce w niej zamarło. Raz doprowadził już do tego, że źle ją osądzono, a teraz, po śmierci Gary'ego, tamta sprawa może zadecydować o jej losie. W ewentualnym procesie wystąpiłaby teraz w roli cudzołożnicy, kobiety, której winy dowiedziono w sądzie. Czyżby zamierzał zakwestionować jej prawo do wychowywania Justina? Czy umyślił sobie zostać prawnym opiekunem chłopca, by go jej wydrzeć? Opadła na fotel i pogrążyła się w zadumie.

Miała w zanadru jeszcze jeden atut: Barrasforda. Wszystko Johnny'emu wytłumaczy. Będzie z nim uczciwa, a jeśli on nadal będzie chciał ślubu... cóż, mogła trafić o wiele gorzej. Miała już za sobą małżeństwo oparte na namiętności i drugie, na wzajemnej życzliwości, i to drugie okazało się o wiele bardziej trwałe. Żeby tylko Johnny zrozumiał...

- Mamo?

Puściła zasłonę, która opadła z szelestem, i odwróciła się do Justina, przywołując na usta drżący uśmiech. Mi na chłopca zdradzała niezadowolenie i zniecierpliwienie; uprzykrzył mu się deszcz, który tak długo więził go w domu.

- Cóż, panie żaku? - powiedziała z beztroską, od której była daleka. - Jak udało ci się wymknąć pannie Finchley tym razem?

- Robin chciał, żebyśmy zagrali w bierki. - Przez chwi-

lę wodził czubkiem buta wzdłuż wzoru na wełnianym dywanie. - Ja nie.

- Ach, tak. W takim razie możesz posiedzieć ze mną. Możemy pograć w karty albo może ci poczytać? - zaproponowała.

- Nie cierpię tego deszczu! Ja chcę do domu!

- Tu jest twój dom, skarbie - przypomniała mu łagodnie. Wybuchnął płaczem i rzucił się na sofę. Szlochał z twarzą wtuloną we wzorzysty adamaszek.

- Nie podoba mi się tu! Ja chcę do taty!

- Justin... Justin... - mruzczała czule, siadając obok niego i głaszcząc go po ciemnych włosach. - Tak nie można, serduszek, nie można. Ja też tęsknię za tatą, wiesz?

- To nie fair! Tata mnie kochał!

- Oczywiście, że tak. I ja też cię kocham. Ale on już nie wróci, Justinie, i musisz się z tą myślą pogodzić. - Poprawiła się na sofie i z trudem posadziła sobie synka na kolanach. - Twój tatuś nie chciałby, żebyśmy żyli przeszłością, wiesz? Chciałby, żeby nasze życie toczyło się dalej i żebyśmy jak najlepiej radzili sobie bez niego. - Mały przestał płakać i wtulił buzię w jej pierś. - Być może czas już na nowe życie i nowego tatę - zasugerowała cichutko, nie przestając pieścić jego ciemnej czupryny.

Zesztywniał w ramionach Joanny, a potem zaczął się szamotać, odpychając ją od siebie.

- Nie chcę nowego taty! Chcę mojego tatę! - wykrzyczał jej w twarz. W ciemnych oczach ponownie wezbrały łzy, drobna bródka buntowniczo wysunęła się do przodu. - Mamo, ty nie rozumiesz! Ja nienawidzę Boga!

- Justinie...

Ześlizgnął się z jej kolan i pobiegł do drzwi, wykrzykując przez ramię:

- Nie chcę innego taty! Chcę pójść z moim! Żałuję, że mnie z nim nie ma!

- Justin! Justin!

Chciała za nim pobiec, ale pomyślała, że nie byłoby to rozsądne; lokaje Thomas i James złapali go w holu, a Wilton zapytał z udawaną srogością, dlaczego to młody panicz galopuje po domu. Justin raz w życiu nie zapomniał o dobrych manierach i wymamrotał zdawkowe przeprosiny. Następnie Joanna usłyszała, jak Thomas mówi, że taki deszcz może każdego młodego człowieka wprowadzić w fatalny humor, ale jeśli tylko panicz Justin zechce poczekać, aż skończą polerować talerze, to będą mogli zejść do piwnicy i pobawić się w przemytników. Może lokaj lepiej się spiesze, pomyślała, ona sama dość już pogorszyła sytuację.

Mrok panujący w pokoju i strugi deszczu na szybach nie nastrojały optymistycznie.

- Gary, chciałabym, żebyś tu był - wyszeptwała. - Tak bardzo cię potrzebuję. - Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Wiedziała, że nie może poddawać się podobnym myślom. Nie, im szybciej przestanie patrzeć wstecz, tym łatwiej upora się z Adrianem. Choć Justin tak żywiołowo sprzeciwił się jej kolejnemu małżeństwu, było to jedyne rozwiązanie, by mogła zachować przy sobie syna. Nawet przez minutę nie wątpiła, że uprzejmy i sympatyczny lord Johnny podbije serduszka obu chłopców. Z tym że zajmie to trochę czasu, a tego akurat nie miała.

- Jeszcze tu jesteś, kochanie? Zdawało mi się, że Wilton wyprowadzał kogoś jakiś czas temu. - Anne Sherwood miała już wejść do salonu, kiedy nagle zatrzymała się w miejscu. - Och, moja droga... Czy coś się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Owszem, stało się coś strasznego. - Joanna odwróciła się i zdobyła na przelotny, gorzki uśmiech. - Obawiam się, że pan Thorpe nie interesuje się bynajmniej naszym kominem. To prawnik, przyszedł powiadomić mnie, że Adrian zamierza odebrać mi Justina.

- Och, nie! Joanno, chyba nie zrobiłby czegoś takiego! Przecież sąd... To absurd?!

- Zamierza dowieść, że cudzołożnica nie powinna wychowywać dzieci albo coś w tym guście. Będzie się pewnie ubiegał o prawo do opieki nad Justinem, a może i nad Robinem. Przecież braci nie rozdzieli, prawda?

- Gdyby każda zdrada nagradzana była jedną monetą, połowa szacownych matron z towarzystwa miałaby...

- Tak, lecz im nie dowiedziono tego w sądzie - podkreśliła Joanna ponuro. - Ale dopóki żyję, nie uda mu się, mammo - oznajmiła z żarem. - Syn zostanie przy mnie, nawet jeżeli oznacza to, że będę musiała wyjść za Barrasforda.

- Jednak myślisz o nim poważnie?

- Jak słusznie zauważyłaś, związek z nim ma wiele plusów.

## 12

- Lord Barrasford, milady - zapowiedział gościa Wilton.

- Droga Joanno, przyjechałem najszybciej, jak się dało - oznajmił Johnny, idąc przez pokój, by uścisnąć jej dłoń. - Daruj mój wygląd, ten piekielny deszcz zmienił ziemię w istne grzęzawisko. Przecież wiesz chyba, że rzekę wpław bym przepłynął, żeby cię zobaczyć.

Zamrugała powiekami, poruszona ciepłem i żarliwością w jego głosie, ale też zaskoczona. Nie spodziewała się go tak szybko - przecież dopiero co wrócił jej posłaniec z Aston Glen, pobliskiej rezydencji Johnny'ego. Wygląd lorda Barrasford przeczył jego słowom: na jego płowożółtych, zamszowych bryczesach i wyglansowanych, wysokich, drogich butach nie widniała ani jedna plamka błota. Stanowił uosobienie elegancji: jasne, falujące włosy ułożone miał w misterną fryzurę, śnieżnobiały krawat finezyjnie zawiązany zgodnie z nakazami najnowszej mody. Prosty, ciemny

płaszcz od Westona, nadający się na reklamę jego krawieckich talentów, idealnie leżał na szerokich, atletycznych ramionach. Gość roztaczał nieomylną aurę nieostentacyjnego bogactwa i dobrego smaku. To jednak jego piękne, szare oczy czyniły go tak przystojnym. A dziś w oczach tych malowało się pytanie, na które zamierzała odpowiedzieć.

Wzięła głęboki oddech, żeby pozbierać skołatane myśli. John Barrasford to ideał mężczyzny, powiedziała sobie trzeźwo, na pewno z czasem go pokocha, tak jak pokochała Gary'ego. Zdobyła się na powitalny uśmiech. Skinieniem głowy wskazała fotel.

- Zechce pan usiąść, milordzie? Może napije się pan czegoś? - Własny głos obco zabrzmiał w jej uszach. - Niestety moja teściowa musiała się położyć, nie najlepiej się czuje, będziemy więc skazani na własne towarzystwo.

Jeśli nawet wyczuł w jej głosie napięcie, nie dał po sobie niczego poznać. Niechętnie puścił drobne dłonie i cofnął się, żeby usiąść. Przystojna twarz nie zdradzała zaskoczenia faktem, iż został poproszony o przebycie wielu mil po to tylko, by napić się herbaty.

- Z największą chęcią - odparł szarmancko i oczy mu się uśmiechnęły.

Pociągnęła za sznurek od dzwonka. Jamesowi, który pojawił się jak duch, poleciła przynieść małe, ponczowe ciastka i podać herbatę. Potem, jakby tknięta nagłą myślą, poprosiła, by panna Finchley przyprowadziła na dół dzieci. Następnie zwróciła się do Barrasforda:

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, sir, ale chciałabym, żeby poznał pan mojego młodszego syna. Nie ma jeszcze czterech lat, ale umie zachować się w towarzystwie - powiedziała z dumą.

- Mówiłem ci już, pani, że lubię dzieci - przypomniał.

- No, tak... - zawahała się, po czym dokończyła męźnie: - może okazać się, że lubi pan wszystkie dzieci, z wyjątkiem tych.



- Miła pani, nie jesteś pewna, czy je polubię? - W oczach jego błysnęło rozbawienie.

- Tak, i co równie ważne, czy one polubią pana - przyznała otwarcie.

- Rozumiem. Zatem to ja zostanę poddany próbie, prawda?

- Chciałabym się tylko przekonać, czy zdołacie się porozumieć.

- Ślubuję przyłożyć wszelkich starań, by wydać się im sympatycznym - dodał z kamienną powagą.

- Och, nie proszę, żeby świadomie zabiegał pan o ich względy, milordzie. Co to, to nie... - Uśmiechnęła się, nagle rozbawiona podniosłym tonem, w którym przebiegała rozmowa, aż na jej policzkach ukazały się dołeczki. - Z żalem muszę uprzedzić, że moi synowie potrafią porządnie dać się we znaki.

- Zdziwiłbym się, gdyby tak nie było. W końcu to chłopcy.

- Boże kochany! - wykrzyknęła nagle Joanna i zerwała się na równe nogi. Nerwowo podeszła do kominka i wsparła dłoń na wykończonej gzymsem półce. - Fatalnie się za to zabieram, prawda? Widzi pan, jestem zdania, że prawa rządzące rozmową towarzyską tak ją ograniczają, że aż nadto w niej niedopowiedzeń. - Odwzajemniła spojrzenie Barrasforda i zachichotała nerwowo. - No i proszę, znowu mówię to, co wypada, zamiast przejść do rzeczy. Milordzie... Johnny... chciałam powiedzieć, że podjęłam decyzję.

Natychmiast znalazł się przy niej.

- Zatem nie myślę się, przyjmiesz moje oświadczyzny. Joanno...

- Pod pewnym warunkiem, milordzie - wtrąciła szybko. - Może kiedy dowie się pan wszystkiego, nie będzie pan już...

Przerwało im pojawienie się Jamesa, który przyniósł

tacę z herbatą i ciastkami, potem zaś do salonu weszła panna Finchley z chłopcami. Na widok Barrasforda guwernantka wydała zdławiony okrzyk i zatrzymała się jak wryta, przyciskając do ust dłoń. Niemal natychmiast odzyskała panowanie nad sobą i powiedziała już spokojniej, patrząc na Joannę:

- Najmocniej przepraszam za najście, ale powiedziano mi, że życzy sobie pani zobaczyć dzieci.

- Nic nie szkodzi, chciałam przedstawić panią i dzieci lordowi Barrasfordowi. Johnie, poznaj pannę Finchley.

- Lordzie Barrasford... - Panna Finchley skinęła głową w geście powitania, kiedy jednak wzrok jej padł na urodziwą twarz gościa, spłonęła rumieńcem.

- Panna Finchley. - Podszedł do niej. - Ale my się już przecież znamy, prawda?

Rumieniec na twarzy guwernantki pociemniał.

- Tak - wyszeptła. - To było tak dawno, milordzie. Nie sądziłam, że będzie pan pamiętał.

- Nonsens. Panna Charlotte, najstarsza córka pastora. Dość dobrze pamiętam pani ojca. - Zerkając znad ramienia na Joannę, dodał wyjaśniająco: - Panna Finchley mieszkała niedaleko od siedziby mojego ojca chrzestnego w Baxter Greys. Jej ojciec był tam duszpasterzem. Ale, droga panno Charlotte, jak to się stało, że...? To znaczy, nie chciałbym być wścibski, ale przenigdy nie spodziewałbym się spotkać cię tutaj.

Wbiła wzrok w swoje ręce, by po chwili podnieść głowę.

- Cóż, okoliczności się zmieniają, milordzie. Ojciec umarł, a mama poślubiła pana Wellstona.

- Wellston? Nie przypominam sobie.

- Przeniósł się do Baxter Greys jakieś siedem lat temu, niedługo przed śmiercią ojca. Robił wrażenie dżentelmena, przyznaję. Swego czasu miał spore dochody, które zdążył roztrwonić jeszcze przed ślubem. Widzi

pan, miał upodobanie do hazardu i niewielki majątek mamy nie wystarczył mu na długo.

- Moja droga, nie miałem pojęcia.

- Nie narzekam na moje życie. Przeciwnie, z niedostatku zaczęłam uczyć, a uczyć lubię.

- A pani siostry?

- Meg wyszła za pana Hoopesa.

- Za starego Hoopesa? Chryste, przecież on jest dobrze po sześćdziesiątce?! A ile lat ma siostra? Nie może mieć więcej niż dwadzieścia. Przecież pani...

W orzechowych oczach malowało się rozbawienie.

- Ja mam dwadzieścia cztery, zatem Meg dwadzieścia dwa. A Lizzie dziewiętnaście. Do szaleństwa zakochała się w pewnym oficerze - dodała panna Finchley. - Jest chyba z nas najszcześliwsza.

- Ale żeby za Hoopesa?

- Meg nie miała posagu, milordzie. Podejrzewam, że wolała zostać żoną starca niż damą do towarzystwa. A w odróżnieniu ode mnie nie przepada za dziećmi - wyjaśniła szczerze. - Myślała, że z racji wieku pan Hoopes nie będzie chciał założyć pełnej rodziny.

- Rozumiem. - Ochłonął nieco i ściszym głosem powiedział ze współczuciem: - Dowiedziałem się o śmierci pani ojca, kiedy bawiłem w Hiszpanii. Gdyby nie to, nie omieszkałbym przyjść na pogrzeb. To był dobry człowiek, panno Finchley.

- Dziękuję.

- Panny Finchley - wyjaśnił, patrząc na Joannę - były najładniejszymi dziewczętami w Baxter Greys z uwagi na te piękne, rude włosy, które możesz właśnie podziwiać. Chociaż, jeśli dobrze pamiętam, to właśnie z panną Charlotte rodzice mieli najwięcej kłopotu - dodał, uśmiechając się szeroko.

- Rzeczywiście jako dziecko byłam nieznośna, milordzie - przyznała guwernantka. - Teraz jednak za-

chowuję się o wiele stateczniej, mogę pana zapewnić.

- Nie wątpię. - Objął spojrzeniem jej smukłą sylwetkę, prostą suknię, burzę niesfornych, kasztanowych włosów, które nie do końca poddały się próbie upięcia w niski koczek. - Ale dalej jest pani śliczną dziewczyną.

- Niepoprawny z pana pochlebca, milordzie. - Guwernantka, zawstydzona i pełna obaw o swoją posadę, nieśmiało spojrzała na Joannę. - Milady, przyprowadziłam chłopców zgodnie z pani życzeniem. Justin, pokłonił się lordowi Barrasfordowi - dodała, lekkim szturchnięciem dając znać starszemu chłopcu, żeby zrobił krok do przodu. Gdy ten posłusznie kiwnął głową, delikatnie popchnęła w stronę gościa młodszego. - Lordzie Barrasford, pozwoli pan, że mu przedstawię panicza Roberta Sherwooda.

Lord Johnny popatrzył na jednego, potem na drugiego i zdumiał się, że bracia tak bardzo mogą się od siebie różnić: starszy zdradzał wyraźne podobieństwo do Roxbury'ego, młodszy miał rudawe włosy i jasną karnację, ale do matki nie był zbyt podobny. Obserwująca mężczyznę Joanna kiwnęła głową.

- Obawiam się, że niewiele mają po mnie.

Przez chwilę Barrasford przyglądał się rudym kędziom Robina, zaróżowionym, krągłym policzkom i jego jasnej skórze, po czym ponownie spojrzał na Joannę.

- Mimo wszystko widzę pewne podobieństwo - oznajmił.

- Tak? Teściowa zapewnia mnie, że wygląda zupełnie jak Gary.

Mocno zbudowane, nieco pucołowate dziecko, czując się nieswojo pod badawczym wzrokiem przybysza, wybuchnęło nagle:

- Nie lubię imienia Robert! Wolę Robin.

- Zatem tak będę do ciebie mówił. - Uwagę skierował na ciemnowłosego chłopca i spytał: - A ty? Jak mam się do ciebie zwracać?

- No, nie lubię tego „milordzie” - wyznał Justin konfidencjonalnie. - A ty?

- Nigdy nad tym się nie zastanawiałem. Moi rodzice zmarli, kiedy byłem bardzo młody, i wcześniej musiałem się do tego przyzwyczaić. Prawdę mówiąc, to nie pamiętam, żeby inaczej się do mnie zwracano.

- Księżciu to też nie przeszkadza, ale mnie okropnie. Chciałbym, żeby mój tata tu był, żeby znowu był Justinem.

- Rozumiem.

- Znałeś mojego tatę?

- Niestety nie. Nie było mnie tutaj, kiedy mieszkał tu twój tata.

- Księżę go znał.

- Justinie... - Joanna modliła się w duchu, żeby mały znów się nie rozpłakał, nie w obecności Barrasforda.

- Nie, nie... wszystko w porządku - zapewnił ją John, schylając się, żeby porozmawiać z chłopcem. - Ale wiem, że polubiłbym twój ojca. Miał twoją mamę i ciebie, a to znaczy, że musiał być nadzwyczajny - dodał ciepło, po czym taktownie zmienił temat: - Jeździsz konno?

- Troszkę.

- Zatem koniecznie odwiedź mnie w Irlandii. Mam dużą stajnię, a w niej więcej koni, niż zdołałbyś zliczyć. Mógłbym się też założyć, że znalazłby się i kucyk dla ciebie. Nawet się nie obejrzyysz, a będzie z ciebie wytrawny jeździec.

- Ja też chcę kuczka! - rozszczebiotał się nagle Robin. - Nie, konia! Mamo, czy ja też mogę dostać konia?

- Kuczka - poprawił go z uśmiechem Barrasford. - Na początek dostaniesz kuca i powóz, a jak troszkę podrośniesz, będziesz mógł jeździć w siodle.

- Kuczka! I powóz! - powiedział nabożnie chłopiec. - Słyszysz, Justin?

- I to całkiem niezgorszy. Zielono-biały, z siedzeniem dla woźnicy i dodatkowym miejscem, żebyś mógł kogoś

przewieźć. Ja sadzałem na nim mojego wyźła i wozilem go, kiedy byłem mały.

- Kiedy? Kiedy pojedziemy? Kiedy? - dopytywał się Robin niecierpliwie.

- A to już zależy od waszej mamy - odparł Barrasford.

- Mamo?

- Niebawem, kochanie, niebawem. - Uśmiechnęła się do Johnny'ego ponad głową Robina. - Myślę, że da się to zorganizować.

Justin obejrzał się dokładnie w chwili, gdy Robin zadawał swoje pytanie. Zauważył spojrzenie, jakie posłała gościowi matka, i bardzo mu się ono nie spodobało. Zaniepokoił się.

-A ja nie chcę! - oznajmił znieca. - I nie pojedę! Konia też nie chcę!

-Justin! - skarciła go ostro panna Finchley. - Gdzie twoje maniere?! Przeproś milorda za ten ton!

- I jego też nie lubię!

- Justinie - głos Joanny był opanowany, ale stanowczy - natychmiast przeprosisz lorda Barrasforda, potem wrócisz do pokoju dziecinnego, a Robin zostanie z nami na herbatę.

Łzy napłynęły Justinowi do oczu, bródka zadrgała niebezpiecznie. Zerknął ukradkiem na matkę. Wyraz jej twarzy był jednoznaczny - nie było mowy o dalszym nieposłuszeństwie. Łypnął ponuro na Barrasforda i smętnie kiwnął głową.

- Przepraszam - wymamrotał niewyraźnie, odwrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju.

- A ja chcę pojechać - obwieścił Robin.

- Naturalnie - uspokajała Joanna - i pojedziesz. Jestem pewna, że Justin zmieni zdanie, kiedy się troszkę zastanowi.

Następny kwadrans, spędzony na towarzyskiej rozmowie przy herbatce i ciastkach, dłużył się Barrasfordowi niemiłosiernie. Po wyjściu starszego syna entuzjazm Jo-

anny osłabł wyraźnie. Siedziała w milczeniu, a panna Finchley usiłowała nieśmiało podtrzymywać uprzejmą konwersację. Od czasu do czasu Robin wtrącał do rozmowy swoje trzy grosze, zarzucając mężczyznę pytaniami o obiecany kuca i powozik. Jego maniery pozostawiały zaskakująco niewiele do życzenia i Johnny przytapał się na tym, że stara się wciągnąć chłopca do rozmowy. Następnie, kiedy uprzątnięto puste filiżanki, Robin podszedł do niego, zafascynowany jego zegarkiem kieszonkowym, i nagle znalazł się na kolanach gościa.

- Robin, wygnieciesz milordowi bryczesy - zaproponowała Joanna.

- Nonsens, i tak deszcz już zrobił swoje. Poza tym mówiłem już, że lubię dzieci, nieprawdaż? Zawsze żałowałem, że nie mam rodzeństwa. - Ponownie skupił uwagę na chłopcu. - Proszę, chcesz zobaczyć, co jest w środku? - Nacisnął jakiś guziczek i wieczko odskoczyło. - Widzisz?

- Aha.

- Reynolds namalował tę miniaturę dla mojego ojca, zanim jeszcze się urodziłem.

- A to kto? - spytał chłopiec, zerkając ciekawie.

- Moja matka, kiedy była młodą dziewczyną. Zatrzymałem tę miniaturę, żeby nie zapomnieć, jak wyglądała.

- Wiesz, mój tata nie żyje.

- Mój także. Umarł, kiedy byłem taki mały jak ty.

- Łódka taty wyróciła się do góry dnem. - Robin ponownie przyjrzał się portrecikowi. - Nie jest taka ładna jak moja mama.

- Robin!

- No cóż, nie wiem, czy widuje się równie ładne mamy - zgodził się Johnny z uśmiechem.

Joannę i pannę Finchley także ogarnęło zaciekawienie. Podeszły, żeby obejrzeć miniaturę. Przedstawiała prześliczną dziewczynę, która przyprószone pudrem włosy

upięte miała w wysoki kok, a na wysmukłej szyi zawieszoną na wstążce kameę.

- Milordzie, ona jest po prostu piękna - zachwyciła się Joanna.

- Podobno właśnie tak wyglądała podczas prezentacji na dworze. Miała wtedy chyba siedemnaście lat.

- A co to? - spytał Robin, poklepując gościa po kieszeni.

- Tabakierka.

- Mogę zobaczyć?

Johnny sięgał już do kieszeni, Joanna powstrzymała go jednak.

- Milordzie, będzie pan miał pogniecione bryczesy i rozsypaną tabakę. Robin, dość już nadużyłeś uprzejmości milorda jak na jeden dzień. - Wyciągnęła do niego rękę, chłopiec podał jej swoją i zsunął się z kolan Barrasforda. - A teraz idź, proszę, z panną Finchley poszukaj brata...

- Ale, mam, ja lubię lorda Barrasforda! Czy nie mógłbym...

- Obawiam się, że nie, nie dziś. - Widząc, że buzia mu się wydłuża, potargała mu żartobliwie włosy. - Pewnie jeszcze się z nim zobaczysz. Nie, jestem tego pewna. No, biegaj.

- Nie zapomnij o kucyku! - zdążył jeszcze zawołać Robin, gdy guwernantka wypychała go stanowczo przez drzwi.

- Nie zapomnę - przyrzekł Johnny uroczyście. - Zaraz po powrocie do domu każę odmalować powóz. Kiedy mnie odwiedzisz, będzie już na ciebie czekał. Justinowi możesz powiedzieć, że specjalnie dla niego zamówię siodło.

- Byczo!

Charlotte Finchley odwróciła się, by rzucić Barrasfordowi jeszcze jedno spojrzenie.

- Do widzenia, milordzie. Dziękuję za pamięć.

Kiedy ona i chłopiec wyszli, pokiwał ze smutkiem głową.



- Była oczkiem w głowie wielbnego Finchleya. Mawiał, że ta dziewczyna ma więcej rozumu niż wielu młokosów, którym dawał lekcje, zanim rodzice wysłali ich do szkół. Można było przypuszczać, że przy takiej urodzie dobrze wyjdzie za męża. Wiem, że mój kuzyn Ned kiedyś do niej wdychał.

- Cóż, najwidoczniej nie chciał żony bez grosza przy duszy.

- A szkoda. Miał dość pieniędzy, żeby jej sytuacja majątkowa nie odgrywała roli.

- Niestety, niewielu mężczyzn ma podobne zapatrywania jak pan, milordzie.

- No tak, ale żeby pracowała jako guwernantka? Jakże ją to musi boleć... - powiedział, kręcąc głową.

- Biedaczka musiała znaleźć sobie jakieś szacowne zajęcie. Tak czy inaczej, jak na tak młodą osobkę miała wyśmienite referencje i bynajmniej mnie nie rozczarowała. Świetnie sobie radzi z chłopcami. Prawdę mówiąc, chciałabym zabrać ją z nami do Irlandii.

- Moja droga, możesz zabrać, kogo tylko chcesz - zapewnił ją Johnny. Zerknął w kierunku drzwi. - Wstyd, że kobiety pokroju Almerii Bennington są podziwiane i noszone na rękach, a perła taka jak panna Finchley musi pracować na chleb, prawda?

- Prawda, prawda. Brak posagu skazuje ją na to, że całe życie będzie uczyć cudze dzieci zamiast wychowywać swoje - odpowiedziała cicho Joanna. - Ale nie wiedziałam, że zna pan pannę Bennington.

- Lodową Dziewicę? Wszyscyśmy ją tak nazywali. Och, nie sposób jej odmówić urody, ale jak na mój gust jest zbyt zimna i zbyt kosztowna. Nie tego mężczyzna szuka w kobiecie. - Z dziwnym błyskiem w oku dodał: - Och, nie chciałbym, żeby pani źle mnie zrozumiała. Żona może wiele kosztować, byle tylko umiała zrekompenzować wydatki odrobiną ognia.

- Ach, tak.

- Uraziłem cię, moja droga? - Skruszony, pospieszył z wyjaśnieniem: - Nie było to moim zamiarem, uwierz mi.

- Nic nie szkodzi.

- Jednakże skoro zamierzasz przyjąć moje oświadczenia, uważam, że powinniśmy ze sobą szczerze rozmawiać.

- Tak.

- Joanno, zakochałem się w tobie od pierwszego wejścia.

- Ale...

Podszedł szybko, oparł dłonie na jej ramionach i zmusił do odwrócenia się twarzą do niego.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie dążę do jednego z tych małżeństw, które tak częste są w naszej sferze. Nie szukam „odpowiedniej żony”. Pragnę ognia, Joanno. Rozumiesz to chyba? - Widząc, jak rozszerzają się jej oczy, dodał z naciskiem: - I jestem gotów odpłacić tym samym, masz moje słowo.

- Milordzie...

-Johnny.

- Może już nie będziesz mnie chciał, kiedy dowiesz się, że Adrian zamierza znowu wywlec tamten skandal na światło dzienne.

- Nie ma to dla mnie znaczenia. Ale jeśli sobie życzysz, wyślę do niego sekundantów.

- Nie, nie, uchowaj Boże! - A gdy nachylił ku niej twarz, wyznała odważnie: - Potrzebuję twojej pomocy, Johnny. On... on chce mi odebrać Justina. - Nerwowo zamrugała powiekami, boleśnie wręcz świadoma tego, iż twarze ich znalazły się w odległości zaledwie kilku cali.

- Nie sądz, milordzie, że łatwo mi zwracać się do pana. Wierzę, że jesteś pan moją jedyną nadzieją na pokonanie Adriana.

- Joanno. - Głos Johnny'ego brzmiał miękko, ciepły oddech owiał jej twarz jak pieszczota. - Nie wiesz, że zmie-

rzyłbym się z samym diabłem, by wziąć cię w ramiona? Niech Roxbury mówi, co chce, niech mówią inni. Jeśli będzie trzeba, będę walczył z nim w samym parlamencie. - Ramiona otoczyły ją ciasno i znalazła się w ciepłym uścisku. Rozchyliła wargi, by przyjąć delikatny pocałunek, a gdy ten stał się bardziej gwałtowny, opasała dłońmi jego szyję. Zamknęła oczy, czując przy sobie, jak kiedyś, silne, męskie ciało. Rok bez mężczyzny zrobił swoje - dotyk Johnny'ego sprawił, że krew w niej zawrzała. Przywarła do niego, dopominając się o jeszcze.

- Joanno... - powiedział ochryple, kiedy w końcu oderwał się od jej obrzmiałych ust. - Boże mój... - wyszeptał, wpatrując się w jej twarz. Kiedy wreszcie otworzyła oczy, był szczęśliwy, widząc w nich odbicie własnej żądy. Przycisnął Joannę do siebie, niemal miażdżąc, i rozkoszował się dotykiem jej ciała, mrużąc w pszenicznoszłote włosy. - Będiesz ze mną szczęśliwa, przysięgam. Zaraz po ślubie zabiorę ciebie i chłopców do Irlandii. Jeżeli pozwolisz, natychmiast dam anons do prasy. Uzyskam tylko dyspensę i pobierzemy się, kiedy tylko będziesz chciała, Jo.

Jo. Uświadomiła sobie, że Adrian tak się do niej zwracał, i zadrzała. W tej samej chwili poczuła, jak gaśnie żar, który chwilę wcześniej trawił jej ciało. Boże kochany, jak to możliwe, żeby po tylu latach nadal czuła ten sam ból? By tak samo dręczyła utracona namiętność? Nie uleczyło jej nawet sześć lat u boku Gary'ego. A teraz, w ramionach lorda Barasforda, poczuła się nagle winna - jakby oszukiwała i jego.

Zrozumiał, że jej ciało usztynnia się, jednak opacznie zrozumiał przyczynę. Puszczając ją, posłał w jej kierunku krzywy uśmiech.

- Zbyt szybko się pospieszyłem, prawda? - mruknął smętnie. - Powinienem być wiedzieć, że potrzebujesz więcej czasu, żeby oswoić się z sytuacją.

- Po prostu chciałabym wierzyć, że będziesz ze mną szczęśliwy.

- Już jestem.

Wpatrywała się z uwagą w jego twarz, myśląc, że powinna być szczęśliwa, że nie może się niepotrzebnie zamartwiać.

- Mam tyle do zrobienia. Musimy się spakować. To potrwa.

- Ile potrzebujesz czasu?

- Dwa tygodnie, może trzy. Muszę oswoić z tą myślą Justina i Robina.

- A Roxbury?

- Niewiele w tym czasie wskóra, nie sądzisz?

- Racja. A anons w kronice towarzyskiej dodatkowo pomiesza mu szyki. - Odsunął się i odetchnął głęboko. - Cóż, zatem sprawa załatwiona. Każę szykować dom na wasze przybycie. Naturalnie, kiedy już go obejrzysz, będziesz mogła spokojnie przemeblować go wedle własnego uznania. Mieszka się w nim całkiem wygodnie, ale nie pamięta kobiecej ręki od czasu, kiedy byłem w powijkach.

- Na pewno mi się spodoba.

- Sam zamek liczy sobie mniej więcej pięćset lat, ale posiadłość jest starsza. Powstała jeszcze za panowania królowej Elżbiety. Dzięki uporowi mojej prababki park i ogrody zostały przeprojektowane przez samego Capability'ego Browna i jego zięcia, Henry'ego Hollanda, i nadal są wyjątkowo piękne. Hodujemy też konie czystej krwi. To raj dla chłopców, wspaniałe miejsce dla dzieci - twoich i naszych. Będą miały konie, psy, gęsi, nawet koty. Wszystko, czego tylko będą chciały. A ja mam nadzieję, że i nam dwojgu będzie tam cudownie.

- Tak.

- Jeszcze dziś dam anons.

- A ja powiem chłopcom. Jesteś na najlepszej drodze, żeby zaprzyjaźnić się z Robinem, ale on tak naprawdę nie pamięta Gary'ego. Justin, jak zdążyłeś się przekonać, to inna sprawa. Myślę, że na początku nie będzie szczęśliwy.

- Może byłoby mu łatwiej, gdybym to ja mu powiedział? - spytał niepewnie Johnny.

- Nie sądzę.

- To jeszcze dziecko, Jo. Będzie pewnie potrzebował czasu, żeby przywyknąć do nowej sytuacji, ale gwarantuję ci, że to minie. Wiesz co, następnym razem, kiedy przyjadę do was z wizytą, przywiozę mu tego kucyka. Obiecuję zrobić wszystko, żebyśmy się lepiej poznali.

Burza, która wcześniej jakby ucichła, wróciła ze zdwojoną siłą. Gdzieś niedaleko uderzył piorun; domem wstrząsnął grzmot. Johnny wyjrzał przez okno na ciemniejące chmury.

- Coś mi się widzi - zauważył, marszcząc czoło - że nadciąga istna nawałnica. Mogę mieć kłopot z powrotem, rzeka była wezbrana już wtedy, kiedy przeprowaiałem się w tę stronę. Powinienem się zbierać, chyba że życzysz sobie zbulwersować sąsiadów, oferując narzeczonemu nocleg.

Zwróciwszy się do Joanny przodem, uniósł do ust jej delikatną dłoń i szarmancko ucałował każdy palec. Z figlarnymi iskierkami w oczach wyjaśniał:

- Z chęcią ucałowałbym twe usta, moja droga, ale obawiam się, że wtedy nie zdołałbym od ciebie wyjść, - Ścisnął lekko jej palce i cofnął rękę. - Uczyniłaś mnie szczęśliwym człowiekiem, naprawdę. Nie, nie, proszę, nie odprowadzaj mnie. Wolę zapamiętać cię taką, jaką widzę teraz: pełną oczekiwania, a nie machającą na pożegnanie.

Po tych słowach wyszedł z salonu. Był już w holu, gdy nagle kątem oka dostrzegł za jednym ze stołów jakieś poruszenie. Bez namysłu zawrócił i obszedł rozległy podest, by natknąć się na przycupniętego na schodach Justina w mokrych, ubłoconych nankinach i kompletnie zniszczonych butach. Kończące się u jego stóp ślady błocka zaczynały się w głębi domu.

Barrasford oparł się biodrem o krawędź stołu.

- Byłeś na dworze? - spytał swobodnie.

- Tak - padła ponura odpowiedź.
- Panna Finchłey będzie się o ciebie niepokoić.
- Co mi tam!

- Justinie - Johnny przyjrzał się buntowniczo wysuniętej drobnej bródce - nie będę udawał, że wiem, dlaczego tak bardzo mnie nie lubisz. Myślę jednak, że sprawiedliwość wymagałaby, żebyśmy się najpierw trochę poznali, zanim mnie ostatecznie ocenisz. - Chłopiec wpatrywał się przed siebie w kamiennym milczeniu. Barrasford westchnął i spróbował jeszcze raz. - A może sądzisz, że chcę odebrać ci mamę? Jeśli tak, to mogę cię zapewnić, że niepotrzebnie się martwisz. Chcę twoją mamę poślubić, wiesz? Ale to niczego nie zmieni między wami dwojgiem.

- Nie chcę, żebyś był moim tatą! - rozkrzyczał się nagle mały. - Ja już mam tatę! Ty nie możesz nim być!

- To się nie stanie z dnia na dzień, Justinie - kontynuował Johnny łagodnie - ale z czasem nauczymy kochać się nawzajem dlatego, że obaj kochamy twoją mamę, obaj chcemy, żeby była szczęśliwa. Rozumiesz?

- Wolę umrzeć i być z moim ojcem - odparł chłopiec głucho.

- Być może teraz tak myślisz, ale czy naprawdę wierzysz, że twój tato chciałby, żebyś tak się czuł? Naprawdę myślisz, że życzyłby sobie, żebyś odszedł na zawsze i zasmucił matkę?

- Zapomniałaby o mnie, tak jak zapomniała o tacie.

- Nigdy w to nie uwierzę, Justinie. Widzisz, naprawdę można żyć dalej i zajmować się różnymi sprawami, nie zapominając o kimś, kogo się kochało.

- Nie pojedę do Irlandii! Nie pojedę! I nie chcę żadnego kucyka!

Johnny westchnął ciężko.

- Rozumiem, że podsłuchiwałaś pod drzwiami.

- Tak. - Chłopiec podniósł na niego zaczerwienione

od łez oczy. - Wyszedłem z mojego pokoju przez okno i wróciłem wejściem dla służby.

- I co jeszcze słyszałeś? - spytał cicho Barrasford.

- Nic. Miałeś wyjść.

- Może zatem powinienem ci powiedzieć, że twoja mama prosiła mnie o pomoc w sprawie niezwykle dla niej ważnej. A ja będę musiał ją poślubić, żeby móc jej tej pomocy udzielić. Nie wolno ci więc winić jej za to, co robi, Justinie. - Domem wstrząsnął kolejny grzmot. - Muszę już jechać do domu, ale wrócimy do tej rozmowy. Póki co, powinienem jeszcze zdołać przedostać się przez rzekę. - Johnny podniósł się ciężko i pochylił się nad chłopcem, wyciągając do niego rękę. - Skoro nie chcesz, żebym był twoim tatą, może mógłbyś mieć we mnie przyjaciel.

- Wolę księcia, on przynajmniej znał tatę.

Barrasford westchnął ponownie. O wiele trudniej było zaskarbić sympatię chłopca niż jego matki.

- Obawiam się, że to niemożliwe, Justinie, to przez niego mama jest nieszczęśliwa. Być może pewnego dnia wyjaśni ci dlaczego, ale na twoim miejscu na razie bym nie pytał. - Potargał gęste, ciemne włosy Justina. Chłopiec ze złością uchylił się przed jego ręką. - Za jakiś czas sprawy nie będą wyglądały tak źle, maluchu, słowo.

Justin upewnił się, że Barrasford wyszedł, po czym wcisnął twarz w kolana, kwiląc:

- Nie chcę nowego taty, nie chcę!

- Justinie, gdzie ty był? - spytała groźnie panna Finchley, schodząc po schodach. Następnie widząc, że dziecko szlocha, przyklęknęła obok niego. - Ojej, a co to się stało? - gruchała ze współczuciem, przygarniając go do siebie.

- Mama zabierze nas do Irlandii, żebyśmy mieszkali z Barrasfordem, a ja nie chcę jechać! I nie pojedę!

- Rozumiem - powiedziała guwernantka słabo. - Jesteś tego całkiem pewny?

- Finch, słyszałem na własne uszy! - zakwilił głośniej, wtulając twarz w jej pierś. - Och, Finch, ja nie chcę innego taty!

- Justin, a cóż tu się...

Panna Finchley zerknęła sponad ramienia na stojącą w drzwiach do salonu Joannę.

- Znowu się zdenerwował, milady. - Wstała szybko i wygładziła spódnice. - Zaprowadzę go na górę.

- Nie wiem dlaczego, ale zapalał do lorda Barrasforda żywiołową niechęcią.

- Na pewno mu to przejdzie, milady. Nie sposób lorda Barrasforda nie polubić, kiedy się go lepiej pozna. Poza tym on świetnie radzi sobie z dziećmi - dodała pocieszająco młoda kobieta. - Pamiętam, jak kiedyś rzucił płaszcz i usiadł na podłodze, żeby pograć z grupką dzieci w bierki, a przecież to taki elegancki mężczyzna, prawda?

- Prawda. Szkoda, że nie powiedziałaś mi, że się znacie. Już dawno prosiłabym cię na dół, żebyście mogli pogawędzić.

Panna Finchley uśmiechnęła się blado.

- Nie przypuszczałam, że będzie mnie pamiętał - wyznała.

- Dlaczego miałby nie pamiętać? - zdziwiła się Joanna.

- Po śmierci pana Wellstona okazało się, że zostaliśmy bez grosza. Nikt nie zawracał sobie nami głowy. A kiedy mama umarła, tylko pastor, który objął parafię po ojcu, i jego rodzina przyszli na pogrzeb. Reszta tak zwanych przyjaciół mojej matki zdążyła dawno się od niej odwrócić, ponadto musieli się domyślać, że nie są mile widziani.

- Biedactwo...

- Och, pogodziłam się z wyrokami opatrności, milady. Będę jednak musiała napisać do Meg i Lizzy, że lord Barrasford pytał o nie. Widzi pani, Meg miała do niego wielką słabość. Jak każda dziewczyna w Baxter Greys zresztą. Ja chociażby uważałam go za najprzystojniejsze-



go mężczyznę na świecie. - Zawahała się, po czym dodała nieśmiało: - Jeśli nie uzna pani tego za zbytnią śmiałość, chciałabym powiedzieć, że ma pani szczęście. Lord Barrasford to ideał mężczyzny.

- Nie narzekam. To wyjątkowo uprzejmy człowiek.

- Prawda? - Biorąc Justina za rękę, guwernantka dołączyła z podejrzanym wręcz pośpiechem: - Lepiej szybciej wracajmy do pokoju dziecinnego, zanim twój brat zacznie marudzić. Położę go spać, a potem poopowiadam ci jakieś historyjki.

- Jakie?

- Och, czy ja wiem, lubisz Robin Hooda, prawda?

- ... i brata Tucka, i Szkarłatnego Willa... - wyliczał z przejęciem.

- No to opowiem ci właśnie o nich. Chodź już, bo nie starczy nam czasu. To długa historia - mówiła półgłosem panna Finchley, prowadząc chłopca za rękę.

Powtarzając sobie w myślach, że Justin jest zbyt mały, żeby decydować o sobie, Joanna powędrowała z powrotem do salonu. Była przekonana, że z czasem obaj chłopcy nauczą się kochać Johnny'ego. Podeszła do okna i zapatrzyła się w kropiący miarowo deszczyk, modląc się w duchu, by z czasem i do jej serca zapukała miłość. Nadal dręczyły ją wyrzuty sumienia - nie kochała Gary'ego tak, jak na to zasługiwał, i nie chciała w ten sam sposób skrzywdzić Johnny'ego.

## 13

Adrian siedział przy biurku, przeglądając raport rządcy i plik rachunków od kupców, lord Bennington tymczasem czytał ściągniętą z Londynu gazetę. Zajęcia te obu

mężczyznom przynosiły chwilę wytchnienia po gorączkowej krzątaninie, do której zmusiły ich panie - dziś właśnie postanowiły rzucić się w wir porannych wizyt.

Adrian zaklął pod nosem, przeglądając karteluszeki, które matka poutykała jak popadnie w przeróżne zakamarki biurka. Bennington podniósł na niego współczujący wzrok.

- Piekielne uprzykrzenie, uważasz sobie, milordzie. Znaczą się, spłacanie tych cholernych kupczyków. Jakby nie dość, że na koniec kwartału trzeba popłacić honorowe długi, uważasz sobie. Znaczą się, stawiam dziesięć do jednego, że za każdym razem, kiedy człowiek upatrzy sobie pięknego ogiera czy klaczkę albo też jakiś elegancki drobiazg, okazuje się, że mile panie zdążyły już wydać krocie. Dobrze chociaż, że ludzie z naszej sfery te krocie mają.

Adrian złamał pieczęć na kopercie i wysunął z niej rachunek od Thorpe'a.

- Ja tam winię tych przeklętych prawników, którzy wyobrażają sobie, że honorarium należy im się niezależnie od tego, czy się im powiodło, czy nie. - Zgniół kartkę, cedząc zwięźle: - Trzydzieści funtów za spapranie sprawy. Sam lepiej bym to załatwił.

- Utrzymanie takiego majątku jak Armitage musi kosztować ładny grosz, co? A idę o zakład, że to dopiero wierzchołek góry lodowej, o ile znam księżną. Taaak, uważasz sobie, to przyjęcie, które ostatnio wydała, też musiało cię niezłe uderzyć po kieszeni. Chociaż muszę przyznać, że występ Mantiniego z Londynu to wyborny pomysł. A ten jego głos! - Nie zrażony milczeniem Adriana, kontynuował tyradę: - Pozwolę sobie zauważyć, że wobec mojej Almerii zachowujesz się bez zarzutu, milordzie. Chociaż, uważasz sobie, na początku miałem mieszane uczucia. Powiem prosto z mostu, zamierzaliśmy wyjechać po tej waszej małej sprzeczce u lady Sheffield, ale od tamtej pory nie mamy powodu do narzekań.

- Zrobił dramatyczną pauzę. Chrząknął z naciskiem, by zwrócić jakoś uwagę gospodarza, i przeszedł do bardziej drażliwego tematu: - Ale co tu się dziwić, w końcu to był prawdziwy wstrząs. Znaczy się, spotkanie z tą kobietą. - Nie zauważając, że Adrianowi zaciskają się szczęki, poczuł się pewniej i brnął dalej: - Kiepska sprawa. Musiałeś się piekielnie niezręcznie czuć, wręcz pchała ci się przed oczy. Myślałem, że lady Bennington dosłownie zemdleje, kiedy wyprowadzałeś tę kreaturę na zewnątrz. Kiepska sprawa, uważasz sobie. Ale dzięki ternu zrejtrowała z placu boju. Znaczy się, wiedziałeś, co robisz.

Adrian zacisnął pięści; wszystko w nim wrzało. Choć sam na przemian to rozgrzeszał Joannę, to potępiał ją w tym samym, co lord Bennington, duchu, nie zamierzał pozwalać mu na jakiegokolwiek komentarze. Sięgnął po rachunek od rzeźnika i z determinacją wpatrzył się w papier.

- A moja Almeria, na ten przykład, oto dziewczyna, która przyniesie mężczyźnie chlubę, uważasz sobie. Prawdziwa piękność, powiadam, ale nie puszy się, jak niektóre panny. Trzyma innych na dystans, jak damie przystało. W dodatku zna własną wartość. Nie będzie się nikomu wieszać na szyi.

- Nie - warknął Adrian.

Bennington mylnie uznał ten zwięzły komentarz za wstęp do bardziej obiecującej rozmowy.

- Zamierzam ją ładnie wywianować, uważasz sobie. Gdyby oświadczył się o nią mężczyzna z odpowiednim tytułem, nie pożałowałbym grosza. - Wyczekująco wpatrywał się w tył głowy gospodarza, ale Adrian milczał. - Cóż, tak sobie myślę, że nie godzi się być sknerą. Wywianuje się dziewczynę jak się patrzy. - Odchrząknął, po czym oznajmił śmiało: - Gdyby na ten przykład miała zostać księżną, dałbym jej w posagu przynajmniej dwadzieścia tysięcy. I co wasza miłość na to?

Zawiódł się boleśnie. Głos Adriana wionął chłodem.

- Pańska córka, pański problem - powiedział tylko. Z namaszczeniem składając rachunki w schludną kupkę, zaczął sprawdzać je na głos: - Siedem funtów i sześć szylingów. - Skrobnał piórem po pergaminie. - Pięćdziesiąt dwa funty. Dwanaście i trzy szylingi. Sto cztery funty, osiem szylingów, dziewięć pensów. - Kiedy uznał, że w wystarczającym stopniu zapanował nad rozdrażnieniem, machnął rachunkiem od zieleniarza. - Tegoroczne ceny groszku są skandaliczne - zauważył z naciskiem, - Jeszcze gorzej jest już chyba tylko z brzoskwiniami.

Wymowa tych słów nie uszła uwagi lorda Benningtona. Z ciężkim sercem opadł na fotel i skrył swój smutek za gazetą. Książę Roxbury dał jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie rozmawiać na temat małżeństwa z Almerią. W każdym razie jeszcze nie teraz. To jednak nie miało znaczenia, uznał Bennington. Jeżeli książę dobrowolnie nie zdecyduje się na oświadczyzny, zostanie do nich zmuszony. Sprawa była delikatna i Bennington nie chciał naciskać, ale Adrian Delacourt nie pozostawiał mu wyboru. Jeśli najgorętsze pragnienie Almerii ma się ziścić, trzeba jak najszybciej poruszyć kwestię wizyty w Wells.

Adrian skończył sumowanie domowych wydatków i odłożył kwity na bok. Po trzech tygodniach silenia się na minimum uprzejmości wobec Almerii i jej rodziców miał serdecznie dość całej tej wyrachowanej rodzinie. Nic nie studziło ich nadziei na książęcy tytuł. Forsowali plany na to czy inne przyjęcie, taką czy inną wizytę, aż w sąsiedztwie zaczęło huczeć od plotek, jakoby zamierzały złożyć Almerii „pewną propozycję”. Wstał i przeciągnął się, zanim ponownie zaszczycił lorda Benningtona uwagą.

- Dowiedziałem się właśnie, że jeszcze w tym tygodniu muszę wyjechać do Londynu w nie cierpiącej zwłoki sprawie - oznajmił lekkim tonem. - Nie jestem w stanie przewidzieć, kiedy będę mógł wrócić. Naturalnie pan i pańska rodzina możecie zostać tu z moją matką.

- Już w tym tygodniu? - Czerwone oblicze Benningtona zdradzało zaniepokojenie. - Ale... przecież... znaczy się, Almeria mówiła, że chce wybrać się do Wells, milordzie!

Zachcianki panny Bennington również stanowiły drażliwą kwestię, to o nie Adrian najczęściej sprzeczał się z matką. Po krótkim namyśle postanowił z rezygnacją, że po raz ostatni spełni swój obowiązek wobec niepożądanych gości. A potem niech sami znajdują dla siebie rozrywki albo wynoszą się do diabła. Pewnie zresztą zbiorą się kilka godzin po nim. Pokrzepiony tą myślą, odparł uprzejmie:

- Och, zamierzam zabrać tam pannę Bennington na dzień przed wyjazdem.

- Bardzo pan łaskaw. - Starszy mężczyzna odprężył się widocznie i skupił uwagę na najświeższym numerze *Gazette*. - Boże drogi! - wykrzyknął nagle. Ponownie przeczytał niewielkie ogłoszenie umieszczone między kilkoma innymi i zagrmiał: - No, coś podobnego! Nie miałem Barrasforda za takiego głupca! - Spojrzał na Adriana, ten jednak nie poświęcał mu najmniejszej uwagi. - Milordzie! - Zaszleściły kartki. - Nie dasz wiary, ale lady Carew ma nowego wielbiciela! Musi być skończonym durniem, żeby się z nią żenić, ale proszę, na oczach całego świata. Napisali o tym w gazecie.

Ton tryumfu w głosie Bennigtona wystarczył, żeby Adrian wiedział, o kim mowa. Poderwał się z krzesła, w jednej sekundzie znalazł się przy starszym mężczyźnie i wyrwał mu z rąk gazetę. Szybko przebiegł wzrokiem stronice, znalazł uwłaczający anons i przeczytał go parokrotnie. A głosił on czarno na białym, że: „John Arlen Barrasford, lord Kinshannon, anonsuje swoje zaręczyny z Joanną Milford Sherwood, wdową po hrabim Carew. Po kameralnych zaślubinach w domu panny młodej para wyruszy w podróż poślubną za granicę, by na stałe osiedlić się w Kinshannon”.

- Cóż ten Barrasford sobie wyobraża? - zapał Ben-

nington i cofnął się, widząc, że Adrian zadrżał na te słowa. - Przecież człowiek o jego pozycji musi sobie здаwać sprawę z konsekwencji tego kroku! Uważasz sobie, to piekielna głupota, żeby się z taką żenić. Powinien był raczej wziąć sobie tę małą ślicznotkę za kochankę! Phi, też mi hrabina! A ja mówię, że nie nadaje się nawet za ladę do szynkwasu.

- Stul pysk! Stul ten parszywy pysk! - wybuchnął Adrian, kiedy jego twarz odzyskała normalną barwę. - Boże, co ona wyrabia? Przecież go nie kocha, to niemożliwe - mruknął. Zapominając o Benningtonie, zaczął kursować po pokoju, myśląc głośno: - Muszę się zastanowić. Dlaczego? Dlaczego miałyby ponownie wyjść za mąż, i to za człowieka, którego ledwie zna. Gary to jedno, ale Barrasford?

- To jasne jak słońce, milordzie - sapnął pogardliwie Bennington. - Jest bogaty.

- Drogie panie - rzucił Adrian z sarkazmem - Gary zostawił jej tyle, że na niczym jej nie zbywa. Nie, to nie dla pieniędzy. Nigdy o nie nie dbała.

- Może więc był jedynym, który gotów był przymknąć oko na przeszłość tej rozpustnicy. A może zgrał się do nitki i to on potrzebuje pieniędzy - zasugerował starszy mężczyzna. - Ale co to ma za znaczenie?

- Johnny ma dość swoich. Zresztą nigdy nie był łowcą majątków.

- Sir, nie pojmuję, co pan... - Uciszyło go jedno wymowne spojrzenie. - Cóż, co się stało, to się nie odstanie, prawda? Zabierze ją do jednej z tych swoich irlandzkich posiadłości i więcej pan o niej nie usłyszy.

Kinshannon. Irlandia. Kiedy do Adriana dotarło znaczenie tych słów, w jednej chwili pojął wszystko.

- Nie pozwolę na to, nie pozwolę jej wyjechać z Anglii bez walki! - oznajmił Adrian, uderzając pięścią w spód stulonej dłoni. - Nie, Thorpe nie dostanie swoich pienię-

dzy, dopóki nie wybierze się do niej, żeby przedstawić moją następną propozycję. Na Boga, spartaczył sprawę ostatnim razem, ale teraz się nie odważy! - rzucił półgłosem. - A jeśli on sprawy nie rozwiąże, znajdę kogoś, komu się to uda.

- Wasza miłość, nie wierzę, żeby interesowało pana, gdzie ta kobieta przebywa. Po tym, co zrobiła, na końcu świata byłoby zbyt blisko.

- Obawiam się, że nie mogę dopuścić do jej wyjazdu.

- Skoro ma wyjść za Barrasforda, nie widzę, jak mógłbyś pan temu zapobiec - skonstatował Bennington sztywno.

Na twarzy Adriana malował się ponury grymas.

- Zamierzam znaleźć sposób. Nie wyjedzie stąd z chłopcem.

- Z jakim chłopcem?

- To moje prywatne sprawy, sir. Nie życzę sobie żadnej dyskusji.

Nie sposób było nie zauważyć chłodu w głosie Roxbury'ego. Bennington ujął w dłonie *Gazette*, rzucił ogłoszeniu nienawistne spojrzenie, szczerze żałując, że w porę nie ugryzł się w język i nie zniszczył cichaczem tej cholernej gazety.

## 14

Mimo wczesnej pory pogoda była nieznośna: duszna, skwarna i bezwietrzna, tak że służba w Haven musiała pootwierać wszystkie okna i drzwi, porozchyłać okiennice, żeby wpuścić do domu chociaż trochę powietrza. Po raz pierwszy w życiu Joanna z utęsknieniem myślała o niekończących się deszczach, które zwykle zatrzymały

angielskie lato. Niezwykłe gorąco sprawiało, że ubranie lepiło się do ciała i była stale poirytowana. Zgrzana w swojej muślinowej sukni o wysokim stanie, wachlowała fałdą spódnicy wilgotną skórę, z zazdrością myśląc o pewnych damach, które moczyły suknie, by te leżały bliżej ciała, i miała ogromną ochotę spróbować tego samego, choć naturalnie z całkiem innych powodów.

Siła złego na jednego, rozmyślała ze znużeniem. Nawet natura spiskowała, żeby jej dokuczyć. Przygnębiona i z potwornym bólem głowy, zastanowiła się przelotnie, czy nie wrócić do łóżka, ale nie była pewna, czy to przyniesie jej jakkolwiek ulgę. Nie. Kiedy tylko się położy i zamknie oczy, zacznie znowu bić się z myślami i z odpoczynku nici. Nawet gdyby starała się myśleć tylko o Johnnym, w owym dziwnym stanie przejściowym między jawą a snem powróciłby Adrian, by znowu ją nękać.

Wkrótce po tym, jak przyjęła oświadczyzny Johnny'ego, a drogi obeschły po burzy na tyle, by można było zaryzykować podróż, Adrian znowu przysłał do niej swojego prawnika. Fala gniewu i rozgoryczenia oblewała ją za każdym razem, kiedy na nowo rozpamiętywała jego wizytę. Nie chciała pana Thorpe'a oglądać na oczy, Anne jednak była nieugięta; w końcu zeszła na dół, żeby go wysłuchać. Jego miłość skłonny jest pozwolić, powiedział, by Justin u niej na razie pozostał, pod dwoma jednakże warunkami: po pierwsze, chłopiec musi dowiedzieć się, kto jest jego ojcem, po drugie, do uzyskania przez niego pełnoletności Joanna nie może ponownie wyjść za mąż. Na koniec dodał jeszcze, że jego miłość spodziewa się, iż będzie mógł bez przeszkód odwiedzać swojego syna.

Jego syna. Joanna nie potrafiła nawet myśleć o Justinie w ten sposób. A już czystym idiotyzmem był fakt, że Adrian rości sobie do niego jakiegokolwiek prawa - dla chłopca był obcym człowiekiem. Nie, to Gary kochał jej syna, a on odwzajemniał się mu wręcz uwielbieniem.



A zresztą nawet gdyby spróbowała wtedy powiedzieć Roxbury'emu, że nosi pod sercem jego dziecko, nie uwierzyłyby w jedno jej słowo. Ale zobaczył w Justinie samego siebie i każe jej zapomnieć o tym, jak ją zranił, każe oddać rodzone dziecko... Cóż, nie może żądaniom Adriana ulec i nie ulegnie nigdy. Niech następcę da mu Almeria Bennington, a Justina zostawi tam, gdzie jego miejsce. Tak jak życzyłby sobie Gareth Sherwood. Gary nigdy żadnego z chłopców nie faworyzował.

Dobrze, że Johnny gotów jest walczyć o przyszłego pańszka, choć Justin bynajmniej go do tego nie zachęca. Cokolwiek Johnny by robił, jakkolwiek by się starał, skutek był taki sam. Ciepłe gesty z jego strony były odtrącane z taką wrogością, że Joanna zaczynała powoli tracić nadzieję. Co gorsza, zbliżający się ślub z Barrasfordem jeszcze bardziej utrudniał i tak nie najłatwiejszy już kontakt z synem. Nieledwie wczoraj chłopiec wykrzyczał jej, że ona może sobie o tacie zapomnieć, ale on nie zapomni nigdy. W końcu, kiedy wszelkie perswazje zawiodły, Anne i panna Finchley puściły w ruch różgę, a potem zapakowały Justina do łóżka. A teraz nawet część służby wydawała się trzymać stronę młodego panicza.

W domu panował chaos. Jak można się było spodziewać, Anne wspierała Joannę milcząco, Robin na swój niezręczny, dziecięcy sposób usiłował ją pocieszyć, niemniej jednak paru domowników, nie wając się na jawne okazywanie niechęci, odnosiło się do Barrasforda z niestosownym wręcz chłodem. Jak na ironię, ta chłodna powściągliwość wynikała nie tyle z niechęci do Johnny'ego, co z przywiązania starszych służących do dawnego pana i obawy, że swoje dzieci będą musieli wychowywać w Irlandii. Gdyby wiedzieli, że Adrian stara się wdrzeć w życie Justina, z pewnością zaakceptowałyby jej decyzję, pomyślała Joanna cierpko, z drugiej strony - w odróżnieniu od Adriana - nie była zwolenniczką publicznego prania brudów.

Jej jedyną pociechą był Johnny. Choć nie kochała go i była tego świadoma, z każdym kolejnym dniem rosła jej szacunek i podziw dla niego. Wzgardliwe uwagi i spojżenia sływały po nim jak woda, takie przynajmniej stwarzały wrażenie. Ostatnio jednak pilne sprawy majątkowe wezwały go do Londynu, skąd zamierzał także przywieźć dyspensę, nie miał więc okazji zapoznać się z ostatnią propozycją Roxbury'ego. A już najgorsze było to, że nie spodziewała się powrotu Johnny'ego w ciągu najbliższych kilku dni.

Wzięła z toaletki szczotkę i zaczęła odgarniać ze skroni wilgotne włosy. Pierwszy raz w życiu pożałowała w skrytości ducha, że nie umie upiąć ich zgodnie z nakazami mody. Ale mężczyźni jej życia i tak zawsze się nimi zachwycali: Adrian nazywał je jedwabną zasłoną, Gary porównywał je do lśniącej satyny, a Johnny niedawno oznajmił, że piękniejszych w życiu nie widział.

Te nieskładne rozmyślenia przerwała jej pokojówka.

- Psze pani - odezwała się od progu, pospiesznie skłaniając głowę w zamiastce ukłonu: - Thomas kazał powiedzieć, że Wilton znowu wpuścił tego Thorpe'a.

- Wydałam stosowne polecenia. Dla pana Thorpe'a nie ma mnie w domu.

- Tak, psze pani, ale Wilton powiedział Thomasowi, że to ważne.

Joanna odwróciła się w jej stronę, poirytowana.

- Nie ma mnie w domu - wycodziła. - Niech Wilton powie panu Thorpe'owi, że się pomylił. Idź, przekaż to Thomasowi.

- Poprosić lady Anne?

- Dla niego lady Anne także nie ma w domu. Nie widzę powodów, żeby któraś z nas miała się denerwować w taki piękny dzień.

- Tak, psze pani-

- Jeszcze jedno, Maggie...

- Tak, psze pani?

- Sprawdź, czy w piwnicy zostało trochę schłodzonej wody różanej. Boli mnie głowa, może gdybym położyła sobie kompres na oczy...

- Zaraz przyniosę - obiecała dziewczyna.

Joanna odczekała do jej wyjścia, a następnie zdjęła suknię i położyła się w samej halce. Kilka minut później Maggie wróciła z kawałkiem mokrego płótna, które pieczołowicie udrapowała Joannie na twarzy. W dole na podjeździe słychać było oddalający się powóz, przypuszczalnie pana Thorpe'a.

Joanna leżała bardzo spokojnie, nie chcąc ani roztrząsać przeszłości, ani zaprzętać sobie głowy przyszłością. Przyjęła oświadczyzny Johnny'ego Barrasforda, pozostawało zatem brać życie takim, jakim jest. Po tej refleksji przypomniawszy sobie o ubraniach, które ostatnio zamówiła u krawcowej. Po ponad roku żałoby będzie mogła znowu założyć coś ładnego. Zastanowiła się przelotnie, czy w Irlandii będą się podobały. A może i tam ludzie będą patrzeć na nią z góry.

W końcu pomimo bólu głowy udało się jej jakoś usnąć. Z drzemki wyrwała ją dopiero panna Finchley, pukając i wołając przez drzwi:

- Przepraszam, lady Carew, ale czy Justin jest u pani?

- Nie... - Joanna usiadła na łóżku i rozejrzała się sennie. Było jeszcze goręcej i bardziej parno niż wtedy, kiedy się kładła. - A która to godzina? - odkrzyknęła.

- Dochodzi jedenasta, milady, a Justina nikt nie widział od rana, kiedy wyszedł z lekcji.

W głosie panny Finchley słychać było niepokój. A jako że zazwyczaj zachowywała się z niespotykaną wręcz powściągliwością, Joanna wstała i wciągnęła na siebie suknię.

- Proszę wejść - powiedziała głośno.

- Przenigdy nie zakłócałabym pani spokoju, lady Ca-

rew - przeprosiła guwernantka jeszcze w drzwiach - ale to do niego niepodobne, żeby tak zniknąć. Pytałam wszystkich: panią hrabinę, Wiltona, Jamesa, Thomasa, kucharkę, panią Beech, pokojowe, nawet stajennych. Nikt go ostatnio nie widział.

- Może powiedział coś Robinowi.

- Obawiam się, że pokłócił się z paniczem Robinem. - Młoda kobieta zawahała się, szukając właściwych słów. - Powinnam była od razu za nim pobiec, ale taki był zde-nerwowany, a...

- O co poszło tym razem?

- Wciąż opłakuje ojca i uważa, że Robin popełnia zdradę, okazując lordowi Barrasfordowi sympatię.

Joanna westchnęła.

- Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby go podnieść na duchu, ale teraz doprawdy nie wiem już jak. I chociaż nie chcę, żeby kiedykolwiek zapomniał o moim zmarłym mężu, chciałabym, żeby zrozumiał, że musi żyć nadal, wyrosnąć na człowieka, z jakiego byłby dumny jego ojciec.

- Panicz Robin opowiadał mi o swoim wózku i kucyku, a Justin zaczął płakać, że nie pojedzie do Irlandii, że chce być tam, gdzie jego tata. Ponieważ wcześniej już zdarzało mu się tak zachowywać, pozwoliłam mu wyjść. Myślałam, że za chwilę ochłonie i wrócimy do lekcji. Potem robiliśmy z Robinem wycinanki i naklejaliśmy je na tekturkę. Dopiero jakieś pół godziny temu zorientowałam się, jak długo nie ma Justina.

- Jeszcze bym się nie martwiła, panno Finchley - powiedziała uspokajająco Joanna. - Jak pani słusznie zauważyła, czasem ponoszą go emocje. - Ze smutnym westchnieniem dodała: - On nie do końca pojmuje, czym jest śmierć, rozumie pani, a przecież nawet osobie dorosłej niełatwo jest pogodzić się z podobną stratą. Pewnie się gdzieś schował. Chce mnie ukarać za to, co uważa za nielojalność z mojej strony.

- Ale Thomas z Jamesem i stajenni szukali go przez całą godzinę, milady. Nigdzie go nie ma.

Joanna przysiadła na krawędzi łóżka i sięgnęła po pończochy.

- Już ja go znajdę - obiecała ponuro - i tym razem położę kres jego fanaberiom. Zbyt długo już wykorzystywał swój smutek, żeby robić, na co mu tylko przyjdzie ochota. - Wciągnęła pończochy, zapięła podwiązki i wstała. Po omacku poszukała kapci pod łóżkiem, wyciągnęła je i wsunęła w nie stopy. - Proszę spokojnie zając się Robinem, a Justina pozostawić mnie.

Kiedy jednak zeszła na dół, przekonała się, że panna Finchley nie dramatyzuje. Ochmistrzyni, pani Beech, nie widziała chłopca od wczesnego śniadania. Thomas i James natknęli się na niego zaraz po jego wyjściu z pokoju dzieciennego. James powiedział, że usiłował przekonać chlipiącego chłopca, żeby wrócił na lekcję, Thomas jednak był zdania, że panicz potrzebuje po prostu chwili samotności. Potem Wilton przypomniał sobie, że chłopak był na dworze po przyjeździe pana Thorpe'a. Na tym ślad się urywał.

W umyśle Joanny zagnieździło się potworne przypuszczenie.

- Jesteś pewny, że nie widziałeś go po tym, jak odjechał pan Thorpe?

- Jestem, wielmożna pani.

- Co robił?

- Już mówiłem pani Finchley, wielmożna pani, panicz Justin siedział na bocznych schodach ganku. Dżentelmen, który przyjechał do pani, zatrzymał się, żeby zamienić z nim słówko, coś o jego spanielu, jeśli dobrze pamiętam.

- Ja nie nazwałabym go dżentelmenem - mruknęła Joanna cierpko, po czym spytała: - Wiltonie, czy pan Thorpe powiedział Justinowi coś jeszcze? Przypominasz sobie cokolwiek?

Kamerdyner zastanawiał się przez chwilę, po czym kiwnął głową.

- Powiedział, że księżę liczy na to, że panicz Justin go odwiedzi, że go pamięta i z radością przyjmie go u siebie.

- Adrian. Mamo, to sprawka Adriana.

Lady Anne przysłuchiwała się odpowiedziom służących i teraz tylko pokręciła głową.

- Joanno, Roxbury nie upadłby tak nisko.

- Mamo, on zrobiłby wszystko, żeby mnie ukarać - odparła Joanna z pasją. - Nie pamiętasz poprzedniej wizyty pana Thorpe'a? Adrian chciałby kierować moim życiem i odebrać mi mojego syna.

- Skąd takie przypuszczenie...

- Jego prawnik był tu dziś rano, a mój syn zniknął! - krzyknęła Joanna. - Dobrze, Adrian Delacourt przekona się, że tym razem będę walczyć do upadłego! - Obróciła się na pięcie i pomknęła ku schodom. - Każ osiodłać konia, jeśli łaska - rzuciła przez ramię.

-Joanno?!

- Nie, już zdecydowałam. Tym razem mu się to nie uda!

Anne Sherwood nie wierzyła, że Joanna mówi poważnie. Na widok synowej we włoskiej amazonce szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Gdzie chcesz jechać? - spytała z niepokojem. - Kochanie, nie możesz tak po prostu...

- Do Armitage'u, mamó. Zamierzam uciąć sobie szczerą pogawędkę z Adrianem. Wie, że nie wygra sprawy w sądzie, dlatego uprowadził mojego syna, a ja się na to nie godzę.

- Joanno, zastanów się! To znaczy, dlaczego miałyby tak postąpić? Jak mógłby liczyć, że cokolwiek osiągnie takim szalonym posunięciem? Proszę, poczekaj, zorganizujemy poszukiwania. Jeśli Justin się nie znajdzie, Barasford mógłby...

- Barrasford jest w Londynie, mamó! - warknęła Joanna. - I gdybym na niego czekała, Adrian zdążyłby ukryć Justina, może nawet wywieźć go z kraju.

- Ale przecież Adrian nie ma powodu... zawsze był taki uprzejmy...

- Uprzejmy?! - W Joannie się zagotowało. - Uprzejmy?! Tak nazwałabyś mój rozwód? To, co zrobił Gary'emu? Nie, zrobił to, żeby mi dopiec, powiadam ci! - Wyminęła teściową, potrącając ją lekko, i jak burza wypadła przed dom, gdzie czekał stajenny z dwoma osiodłanymi końmi. Wzgardliwie popatrzyła na damskie siodło na jednym z nich, postawiła stopę w strzemieniu drugiego i w jednej chwili znalazła się na końskim grzbiecie. Siedziała po męsku - spódnica zadarła się, ukazując długi but i skrawek ciała nad kolanem.

- Joanno! - Anne wyłoniła się z długiego ganku i stanęła w cieniu kolumny. - Nie możesz jechać sama! Do tego tak? Będzie skandal na całe sąsiedztwo!

- To jeszcze nie ma skandalu? Zresztą nie mam czasu, żeby certować się z damskim siodłem! - odkrzyknęła Joanna, spinając konia ostrogami.

- Boże, ktoś musi z nią jechać...

Mężczyźni popatrzyli na wolne siodło i pokręcili głowami.

- Co to, to nie! - odparli chórem.

- Młoda pani jeździ jak sam diabeł - niezręcznie pocieszył hrabinę jeden z nich.

- Joanno! - Anne, zapominając na chwilę o swoich nie-nagannych manierach, wspięła się na palce i przyciskając do ust zwinięte w trąbkę dłonie, zawołała za nią: - Bądź ostrożna!

## 15

Powietrze oblepiło ją jak gruby, mokry koc, gorące i ciężkie. Potężny wał kłębiących się czarnych chmur przetaczał się złowieszczo wzdłuż linii horyzontu na tle jasnego, czystego nieba. Joanna spięta konia i pomknęła przez bród, przekraczając rzekę po śliskich, obrośniętych glonami kamieniach prosto na ziemię Roxbury'ego. Na drugim brzegu zwolniła na chwilę i zdziwiła się panującą tu martwością, tak niezwykłą w miejscu, w którym rzeka styka się z lasem. W górze nad jej głową ptak zatoczył koło, zaskrzeczał dwa razy, po czym zanurkował, znikając za żywopłotem, i znowu królowały cisza i bezruch. Żar był dokuczliwy, a spokój zapowiadał nadciągającą burzę.

Kiedy wjechała na drogę prowadzącą do Armitage'u, koń przeszedł w galop i poczuła na twarzy mocniejszy powiew. Wilgotne pasma wymykały się spod wstażki, którą zebrała włosy wysoko nad karkiem, i chłostały ją po szyi i skroniach. Znajome olbrzymie drzewa, żywopłoty i łąki po obu stronach drogi wyglądały dokładnie tak, jak je zapamiętała. Wydawało się, że od ponad sześciu lat nic się tu nie zmieniło.

W dali, niczym wspaniała korona wieńcząca szczyt wzgórza, majaczył Armitage. Przed nim rozpościerał się park - szmat szmaragdowej zieleni, gładki i wzorzysty jak drogocenny kobierzec, podzielony na równe części wyłożoną cegłami dróżką. W budowlu stare współistniało z nowym, tworząc monumentalną mieszaninę kształtów i stylów. Joanna poczuła w piersi piekący ból, gdy



z zapartym tchem patrzyła na wspaniały budynek, który niegdyś nazywała domem. Zmusiła się do tego, by skrócić w długi podjazd.

Dopiero kiedy podjechała do barierki i zsiadła, żeby uwiązać konia, przyszło jej do głowy, że może Adriana nie Zastać. Zrobiła głęboki wdech, wygładziła spódnicę, czując, że kleją się do wilgotnego ciała, i weszła po schodach. Z ręką na kołtacie powtarzała sobie w myślach, że jeśli nie ma go w domu, to ona na niego zaczeka. Nie da się zbyć byle komu, a już na pewno nie wyjedzie bez Justina.

Nie przejmowała się nawet możliwością spotkania Helen Delacourt. Jeśli i tym razem księżna zechce rozpowiadać swoje żałosne kłamstwa, Joanna z największą przyjemnością powie Adrianowi wszystko. Nie była już skrzywdzoną dziewczyną, a dojrzałą kobietą, jeżeli więc jego miłość książe Roxbury postanowi utrudniać jej życie, znajdzie w niej królewskiego przeciwnika. Z sercem tłukącym się w piersi i spoconymi dłońmi czekała, aż ktoś podejdzie do drzwi.

- Milady! - Nie najmłodszy już lokaj Adriana zachichotał, po czym szybko odzyskał powagę. - Czy coś się stało, wielmożna pani? - spytał uprzejmie.

W obawie, że nie wpuści jej do środka, usiłowała zajrzeć mu przez ramię, głośno zaś oznajmiła:

- Możesz poinformować Roxbury'ego, że przyjechałam po syna.

- Po syna? Proszę pani, zaszło chyba nieporozumienie. Jego miłość...

- I nie mów mi, proszę, że go nie ma. Będę musiała nalegać na to, żeby pozwolono mi na niego zaczekać.

- Nie, nie... Chciałem powiedzieć, że zastała go pani. - Gestem zaprosił ją do środka. - I z wielką radością powiadomię jego miłość o pani wizycie. Nie jestem do końca pewny, gdzie pan się teraz znajduje, ale wiem, że nie wychodził z domu. - Rzucił ukradkowe spojrzenie w kie-

runku błękitnego salonu, skąd dochodziły odgłosy rozmowy, i wskazał na otwarte drzwi do biblioteki. - Raczycie pani poczekać, milady, każę pana odszukać.

Stała, rozglądając się w koło. Czuła się zupełnie tak, jakby cofnęła się w czasie. I tutaj niemal wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak podpowiadała jej pamięć - z jednym widocznym wyjątkiem. Zniknął przedstawiający ją portret, którego namalowanie Adrian zlecił po ich zaręczynach samemu wielkiemu Lawrence'owi. Drugi, przedstawiający pana domu, wisiał nadal nad kominkiem po przeciwległej stronie pomieszczenia. Jedno nie ulegało dyskusji - Lawrence rzeczywiście uchwycił przenikliwość jego spojrzenia. Czarne oczy wydawały wpatrywać się w nią przeszywająco. Nawet teraz, po wszystkim, co się stało, te dwie ciemne otchłanie nie straciły swej magnetycznej siły. Odwzajemniając ich nieruchome spojrzenie, przypomniawszy sobie, ile ciepła potrafiły wyrażać, ale też umiały ścinać krew w żyłach swoim chłodem. Dziś wydawały się jedynie mieć szyderczy wyraz.

Być może działo się tak za sprawą uśmiechu, który błąkał się po tych aż nazbyt zmysłowych ustach. Przez jedną najkrótszą chwilę całą sobą odczuła falę starej, znajomej tęsknoty za jego ciałem i zamknęła oczy. Nie usłyszała zbliżających się z tyłu kroków.

- Jak śmiesz?! Jak śmiesz tutaj przychodzić?!

Słowa zabrzmiały głucho i jadowniczo. Joanna odwróciła się błyskawicznie i znalazła twarzą w twarz z Helen Delacourt i jej furją. Gdyby nie to, że ją samą dławili gniew, cofnęłaby się, widząc bijącą z twarzy kobiety nienawiść.

- To do Dree mam sprawę, jeśli łaska - odparła zimno.

- Natychmiast opuścisz mój dom!

Joanna odłożyła szpicrutę na biurko.

- Nie sądzę. Nie wcześniej, niż odbiorę mojego syna.

- A więc na tym polega twoja ostatnia sztuczka, tak?

- wypłuła z jadem księżna wdowa. - Roisz sobie, że wykorzystasz tego swojego bachora, żeby znowu omotać mojego syna. Cóż, Joanno, na nic to się nie zda. Tracisz tylko czas, jego żoną zostanie Almeria Bennington.

- Plany matrymonialne Dree to nie moja sprawa, zapewniam cię, pani - odpowiedziała Joanna sucho. - Kiedy jednak żąda, żebym oddała mu Justina, rzeczy mają się zupełnie inaczej. - Odwzajemniła spojrzenie Helen i nie spuściła wzroku. - Justin jest mój, milady, i dopóki kołacze we mnie iskierka życia, będę walczyć, żeby go przy sobie zatrzymać.

- Wynoś się stąd! - rzuciła księżna ochryple.

- Jeśli naprawdę chcesz się mnie, pani, pozbyć, radziłabym przekonać Adriana, żeby oddał moje dziecko - odparła Joanna stanowczo. - W przeciwnym razie lord Barrasford i ja wniesiemy sprawę do sądu. A tym razem, moja miła pani, Adrian mógłby poznać całą prawdę.

Księżna zbladła.

- Wynoś się - zasyczała. - Wynoś się, zanim każę cię wyrzucić!

- Nie odważysz się, pani.

Helen sięgnęła po sznurek od dzwonka, zawahała się jednak.

- Powtarzam po raz ostatni, nakazuję ci w tej chwili opuścić mój dom!

- Proszę mi oddać syna.

- Odnoszę wrażenie, że dom jest mój, mamó.

Obie kobiety zamarły na dźwięk męskiego głosu. Joanna wyminęła nieuważnie matkę Adriana i natarła na niego z furią:

- Co zrobiłeś z moim synem? Ostrzegam cię, nie wyjdę bez niego!

- Spokojnie... Spokojnie, co się tu dzieje? - spytał stojący obok Roxbury'ego lord Bennington. - Roxbury, powiadam ci...

- Papo... - Almeria uczepiła się rękawa ojca i wspięła na czubki palców, żeby zajrzeć do wnętrza biblioteki. - Lady Carew! - rzuciła bez tchu. - Och, coś podobnego?!

- Bądź cicho! - nakazał Adrian, nie odrywając oczu od Joanny.

- Ależ, wasza miłość! - zaprotestował Bennington.

- Każ się tej ladacznicy natychmiast stąd zabrać! - grzmiała Helen.

- Wynoście się stąd, wszyscy - głos Adriana był spokojny, ale tętno mu szalało, gdy stał, patrząc na Joannę. Pożądliwym wzrokiem ogarnął rozwiane przez wiatr włosy, prostą, białą, bawełnianą bluzkę opinającą się na jej piersiach, niebieską spódnicę do jazdy konnej, opływającą miękko delikatne, krągłe biodra i nagle zaschło mu w ustach. - Zostawcie nas.

- Nie mam zamiaru! - Helen usiłowała odepchnąć Joannę z drogi. - Nie będę tu stać, przyglądając się, jak kolejny raz dajesz zrobić z siebie głupca!

- A to już twoja sprawka, nie moja! - warknęła Joanna. - Ale i tak nie o to dziś chodzi. - Podnosząc oczy na Adriana, powiedziała spokojnie: - Przyjechałam po Justina, Dree, i nie wyjadę bez niego.

- Ależ, lady Carew - zdumiał się Bennington - dlaczego sądzisz pani, że...

- Zostawcie nas - powtórzył krótko Adrian. - Chcę się dowiedzieć od żony, dlaczego uważa, że mój syn jest tutaj.

- Twój syn? - Usta Joanny wykrzywiły się w pogardliwym grymasie. - Twój? A to dobre, Dree. Potraktowałeś mnie jak zwykłą utrzymankę. Najpierw obrzucałeś prezentami, potem odprawiałeś precz. A teraz chcesz odebrać mi rodzone dziecko? Po moim trupie!

- Na miłość boską, Jo! Czyś ty zupełnie oszalała?

- Ja nie, ale ty najwyraźniej tak! - odpaliła.

- Gadasz trzy po trzy!

- Mówię ci, że Justin jest mój! Mój, słyszysz? I nie od-

dam ci go, prędeż obalę te twoje kłamstwa w sądzie! W parlamencie, jeśli zajdzie taka potrzeba!

- Nie musimy tego wysłuchiwać - oznajmiła Helen, popychając Joannę w kierunku wyjścia. - Nie jesteś w tym domu mile widziana, ty zdradziecka mała wiedźmo, a jeśli spróbujesz tu wrócić, wezwę konstabla!

- Och, ty bezwstydna... ty... - Almeria dostrzegła furię w oczach księcia i zasznurowała usta.

Chwyciwszy matkę mocno od tyłu, Adrian odciągnął ją od Joanny, a następnie bezceremonialnie wypchnął za drzwi.

- Nigdy więcej nie mów do niej tym tonem! Była księżną w każdym calu, tak jak ty! - Odwracając się przodem do Benningtona z córką, zwrócił się do nich: - No, pójdziecie wreszcie, czy i was mam wyrzucić?

- Doprawdy, milordzie, nie ma takiej potrzeby. Przecież... - Lord Bennington dostrzegł groźbę w twarzy Adriana i urwał, bojąc się, że dojdzie do rękoczynów. Mocno chwycił córkę za ramię i wywlókł ją do holu. - Chodź, kochanie, nie jesteśmy teraz potrzebni - dodał oględnie.

Adrian zamknął za nimi drzwi kopniakiem i odwrócił się do Joanny.

- No, o co tu, do diabła, chodzi, Jo?

- Jakbyś nie wiedział! - odwarknęła.

- Owszem, nie wiem, ale jeśli przestaniesz zachowywać się jak sekutnica, z chęcią się dowiem.

- Oddaj mi syna, Dree. Nie możesz ukrywać go przede mną, wiesz. Jestem jego matką i nawet twoi ustosunkowani przyjaciele tego nie zmieniają.

- Jo, co ty wygadujesz?

- Nie zaprzeczysz chyba, że masz Justina? Że pan Thorpe porwał go dziś rano?

- Owszem, zaprzeczam! Rozmawiałaś z Thorpem? - spytał. - Zapoznałaś się z moją ostatnią propozycją?

- Jeśli masz na myśli tę górnolotną paplaninę, że Ju-

stin może pozostać ze mną pod warunkiem, że zaniecham ponownego zamążpójścia, to cóż... Muszę ci powiedzieć, że grubo się mylisz! Nie masz prawa narzucać mi warunków, milordzie. Pozwól, że przypomnę, iż jesteśmy po rozwodzie, i to na twoje wyraźne życzenie, dodam.

- Nie, nie. Nie taka jest moja propozycja.

- Dree - przerwała mu niecierpliwie - gdzie jest Justin?

- Nie wiem, uwierz mi, naprawdę nie wiem.

- Kłamca! - rzuciła mu prosto w twarz.

- Jo, spójrz na mnie! - Złapał ją za ramiona i mocno nią potrząsnął. - Nie możesz z całym przekonaniem powiedzieć, żebym cię kiedykolwiek okłamał. - Wbił palce w cienki materiał jej bluzki, wpatrując się w Joannę z uwagą. - Przyznaj choć tyle.

Jej twarz zbielała jak kreda, niebieskie oczy poogromniały.

- Owszem, Dree, okłamałeś - odparła w końcu martwo. - Kiedyś obiecałeś, że nigdy nie przestaniesz mnie kochać.

Zsunął dłonie z drobnych ramion na plecy, przygarbiając do siebie jej odporne ciało. Nerwy miał napięte jak struny, naprężone tak, jakby lada moment miały trzasnąć. Jędrne piersi przylgnęły do jego torsu, pod palcami czuł kształtne biodra.

- Jo... Jo... - wyszeptał jej do ucha.

Oddech miał urywany, gwałtowny i ta gwałtowność przyprawiła ją o rozkoszny dreszcz. Policzkami musnęła jej ciepłe ramię, wyzierające sponad rąbka miękkiej, białej bluzki. Dotyk jego ust wzniecał ogień. Pożądanie narastało w niej jak lawina, dławiąc dech w piersi. Gdyby nie wrzący w niej gniew, przenigdy nie zdołałaby ukryć tego, co czuła.

- Przestań! - krzyknęła. - Nie zmącisz mi w głowie!

Zaginął mój syn, rozumiesz? Justin zaginął. Gdzie on jest?

- Nie wiem, Jo.

- Gdzie jest? - powtórzyła.

Opuścił ze znużeniem ręce i potrząsnął głową.

- Mówię ci, nie wiem.

W oddali rozległ się stłumiony grzmot, przez okno wdarł się powiew wiatru, niosąc zapach deszczu. Niebo ciemniało, choć niedawno minęło południe.

- Przysięgasz? I myślisz, że pan Thorpe nie...?

- Nie. Nie miał powodu.

- A może Helen... - Nie zdążyła jeszcze wypowiedzieć tych słów, a już poczuła się śmieszna. Sama rozumiała absurdalność tego podejrzenia.

- Nie sądzę. Jo, matka wiedziałaby, że po niego przyjedziesz. Zastanów się, naprawdę uważasz, że zrobiłaby cokolwiek, co skłoniłoby cię do pojawienia się tutaj?

- Nie, oczywiście, że nie - przyznała ze zmęczeniem w głosie. Odwróciła się i wbiła nie-widzące spojrzenie w wygaszony kominek. Była pewna, że zastanie tu Justina, że Adrian znalazł sposób, by go uprowadzić. A teraz nie wiedziała już, co myśleć. Zahaczyła kciuki o kieszenie spódnicy i starała się myśleć racjonalnie. - Ale w domu go nie ma, Dree, szukaliśmy wszędzie. To jeszcze małe dziecko, sam nie odszedłby daleko.

Podszedł do niej i oparł rękę na ramieniu w geście pocieszenia.

- Uwierz mi, Jo, nigdy nie zamierzałem odebrać ci chłopca. Ale nie możesz przeczyć temu, że jest moim synem, zrozum. Proszę cię tylko, żebyś dała mi szansę go poznać.

- Nie masz do tego prawa, Dree. Nie masz prawa o nic prosić - odparła w końcu cicho. - Jego prawdziwym ojcem był Gary. To nie jest tylko kwestia krwi.

- Gary nie żyje. - Kręcił w palcach jasny kosmyk, opadający na jej kark. - Pozwól, bym pomógł chłopcu uporać się z jego żalem.

- Zniszczyłbyś jego wspomnienie o Garym... - Nie chcąc, by uświadomił sobie, jaką wciąż ma nad nią władzę, uchyliła się przed jego ręką. - Przykro mi, Dree, ale nie mogę się na twoją prośbę zgodzić. A teraz wybacz, ale muszę wracać. Zapowiada się na burzę, a ja muszę go poszukać. Będzie grzmiało, a on boi się huków. - Usta wykrzywiły się jej gorzko. - Wiesz, to w czasie sztormu łódź Gary'ego wyróciła się do góry dnem. - Odwróciła się i przelotnie spojrzała Adrianowi w oczy. - Ale co do jednego się nie mylisz. Rzeczywiście nie może się otrząsnąć po śmierci ojca. Nie wiem dlaczego, ale szczerze Johnny'ego nie lubi. Mówił nawet, że nie chce innego taty. Woli znaleźć się tam, gdzie Gary.

- Dobry Boże...

- Owszem, ale jestem niemal pewna, że nie wie, czym jest śmierć. Nie sądzę, żeby wiedział, co to znaczy, że ktoś utonął.

- Nie myślisz chyba, że poszedł nad rzekę? - spytał szybko.

- Nie wiem, gdzie on jest.

- Jak się tu dostałaś?

- Przyjechałam konno.

- Sama?

- Sama. Nie miałam czasu ani cierpliwości, żeby na kogokolwiek czekać. Pewnie zbulwersowałam połowę Haven - wyznała.

- Zawsze świetnie jeździłaś, Jo. Powiem więcej, bijesz na głowę wielu mężczyzn, nawet tych, z którymi kiedyś walczyłem ramię w ramię. - Spojrzał na kłębowisko chmur za oknem i wrócił do najważniejszego dla nich, obojga tematów. - Zaraz lunie - powiedziała, marszcząc brwi. - Wiesz co, wyślę cię do domu moim powozem, a sam zbiorę ekipę poszukiwawczą po tej stronie rzeki. Jeden z koniuszych może pojechać do Winton Abbey i poprosić o pomoc.



- Mojego ojca nie obeszłoby, nawet gdyby mój syn się utopił - przypomniała gorzko. - To kolejna rzecz, którą zawdzięczam tobie.

Ignorując przytyk, mówił szybko:

- Zaufaj mi, Jo, dopilnuję, żeby chłopiec się znalazł. Wracaj do domu, a ja dam ci znać, kiedy cokolwiek będę wiedział. - Widząc, że nie jest przekonana, dodał: - Posłuchaj, równie dobrze mógł wrócić do Haven, wtedy to ty powiadomisz mnie. Wiem, wiem, tam go już szukałaś, ale to mały chłopiec. Może chowa się w jakimś ciemnym kącie.

Przerwało im dyskretne pukanie do drzwi. Adrian cisnął w ich kierunku zniecierpliwione spojrzenie i warknął:

-Tak?

- Proszę o wybaczenie, wasza miłość, ale przyjechał jakiś człowiek z Haven - odpowiedział lokaj, otwierając drzwi.

Adrian posłał Joannie tryumfalne spojrzenie:

- A nie mówiłem? Niepotrzebnie się zamartwiałaś.

Przybysz wszedł nieśmiało.

- Przepraszam, psze pani, ale hrabina mnie przysyła, cobym pomógł przywieźć małego panicza do domu. Przecie nie będzie go pani wieźła na koniu.

- Zatem jeszcze się nie znalazł? - spytał Adrian.

- Ano nie, wasza miłość.

- Psiakrew! Ale nadal go szukacie?

- Ano tak, milordzie. Szukaliśmy od domu do rzeki, ale go tam nie ma. Nigdzie go nie ma. I nikt go nie widział od przedpołudnia. - Pokręcił głową. - Przepadł jak kamień w wodę.

- Nie martw się, Jo - powiedział Adrian i wypadł z biblioteki. Już w holu dodał jeszcze: - Matka każe przyprowadzić powóz. Twój koń jest już osiodłany, to pojedę na nim. Znajdę chłopca i odwiozę go do ciebie do Haven.

- Nie!

Zatrzymał się w pół kroku.

- Masz moje uroczyste słowo, Jo!

- Jadę Z tobą.

- Nie zachowuj się jak gęś - warknął. - Będzie padać, zmokniesz do suchej nitki.

- Nie! - Pokręciła z uporem głową. - Pojadę z tobą, Dree. Jak sam powiedziałeś, mój koń jest już osiodłany.

- Nie pojedziesz, do diabła! Jeśli mamy go odnaleźć, nie możemy wlec się w babskim tempie! Nie, wrócisz do domu.

- A tak się akurat składa, że jeżdżę równie dobrze jak większość mężczyzn, jeśli nie lepiej. Sam raczyłeś to zauważyć. Nie, Dree, to mój syn! Nie mogę wrócić bez niego! I nie wrócę!

- Zawsze był z ciebie okropny uparciuch - mruknął pod nosem. Nie wiedząc, czy znajdzie dziecko żywe, czy martwe, nie chciał, by uczestniczyła w poszukiwaniach. Odetchnął głęboko, usiłując zdławić własne obawy, i potrząsnął głową. - Nie, Jo. Nie tym razem. Albo ci go przywiozę, albo wyślę wiadomość, że nie zdołałem go znaleźć. - Zanim zdążyła zaprotestować, pospiesznie wypadł z domu.

Odczekała, aż zniknie jej z oczu, i popędziła na dwór. Zygzakowate błyskawice co chwila oświetlały horyzont. Koń tańczył niespokojnie, zdołała jednak go dosiąść. Słyszała nawoływania Adriana skrzykującego ludzi. Z owiniętymi wokół ręki wodzami czekała na niego, powtarzając sobie w duchu, że oto Adrian Delacourt przekona się, iż nie tak łatwo ją teraz zmusić do posłuchu. Przekona się, że nie jest już tą samą dziewiętnastolatka o okrągłych oczach, którą zostawił niegdyś na pastwę swojej matki. Tych sześć ostatnich lat sprawiło, że stała się twardsza i silniejsza niż kobietka, którą pamiętał.

## 16

- Z tobą pojedą Tompkins i Burk. Ja zabiorę Simsa. Collins i Ellis pojedą do Winton Abbey, Sims i ja pojedziemy wzdłuż rzeki, wy możecie się trzymać drogi do Haven.

- Nie! - Joanna z uporem kręciła głową. - Pojadę z tobą, Dree. Chcę osobiście przeszukać brzeg.

Stali w miejscu, w którym główna droga do Armitage'u rozwidlała się w trzech kierunkach. Doprowadzony do skrajnej furii, Adrian warknął:

- Jo, tam jest grząsko, samo błoto, nie mogę za ciebie odpowiadać.

- O nic cię nie proszę. - Żeby dobitniej zademonstrować swoje stanowisko, ustawiła swojego konia tuż obok konia Simsa. - Tracimy czas na kłótnie, a powinniśmy już zacząć szukać. Nie jestem rozhisteryzowaną panienką, Dree. W ogóle nie jestem panienką.

- Fakt, że zawsze był z ciebie okropny urwis.

- Wiem. Za to Almeria o wiele bardziej przypadnie ci do gustu - odparła z podejrzaną słodyczą Joanna.

Zerknął na nią, na jej poróżwiałe od upału policzki, na kosmyki wilgotnych włosów przywierające do skroni, kropelki potu znikające w wycięciu bawełnianej bluzki, w końcu na zarys nóg zaciskających się na bokach wierzchowca.

- Nie wiem dlaczego - powiedział, przeciągając leniwie sylaby - ale nie sądzę, żebyś chciała, by Barrasford widział cię taką.

- Johnny?

- Lord Johnny, Rycerz bez Skazy - przypomniał uprzejmie.

- A właśnie, że wcale by mi to nie przeszkadzało. I jeśli upała nie zelżeje, pewnie będzie miał ku temu okazję.

- Wyciągnęła jednak chusteczkę i otarła nią twarz i szyję. - Proszę, teraz już jestem godna, by widziano mnie w towarzystwie waszej miłości?

- Nigdy nie mówiłem, że tak nie jest. - Pochylił się do przodu i spojrzął w kierunku rzeki. - Jesteś pewna, że chcesz narażać się na takie ryzyko? Może być ślisko.

Zamiast odpowiedzi spięła konia i ruszyła przed siebie.

- Zapominasz o czymś: jeżdżę równie dobrze jak ty - odparła.

Powoli brnęli wzdłuż mulistego brzegu. Sims przeczesywał przeciwległą stronę rzeki, Adrian szukał śladów, a Joanna badała uważnym wzrokiem zarośla i las, oddzielające łożysko rzeki od leżących dalej pól. Wykrochmalona bluzka kleiła się do jej ciała.

- Niemal chciałabym, żeby zaczęło padać - mruknęła.

- Zmienisz zdanie, jak zacznie - odpowiedział. - A wygląda na to, że właśnie zaczyna.

W tej samej chwili znad rzeki zerwał się silny wiatr i z furją targnął liśćmi. Pierwsze krople deszczu uderzyły o tafelę wody niczym salwa karabinowa. Ulewa rozszalała się na dobre, zlewając ich strugami wody.

- Zawsze musisz narzekać, prawda? - zawołał do niej Adrian, starając się przekrzyknąć szum rozbryzgujących się kropli.

- Zawsze!

- Widzisz coś?

- Niewiele!

Uniósł się w strzemionach i złożył ręce w zaimprovizowaną tubę:

- Justin! Justin! Justinie Sherwood, słyszysz mnie? - wydarł się na całe gardło. - Juuustiiiiin! - Deszcz zdawał

się tłumić słowa w momencie, w którym je wypowiadał.

- Wasza miłość - krzyknął Sims, odwracając się w jego stronę - nie sądzi pan, że trzeba by zawrócić?

- Nie! Zaraz się uspokoi!

Teraz Joanna uniosła się w siodle, by zawołać:

- Justinie! Justinie, tutaj! To ja, mama!

Kilka minut później burza zelżała do jednostajnego staccato kropel o powierzchnię wody. Deszcz spływał im po twarzach, ściekał po włosach - byli przemoczeni do suchej nitki. Spódnica Joanny kładła się ciężko na eleganckich, długich butach do jazdy, ale ona o to nie dbała, niespokojnie rozglądając się na wszystkie strony.

- Nie doszedłby tak daleko - ocenił Adrian głośno. - Będziemy musieli zawrócić i przejechać przez bród, póki to jeszcze możliwe.

Woda w rzece zmieniała barwę na mlecznobrązową, zasilana spływającą z wyższych partii deszczówką, i Joannę ogarnęła panika. Bała się nawet myśleć, co te wezbrane odnogi w górze rzeki mogły zrobić z brodem.

- Dobrze.

- Wasza miłość, szkoda zachodu - odezwał się w końcu Sims. - Będziemy musieli wrócić, jak deszcz ustanie.

- Nie! Jeśli jest gdzieś tutaj, mógłby się utopić! - krzyknęła Joanna przenikliwie. - Dree, nie możesz teraz przestać! Justin nie umie pływać!

- Nie - zdecydował Adrian, ponuro kręcąc głową. - Próbujemy dalej.

- Ale, wasza miłość...

- Sims, gdyby to był... gdyby to twój syn zaginął, poddałbyś się?

- Ale deszcz zmyje wszystkie ślady...

- Poddałbyś się, Sims? - dopytywał się z uporem książę.

- Ano nie - odparł z westchnieniem mężczyzna. - Szmat drogi przed nami, zanim wszędzie sprawdzimy.

Potrzebowali przeszło godzinę, by w błocie i deszczu

dotrzeć do brodu, który zdążył tymczasem zniknąć pod wzburzoną, mętną wodą. Koniuszy zawahał się. Adrian spiął konia i ruszył po śliskich kamieniach. Rwący prąd sięgał zwierzęciu po kolana, kołysał nim na boki, wreszcie zniósł dobre dwadzieścia stóp.

- Poczekaj tam! - krzyknął do Joanny, ale ona już brnęła przez wodę. - Jedno ci muszę przyznać - mruknął, pochylając się, żeby złapać wodze spłoszonego konia. - Nigdy nie brakowało ci odwagi.

Sims nie zamierzał okazać się gorszy od kobiety - ruszył przez bród, by chwilę później znaleźć się na drugim brzegu, zdrowy i cały, mamrocząc:

- Gdybyśmy tylko poczekali, aż przestanie padać, wody opadłyby w ciągu kilku godzin.

- Dree, nie! - Joanna przechyliła się w siodle, by uchwycić się rękawa Adriana; w jej głosie brzmiała rozpacz.

Spojrzał w kierunku, w którym patrzyła, i dostrzegł rondo dziecięcego słomkowego kapelusika, tkwiącego między konarami powalonego, częściowo zanurzonego drzewa.

- Nie ma ciała, Jo, to tylko kapelusz - próbował jej dodać otuchy. - Poczekaj tu, a ja pójde po niego.

Zsiadł z konia i powoli szedł wzdłuż błotnistej brzozy, nie myśląc o wysokich eleganckich butach, o niczym poza własną obawą, że syn, o którego istnieniu tak niedawno się dowiedział, może być martwy. Brnąc ostrożnie przez grząski grunt, zdołał uchwycić się jakiejś gałęzi i, brodząc w pełnej wirów wodzie, złapał kapelusik i wyciągnął go. Następnie zanurzył ręce w zmętniałej wodzie i dokładnie obmacał dno aż po miejsce, w którym grzęzły w mule splecione korzenie drzewa, bojąc się, że w każdej chwili może natrafić na drobne dziecięce ciało. Szczęśliwy, wrócił na brzeg z pustymi rękami. Mózgownie powędrował z powrotem, by -wręczyć Joannie mały kapelusz.

- To Justina?

Deszcz zaczął już częściowo spłukiwać muł i liście ze zdobiącej kapelusz błękitnej wstążki. Joanna kiwnęła głową. Na jej twarzy pojawił się żałosny grymas.

- Och, Dree, to niemożliwe! To jeszcze dziecko! Nie! Justin! - krzyknęła. - Justin, gdzie jesteś?

Zdjął Joannę z siodła i objął mocno. Szamotała się chwilę, po czym zwiotczała w jego ramionach, 'wparła twarz w jego pierś i rozsłochała się gwałtownie. Stał sztywno, podtrzymując ją jedną ręką, drugą gładząc burzę mokrych, splątanych włosów, a jego własne łzy płynęły cicho, niknąc między ciekącymi mu po twarzy kroplami deszczu. Sims chwilę przyglądał się im dwojgu bezradnie, następnie schylił po kapelusz, który wypadł Adrianowi z dłoni. Prostując się, delikatnie dotknął barku księcia.

- Nic już nie można zrobić, wasza miłość, ale powinniśmy zawieźć milady w jakieś suche miejsce. Ja mogę pojechać do Haven po pomoc.

- Nie - głos Joanny zabrzmiał głucho, stłumiony przez mokry płaszcz Adriana. - Nie, Dree, ja nie mogę go zostawić samego... nie mogę... jest jeszcze taki mały!

- Ciiii... - powiedział półgłosem. - Znajdziemy go, Jo, nic mu nie będzie, będziemy szukać do skutku - zapewnił. Patrząc na Simsa ponad jej głową, powiedział: - Przeprowadzę się z powrotem na tamtą stronę i pojedę szukać w dół rzeki. - Patrząc na Joannę, dodał: - Sims zabierze cię do Haven, a ja będę szukał dalej.

- Nie, jadę z tobą. Muszę wiedzieć, Dree, muszę. - Złapała go kurczowo za ręce i poprosiła żarliwie: - Pozwól mi jechać z tobą, proszę. Proszę cię, Dree... Byłam przy jego narodzinach, mogę być przy jego... - nie dokończyła, tłumiąc szloch.

- Dobrze więc.

Poziom wody wciąż się podnosił, udało się im jednak przeprowadzić na stronę Armitage'u, gdzie z biegiem rzeki

brzeg stawał się bardziej płaski i coraz szerszy. Przeszukali już rzetelnie dobre trzy czwarte mili, gdy Adrian zatrzymał konia.

- To na nic, nie sędzę, żeby rzeka zniosła go tak daleko, Jo. Ale Sims miał rację. Musimy zabrać cię pod dach, zanim się rozchorujesz.

- Nie mogę przestać szukać, Dree... nie mogę - zaoponowała słabo. - Muszę go odnaleźć.

- Powiedziałem, że go znajdę, i mówiłem serio. Ale musisz pomyśleć o sobie. Cokolwiek się stało, masz jeszcze jedno dziecko - przypomniał. - A ja mam tylko Justina.

- W okolicy nic nie ma, ino jedna stara, rozpadająca się chałupa - zastanawiał się głośno koniuszy. - Bród nieprzejezdny i nijak pani do Haven zabrać się nie da. Może by tak do Armitage'u? Znaczy się - ogarnął Joannę rzeczowym spojrzeniem - powinno się panią przebrać w co suchego.

- Nie trzeba - upierała się.

- Nie - Adrian stanowczo uciął wszelką dyskusję. Sama myśl, że miałby zawieźć Joannę do swojej matki, wydała się mu nie do zniesienia. Nie przy ich wzajemnej nienawiści, nie taką nieszczęśliwą. - Niech już będzie ta chałupa - zdecydował.

- Dree, gdzieś tu jest mój syn! Posłuchaj mnie, ja go tak nie zostawię!

Wyjął jej wodze z dłoni.

- Musisz, Jo, jego tu nie ma. No, chodź - namawiał - musisz zadbać o siebie, zrozum. Jeśli zachorujesz, kto zajmie się synem Gary'ego? - Trącił kolanem koński bok, kierując zwierzę w stronę schronienia. Deszcz siąpił jednostajnie, ale na zachodzie niebo zaczynało się przecierać.

- Obiecuję, że kiedy tylko przestanie padać, nie zostanie jedna piędź ziemi Roxburych, Carewów czy Milfordów, której byśmy nie przetrząsnęli - oznajmił z ponurą determinacją. - Nie spocznię, póki Justina nie znajdę.



- To cięta będzie jego miłość szukał - podpowiedział sceptycznie Sims.

- Nie chcę tego słuchać, nie teraz - odparł zimno Adrian.

Kamienna chałupina nie zmieniła się od ponad dwóch wieków. Dwie kryte strzechą izby świeciły pustkami od czasów, kiedy okoliczne ziemie objął w dzierżawę człowiek, który wolał co dzień dojeżdżać konno, niż zamieszkać na miejscu. Adrian zeskoczył z konia, pomajstrował przy zamku, po czym na oścież otworzył drzwi. Powitał ich lekki odór pleśni, którego źródłem była stara słoma stanowiąca pokrycie dachu, w pomieszczeniach jednak było sucho.

Okiennice wcześniej pozamykano i wewnątrz panował mrok. Sims szybko je pouchylał, wpuszczając do środka światło i deszcz. Uzmysławiając sobie stopniowo beznadziejność sytuacji, Joanna ogarnęła małą izbę nieprzytomnym spojrzeniem i podeszła bezwiednie do pustego teraz kamiennego kominka, zajmującego większą część ściany. Nie sądziła, by mogła przeżyć kolejną tragedię.

- Pamiętam to miejsce ze szczęśliwszych dni, Jo, a ty? - spytał Adrian łagodnie zza jej pleców.

Zamknęła oczy, czując, że krtań się jej ściska, i kiwnęła głową. Na jedną króciutką chwilę pozwoliła sobie pomyśleć o czasach, kiedy kochali się na gołej podłodze, owinięci tylko w ciepły płaszcz Adriana. W Armitage'u było wiele takich miejsc. Na początku ich małżeństwa wydawało się niemożliwością, żeby mogli się sobą nasycić. Gdyby nie bała się o tym myśleć, mogłaby przypomnieć sobie nie jedną, ale wiele sytuacji, w których dawali się ponieść namiętności. Westchnęła ciężko, by odegnać te wspomnienia. Teraz musiała się uporać z innymi, bardziej bolesnymi myślami. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z człowiekiem, którego kiedyś kochała ponad wszystko.

- Takie z niego dobre dziecko, Dree - zniżyła głos niemal do szeptu. - I takie dociekliwe jak na jego wiek.

- Zauważyłem.

- Wiesz, Gary naprawdę go kochał.

- Opowiedz mi o nim, Jo - poprosił.

- Urodził się na Capri niedługo po Bożym Narodzeniu.

Dopiero co przeprowadziliśmy się z kontynentu, uciekając przed Francuzami. W zimę skończyłby... skończy sześć lat, Dree. Urodził się po czasie, wiesz, i lekarze już rozpaczali nade mną, poród trwał dwie doby, ale w końcu go urodziłam. - Cierpki uśmiech wykrzywił kąciki jej ust. - Człowiek zapamiętuje czasem dziwne rzeczy, wiesz? Pamiętam, że Gary obmył mi twarz i powiedział, że mamy syna. Miałam nadzieję, że to będzie dziewczynka. Chciałam, żeby po Garym dziedziczyło jego własne dziecko, ale widać Bóg miał inne plany. A potem go zobaczyłam, Dree, te jego czarne włosy zupełnie jak twoje. Moją pierwszą myślą było, że nigdy nie będziemy mogli wrócić z nim do Anglii, nie wywołując skandalu. W pierwszej chwili czułam się okropnie, myślałam, że okradłam Gary'ego? z prawowitego następcy, ale on niczym się nie przejmował. Widzisz, kochał mnie ślepo, a ponieważ Justin był dzieckiem moim i twoim, kochał i jego.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Czego? Że noszę twoje dziecko? A co to by dało? - W jej głosie pojawiła się nuta goryczy. - Czemu miało by to służyć, pytam się? Wycofałbyś wniosek o rozwód?

- Nie wiem, pewnie bym czekał.

- A gdyby Justin okazał się podobny do mnie? I tak byś mnie oskarżył, nieprawdaż? A twoja wielce arystokratyczna mamusia... - Joanna prychnęła z pogardą. - Nawet gdyby był do ciebie podobny, powiedziała by, że sypiałam z tobą i z Garym. Nie, nie mogłam ci powiedzieć, bo i tak na nic by się to nie zdało.

- A tak było? Sypiałaś z nami oboma?

- Dziwne, że teraz mnie o to pytasz, Dree, doprawdy dziwne. Kiedyś wszystko oddałabym za to jedno pytanie, ale to już nie ma znaczenia. Kiedyś miałeś prawo je zadać, teraz nie zasługujesz na odpowiedź.

- Gary nazwał mnie wtedy zaślepionym głupcem.

- Tak? Nigdy nie dowiedziałam się, jak przebiegła wasza rozmowa. Poprosiłam go tylko, żeby mnie nie bronił. Powiedziałam mu, że tak podłe oskarżenia nie są godne komentarza. - Ze spokojem patrzyła mu prosto w oczy. - A ty co myślisz? Byłeś głupcem, Dree?

- Nie wiem. Wiem tylko, że gorzko zapłaciłem za moją dumę, może więc rzeczywiście byłem głupcem. Być może powinienem był zachować się jak mąż Carol Lambs i zignorować całą tę sprawę.

- Gorzko zapłaciłeś... - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Ty gorzko zapłaciłeś, mówisz. Cóż, milordzie, to drobiazg w porównaniu z ceną, jaką ponieśliśmy my. Zniszczyłeś mnie, zniszczyłeś Gary'ego. Przez ciebie nie mogliśmy nawet zostać w kraju, w którym przyszliśmy na świat. Wyrzekł się mnie mój własny ojciec, przez ciebie moje dzieci nigdy nie poznają swojego dziedzictwa. Wygnałeś z rodzinnego domu dwoje ludzi, których rzekomo najbardziej kochałeś, nie pytając o prawdę. Chociaż myślę, że i tak nie uwierzyłybyś żadnemu z nas.

- Jo. - Zrobił krok w jej stronę.

- Nie dotykaj mnie! Nie waż się mnie dotknąć, Adriannie Delacourt! Nie powinnam była w ogóle wracać!

- Jesteś zdenerwowana.

- Oczywiście, że tak - warknęła. - Raz spojrzawsz na Justina i byłeś gotowy zrobić wszystko, byle tylko stać się częścią jego życia, prawda? To dlatego wdzięczysz się teraz do mnie. Nie wahałbyś się zawrócić mi w głowie, gdybyś tylko zdołał. Cóż, to ci się nie uda! Masz tę swoją pannę Bennington, to siężeń. Niech ci nieskazitelna zoneczka da własnych nieskazitelnych następców, Dree!

A o Joannę Milford i jej synów niech cię głowa nie boli! Wyjeżdżamy do Irlandii! - Odwróciła się i ukryła twarz w dłoniach. - Och, Dree, a jeśli on nie żyje?

- Jo... Jo... - Łagodnie oparł rękę na jej ramieniu.

- Proszę... zaraz się uspokoję, po prostu zostaw mnie na chwilę. - Pogmerała w kieszeni mokrej spódnicy, wyjęła z niej chusteczkę i wyzięła ją machinalnie.

- Jo, tak mi przykro... - Cofnął rękę, nagle bezradny.

- Kiedyś wolałbym umrzeć, niż zranić ciebie czy Garry'ego.

- Chyba znowu kroi się na deszcz - zauważył Sims, stojąc przy drzwiach. - Na razie tylko mży. - Zerknął znacząco w kierunku Joanny: - Wszystko w porządku?

- Nie - odparł Adrian bez wyrazu.

Joanna wytarła nos i, siąkając, spojrzała na Simsa.

- Nic mi nie jest, dziękuję,

- Rzeka jak nic opadnie przed zmrokiem, będzie można wielmożną panią zawieźć do domu - powiedział nieśmiało koniuszy.

- Chcę najpierw znaleźć syna.

- Może lepiej by było, coby wielmożna pani wróciła do domu i dała się jego miłości zająć tą sprawą.

- Chcę przy tym być.

Gdzieś niedaleko rozszczękał się pies. Sims nasłuchiwał przez chwilę, po czym podszedł do okna.

- Toż to w taką pogodę nikt nie poluje - mruknął sam do siebie. - Pewnikiem się zgubił.

- Trafi do domu - odpowiedział z roztargnieniem Adrian. - One zawsze trafiają. Znalazłeś jakieś miejsce dla koni?

- Zaprowadziłem do szopy.

Cała trójka przyglądała się sobie w milczeniu. Nie było na czym usiąść i czuli skrępowanie. Joanna krążyła niespokojnie po izbie, ani na chwilę nie odwracając się przodem do Adriana. On tymczasem podszedł do puste-

go kominka i zaczął zeszkrobywać błoto z nieodwracalnie zniszczonych butów od Hoby'ego. Przyszło mu na myśl, że z każdego fragmentu jego garderoby można by wyjąć wiadro wody. Sam płaszcz stał się cięższy o dobre pięć czy dziesięć funtów. Odlepił go z siebie i trzymając nad paleniskiem, skręcił w dłoniach, wyciskając z niego deszczówkę. Joanna odwróciła się na dźwięk rozbryzgującej się na kamiennej podłodze wody i oboje po raz pierwszy zauważyli jej przemoczoną bluzkę. Spojrzała w dół na rysujące się pod mokrą tkaniną piersi i skrzyżowała na nich ręce, żeby się Zasłonić. Sims, jak zawsze znający swoje miejsce, mruknął, że trzeba by zajrzeć do koni.

Po wcześniejszym przypływie emocji nastąpiła cisza; zdawała się wisieć między Adrianem i Joanną, oddzielając ich niczym kurtyna. W końcu, zniecierpliwiony, cisnął płaszcz na podłogę.

- Naprawdę zamierzasz wyjść za Johnny'ego?

- Tak.

- Nie będziesz chyba udawać, że go kochasz. Przecież nie znałaś go na tyle długo, żeby coś do niego poczuć.

- Ma w sobie dużo z Garetha.

- Doprawdy? Nigdy nie miałem Gary'ego za fircyka.

- Mówiłam o uprzejmości i opiekuńczości Johnny'ego, Dree.

- A już sądziłem, że chodzi o jego przystojną buźkę.

- Nie jest przystojniejszy od ciebie, ale charakter ma zupełnie inny. - Posłała mu blade uśmiech. - Tak jak zapewne usposobienie Almerii różni się od mojego. Rozumiem, że i w tej materii powinnam ci pogratulować. Chociaż nie sądzę, żebyś ty do niej pasował. - Spojrzała znacząco na podłogę przed paleniskiem. - Przykro mi, ale jakoś nie potrafię jej sobie tam wyobrazić. Za to najpewniej przymknie oko na kochankę, która ci to zrekompensuje.

- A kto ci powiedział, że żenię się z Almeria?

- Twoja matka. - Uniosła brew, widząc jego zdumioną

minę. - No, co ty? Nie wiedziałaś, że to już pewne? Śmiem twierdzić, że z równym uporem zabrała się za znalezienie ci odpowiedniej żony, jak pozbyła poprzedniej.

- Cóż, na razie do małżeństwa mi się nie spieszy, a nawet gdyby, to nie z panną Bennington, zapewniam cię.

- Twoja strata. Po ślubie za nos wodziłyby cię już dwie kobiety.

- Jo... - rzucił ostrzegawczo, robiąc krok w jej stronę. - Czasami sam nie wiem, czy się śmiać, czy skrzywić ci kark, ale podejrzewam, że porządne lanie byłoby na miejscu. Moja matka nie wodzi mnie za nos, jak raczyłaś się wyrazić. Och, przyznaję, lubi sobie pogderać, ale większość tego, co mówi, puszczam mimo uszu. Ty za to nigdy nie umiałaś się jej sprzeciwić.

- Nie powinnam być do tego zmuszana, Dree. Zawsze będę cię za to winić.

- Miałem nadzieję, że zaczniesz cię tolerować.

- Wiedziałaś, że mnie nienawidzi, nie starała się tego ukryć. Tak mi uprzykrzyła życie, że jeszcze przed twoim powrotem z Londynu poinformowałam ją, że zamierzam poprosić cię, byś kazał się jej spakować i odesłał do posiadłości po mężu. Roześmiała mi się prosto w twarz. Jeśli ktokolwiek wyjedzie z jej domu, powiedziała, to Z pewnością ja. Z jej domu, Dree, nie mojego. A ja, głupia, myślałam, że to mnie posłuchasz. Byłam twoją żoną, a nie miałam w Armitage'u prawa głosu.

- Trzeba było przyjść z tym do mnie. Załatwiłbym sprawę za ciebie.

- Och, ależ załatwiłeś. I to nieodwołalnie. - Odsuwając się od niego, westchnęła. - Miejmy nadzieję, że będziecie z Almerią szczęśliwi.

- Mówiłem ci, że nie zamierzam się Almerii oświadczyć. Nie interesuje mnie żadna osiemnastolatka, choćby uosabiała wszelkie zalety.

- Mógłbyś się nią chlubić, to trzeba jej przyznać.

- Jo, o co ci, do diabła, chodzi? Mówisz bez sensu.

- Helen upatrzyła ją sobie na żonę dla ciebie, Dree. To, czego ty pragniesz, nie będzie miało znaczenia.

- Jeżeli moja matka zrobiła z twojego życia piekło, powinnaś była przyjść do mnie, a nie przyprawiać mi rogi z Garym.

Już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale tylko zamknęła je, kręcąc głową.

- Nie mam ci już nic do powiedzenia, Dree - wykrztusiła w końcu. - Ty nigdy nie zrozumiesz, prawda?

- Wasza miłość! Wasza miłość! - przerwał im Sims, wydzierając się za oknem. - Lepiej niech wasza miłość tu przyjdzie, znalazłem chłopca!

## 17

- To przez to szczekanie, wasza miłość - tłumaczył Sims, pochylając się nad nie używaną od wieków studnią. - Poszedłem po tego psa i jak na niego wołałem, usłyszałem krzyki.

W Joannie zamarło serce. Łaciaty spaniel Justina leżał teraz spokojnie z nosem wciśniętym między dwie przegniłe deski, które powinny zasłaniać wlot. Gdzieś daleko w dole słyszała przerażony głos syna. Adrian kopniakiem odsunął jedną z desek i uklęknął na porośniętej trawą rozmiękłej ziemi.

- Justin! Justin, słyszysz mnie? - zawołał głośno.

Płacz ucichł, przzerwany napadem czkawki, po czym rozległo się kwilenie:

- Mama! Ja chcę do mamy!

- Mama tu jest! - Adrian odsunął się, żeby zrobić dla niej miejsce. - Ostrożnie, jest głęboko, a trawa śliska -

rzucił półgłosem, pomagając Joannie uklęknąć przy samej krawędzi. - Mów do niego, a ja się rozejrzę, co można zrobić.

- Justin! Justin! - Wytężała wzrok, nie była jednak w stanie niczego dojrzeć w mrocznym wnętrzu szybu. Wiedziała też, że zbliżający się zachód słońca przekreśli wszelkie szanse na sprowadzenie pomocy z Haven czy Armitage'u. Zmusiła się do zrobienia kilku głębokich wdechów, żeby nie poddać się panice. - Nic ci się nie stało? - spytała głupio, wiedząc, że, owszem, stało się coś potwornego.

W odpowiedzi w dole rozległo się plaśnięcie, potem głośniejszy płacz - zapewne chłopiec próbował się poruszyć. Adrian odciągnął ją na bok, a sam mocniej wychylił się za krawędź.

- Justin, zaraz cię wyciągniemy! Bądź zuchem i mów do mamy, żeby wiedziała, że nic ci nie jest! Znajdę jakiś sznur i opuszczę go do ciebie, a ty się go złapiesz, zrozumiałeś?

- Justinie, to księżę, pamiętasz? - krzyknęła Joanna.

- Księżę? - Spazmatyczne szlochanie ucichło na chwilę. - Ja chcę stąd wyjść, sir! Proszę - błagał chłopiec drżącym głosem. - Z-zimno mi i noga... noga mnie boli.

- Zaraz cię stamtąd wydostanę! - odkrzyknął Adrian. - Widzisz w górze światło?

- Bardzo wysoko.

Rozległ się kolejny chłupot.

- Dree, tam jest woda! - rzuciła Joanna piskliwie. - A przez ten deszcz będzie jej coraz więcej!

- Wiem - potwierdził ponuro. - Sims, poszukaj czegokolwiek, czego moglibyśmy użyć. Może znajdziesz stary sznur, cokolwiek. Jo, mów do niego bez przerwy i, na miłość boską, nie strasz go bardziej.

Kiwnęła głową. Położyła się na mokrej trawie i zwiesiła głowę w głąb dziury.



- To ja, mama, Justinie, wszystko będzie dobrze. Książkę zaraz cię stąd wyciągnie, musisz tylko zdobyć się na odrobinę cierpliwości. Nie płacz, kochanie, bo nie będę mogła zrozumieć tego, co mówisz. Rozumiesz mnie?

- T-tak!

- Ile jest tam u ciebie wody?

- Nie wiem.

- Posłuchaj mnie - powiedziała stanowczo. - Woda sięga ci do kolan? Do pasa? Do ramion? Jaka jest głęboka?

- Zakrywa mi brzuch!

Adrian zaklął niewyraźnie.

- A stoisz? - spytała.

- Nie!

- To wstań!

- N-nie mogę! - Justin rozpłakał się znowu. - Mamo, noga mnie boli! Nie wytrzymam! Nie mogę wstać!

- Musisz spróbować, Justinie. Musisz, najdroższy, musisz koniecznie!

- Nie mogę!

-Justin!

- Staram się, mamo, ale nie mogę!

- Justin, błagam cię!

Kolejne plaśnięcie w dole, po czym głośny szloch:

- Stoję, mamo, ale to boli, bardzo boli, n-nie w-wytrzymam!

- Justinie, słuchaj - zawołał Adrian w głąb dziury. - To, ja, książkę, Justinie! Nic ci nie będzie, jeśli zdołasz unosić głowę nad powierzchnię. Wody jeszcze przybędzie, ale tobie nic się nie stanie! Dokąd ci teraz sięga?

- Zakrywa mi brzuch!

- To samo mówiełeś, kiedy jeszcze nie stałeś! - przypomniała Joanna.

- Wtedy zakrywała mi więcej brzucha! Mamo, ja chcę stąd wyjść!

- Znalazłem sznur, wasza miłość! Stary, ale powinien

być dobry. - Sims zbliżał się długimi susami, niosąc szary zwój, z którego zwisały postrzępione końce.

- Wielkie dzięki, przyjacielu. - Adrian rozwinął sznur i ocenił jego długość. - Justinie - zawołał - spuszczyć ci koniec liny. Postaraj się tylko mocno obwiązać nią w pasie i zaraz cię wyciągnę. - Zwracając się do Joanny, dodał: - Razem z Simsem złapcie ten koniec, żeby się nie wyslizgnął.

Zwinął linę, po czym rzucił ją w głąb studni; załopotana, rozwijając się, po czym rozległ się plusk.

- Widzisz ją, Justinie? - spytał.

- Nic tu nie widać!

- Pomocaj rękami!

- Mam!

- Zawiąz ją w pasie.

- Nie umiem!

- Justinie - głos Joanny był stanowczy - obwiąż sobie brzusek i zawiąż linę na supeł, proszę! - Odczekała kilka sekund, następnie spytała z niepokojem: - Już?

- T-tak!

- Dzielny chłopak! Pociągniemy cię w górę! - krzyknął Adrian. Zaczął powoli naprężyć linę. Przez chwilę była napięta, po czym zwiotczała nagle.

- Mamo, zsunęła się...

- Dree, wiązanie nie najlepiej mu wychodzi. Może gdyby po prostu spróbował się jej przytrzymać i zapierał o ścianki studni...

- Nie, sznur jest już śliski od błota, a kamienie zdążyły się obluzować. Będę musiał po niego zejść.

- Zawali się, wasza miłość. Często słychać, jak się takie studnie zawalają, kiedy przybiera woda - ostrzegł koniuszy. - Może by pojechać do Winton Abbey po pomoc...

- Nie ma na to czasu! - warknął Adrian, po czym oparował się szybko. - Przepraszam, Sims, ale po prostu nie ma czasu.

Joanna omiotła wzrokiem jego roslą postać, pełna wątpliwości.

- Skoro szyb może się zawalić, pozwól mnie to zrobić. Jestem najmniejsza.

- Nie.

- To mój syn! - wręcz wydarła się na niego. - Nie chcę, żeby zgi...

Mocno przycisnął rękę do jej ust i syknął:

- Nie mów tak, nigdy tak nie mów, Jo! Chcesz bardziej go przerazić?

- To mój syn - powtórzyła przez jego palce.

- I mój. Niechętnie to powtarzam, ale musisz myśleć o drugim dziecku, Jo. Ja tymczasem nie mam nikogo. - Cofnął rękę i kiwnął na Simsa. - Nie sądzę, żebyście utrzymali mnie we dwójkę, idź po Ajaksa.

Joanna wpatrywała się bez wyrazu to w Adriana, to w ciemne, wąskie wnętrza studni. Justin wciąż płakał, a ona nie mogła nic na to poradzić. Znowu zaczynało padać. Wielkie krople coraz częściej uderzały o namokniętą ziemię i Joannę ogarnęła czarna rozpacz. Milczała.

Adrian odgarnął jej z twarzy ciężkie pasmo włosów.

- Muszę to zrobić, dla ciebie, dla Justina, nawet dla samego siebie. Jestem ci to winny.

Sims podprowadził do nich roslę gniadosza.

- Nie podoba mu się cały ten deszcz - zauważył lakonicznie, patrząc, jak koń wzdraga się zbliżyć do krawędzi studni.

Adrian cofnął rękę od włosów Joanny i sięgnął po sznur. Wyprostował się i podszedł sprawdzić popręg, po czym z ponurą satysfakcją przyjrzał się łąkowi siodła. Hiszpańskie siodło kawaleryjskie, wojenna pamiątka z Półwyspu Iberyjskiego, lepiej niż angielskie nadawało się do tego zadania. Zadowolony z oględzin, rozkazał:

- Chodź tu, będziesz go trzymać, Jo.

- Ale Sims...

- Zawsze miałaś rękę do koni, poza tym masz łagodniejszy głos - przypomniał. - Przy tobie Ajaks powinien być spokojniejszy niż przy nim.

- Dree...

- Poza tym nie chcę, żebyś stała po tej stronie, gdyby studnia miała się zawalić. Nie chcę, żebyśmy znaleźli się na dole we trójkę. Musisz wrócić do domu do syna Gary'ego. - Ajaks podreptał w bok, odsuwając się przed spanielem, który plątał mu się pod nogami, poszczekując zawzięcie, a Adrian zaklął bezgłośnie. - Zamknij tego psa w szopie, Sims. Nie chcę, żeby koń się sploszył.

- Dree, wolałabym, żebyś mi pozwolił...

Wyglądał na krańcowo zmęczonego, kiedy pomachał ręką, żeby się pospieszyła.

- Raz w życiu zrób, o co cię proszę. - Podchodząc pod wlot studni, zaczął obwiązywać się drugim końcem liny na wysokości piersi. - Sprawdź węzeł, przyjacielu - powiedział do Simsa.

- Tak, wasza miłość.

- Mamo! Mamo! - wydzierał się mały gorączkowo. - Woda, jest coraz więcej wody!

- Justinie, zejść po ciebie! - przekrzykiwał go Adrian. - Schodzę! Musisz jeszcze chwilkę być dzielny, zrób to dla mamy, i zaraz cię wyciągniemy - mówiąc to, zbliżył się do krawędzi.

- Dree! - Odwrócił się na dźwięk jej głosu. Nie miała nic do dodania, ale nie mogła tak po prostu stać. Nie chciała, żeby schodził, ale desperacko pragnęła uratować syna. - Bądź ostrożny - wykrztusiła, zmuszając się do bladego uśmiechu, czując napływające do oczu łzy. Dolna warga jej zadrżała, głos opadł do bolesnego szeptu. - Proszę, bądź ostrożny, Dree. Tak bardzo go kocham, tak bardzo. Nie chciałabym też, żeby tobie coś się stało.

Stali w odległości zaledwie pięciu stóp, między nimi

otchłań sześciu gorzkich lat. Wciągnął powietrze głęboko do płuc i skinął głową.

- Nic mi nie będzie, Jo, i chłopcu też nie. Gdyby jednak doszło do najgorszego, chcę, żebyś jedno wiedziała: nawet kiedy nienawidziłem cię za to, że zdradziłaś mnie z Garym, nie przestałem cię kochać. Moje życie także było nie do zniesienia.

- Mamo, mamó, ratunku!

Adrian wziął głęboki oddech i kiwnął głową:

- Sims, gotowy? Jo, nie pozwól, żeby koń się poruszył.

Puściła lejce i chwyciła za uzdę, starając się, żeby Ajaks stał spokojnie. Przyciągnęła do siebie długi, aksamitny łeb i przytuliła do niego czoło. Koń szarpnął się tylko jeden raz: kiedy lina napięła się pod ciężarem Adriana. Potem wparł się kopytami w błoto i stał na szeroko rozstawionych nogach. Joanna miała wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu: żadnych nieskładnych myśli, żadnych gorączkowych modlitw, tylko desperacka nadzieja.

- Uwaga! Sypią się kamienie! Zawala się z tej strony, milordzie!

Słyszała głos Simsa, ale nie przenikał on do jej świadomości. W głowie miała pustkę, jednak ręka na uździe nawet nie zdrząła. Nie umiała powiedzieć, ile to trwało, zanim Adrian zawołał:

- Mam go, cofnij konia!

Nie poruszyła się, dopóki Sims nie krzyknął:

- Psze pani, trzeba cofnąć konia o dwadzieścia stóp!

Poczuła ulgę. Ciągąc za uzdę, poprowadziła konia dalej od studni. Słyszała pojedyncze kamienie, walące się do wody w głębi szybu, wiedziała jednak, że jeśli tylko lina nie puści, Adrian i Justin wydostaną się na zewnątrz.

- Powoli... Powoli... - Następnie rozległ się tryumfalny okrzyk: - Mam go, wasza miłość!

Obejrzała się w chwili, w której Sims wyjmował z ra-

mion jej męża bezwładne, drobne ciało Justina. Adrian wciąż jeszcze tkwił w studni od pasa w dół.

- Jeszcze kilka stóp, Jo! - zawołał.

Ajaks zrobił kilka kroków do przodu i Roxbury zdołał wypełznąć na śliską od deszczu i błota trawę. Przez chwilę leżał bez tchu. Joanna puściła konia i podbiegła do Simsa, który nadal trzymał jej syna.

- Czy on... nic mu nie jest, prawda?

- Żyje, Jo - zdołał powiedzieć Adrian, łapiąc oddech. - Złamał nogę, dostał paroma kamieniami w głowę, ale żyje.

- Ma wielkiego guza i kilka skaleczeń, psze pani - dodał koniuszy, przyglądając się Justinowi - do wesela się zagoi. - Przyjrzał się mu uważniej i wyszczerzył zęby w uśmiechu: - No proszę, już przytomnieje.

Joanna opadła na kolana tuż przy synu i zaczęła kołysać go w ramionach.

- Justin... Justin... - mruzczała kojąco. - Już dobrze, kochanie, mama jest przy tobie.

- Wcale nie jest mi dobrze - odpowiedział słabo, mrużąc czarnymi oczami. - Mamo, boli, bardzo boli.

Odgarnęła mu mokre włosy z twarzy i spojrzała na szybko ciemniejący siniak.

- Och, Justinie, tak mnie wystraszyłeś!

Zakręcił się, próbując usiąść, po czym opadł w jej ramiona.

- Noga mnie boli, mamo! - A potem, tknięty inną myślą, dodał: - Pewnie mnie zbijesz.

- Powinam - przytaknęła, wyjmując mu z włosów mokry liść - ale zostałeś już dostatecznie ukarany. Wiesz, księżę uratował ci życie. - Odwróciła się w kierunku Adriana, który siedział po turecku na trawie. Drogie ubranie miał podarte, twarz podrapaną, dłonie mu krwawiły. - Masz szczęście, że sam uszedłeś z życiem, Dree. Dziękuję, dziękuję ci z całego serca.

Uciekł spojrzeniem.

- Mówiłem, jestem ci winny chociaż tyle.

- Chłopca powinien obejrzeć lekarz, milordzie, a zaczyna się robić ciemno. - Sims dotknął swojej przemoczonej koszuli. - Cud boski, jeśli wszyscy czegoś nie złapiemy.

Adrian wstał, podarte ubranie zwisało na nim pod ciężarem wody.

- Nie ma co marzyć o przedostaniu się na drugi brzeg, będziemy musieli skierować się do Armitage'u,

- Nie!

- Wolisz do Winton Abbey? - spytał cicho.

- Wiesz, że nie mogę.

- Czyli do Armitage'u, tak? - upewnił się spokojnie. - Osuszycie się oboje, chłopca położy się do łóżka i wyśle się po doktora. Nie wiem, jak ty, Jo, ale ja z chęcią wziąłbym ciepłą kąpiel i przespał się trochę.

- Moja noga tam nie postanie.

- Nie bądź głupia, Jo! - zirytował się. - Nie masz wielkiego wyboru, prawda? Boisz się, co powie Johnny? Jeśli jest chociaż po części mężczyzną, kiedy tylko usłyszy, co się stało, będzie wiedział, że nie miałaś w tej materii żadnego wyboru.

- Nie.

- Na miłość boską, Jo! Zawsze był z ciebie taki uparciuch!

- Nie zamierzam narażać mojego syna na szyderstwa twojej matki! - powiedziała, owładnięta nagłą złością. - Bóg jeden wie, co mogłaby mu powiedzieć.

- To w tym rzecz? Zapewniam cię, moja droga, że moja matka nie ma tu nic do powiedzenia.

- Od kiedy to?

- Od dziś.

- Najmocniej przepraszam, milady, ale chyba nie ma o co się spierać. Chłopca musi obejrzeć doktor. - Koniuszki odwinął nogawkę bryczesów chłopca, obnażając

miejsce, w którym zakrwawiona kość sterczała przez skórę nad brzydtko wyglądającym zgrubieniem. - Trzeba to opatrzyć i złożyć albo straci nogę.

- Będzie jechał ze mną - zdecydował Adrian. - Sims, pojedziesz po doktora, powiesz mu, że potrzebny jest natychmiast.

Joanna spojrzała na nogę dziecka i na sam widok zrobiło się jej słabo. Czując, że ogarnia ją fala mdłości, powiedziała słabo:

- Nie miałam pojęcia... nie wiedziałam... - Powtarzając sobie, że musi być silna, że nie może się rozkleić, z trudem przełknęła ślinę. Adrian zaryzykował dla Justina życie i w pewnej mierze zaskarbił sobie jej zaufanie. Mimo to nie chciała narażać syna na spotkanie z Helen Delacourt.

Jakby rozumiejąc powód jej milczenia, Adrian oparł krwawiącą dłoń na ramieniu Joanny.

- Moja matka nie ma tu nic do powiedzenia - powtórzył cicho. - Nic nie usprawiedliwia tego, jak cię potraktowała. Nie wiem, czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie, ale nie pozwolę jej nigdy więcej odezwać się do ciebie w ten sposób.

- Niepotrzebnie mówisz mi to teraz.

- Jo, cokolwiek stało się sześć lat temu, dotyczy to tylko ciebie, Gary'ego i mnie. A teraz zależy mi jedynie na tym, żeby mój syn wyzdrowiał, żeby mógł biegać i bawić się jak każdy normalny chłopiec. Trzeba, żeby ktoś opatrzył mu nogę, i trzeba, żeby jego matka była przy nim. Jeśli to oznacza, że musisz pojechać ze mną do Armitage'u, proszę cię, żebyś to zrobiła.

Kiwnęła głową z zasznurowanym ze strachu gardłem.

- Dobrze, pojedziemy tam - zdołała powiedzieć czy raczej wyszeptać. - Dree, tak się boję.

Ścisnęła ją za ramię:

- Mam nadzieję, że najgorsze mamy już za sobą.



## 18

Z chłopcem na rękach Adrian gwałtownie wyminął matkę, Benningtonów i osłupiałych służących. Nie zważając na swój wygląd, ubłocoła jak nieboskie stworzenie Joanna pomknęła za nim po schodach prosto do sypialni, za nią zaś podążyli oburzony lokaj, dwie pokojówki i ochmistrzyni.

- Na miły Bóg, wasza miłość! Pański płaszcz... całkiem zniszczony! Nie do naprawienia! I co, u nieba...? Znaczy się, kto...? Ależ, sir, z pewnością nie zamierza pan go tutaj położyć, jest okropnie brudny! - Blake zrównał się z Adrianem i uczepił się jego rękawa. - Milordzie, powinniśmy jak najszybciej zdjąć z pana ten mokry płaszcz!

- A niech diabli porwą mój płaszcz, Blake! - warknęła Adrian. - Powinniśmy raczej jak najprędzej zająć się dzieckiem!

Na te słowa lokaj łypnął na chłopca, po czym zająknął się:

- Słowo daję, on wygląda... wygląda zupełnie jak...

- Posłaliśmy już po doktora - odparł Adrian zwięźle. - A teraz przynieś z szuflady jedną z moich koszul. Martha, poproszę o miskę gorącej wody, jeśli łaska. Bess, zdejmij przykrycie z łóżka. - Nadal z dzieckiem w ramionach odwrócił się do ochmistrzyni i wyjaśnił: - Pani Johnson, mój syn miał wypadek i będzie nam potrzebne laudanum.

- Tak, wasza miłość - odpowiedziała kobieta, nie ukrywając dezaprobaty i nie odrywając oczu od Joanny.

- Lady Carew przydałaby się kąpiel i czyste ubranie.

Proszę przekazać mojej matce, że zejdę na dół, jak tylko położymy małego.

- Milordzie, ubłoci pan dywan - denerwował się Blake. - Może pokój dziecienny bardziej by się nadał...

- Dziecinny stoi zamknięty od dwudziestu lat. Nie, tu go położymy. Po prostu podłóż pod chłopca złożony koc, żeby pościel się nie zabrudziła, zanim zdążymy sięgnąć z niego te łaszki.

Uprowadzając lokaja, jedna z pokojowych rozesała na łóżku koc. Adrian położył na nim Justina i zaczął zdejmować z niego mokre ubranie. Twarz dziecka była biała i posiniaczona; chłopiec był na wpół przytomny, ale oddychał miarowo. Kiedy do zdjęcia pozostały tylko bryczesy, Adrian spojrzał na Joannę i rzucił:

- Potrzebuję nożyczek, trzeba będzie je rozciąć.

- Dree, nie wiem, czy ty...

- Nie takie rzeczy widywałem na polu bitwy - odparł krótko.

Ochmistrzyni wierciła się za jego plecami, zerkając z ciekawością na chłopca. Następnie przeniosła wzrok na Joannę i na jej pooranej zmarszczkami twarzy błysnęło zrozumienie:

- Boże drogi! Ojej, nie miałam zielonego pojęcia!

Ktoś podał Adrianowi nożyczki. Zaczął delikatnie rozcinać mokry nankin tuż poniżej kieszeni, obnażając paskudne złamanie; nawet Blake musiał odwrócić wzrok.

- Będzie bolało jak diabli, kiedy się znowu ocknie, ale możemy być wdzięczni, że na razie nie cierpi. Jo, czy ktoś przyniósł miskę?

Joanna wzięła od pokojówki naczynie z wodą i kawałek czystego płótna, po czym podeszła do łóżka.

- Ja go obmyję.

- Nie, ja mogę to zrobić. To nie jest widok, który powinna oglądać matka. - Wyjął płótno i zaczął oczyszczać ranę z błota i odłamków kamieni. - Usiądź z drugiej stro-

ny i trzymaj go za rękę na wypadek, gdyby odzyskał przytomność - polecił.

- Milady, jak pani usiądzie, łóżko zaraz będzie mokre i ubłocone - zauważyła pani Johnson, tym razem bez cienia wrogości. - Lepiej najpierw przyniosę suche ubrania.

- Nie ma na to czasu - zbył tę sugestią Adrian, nie odrywając oczu od zranionej nogi synka. - Każ przygotować wannę i wstawić ją za parawan, kiedy z tym skończymy.

- Tutaj, milordzie? - Ochmistrzyni była w najwyższym stopniu zbulwersowana.

- Tutaj. Blake?

- Tak, wasza miłość?

- Pomóż mi to zdjąć z jego nogi, ale nie ciągnij za mocno. Rozetnij jeszcze kawałek nogawki, jeśli będzie trzeba.

We dwójkę Adrian i lokaj zdołali jakoś Justina rozebrać, umyć i przebrać w płócienną koszulę, w której wydawał się ginać. Blake cofnął się i popatrzył na wynik ich starań z rzadkim u niego uśmiechem na pociągłej twarzy:

- Pasuje jak namiot, milordzie. A to złamanie... strach patrzeć, strach patrzeć - powtórzył, kręcąc głową.

Justin rzucał się na wielkim łożu o czterech kolumnach.

- Noga mnie boli, mam, okropnie boli! Mam, gdzie jesteś? - krzyknął piskliwie.

- Tu, najdroższy. - Joanna przysunęła się z butelką laudanum. - Dree, nie wiem, ile... ja nigdy nie chorowałam.

- Ja też nie wiem. Pani Johnson?

- Nie jest zbyt duży, prawda? - rzuciła kobieta, znowu zerkając na chłopca. - Nie więcej niż sześć kropli na filiżankę, tak mi się widzi.

- Nie chce mi się pić! Noga mnie boli! - zakwilił Justin.

Adrian wziął butelkę i filiżankę wody, którą podała mu jedna z pokojowych. Policzył krople opiatu i zakłosał naczyniem.

- Pij, pij - prosił, unosząc głowę chłopca - pij do dna, noga nie będzie tak boleć.

Justin wziął mały łyżeczek i zakrztusił się.

- Nie, nie chcę!

- Proszę, skarbie - nalegała Joanna.

Dziecko odwróciło buzię od filiżanki i pokręciło głową.

- Nie.

- Wiesz - zaczął Adrian, siląc się na pogodny ton - pamiętam, jak twój tata był taki mały, jak ty teraz, Justinie. Spadł z drzewa tu niedaleko i złamał sobie rękę. Tak sobie myślałem, jaki był wtedy dzielny. Wypił to samo lekarstwo do ostatniej kropelki, chociaż smakowało okropnie. - Przyniósł synkowi filiżankę do ust. - Tak, do ostatniej kropelki, pamiętam. - Przechylił naczynie i czekał. - Naprawdę lepiej się potem poczuł.

Na chwilę zamglone bólem oczy odwzajemniły jego spojrzenie, po czym chłopiec kiwnął głową i objął rączkami filiżankę. Kiedy w końcu odepchnął ją od siebie, była pusta.

- Tato byłby z ciebie dumny, gdyby mógł cię teraz zobaczyć - powiedział Adrian miękko.

- Widzi mnie - odparł Justin, zamykając oczy. - Przygląda mi się z nieba.

- Lady Carew... - Ochmistrzyni delikatnie dotknęła jej ramienia. - Niechże się pani przebierze w coś suchego.

- Jak tylko mały zaśnie - obiecała Joanna. - To Dree powinien się przebrać. Mnie nic nie będzie. Naprawdę.

Doktor przybył, zanim jeszcze laudanum zaczęło działać, i kiedy skończył badać chłopca, wszyscy mieli łzy w oczach. Justin krzyczał w trakcie badania, ale nie można było mu w żaden sposób pomóc.

- Taaak, paskudne złamanie - podsumował doktor Goode, kręcąc siwą głową - nie jestem przekonany, czy wygoi się całkowicie.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał Adrian. - To dziecko, rana musi się zagoić.

- Pan wybaczy, wasza miłość. Źłe się wyraziłem. -

Goode powiódł palcem wzdłuż obrzmiałego i przebarwionego uda, zatrzymując się tuż powyżej kolana, gdzie skórę przebijał postrzępiony odłam kości. - Widzi pan? To najdłuższa kość w ciele człowieka i utrzymuje niemal cały jego ciężar. Mogę ją nastawić, nie mogę jednak obiecać, że kiedy się zrośnie, będzie tej samej długości, co druga. - Potrząsnął głową. - Widywałem przypadki, gdzie po złamaniu noga goiła się bez śladu, ale też i takie, w których pacjent wyraźnie nią powłóczył. - Zerknął na Joannę, która stała, pobladła na twarzy, i westchnął. - Chciałbym móc owinąć nogę czystym płótnem i powiedzieć, że dzieciak będzie taki, jak przed wypadkiem, milady, ale nie mogę. - Spojrzał na Justina, który oddychał coraz głębiej i spokojniej. - Laudanum zaczyna działać, jak sądzę, ale i tak poczuje, kiedy będę nastawiał kość. Lady Carew, proponowałbym, żeby pani nas opuściła na czas zabiegu.

- Nic mi nie będzie.

- To świetnie, ale i tak mogłaby pani wykapać się, przebrać i coś zjeść. Będzie pani w lepszej formie, a mogę przysiąc, że będzie pani potrzebna synkowi dzisiejszej nocy.

- Nie.

- Ja zostanę, Jo, a ty załóż na siebie coś suchego, zanim dostaniesz zapalenia płuc - odezwał się cicho Adrian.

- W takim upale? - odpowiedziała pytaniem. - Nie, zamierzam zostać. To mój syn, Dree.

Na twarzy doktora malował się wyraz ubolewania.

- Lady Carew, nie jestem w stanie zajmować się więcej niż jednym pacjentem, a to nie będzie przyjemny widok.

- Niech zostanie, jeśli chce - wtrącił niecierpliwie Adrian. Przez chwilę patrzył żonie prosto w oczy. - Jo, nigdy nie byłaś bojaźliwa, prawda? Dobrze więc, trzymaj go z jednej strony, ja przytrzymam z drugiej. Może we dwoje zdołamy go unieruchomić i trochę uspokoić.

W miejsce odpowiedzi Joanna przyklękła na łóżku i odgarnęła synowi gęste, ciemne włosy z czoła. Mimo skwaru zlany był zimnym potem, oczy miał zamknięte. Niemal w tej samej chwili chwycili go z Adrianem za ręce. Doktor Goode przygotowywał się do zabiegu.

W ułamku sekundy, kiedy doktor zaczął obmacywać nogę wzdłuż złamanej kości, oczy Justina rozwarły się szeroko, a chłopiec wyprężył się, kurczowo zaciskając ręce.

- Mamo! - krzyknął histerycznie.

- Wszystko dobrze, skarbie - zamruczała, razem z Adrianem przyciskając go do materaca. - Zaraz będzie po wszystkim.

- Nic ci nie będzie, Justinie. - Adrian usiadł na krawędzi łóżka. - Trzymaj mamę za rękę, może nie będzie tak bolało.

Goode zdążył tymczasem zbadać złamanie. Pewnie chwycił nogę Justina na wysokości kolana i szarpnął nią do dołu.

- Mamooooooooo! - Pełen przerażenia krzyk przeszył wilgotne i gorące powietrze, po czym ucichł nagle, gdy dziecko osunęło się bezwładnie.

- Na szczęście zemdlał - zauważył doktor półgłosem. Z wprawą rozciął skórę, żeby wyrównać krawędzie rany, obmył ją i zestawił oba końce kości. Zapach mokrych włosów, ubrania i krwi przenikały pomieszczenie, gdy sondował ranę, poprawiał coś, zakładał szwy i unieruchamiał nogę łubkami. Wreszcie wyprostował się i z satysfakcją powiódł wzrokiem po usztywnionej i obandażowanej kończynie. - Kilka najbliższych tygodni pokaże, jak się będzie goić, wasza miłość - zwrócił się do Adriana. - Nie wolno mu chodzić, nie wolno mu w żaden sposób obciążać nogi. - Następnie spytał Joannę: - Ile pacjent ma lat?

- W grudniu skończy sześć.

- Obawiam się zatem, że będzie miała pani pełne ręce

roboty. Będzie się czuł zupełnie dobrze o wiele, wiele wcześniej, nim będzie można pozwolić mu wstać z łóżka.

- Kiedy będę mogła zawieźć go z powrotem do Haven?

- Nie ryzykowałbym przez kilka tygodni, może nawet miesiąc.

- Miesiąc? - spytała bez tchu. - Ale my nie możemy... To znaczy, ja nie mogę... Cóż, to po prostu niemożliwe. Chciałam powiedzieć... - urwała. Wyraz jej twarzy zdradzał osłupienie.

- On może tu zostać, Jo.

- Nie! Beze mnie to wykluczone, a ja odmawiam...

- Nie można go przenosić, Jo. Słyszałaś, co powiedział doktor Goode: nie można go przenosić - powtórzył z naciskiem Adrian. - Ale porozmawiamy o tym później, kiedy już się wykąpiesz i coś zjesz. - Spojrzał na Justina. Mały leżał nieruchomo, twarzyczkę miał spopielała, czarne, zmierzwiłone włosy rozrzucone na poduszce, oddychał jednak głęboko i miarowo. - Będzie teraz spał przez pewien czas, powinniśmy więc przygotować się na chwilę, kiedy się obudzi. Pani Johnson każe przynieść tu wannę, suche ubrania i trochę jedzenia, żebyś nie musiała zostawiać go samego.

Joanna rozejrzała się po sypialni.

- Ale ty...

- Przenieś się do apartamentu, który należał do ciebie. Nie będziemy przecież dziecka ruszać.

- Ale...

- Tymczasem i mnie marzy się ciepła kąpiel. Poinformuję matkę o całym zajściu, więc nie musisz zaprzętać sobie tym głowy. - Widząc, że nie zdołał jej przekonać, dodał: - Moja matka będzie zachowywała się bez zarzutu, masz moje słowo.

Doktor Goode, pomimo pewnego zaciekawienia wobec szczególnej uprzejmości w kontaktach księcia z jego byłą żoną, zakasłał dyskretnie.

- Ehem... Wierzę, że zrobiłem wszystko, co leżało dziś w mojej mocy, wasza miłość. Jak słusznie pan zauważył, chłopiec będzie spał kilka godzin, w nocy jednak najpewniej będzie niespokojny. Może pan mu dać osiem kropli laudanum na pół szklanki wody, żeby się zbyt nie kręcił, ale nie radziłbym, żeby robił to pan częściej niż dwa razy w przeciągu nocy. Tylko podkreślam, że nie wolno mu obciążać nogi. To wyjątkowo skomplikowane złamanie i istnieje niebezpieczeństwo powikłań. - Rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku Joanny, która pochyliła się właśnie, żeby syna przykryć, i ściszył głos do szeptu: - Jeśli wda się infekcja, wolę nie myśleć o następstwach, wasza miłość.

- Tak, naturalnie - odparł ponuro Adrian. - Muszę jednak poprosić, żeby nie poruszał pan tej kwestii w jej obecności.

- Tak się umawialiśmy, jak mniemam - przyznał Goode, kiwając głową. - Przyjadę rano sprawdzić, jak chłopiec się czuje. - Potem zaś bez zastanowienia dodał: - Między nim a panem istnieje wyraźne podobieństwo, wasza miłość.

- Tak, to prawda.

W głosie księcia zabrzmiał taki smutek, rozpacz niemal, że doktor Goode umilkł. Po raz pierwszy od swojego przybycia do Armitage'u dostrzegł Roxbury'ego tak naprawdę. Natychmiast zauważył liczne skaleczenia i sińce.

- Raczy pan mi wybaczyć, milordzie. Byłem tak zaafektowany stanem chłopca, iż nie zdałem sobie sprawy z tego, że i pan jest ranny. Zechce pan tylko usiąść i pozwolić mi...

- Nie, to tylko kilka zadrapań - mruknął Adrian, odsuwając go szorstko. - Poza tym wygląda na to, że burza trochę zelżała. Lepiej niech pan wraca do domu, póki można. - Patrząc na lokaja, oznajmił: - Prześpię się w różanej komnacie, Blake. Niech przygotują mi kąpiel



i przeniosą tam moje rzeczy. Lady Carew, rzecz jasna, zostanie z synem.

Pani Johnson odprowadziła doktora do drzwi, Blake zebrał z sypialni najbardziej potrzebne rzeczy księcia, Adrian zaś podszedł do Joanny, nadal pochylonej nad synem. Bezwiednie pogładził mokre włosy, które w strąkach opadały na bawełnianą bluzkę.

- Nie martw się, Jo - pocieszył ją niezręcznie. - Przejdziemy przez to razem.

- Dree... - jej głos brzmiał głucho. - Dree, słyszałam, co mówił o zakażeniu. Ale nie myśli chyba, że... to znaczy, nie uważa za prawdopodobne... - Na wpół odwróciła się w stronę Adriana, niezdolna ubrać swoich obaw w słowa. - Och, Dree! - załkała. - Nie zniosę tego, nie po tym wszystkim, co już przeżył!

- Nie, on nie straci nogi, Jo, nie dopuścimy do tego. - Objął ją w chwili, w której zaczęły jej drgać ramiona. - Wszystko dobrze, Jo, popłacz sobie, jeśli przez to ci ulży.

Blake, widząc tak niezwykłą scenę, pospiesznie zgarnął naręczce ubrań i kiwnął na osłupiałe pokojowe, żeby poszły za nim. Zamykając drzwi, wskazał na sąsiednią sypialnię.

- Słyszeliście, co mówił pan, przygotujcie różaną komnatę, jeśli łaska.

- Ależ, panie Blake! - zaprotestowała Martha. - Ona w niej kiedyś sypiała!

- A to księżna pani będzie miała używanie - zapowiedziała druga złowieszczo. - Polecą gromy, jakich żeśmy jeszcze nie słyszeli.

- Phi! - prychnął Blake. - Jego miłość jest teraz starszy, a ja z chęcią popatrzę, jak pani dostanie za swoje. Miarujcie moje słowa: tak właśnie będzie, dostanie za swoje!

- Panie Blake, widział pan małego hrabiego?

- A i owszem.

- Skóra zdarta z naszego pana, ot co - szepnęła Martha dramatycznie.

- Ano tak, i co pan sobie myślisz, Blake? - spytała ciekawie Bess. - Nie myślisz pan chyba...

- To jasne jak słońce - odparł. - Jej miłość kłamała.

- Ale Mary powiedziała...

- Mary?! Też mi coś! Głupie toto było i sprzedajne! Wciąż wodziła tym cielecym wzrokiem za jego miłością. Zazdrosna była o lady Jo i tyle. - Lokaj nachylił się konfidencyjnie i ściszył głos: - Nigdy się nie zastanawiałyście, jak się to stało, że mogła pójść ze służby i otworzyć sklep z kapeluszami we wsi?

Upłynęło dobrych kilka minut, zanim Joanna na tyle doszła do siebie, by chwiejnie wysunąć się z ramion Adriana.

- Musisz uważać mnie za straszną beksę, Dree - powiedziała drżącym głosem, ocierając mokre policzki grzbietem dłoni.

- Miałbym cię za dziwną matkę, gdybyś nie płakała - odparł łagodnie. - Bóg mi świadkiem, że to, co dziś przeżyłaś, starczyłoby, żeby wyprowadzić z równowagi nie jedną, a dziesięć matek. - Złapał ją za łokieć i podprowadził do krzesła stojącego tuż przy otwartym oknie. - Moja droga, tak naprawdę to potrzeba ci kąpieli i chwili odpoczynku. - Skinieniem wskazał łożo, na którym leżał Justin. - Jeśli mamy nad nim czuwać, musimy odpoczywać, kiedy on śpi. - Wyprostował się z widocznym zmęczeniem, po czym zdobył się na niezbyt radosny uśmiech. - Nigdy nie byłem szczególnie dobry w zabawianiu kogokolwiek poza mną samym, ale teraz zamierzam się postarać. - Idąc ku drzwiom, zatrzymał się jeszcze: - Wiem, że nie chcesz przebywać w tym domu choćby minutę, ale, wierz mi, nie ma innego wyjścia. Zrobię, co będę mógł, żebyś nie miała przykrości z Johnnym - powiedział na odchodnym.

- Dree?

- Tak? - Odwrócił się po chwili wahania.  
- Wyzdrowieje, prawda?  
Nieufny wobec własnego głosu, kiwnął głową. Zaciśnął palce na klamce.  
- Dree?  
-Tak?  
- Jeszcze raz dziękuję. Uratowałeś mu życie.  
- Mówiłem ci już, chociaż tyle byłem ci winny.  
- I to dlatego zszedłeś do tej studni?  
- Zrobiłem to dla ciebie i dla niego. Gdybym nie spróbował go stamtąd wyciągnąć, nigdy bym sobie tego nie wybaczył. - Wpatrywał się w Joannę przez dłuższą chwilę przenikliwymi, ciemnymi oczami. Mokra, ubranie w strzępach, wyglądała jak mały urwis, który nie zdążył schować się przed burzą. Jasne włosy zwieszały się w splątanej masie, bluzkę i spódnicę miała podarte i ubłoczone, dla niego jednak była najpiękniejszą kobietą na świecie. - Przyślę Bess, żeby pomogła ci przy kąpieli - powiedział zdławionym głosem. Gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi i uciekł do holu.

## 19

Wysławszy do Haven Simsa, by ten powiadomił o wszystkim hrabinę i poprosił o ubrania dla Joanny i Justina, Adrian usiadł na obciążonej adamaszkiem ławie i ściągnął zniszczone buty. Dłonie miał obolałe i poobcierane - pamiątka po nierównych, ostrych kamieniach w studni - a każdy mięsień w jego ramionach, plecach i nogach rwał nieznośnie. Siła fizyczna i determinacja, które wcześniej tak bardzo mu pomogły, opuściły go te-

raz i czuł się tak, jakby wypompowano z niego całą energię. Jakby miało zabraknąć mu sił na to, żeby zawlec umęczone ciało do kąpieli.

Blake kręcił się nieopodal, sprawdzając temperaturę wody w miedzianej wannie i dolewając do niej aromatycznego olejku.

- Powinien był pan pozwolić mi to zrobić, wasza miłość - zauważył z dezaprobatą, kiedy drugi buciór z łomotem wylądował na podłodze.

- Są brudne - wyjaśnił Adrian rozsądnie. - Po co mamy obaj wyglądać, jakbyśmy wytarzali się w błocie? - Spojrzał na obdarte ze skóry ręce i pokręcił głową: - Prawdę mówiąc, to wyglądam, jakbym wpadł pod koło młyńskie.

- Cóż, wszystko jedno, to po prostu nie przystoi - sarknął lokaj.

- Blake, jeżeli masz mnie za jakiegoś elegancika, który nie umie sam się rozebrać, to grubo się mylisz. Dniem, w którym trzeba będzie mnie rozebrać, będzie dzień mojego pochówku.

Rozległo się szybkie, zdecydowane pukanie do drzwi. Adrian zamarł z ręką na środkowym guziku koszuli.

- Ki czort?! - mruknął soczyście. - Zobacz kto to, do brze, Blake? I jeśli nie chodzi o lady Carew albo jej syna, nie życzę sobie, by mnie niepokojono.

Lokaj ledwie zdążył podejść do drzwi, a już wpadła przez nie Helen Delacourt, odpychając Blake'a z drogi.

- Zostaw nas - rozkazała majestatycznie. - Chcę zamienić słowo z synem.

Rzuciwszy księciu pytające spojrzenie, Blake zawahał się. Adrian wzruszył ramionami ze znużeniem i kiwnął głową.

- Zadzwoń po ciebie, kiedy będę cię potrzebował.

Nie czekając, aż zamkną się drzwi za oddalającym się pospiesznie lokajem, księżna wdowa przystąpiła do natarcia:

- Adrianie, jak mogłeś? - spytała z furją. - Słowo da-  
ję, nie mogę wprost uwierzyć, że z ciebie taki głupiec! Co  
ma o tym sądzić lord Bennington? I co z Almerią? Nie  
będziesz przecież udawał, że ta... ta kobieta nadaje się na  
towarzystwo dla szlachetnie urodzonej panny! Nie będę  
tego tolerować, powiadam ci!

- Matko... - Adrian mówił cicho, ale w głosie jego  
brzmiała ostrzegawcza nuta, a oczy mu płonęły. Księżna  
jednak była zbyt wściekła, by to zauważyć.

- Albo każesz się Joannie i temu jej szczeniakowi pa-  
kować, albo będę zmuszona sama opuścić ten dom.

- Wolna droga.

- Adrianie?!

- Dziwisz się, mamó? - Wstał pomimo koszmarne-  
go zmęczenia. - Tym razem nie masz do czynienia ze smar-  
kaczem.

- Adrianie, słuchaj!

- Nie. - Ze zdecydowaniem pokręcił głową. - Ostat-  
nim razem, kiedy ciebie posłuchałem, straciłem żonę  
i przyjaciela, jakiego ze świecą szukać. Myślę, że dość już  
narobiłaś złego.

- To pospolita dziwka!

- Czyżby? - spytał ostro. - A może to ty uwikłałaś ją  
w swoje kłamstwa? Sam już nie wiem.

- Miałam dowody! Tyle, że starczyło w sądzie!

- Teraz to już nie ma znaczenia.

- Nie ma znaczenia? Adrianie, co ci jest? Kiedy o niej  
mowa, zachowujesz się, jakbyś postradał zmysły!

- Mówiłem, to nie ma znaczenia - powtórzył głucho.

- Chyba nie przebaczyłeś jej tego, co zrobiła?

- Przebaczyć jej? - Czarna brew uniosła się. - Nie uwa-  
żasz, że oboje gorzko zapłaciliśmy? Sam popchnąłem ją  
w ramiona Gary'ego, matko! A potem oboje wyгнаłem  
z kraju! - wykrzyczał jej prosto w twarz. - Urodziła mo-  
jego syna na wygnaniu! Przebaczyć? Nie, matko, to ona

nie potrafi przebaczyć mnie i nie mogę jej za to winić. Ale chłopcu mogę jeszcze krzywdy wynagrodzić, i Bóg mi świadkiem, że to zrobię.

- Nawet nie wiesz, czy jest twój! Masz tylko jej słowo, a szczerze wątpię... - Wyraz jego oczu sprawił, że umilkła na chwilę. - Cóż, to niczego nie zmienia, prawda? Równie dobrze może być synem Garetha Sherwooda.

- Być może kiedy już skończysz pakować kufry, raczysz na niego spojrzeć, matko. A potem, proszę, spróbuj komukolwiek powiedzieć, że nie jest mój. - Rozmyślnie odwracając się do niej plecami, rozpiął do końca koszulę, ściągnął ją i odłożył na krzesło stojące obok wanny, nie podnosząc na matkę wzroku. - A teraz wybaczyć, ale zamierzam się wykapać, zanim to błoto stwardnieje na kamień. A potem powiem Joannie, że nie musi się już obawiać nieprzyjemności z twojej strony. Nie żeby mnie mogło to w czymś pomóc, skoro w jej życiu pojawił się Johnny - przyznał niechętnie, - Mam jednak nadzieję, że Jo pozwoli mi widywać się z chłopcem, nawet jeżeli przyjdzie mi występować tylko w roli wujka.

Zaniepokojona, Helen podeszła do niego i chwyciła go za rękę.

- Nie mówisz chyba poważnie... Adrianie, jestem twoją matką! A co z Benningtonami? Obiecałeś zabrać Almerię do Wells jutro rano.

- Mnie oni za grosz nie obchodzą.

- Adrianie, bądź rozsądny! Przecież...

Spojrzał w dół na miejsce, w którym zagięte palce matki wbijały się w nagą skórę przedramienia. Uwolnił rękę, po czym się cofnął.

- Podejrzewam, że kiedy ciebie tu nie będzie, Benningtonowie uznają za stosowne, żeby jak najszybciej wyjechać. Jak sama zauważyłaś, niemożliwe, żeby Almeria chciała narażać się na towarzystwo Joanny - odpowiedział spokojnie. - I ja, na przykład, nie mam nic przeciwko temu.

- A nasze plany... Wells... Adrianie, nie możesz mi tego zrobić!

- Twoje plany, o ile się nie mylę. Jeśli jednak nie chcesz Almerii rozczarować, możesz sama towarzyszyć jej do Wells. Szczerze mówiąc, wszystko mi jedno.

- Nie możesz odprawić rodzonej matki! Pomyśl, co powiedzą w towarzystwie - gorączkowo szukała argumentu. - Wszyscy wezmą cię na języki!

- Zapewne masz rację - zgodził się z nią - ale księżcy tytuł, jak sama tak często podkreślałaś, ma swoje przywileje. Śmiem twierdzić, że tytuł i majątek otworzą mi drzwi do każdego miejsca, w które chciałbym się udać. A jeśli nie... nie będę płakał, zapewniam cię. - Usiadł na ławie, rozbierając się dalej.

- Adrianie, jestem ci potrzebna - uderzyła w inny ton. - Jeśli Joanna ma tu nocować, muszę zostać w Armitage'u.

- A czemuż to? - spytał. - Zadbaliśmy już o to, żeby straciła reputację, nieprawdaż?

- Adrianie, jestem twoją matką. Martwię się o ciebie.

- Doprawdy? - Czarna brew ponownie się uniosła w udawanym zaskoczeniu. - Nie, matko, nie sądzę. Gdybyś była zdolna do ludzkich uczuć, wykazałabyś chociaż cię troski o jedynego wnuka. Omal dziś nie zginął i wciąż nie ma pewności, że wyjdzie z choroby cało. Nie będzie można przez jakiś czas stąd go zabrać.

- Och, obecność chłopaka w niczym nie zaszkodzi - powiedziała księżna, starając się udobruchać syna. - Dopilnuję nawet, żeby ktoś się nim zajął.

- Nie trzeba. Po to ma matkę.

- Ale ona nie może tu zostać! Adrian, pomyśl o skandalu!

- Jakoś przez to przebrniemy. - Podniósł się i rozpiął spodnie. - A teraz, jeżeli nie chcesz oglądać mnie nagiego, proszę, wyjdź i daj mi się spokojnie wykapać. - Odwzajemnił jej spojrzenie; w oczach miał chłód. - I zaka-

żuję ci odzywać się do Jo. Na jej widok zapominasz o manierach. A jeśli dowiem się, że mnie nie posłuchałaś, odprawię cię jeszcze dziś. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

- Zawsze ta sama śpiewka, co? - W końcu dała się porwać emocjom. - Joanna i Joanna! Cóż, jedno ci gwarantuję, Adrianie Delacourt. Nie poddam się łatwo. Świat dowie się, że ona mieszka tu jak pospolita ladaczniczka! I nią właśnie jest!

W odpowiedzi znikł za parawanem, rozebrał się do końca i wślizgnął do aromatycznej wody.

- Nie sądzę, by leżało to w twoim interesie - zauważył rozsądnie. - Na twoim miejscu stanąłbym na głowie, żeby skandal nie wybuchł. W przeciwnym razie ktoś mógłby posądzić cię o rozpuszczanie plotek, a wtedy ja mógłbym stracić ochotę na wypłacanie ci pensyjki.

- Nie odważyłbyś się.

Namydlił twarz.

- Cóż, zrobiłbym to niechętnie - przyznał - ale nie miałbym wyboru, i to za twoją sprawą. Nie zostałyabyś w końcu całkiem bez grosza. Mogłabyś utrzymywać się z tego, co zostawiła ci matka, choć naturalnie nie żyłabyś już tak dostatnio, jak lubisz. Masz chyba także po ojcu posiadłość w Northumbrii?

- W Northumbrii?! Adrianie, co ty mówisz!

- Niestety, cała reszta należy do mnie.

- Nie zdołam powstrzymać skandalu, zrozum - prosiła z rozpaczą.

- Dom w hrabstwie Kent i skromna pensja albo Northumbria. Zastanów się dobrze, zanim wybierzesz.

- Urodziłam cię, Adrianie!

- Gdybyś mnie kochała, zaakceptowałabyś Joannę.

- To małe nic?! Zwykłą Milfordównę?!

- Nie, Joannę Milford Delacourt, księżną Roxbury. Wróćmy jednak do tematu. Ufam, że powstrzymasz się



przed szerzeniem niepoehlebnych plotek pod jej adresem. Inaczej mozesz nagle znalezc sie w Northumbrii, a ja nie, nawyklem do czechych pogrozek. Masz moje slowo.

- Ale ludzie beda gadać, na pewno! - protestowala z panika. - Adrianie, zastanow sie. Jest zaręczona z lordem Barrasfordem, nie moze tu przebywac, nie wywoiujac skandalu. Badz rozsadny, nie wiesz, o co prosisz!

- A jednak jesli dojdą mnie sluchy, ze z twoich ust padlo jedno zle slowo... - urwal, pewny, ze swietnie rozumiala, co mial na mysl.

Helen wiedziala, kiedy zostala pokonana. Nigdy nie potrafilala wlasciwie ocenic jego uczuc dla malej Joanny Milford i nie bedzie umiala nigdy. Kobieta, dla ktorej status byl wszystkim, nie byla w stanie pojac zauroczenia corka nie smierdzacego groszem barona, zwyklego hołysza z tytulem. Stala, skonsternowana, sluchajac, jak jej syn splukuje mydliny z twarzy i torsu. Pełna urazy, oznajmila z przekazem:

- Nie wiem, co zamierzasz osiagnac, trzymajac ja pod tym dachem. Jakkolwiek by na to patrzec, jest przeciez narzeczona Barrasforda.

- Jest matka mojego syna.

Uslyszal gniewny szelest spodnicy, kiedy ksiezna maszerowala do wyjscia, potem trzaśnięcie drzwi i zostal sam na sam ze swoimi myslami. Tak naprawde nie zamierzal uciekac sie do drastycznych posuniec, ale nie zamierzal tez odsylac Joanny do Haven. Mial jednak dziwne przeczucie, ze do scysji z matka w koncu dojdzie. W Armitage'u po prostu bylo za ciasno dla niej i dla Joanny. Szkoda tylko, ze nie doszedl do tego wniosku siedem lat wczesniej, skwitowal w duchu Z zalem.

Głębiej zanurzajac obolale ciało w cieplej wodzie, pomyslal o swoim synu. Jego syn. Przypomniał sobie, jak dziecko garnęło sie do niego, i poczul w sercu ciepło. Kiedy opuszczal sie do tamtej studni, gotow byl za młodego

Justina Sherwooda umrzeć. Tak się jednak nie stało - nie wiedząc nic o zaszłościach między Adrianem a matką, malec przytulił się do niego z całkowitą ufnością. Jeszcze teraz, kiedy o tym myślał, w księżcu wzbierała czułość.

Myśli jego pobiegły ku Joannie. Ileż kobiet dostałoby hysterii na widok kości przebijającej się przez skórę? Ale nie Jo - ona chciała tylko pocieszyć swojego syna. Ich syna. Powinien być z nią przez wszystkie te dni, kiedy była brzemienna, przez długie godziny, kiedy Justin przychodził na świat i wszystkie późniejsze lata. Tymczasem to Gary jej towarzyszył, to Gary ją pocieszał, Gary dzielił z Justinem pierwsze lata jego życia.

Gareth Sherwood. Przyjaciół, jakiego ze świecą szukać, powiedział matce. A teraz straszne podejrzenie, że kłamała, ciążyło mu jak najgorsze brzemie, kamieniem kładło się na sumieniu, dręcząc duszę. Ale przecież były dowody... a Joanna niczemu nie przeczyła.

- Czy wasza miłość czegoś potrzebuje?

Tak był pochłonięty rozmyślaniami, że nie usłyszał nawet, kiedy znowu pojawił się lokaj; wyprostował się w wannie i wrócił do terażniejszości. Zaczął delikatnie namydlać pokaleczone dłonie, skórę miał zdartą do żywego.

- Przydałaby się jakaś maść, Blake.

- Właśnie przyniosłem, milordzie. - Twarz mężczyzny ściągnęła się w wyrazie zatroskania. - Nie podobają mi się te sińce i skaleczenia, może trzeba je było pokazać doktorowi.

- Eh, wygoją się bez śladu. Jakies wieści z sąsiedniego pokoju?

- Od lady Carew? Nie, ale wiem, że pani Johnson przygotowała dla niej kąpiel. To okropne, co się temu chłopcu przydarzyło, sir, okropne. Ale na pewno dojdzie do siebie. Biedna lady Carew, po wszystkim, co przeszła... Cóż, lepiej nie myśleć, prawda?

- Mało brakowało, a straciłaby syna.

- Właśnie. Milordzie, proszę pozwolić, żebym spłukać panu włosy. Radzę sobie z tym o niebo lepiej. Proszę. - Podniósł dzbanek z czystą wodą i zaczął wypłukiwać mydliny z gęstwy czarnych włosów. - Na szczęście puder wyszedł z mody, nie sądzi pan, sir? Cały funt by nie wystarczył.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- A ja owszem. Dżentelmen w służbie u dżentelmena musi czasem zastanawiać się nad takimi sprawami. Skończone. Podać milordowi szlafrok czy zamierza się pan ubrać do kolacji?

- Kolacji? - Zupełnie zapomniał o jedzeniu. - A która to godzina, Blake?

- Parę minut po siódmej, wasza miłość, ale kucharka wcale się opóźnieniem nie martwi. Powiedziała, że wystarczająco długo kolacje podawane są w Armitage'u na wiejską modłę i choć raz zjemy jak cywilizowani ludzie. Zdaje mi się, że w trakcie rozmowy z panią Johnson wspomniała ósmą trzydzieści.

Adrian skrzywił się, wstając w wannie.

- Cóż, pozostałe posiłki także jadamy „na wiejską modłę”. Podejrzewam, że Bennington będzie zrozpaczony, kiedy się dowie, że zmieniliśmy plan dnia, nie pytając go o zdanie.

- Pani Johnson już go poinformowała, wasza miłość.

- I...? - Na ustach Adriana pojawił się cień uśmiechu.

- No, nie mogę powiedzieć, że był zachwycony, milordzie - przyznał lokaj, podając ręcznik. - Przeciwnie, o ile dobrze zrozumiałem, napomknął, że nie zostanie w domu, w którym się go głodzi.

- Szkoda, że wcześniej na to nie wpadliśmy.

- Ee... - Blake wahał się, czy przekazać pytanie ochmi-strzyni: - A lady Carew, wasza miłość? Zejdzie na kolację?

- Nie.

Lokaj poskładał pieczołowicie ubrania Adriana i odłożył je na szafkę.

- Może w takim razie powiadomić kucharkę, że pani zje na gorze. Pani Johnson sądziła, iż lady Carew zjedzie na kolację z resztą towarzystwa.

- Nie sądzę, żeby miała na to ochotę - zauważył Adrian sucho. - Każ Bess zanieść pani jedzenie do pokoju.

Wycierając się energicznie, zerknął na drzwi łączące pomieszczenie z sąsiednim i nagle oprzytomniał - jej dawna sypialnia. Nic nie zmieniło się tu od chwili, w której Joanna wyszła z niej po raz ostatni. Wcześniej był tak zmęczony, że nawet się nad tym nie zastanowił, teraz jednak nie umiał myśleć o niczym innym. Błądził wzrokiem to tu, to tam, zatrzymując się na różnych drobiazgach, i odżyły wspomnienia. Jego piękna żona lubiła siedzieć przed kominkiem, żeby wysuszyć włosy. Nawet teraz niemal widział ją oczyma duszy: z lekko przechyloną głową, z kaskadą złocistych włosów przy twarzy. Obnażone ramiona połyskiwały w refleksach pełgających płomieni, koszula obciskała się na jędrnych pierśsiach, gdy długimi, zdecydowanymi pociągnięciami szczotki czesała tę wspaniałą, pszeniczną burzę.

W końcu oderwał się od tej wizji i rozejrzał po pokoju, by zatrzymać wzrok na masywnym łożu z baldachimem. Ileż to nocy spędził tam razem z Joanną? Niemal tyle, ile ona spędziła u niego. Żartowali nawet między sobą, że dywan w przejściu między sypialniami wytrze się, zanim pierwszy rok ich małżeństwa dobiegnie końca. Były to najwspanialsze noce w jego życiu - żadna z rozlicznych kochanek, które miał od tamtej pory, nie potrafiła mu dać nawet części tego, co łączyło go z Joanną.

- Czy coś się stało, wasza miłość?

- Nie, dlaczego?

- Zmienił się pan na twarzy.

- Po prostu jestem zmęczony - skłamał Adrian. - A mo-

że zaszedłbyś do pani Johnson poprosić, żeby wysłała na górę tę taczkę? Potrafię sam się ubrać i nie widzę powodów, żebyś nie miał zjeść kolacji o zwykłej porze. Równie dobrze możesz zjeść z resztą służby.

- Och, nie o to mi chodziło...

- No, idź. W domu panuje zamęt i nie przypuszczam, żeby ktoś zauważył, że węzeł mojej krawatki nie jest tak doskonały, jak zawsze.

- Jest pan pewny, wasza miłość? Może jednak...

- Idź, idź.

Kiedy tylko za lokajem zamknęły się drzwi, Adrian ubrał się pospiesznie. W rozpiętej śnieżnobiałej koszuli podszedł do wewnętrznych drzwi i ruszył klamką. Zamek ustąpił, drzwi otworzyły się na oścież, odsłaniając wnętrze sypialni. Odszukał wzrokiem Justina; drobna, pogrążona we śnie postać wsparta była o poduszki, usztywniona noga opierała się o zrolowany koc. Bosy, bezszelestnie podszedł do tyłem stojącego przy łóżku fotela, pewny, że siedzi na nim Joanna. Obszedł fotel i przekonał się, że leży tam tylko jej spódnica. Serce zaabiło mu niespokojnie.

-Jo?

Zza orientalnego parawanu dobiegł gwałtowny chłupot. Joanna złapała ręcznik i rzuciła ostrzegawczo:

- Nie podchodź, Dree.

Za późno. Kiedy podniosła wzrok, stał już przy niej - wyraz jego twarzy mówił wszystko. Dreszcz podniecenia przebiegł jej po plecach i poczuła, że zasycha jej w gardle. Przycisnęła ręcznik do piersi, nie zważając na to, że się zmoczy. Spłonęła rumieńcem pod wzrokiem Adriana.

- Wynoś się stąd - zdołała powiedzieć w miarę spokojnie.

- Przyszedłem sprawdzić, co z chłopcem.

- Śpi, co zresztą musiałeś zauważyć, skradając się tu jak złodziej.

- Nie skradałem się. Szukałem moich onyksowych spinek. - Potrząsnął rękawami koszuli. - Najwyraźniej Błażka zapomniał je wziąć.

- Skradałeś się - powtórzyła z uporem. - Owszem, jestem ci wdzięczna za to, co zrobiłeś dla Justina, ale nie przypominam sobie, żebym pozwoliła ci gapić się na mnie.

- Swoje już widziałem. - Uśmiech igrał mu na wargach, ciemne oczy roziskrzyły się. - Pozwolę sobie nawet zauważyć, że widziałem znacznie większą część twojej osoby.

- Pamiętam wiele rzeczy, Dree. Wyjdiesz czy nie?

- Nie.

- Rozumiem. - Ściągnęła usta w grymasie dezaprobaty, ale serce w niej drżało. Nie mogła zdobyć się na to, by odwzajemnić jego spojrzenie. W zamian za to skupiła wzrok na owłosionym torsie wyzierającym spod rozpiętej koszuli. Oddychała powoli, walcząc z grzesznymi myślami. Kiedy w końcu odezwała się, jej głos brzmiał zupełnie spokojnie. - Tu nie ma żadnych spinek, Dree.

- Jo... - Uczynił krok w jej kierunku.

- Stój - rozkazała, bliska paniki. - Jeżeli wyobrażasz sobie, że możesz ot tak wejść tutaj i mnie dotknąć, to się mylisz.

- Odesłałem matkę.

- Nie widzę związku, milordzie.

- Kazała mi wybrać między wami dwiema.

- Jestem wzruszona do łez - zauważyła sarkastycznie. - Wielka szkoda, że nie podjąłeś tej decyzji, kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem. - Gniew zawrzał w niej z nową siłą i mogła już podnieść na niego oczy. - Spóźniłeś się, mój panie.

- Czyżby? - spytał ciepło, obchodząc ją. Mocniej przycisnęła ręcznik i szarpnęła się do przodu, kiedy sięgnął do wanny po myjkę. - Pamiętasz, jak cię myłem, Jo? Jak namydlałem twoje włosy? - Kostką mydła potarł myjkę,

po czym pochylił się, żeby umyć jej plecy. Jego dotyk był lekki, niemal bezosobowy, w głosie jednak brzmiała zażyłość, kiedy nachylił się bliżej, by szepnąć - Pamiętasz to, Jo?

- Nie - skłamała. Musiała na chwilę zamknąć oczy, by zapanować nad zmysłami. Chwyciwszy się za brzegi wanny, podniosła się tak gwałtownie, że rozbryzgi wody zmoczyły jego koszulę i spodnie. - Czy to właśnie chciałeś zobaczyć? - Upuściła mokry ręcznik do wody i wyprostowała się. - Przypatrz się dobrze, Dree. Wierzyłeś, że dzieliłam to ciało z Garethem, kiedy byłam twoją żoną. Chciałeś powspominać? Proszę.

Piersi miała pełniejsze niż pamiętał, ale talię nadal smukłą i płaski brzuch. Głośno wciągnął powietrze do płuc na widok jej mokrego, połyskliwego ciała. W ustach zaschło mu nagle i nie mógł dobyć głosu. Przyglądając mu się ze znużeniem, wyszła z wanny i sięgnęła po świeży ręcznik. Stała naprzeciwko niego, przekrzywiając głowę to w jedną, to w drugą stronę, żeby osuszyć jasne włosy, po czym owinęła się ręcznikiem. Przez cały ten czas Adrian nie umiał zdobyć się na to, żeby odwrócić wzrok.

Przeszła obok niego tak blisko, że poczuł zapach świeżo umytych włosów. Zatopił palce w mokrych pasmach, żeby ją zatrzymać. Rozzłoszczona, szarpnęła się, uwalniając z taką siłą, że łzy bólu napłynęły jej do oczu.

- Nie rób tak! - krzyknęła.

Ręka ześlizgnęła się po jej plecach na wilgotny ręcznik, broniący mu dostępu do jedwabistej skóry. Dotyk palców budził dreszcz. Zamknęła oczy i z trudem przełknęła ślinę.

- Proszę cię, Dree. Już nie jestem twoja.

- Ciii... - Powoli, z rozmysłem, odwróciła ją przodem. Stała nieruchomo jak posąg, całą sobą starając się ukryć pożądanie. Jedynie pulsowanie delikatnej żyłki na smukłej szyi zdradzało, co się z nią dzieje. Objął ją ramieniem

i przyciągnął do siebie, rozkoszując się świeżym, słodkim zapachem jej ciała. Usiłowała uchylić się przed pocałunkiem, ale w końcu wpił się wargami w jej usta. Całował z coraz większym żarem, zmysłowo wodząc dłońmi wzdłuż gładkich pleców. Pożądanie narosło w niej i stopniała w jego ramionach, tak że musiał ją podtrzymać. Ręcznik odwinął się i uwiązał między ich ciałami.

- Sama wiesz, że chcesz tego tak bardzo jak ja - wyszeptał gorąco, przyciskając usta do jej nabrzmiałych warg.

Było zupełnie tak, jakby pełne gniewu i goryczy lata spłonęły w żarze ich ciał. Jak on rozgrzana do białości, zapomniała o całym świecie, o wszystkim poza mężczyzną, który trzymał ją w ramionach. Wbiła mu paznokcie w plecy i naparła na niego z całej siły, czując, że uginają się pod nią nogi.

- Mamo!

Przeraźliwy krzyk Justina wrył się w świadomość Joanny i w jednej chwili przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Zesztywniała i zaczęła szamotać się rozpaczliwie.

- Puszczaj mnie! Justinie, już idę...

- Mamo! Mamo!

Wyrwała się i ręcznik zsunął się z niej na podłogę. Adrian opuścił ręce.

- Psiakrew! - mruknął, rozczarowany.

- Mamo, gdzie jesteś? - pytało dziecko tonem skargi. - Noga mnie boli! I bardzo chce mi się pić!

- Już... już idę, kochanie! - Nerwowo krążyła w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby na siebie narzucić.

- Proszę. - Już opanowany, Adrian podał jej szlafrok. - Ubierz się, ja do niego pójdę. - Żeby się uspokoić, kilka razy odetchnął głęboko, powoli, i ruszył w kierunku łóżka, na którym leżał chłopiec.

- Mama? - Justin zamrugał niepewnie powiekami. Adrian wziął go za rękę i chłopiec uspokoił się trochę. - Ta-



ta? - Spojrzenie ciemnych oczu usiłowało przebić panujący w pomieszczeniu półmrok, po czym wyostrzyło się na tyle, by pojawił się w nich błysk zrozumienia. - Książę - powiedział po prostu.

- Nie najlepiej się czujesz, co? - mruknął Adrian ze współczuciem. - Czekaj, poprawię poduszki, żebyś mógł się napić.

- Mama?

- Mama przed chwilą się wykąpała, Justinie, ale przyjdzie do ciebie, jak tylko się ubierze. - Unosząc chłopca, sięgnął po szklankę wody. - Weź porządny łyk. - Jedną ręką trzymał szklankę, żeby dziecko nie rozlało. - Dobrze, kapitalnie! - pochwalił.

Justin opadł na poduszki, nie poluzniając chwytu na drugiej dłoni Adriana.

- Książę - oświadczył z powagą - ja się bałem.

- Wiem. Ja też.

Chwilę później podeszła do nich Joanna, bezpiecznie opatulona szlafrokiem. Zdażyła też przeciągnąć grzebieniem po włosach - gładko przyczesane, kładły się jej na ramionach.

- Gorączkuje? - spytała z niepokojem.

Adrian odgarnął ciemne pasma z czoła chłopca i przyłożył do niego drugą rękę.

- Nie, na razie nie.

- Mamo, noga mnie boli jak diabli! - Justin otworzył jedno oko, ciekaw, jaki efekt wywrze na matce to oświadczenie.

- Nieładnie tak mówić, kochanie. Wiem, że cię boli, ale na razie nie możemy nic zrobić. Masz złamaną nogę i trochę potrwa, zanim się zagoi. - Przysiadła ciężko po drugiej stronie łóżka i pogłaskała gęstą czuprynę synka. - Możemy za to dać ci jeszcze troszkę laudanum, to nie będzie tak bardzo bolało.

- Fuf!

- Owszem - zgodził się z nim Adrian - ale pomoże, słowo. - Uwolnił rękę i sięgnął po buteleczkę z laudanum. - Podaj mi dzbanek, Jo. Trochę to rozcieńczę.

We dwoje zdołali jakoś podać chłopcu pełną dawkę. Pozostawało tylko czekać, aż lek zacznie skutkować. Tymczasem dokładali wszelkich starań, by odwrócić uwagę dziecka od bólu. Joanna śpiewała mu, aż w końcu jej głos, i tak zdarty krzykiem, zupełnie ją zawiódł. Raz na jakiś czas mały domagał się kolejnej piosenki, aż w końcu Adrian, ze smętnym komentarzem, że będą musieli się zadowolić co przyzwoitszymi śpiewkami z czasów jego pobytu w Oxfordzie, rozpoczął swój recital. Szczęśliwie Joanna nie знаła większości piosenek, które nucił. Przy piątej chłopiec przytulił buzię do poduszki i leżał, mrugając oczami, żeby odegnać senność. Adrian odśpiewał jeszcze kilka taktów starej piosenki biesiadnej, po czym, pewny już, że Justin śpi, pogładził Joannę po grzbiecie dłoni.

- Moglibyśmy przenieść się do różanej komnaty - zasugerował delikatnie.

Szarpnięciem cofnęła dłoń.

- Nie, nie wydaje mi się - wykrztusiła sztywno. Wstała, zapatrzyła się w okno. Zapadał zmrok.

- Twoje usta nie zaprzeczają temu, co czuło twoje ciało - mruzczał, stojąc za nią.

- Nie dotykaj mnie, bo będę krzyczeć. - Obracając się przodem, rzuciła błagalnie: - Nie rób mi tego, Dree, proszę... Możemy być dla siebie uprzejmi ze względu na Justina, ale nie próbuj mnie znowu mamieć.

- Jo... - Zacisnął palce na jej ramieniu.

- Nie dotykaj mnie! - Wyrwała się i szarpnęła w tył. - To, że gościsz mnie pod swoim dachem, nie oznacza, że możesz traktować mnie jak zwykłą ładacnicę, Dree. Zapominasz, że jestem zaręczona z lordem Barrasfordem.

- Zerwij zaręczyny i wróć do mnie.

- Pewnie powinnam się była tego po tobie spodziewać - zauważyła gorzko. - Cóż, Dree, nie zrobię tak, nie mogłabym. John Barrasford to przyzwoity, życzliwy człowiek, Dree, a ja dałam słowo. I nie 'wiem, czy mi uwierzysz, ale ja swoich obietnic dotrzymuję.

- Obietnic danych mnie też dotrzymałaś?

- Przysięgam, że nigdy na to pytanie nie odpowiem. I tak nie miałoby to sensu, prawda? Obawiam się, że będziesz musiał odpowiedzieć na nie sam. Gary próbował ci kiedyś powiedzieć prawdę, ale ty nie chciałeś słuchać. - Machnęła ręką w stronę drzwi łączących obie sypialnie. - Robi się późno, milordzie, a nie skończył się pan ubierać do kolacji. Radziłabym więc, żeby pan się tym zajął. Zanim jednak zejdzie pan na dół, proszę oddać mi klucz.

-Jo...

- To pańska sypialnia, milordzie, kiedy jednak następnym razem będzie pan chciał do niej wejść, proszę najpierw zapukać. Proszę też, żeby nie wchodził pan nieproszony, nie życzę sobie bowiem powtarzać tej sceny.

Odczekała, aż wyszedł, po czym ostrożnie zamknęła drzwi. Dopiero jednak kiedy opadła na fotel, uzmysłowiła sobie, jak niewiele brakowało, by zdradziło ją własne ciało.

## 20

Od samego początku kolacja przebiegała w wyjątkowo napiętej atmosferze. Adrian się spóźnił. Gdy stanął w drzwiach, prowadzona ścisłym głosem rozmowa urwała się nagle, a 'wszyscy obecni podnieśli na niego zasępiony wzrok. Jedno spojrzenie powiedziało mu wszystko: na twarzy księżnej wdowy widniała furia z trudem

skrywana pod płaszczykiem chłodnej uprzejmości, podbródki lorda Benningtona dygotały z oburzenia wobec doznanego afrontu, usta lady Bennington zastygły w uśmiechu determinacji, a gorzkiego rozczarowania Almerii nie była w stanie przesłonić nawet przyklepiona do twarzy dziewczyny maska niewzruszonego spokoju. Gdy Adrian zajmował swoje miejsce u szczytu długiego stołu, jedynie lady Bennington wysiliła się na radosne - w zamierzeniu - powitanie. Spojrzenie, które jej rzucił, szybko położyło kres próbom poprawienia powszechnych nastrojów. Bąknęła coś bez sensu, po czym pogrążyła się w pełnym rezygnacji milczeniu.

Dopiero kiedy dobrnęli do połowy trzeciego dania, lord Bennington odważył się zapytać, czy „ta kobieta” rzeczywiście wprowadza się do Armitage’u. Adrian zesztyniał, słysząc przyganę w jego głosie.

- „Ta kobieta”, jak wyraziłeś się pan o lady Carew, była kiedyś moją żoną - przypomniał zimno. - A odpowiedź brzmi: tak, spodziewam się, że zostanie tu tyle, ile potrwa rekonwalescencja jej syna. - Dokładając sobie łyżkę groszku, zerknął w kierunku lokaja, który czekał nieopodal, by podać następne danie. - Możesz przekazać kucharce, że niepotrzebnie się martwiła. Groszek jest wyśmienity - dodał, z rozmysłem zmieniając temat.

- Wasza miłość, jestem zmuszony zaprotestować przeciwko temu... temu rażącemu naruszeniu przyzwoitości...

- George! - Lady Bennington złapała męża za łokieć i syknęła cicho: - Nie teraz. - Niemal niezauważalnym ruchem głowy wskazała córkę, siedzącą sztywno za stołem i grzebiącą widelcem w talerzu, i dodała z naciskiem: - Uważam, że droga Almeria nie powinna tego wysłuchiwać.

- Jakbym nie wiedziała, że takie kobiety istnieją - odparła wzgardliwie młoda dama, uciekając jednak wzrokiem.

Adrian poczuł dziwny ciężar w żołądku. Jedzenie w je-

go ustach straciło nagle wszelki smak. Miał wielką chęć rzucić się im wszystkim do gardeł, wykrzyknąć, że mylą się co do Joanny, że nie zasłużyła sobie na taką reputację, wiedział jednak, że broniąc jej honoru, dałby jedynie nowy temat do plotek. Benningtonowie nie omieszkaliby skomentować takiego zachowania po powrocie do Londynu. W zamian za to wbił w Almerię lodowate spojrzenie.

- Joanna Sherwood w niczym ci, pani, nie ustępuje - powiedział spokojnie. - I ma w sobie ciepło, którym nie liczni w twojej sferze mogą się pochwalić.

Na białych policzkach dziewczyny wykwitły dwie szkarłatne plamy. Chłód Adriana w połączeniu z wcześniejszym zwięzłym stwierdzeniem lady Helen, że o wyprawie do Wells trzeba zapomnieć, dotknęły ją do żywego.

- Jeżeli zaprosiłeś mnie, milordzie, po to, by mnie obrazić, to sztuka udała się panu znakomicie. Nie zamierzam brać udziału w rozmowie o byle rozwódce, a co dopiero przebywać z nią pod jednym dachem - oznajmiła wyniośle.

- Kiciu, pozwól, że to ja będę mówił - upomniał ją Bennington.

- Nie, papo. Chcę dokończyć. - Zwracając się ponownie do Adriana, oznajmiła: - Nie dość że zaprosił mnie pan tu pod ewidentnie fałszywym pozorem, to jeszcze obnosi się ze swoim upodobaniem do tej kobiety. Z niepojętego dla mnie powodu postanowił pan uczynić ze mnie publiczne pośmiewisko, milordzie, choć nie zrobiłam nic, by sobie na takie traktowanie zasłużyć. - Wstała od stołu, majestatyczna jak królowa, wpatrując się w Adriana z twarzą wykrzywioną w gorzkim grymasie. - Nic nie skłoni mnie do pozostania w tym domostwie, dopóki lady Carew jest w nim mile widziana. - Zerkając na ojca, dodała słabo: - Proszę o wybaczenie, papo, ale mam straszliwą migrenę.

Po jej wyjściu zapanowała martwa cisza. Lord Ben-

nington, wielce niezadowolony z takiego obrotu sprawy, próbował wybrnąć z sytuacji.

- Proszę mojej córce wybaczyć, wasza miłość. To zwykłe humory, nic więcej, do rana jej przejdzie. Śmiem twierdzić, że kiedy lady Carew wyjedzie... cóż, czemuż nie miałbyś pan wybrać się z wizytką do Upton Grove jeszcze tego lata, e? Spodziewam się, że Almeria z radością tam pana powita.

- Wszystko zniósłbyś pan dla mojego tytułu, nieprawdaż? - zauważył Adrian z obrzydzeniem.

- No, no, mój panie. Nie tak rozmawia się z dżentelmenem - zaprotestował dobrotliwie Bennington.

- Może powinnam za nią pójść - powiedziała lady Bennington niepewnie.

Adrian cisnął serwetkę na stół i wstał.

- Nie. Jak mniemam, ja tu ponoszę winę i ja pójdę. Pora -wyjaśnić całe to nieporozumienie.

Znalazł Almerię w ogrodzie na tyłach domu. Maszerowała gniewnie w tę i z powrotem.

- Panno Bennington... - Podeszedł do niej od tyłu i zatrzymał się, czekając.

- Czego pan chcesz? - spytała szorstko, ale w jej głosie brzmiała nutka nadziei.

- Przyszedłem przeprosić za mój opłakany brak manier. Choć nie podzielam pani zdania o lady Carew, dowiedziałem, że kiepski ze mnie gospodarz. - Almeria milczała uparcie, postanowił więc wyłożyć karty na stół: - Wierzę, że mylisz się, pani, co do moich uczuć. To moja matka cię prosiła, nie ja. Podziwiam cię, jesteś pani, bardzo piękną, młodą damą, nigdy jednakże nie było moim Zamiarem ci się oświadczyć. I nigdy nie zgodziłbym się na twój, pani, przyjazd, nie jestem bowiem zainteresowanym ponownym ożenkiem.

- Nawet z pańską najdroższą Joanną? - spytała kąśliwie.

- Lady Carew zaręczyła się z lordem Barrasfordem - odrzekł bez wyrazu. - Poza tym dała mi niezwykle jasno do zrozumienia, że nie mogę liczyć na jej powrót.

- Rozumiem. Czyli ja także nie mam na co liczyć, tak?

- W moim sercu Joanna nadal jest księżną Roxbury, moją żoną, dla żadnej innej kobiety nie ma w nim miejsca - tłumaczył łagodnie, sięgając po dłoń dziewczyny. - Pozwól, pani, ze mną, przejdziemy się i spróbuję wszystko wyjaśnić. - Ułożył oporną rękę na zgięciu swojego łokcia i poprowadził Almerię między klombami wonnych róż. - Nie oczekuję, że pani to zrozumie, ale zakochałem się w Joannie, jeszcze kiedy byliśmy dziećmi. Od tamtej pory inne kobiety dla mnie nie istnieją. Widząc niedowierzanie na jej twarzy, pokiwał głową: - Och, zdarzały się tancerki operowe i takie tam, od czasu rozwodu, ale żadna nie zajmie jej miejsca.

- Ale przecież zdradziła pana. Ona...

- Ja też tak kiedyś myślałem, teraz jednak wcale nie jestem pewny. Od dziecka była wyjątkowo lojalna i uczciwa. Gary zresztą tak samo. Nie, nie jestem pewny, czy doszło do zdrady. - Zatrzymał się w pół kroku. - Nie o tym jednak chciałem mówić.

Przywołane dla większego efektu łyzy załśniły na rzęsach Almerii, gdy patrzyła na najprzystojniejszego chyba ze znanych jej mężczyzn. Po prostu nie mogła znieść myśli, że ten właśnie mężczyzna mówi oto, że jej nie chce.

- Skoro jednak nie możesz pan poślubić lady Carew...

- Nie słuchałaś, pani, ani jednego mojego słowa, prawda? - spytał.

- Przecież musi pan mieć dziedzica. Z pewnością...

- Panno Bennington, mówię właśnie, że do ostatniego dnia mojego życia będę czekał, żeby do mnie wróciła, i świadomy tego, nie mogę z czystym sumieniem ofiarować nazwiska żadnej innej. Nie należę do mężczyzn, którzy żenią się po to tylko, by zatroszczyć się o następcę,

nie należą też do mężczyzn, którzy zgodziliby się na bez-namiętny mariaż fortun.

Bezwiednie zsunęła dłoń z jego ramienia. Zwróciła ku niemu twarz, wyraźnie udręczona.

- I poszedłeś pan za mną, żeby mi powiedzieć właśnie to? - natarła na niego z furją. - I wyobraża pan sobie, że mówiąc, iż woli ją pan ode mnie, poprawi mi humor? Otóż nie! Przyjechałam tu, żeby zostać księżną, milordzie, nie żeby wysłuchiwać kazań!

- Obawiam się, że będzie pani musiała poszukać sobie innego księcia.

- Jakby ich było na pęczki! - warknęła. - Wyszłabym za pana, wasza miłość, i przymknęła oko na te pańskie tancerki i ładacznicę i... nawet na lady Carew!

- Tego pragnie pani dla siebie? - spytał z niedowierzaniem. - Tytuł tak wiele dla pani znaczy?

- Nie byle tytuł, bo księżęcy. To pana dziwi, milordzie?

- Nie, to budzi moje obrzydzenie. - Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku domu. Zatrzymał się jeszcze, by dodać: - Jestem przekonany, że z takim podejściem nie będziesz, pani, miała najmniejszych trudności ze znalezieniem męża po powrocie do Londynu. Dobranoc, moja droga.

Kiedy Adrian stanął w drzwiach, lord Bennington podniósł na niego pełen nadziei wzrok.

- Nic tak nie ożywia zalotów jak sprzeczka między zakochanymi, nieprawdaż, milordzie?

- A co mi do tego - mruknął Adrian, siadając.

Posiłek dobiegł końca bez dalszych zgrzytów. Następnie mężczyźni przenieśli się do biblioteki Adriana na zwyczajowy kieliszeczek porto. Księżna wdowa, bojąc się pytań o powody jej nieoczekiwanego wyjazdu, również przyznała się do bólu głowy, zmuszając tym samym biedną lady Bennington do udania się na spoczynek.

- Taak, teraz kiedy nikt nie wisi nam nad głową, by tak



rzec - zaczął lord Bennington - pora znaleźć rozsądne wyjście z tej sytuacji, uważasz sobie. Zważywszy na stan chłopca i takie tam, nie możesz pan całkowicie odwrócić się od lady Carew, ale jeśli jej wizyta wyjdzie na jaw, wybuchnie piekielny skandal. Gdybyś jednak poślubił pan Almerię, wyjęlibyśmy plotkarzom broń z dłoni i... - Urwał, zgaszony jednym spojrzeniem. Odezwała się w nim jednak żyłka hazardzisty i kontynuował, choć już ostrożniej. - Znaczy się, gdyby w Armitage'u przebywała pańska żona, można by powiedzieć, że jej wrodzona łagodność nie pozwoliła odesłać dziecka, a ze względu na nie powinno się tolerować obecność jego matki.

- Na miły Bóg, nigdy się pan nie poddajesz?

- Znaczy się... milordzie, przecież i tak chciałeś się o nią oświadczyć, nieprawdaż? A zważywszy na okoliczności, uzyskanie dyspensy od bisku...

- Nie - uciał Adrian krótko.

- Ależ... - sapnął jego lordowska mość, skonsternowany, czując, że grunt usuwa mu się spod nóg. - Znaczy się, to bardzo miła dziewczyna, milordzie, przynosiłaby panu chlubę.

- Bennington, przykro mi, że czujesz się pan oszukany, ale dałem twojej córce jasno do zrozumienia, że nie ma na co ostrzyć zębów. Wierzę, że zrozumiała to doskonale.

- Ale księżna...

- Księżna nie rządzi moim życiem. Jeśli odniósł pan inne wrażenie, to jest pan w błędzie. Spodziewam się, że zdążyła poinformować pana o swoim jutrzejszym wyjeździe. Planuje wyruszyć z samego rana.

- No tak, ale nie traktowałem tego poważnie. Znaczy się, chyba nie mówi pan serio, nie teraz, kiedy jest tu lady Carew... znaczy się, tak nie wypada, sir! Poza tym, co pomyśli lord Barrasford?

- To rozsądny człowiek, z pewnością nie będzie miał niedorzecznych podejrzeń.

Bennington wiedział, że to już koniec. Dopił swoje wino i rzucił Adrianowi spojrzenie graniczące z czystą niechęcią.

- Teraz rozumiem. W końcu wyszło szydło z worka, co? - spytał jadowicie. - Dobrze więc, sir, skoro podjąłś pan decyzję, skoro jej miłość wyjeżdża, nie pozostaje mi nic innego, jak zabrać z tego domu żonę i córkę. Pan być może skorzysta na znajomości z lady Carew, moje panie przeciwnie. Z żalem, naturalnie, ale jednak wyjedziemy z samego rana.

- Moja matka z chęcią potowarzyszy wam do Wells, żeby panna Bennington mogła obejrzeć okolicę.

- Przykro mi, ale nie będziemy tamtędy jechać. Bez pana, sir, miejsce to nie budzi najmniejszego zainteresowania Almerii - odparł Bennington kwaśno. - Dobranoc, wasza miłość.

Po teatralnym wyjściu Benningtona Adrian nalał sobie następny kieliszek i stał, kontemplując puste miejsce nad kominkiem - portret Joanny, zbyt cenny, by go zniszczyć, leżał gdzieś w piwnicy. A skoro już nie miał zamiaru szukać sobie innej żony, równie dobrze mógł kazać przynieść go i powiesić na starym miejscu naprzeciw własnego. W końcu łączyło ich o wiele więcej niż małżeństwo.

Mimowolnie wrócił pamięcią do tamtych kilku chwil w sypialni. Boże, tak jej wtedy pragnął, tak bardzo pragnie nadal. Wszystkie jego myśli krążyły wokół niej. Wcześniej powtarzał sobie, że to Justina chciał odzyskać, teraz jednak musiał przyznać się przed sobą, że chciał o wiele więcej. Bez Joanny zwycięstwo miałoby gorzki smak.

Rzecz dziwna, przestało go nawet obchodzić, czy jego matka powiedziała prawdę - upłynęło już z górą sześć lat i wszyscy, on, Jo i Gary, byli wtedy bardzo młodzi.

Taak, ale teraz był starszy, wyszedł już ze szczenięcych lat i miał w życiu niejedną kochankę. I nadal pragnął tylko Joanny.

Co też ona powiedziała o swoich zaręczynach z Barasfordem? Jak to było... może jej wierzyć lub nie, ale ona słowa dotrzymuje. Z namysłem sączył wino, zastanawiając się nad sensem tych słów: czy chodziło o to, że dotrzymała przyrzeczenia danego jemu? Czy raczej doszukiwał się w nich podtekstu, którego po prostu nie było? Zagapił się na pustą ścianę, starając się wyobrazić sobie, że znowu wisi na niej jej portret. Błękitna suknia przepasana pod piersiami czerwoną szarfą i jaskrawoczerwone pantofle z koźlej skóry wystające spod rąbka spódnicy. Duży słomkowy kapelusz, który trzymała za końce ozdobnej, czerwonej wstążki. Włosy modnie opadające na ramiona w malowniczym nieładzie. A wokół tej jej wysmukłej, nieskazitelnie białej szyi aksamitka, na niej zaś wysadzany kamieniami medalion w kształcie serca, tania błyskotka, którą nosiła od lat. Chciała pozować do portretu właśnie w niej, choć miała w bród drogocennej biżuterii od niego, wyjaśniając: „To serce symbolizuje moją miłość do ciebie”.

Myśli Adriana pobiegły innym torem. To właśnie ten medalion podarowała Garethowi Sherwoodowi. Jaki popełnił błąd... co się takiego stało, że wszystko zmieniło się w ciągu jednego roku? Za bardzo pragnął kariery politycznej? Zbyt często wyjeżdżał z domu, tego był świadom, jednak za każdym razem witała go po powrocie z taką samą namiętnością...

Nie chciał wierzyć, że go zdradziła, ale nawet jej własna pokojówka potwierdziła wersję jego matki. Jakże się ta dziewczyna nazywała? Mary. Mary Cummings. Pyskała młoda dziewczucha czekająca na niego pod byle pretekstem. O ile pamiętał, Joannę głupota pokojowej nieszczególnie bawiła.

Niechętnie wrócił myślami do oskarżeń, które matka wytoczyła Jo. Kiedy już ukoił zranioną dumę, kiedy w sądzie ukarał żonę za jej perfidię, marzył tylko, by o wszyst-

kim zapomnieć. Kiedy jednak doszły go słuchy, że dwoje najbliższych mu ludzi uciekło z kraju, nadeszły wątpliwości. Pocieszał się tylko jednym - Joanna miała aż nadto okazji, by zaprzeczyć zarzutom. Teraz zaś jakiś wewnętrzny głos nakazywał mu odszukać Mary Cummings i kazać jej wszystko powtórzyć, inny zaś ostrzegał, że lepiej dać temu spokój. Chciał zarazem wiedzieć i nie wiedzieć. Jeżeli oskarżenia były prawdziwe, Joanna i Gary wyrządzili mu krzywdę. Jeśli były fałszywe, to on skrzywdził ich okrutnie.

Rzucił okiem na stojący na kominku zegar. Dochodziła północ. Chłopiec znowu będzie miał problemy ze snem, pomyślał, a Joanna pewnie już pada z nóg. On sam nie czuł się już zmęczony. Sprawdzi, co u Justina, a potem położy się do łóżka.

Kiedy wszedł do sąsiedniej sypialni, oboje byli głęboko uśpieni. Justin leżał w tej samej co wcześniej pozycji, Joanna siedziała zwinięta w kłębek na masywnym fotelu, z głową przytkniętą pod dziwnym kątem do bocznej podpórki. Kiedy nią potrząsnął, poruszyła się nieznacznie, nie obudziła się jednak. Oddychała leciutko, niemal niezauważalnie. Rozchyliła usta na tyle, że błysnęły w nich piękne, białe zęby.

- Jo. - Znowu nią potrząsnął. Wskórał jedynie tyle, że zapadła się głębiej w fotel. - Moje biedactwo... - szepnął. Z westchnieniem postawił ją na nogi. - Chodź, Jo, lepiej będzie ci się spało, kiedy się wyciągniesz. No, chodź, do kanapy jest tylko parę kroków... Zuch dziewczyna! - Jedną ręką opasał ją w talii, drugą zrzucił z kanapy wszystko, co na niej leżało, po czym delikatnie położył żonę. Uniósł jej stopy i oparł na poduszkach. Noc była ciepła, ale zgarnął z komody złożony w kostkę szal i przykrył nim Joannę. Nigdy nie lubiła spać bez przykrycia.

Podszedł do łóżka, zdjął buty i ułożył się obok syna. Gdyby Justin się obudził, on będzie tuż i Joanna będzie

mogła spokojnie się wyspać. Dotknął lekko wilgotnego czoła. Ani śladu gorączki, przynajmniej na razie, pomyślał z nadzieją. Przewrócił się na bok i przez pewien czas leżał tak, obejmując syna, żałując, że nie zna go od narodzin, ogarnięty bezbrzeżną czułością.

## 21

Strumienie światła przedzierającego się przez okiennice łagodnie przebudziły Joannę. Zaczęła stopniowo rozpoznawać otoczenie i usiadła na łóżku z nagłym wzdrygnięciem. Odgarniając z twarzy potargane włosy, starała się uporządkować myśli. Pod stopami poczuła gęsty wełniany kobierzec i przez ułamek sekundy zastanawiała się, gdzie jest. Powróciło wspomnienie wypadku i rozbudziło ją do końca.

- Justin?

W pokoju panowała cisza zakłócana jedynie miarowym, spokojnym duetem oddechów. Joanna strąciła z siebie szal, którym była nakryta, wstała i podreptała bezszelestnie w stronę łóżka, by ku swojemu zaskoczeniu ujrzeć taką oto scenę: jej syn, z wykręconym tułowiem, jakby chciał się odsunąć od unieruchomionej w łubkach nogi, bezpiecznie otulony ramionami Adriana, główka wtulona w zagięcie jego szyi. Dwie ciemne głowy niemal się stykały niczym dwa ziarnka grochu w strączku i na jedną krótką chwilę poczuła przypływ czułości wobec nich obu.

- Jakimże byłeś głupcem, Dree - wyszeptała miękko, po czym wzięła się w garść i westchnęła ciężko. Nie, to ona była głupia, nie miała bowiem powodów, by czuć do niego cokolwiek oprócz gniewu. I wdzięczności. Teraz

uczucie to będzie jej towarzyszyć już zawsze, bo gdyby nie jego gotowość, by zaryzykować własne życie, Justina także by straciła. Nachyliwszy się nad śpiącymi, dotknęła czoła syna i poczuła pod koniuszkami palców ciepło. To tylko wyobraźnia, powiedziała sobie.

Muśnięty rękawem miękkiej, bawełnianej sukni, Adrian otworzył oczy, zamrugał powiekami, po czym posłał Joannie smutny uśmiech, na którego widok ścisnęło się w niej serce.

- Musiałem zasnąć - mruknął przepraszająco, delikatnie wyplątując się z objęć chłopca. Usiadł i przeciągnął palcami po zmierzwionych włosach, po czym potarł dłonią ciemny zarost. - Boże, która godzina?

- Nie mam pojęcia - przyznała - ale nie powinno cię tu być. Twoja matka rozpowie połowie okolicy, żeśmy... - urwała i spłonęła rumieńcem.

- Że zabawiamy się na oczach syna? - dokończył, szczerząc zęby w uśmiechu. - Nie, myślę, że nawet mama nie zrobiłaby tego.

- Dree!

- Justin i tak niedługo pozna prawdę, Jo. Nie stłuczysz chyba wszystkich lusterek.

- No nie. - Pokręciła głową. - Ale jest zbyt mały, żeby cokolwiek z tego zrozumieć.

- Wolisz, żeby dowiedział się od kogoś innego?

- Johnny i ja zabierzemy go do Irlandii, wątpię więc, czy będzie od kogo. Co prawda jesteś księciem, ale nie sądzę, żeby wszędzie cię znali. - Opuściła wzrok i zaczęła skubać palcami frędzelki, którymi obszyta była kapa. - Powiem mu, kiedy uznam, że przyszła na to pora. Jako matka mam chyba do tego prawo. - Znowu dotknęła czoła chłopca, po czym raptownie zmieniła temat. - Chyba jest przegrzany - powiedziała, marszcząc brwi.

Przytknął grzbiet dłoni do skroni chłopca. Nie miał najmniejszych wątpliwości - Justin gorączkował.

- Trzeba by cudu, żeby nie miał temperatury, nie sądzisz? Otwarta rana, brudna woda, do tego Bóg jeden wie, jak długo siedział na dole, zanim go znaleźliśmy.

- Liczyłam na taki cud.

Nakrył jej dłoń swoją.

- Wyciągniemy go z tego, to twardy dzieciak.

- Nie odzywał się przez całą noc.

- Byłaś wycieńczona. Nie sądzę, żebyś nawet pamiętała, jak kładłem cię na sofę, mmm?

- Nie pamiętam, a powinieneś był mnie obudzić, żebym mu dała laudanum.

- Był niespokojny, więc podałem mu dawkę jakieś trzy godziny temu. Potem chyba zasnąłem. - Wyciągnął zegarek i zezując na tarczę, dodał: - Muszę wstać, doprowadzić się do względnego porządku i pożegnać z paroma osobami.

- Zastanawiałam się, jak długo Almeria wytrzyma ze mną pod jednym dachem.

- Ledwie nam się udało, powiem ci szczerze - wyznał z kwaśną miną. - Przez chwilę myślałem już, że nadzieje na tytuł księżnej przeważą nad innymi względami. Książęta nie rosną na drzewach, rozumiesz. Nawet cho-dzący ideał ma piekielne problemy ze znalezieniem odpowiedniej partii.

- Nie wierzę, żeby tak powiedziała.

- Może nie dosłownie, ale coś w tym duchu. A jej oczulek z sieczką w głowie roztaczał wizje, jak to z chęcią przyknęłaby na ciebie oko, gdybym tylko ożenił się z nią w te pędy.

- A to już jest wręcz rozczulające.

- Kazałem im spakować manatki, Jo - powiedział cicho. Joanna podniosła wzrok; z ciemnych oczu Adriana było tyle ciepła, że odwróciła się z największym trudem.

- Tak, mam tylko nadzieję, że tę decyzję podjąłeś ze względu na siebie, a nie na mnie.

- Aż w takiej jestem niełasce?
- Był kiedyś taki czas, kiedy pragnęłam, żebyś wybrał mnie, a nie swoją matkę, ale ty byłeś ślepy.
- Tamtego roku zbyt wiele czasu przebywałem poza domem, a ona owdowiała parę miesięcy po naszym ślubie. Obie nosiłyście żałobę po moim ojcu i nie było sensu zabierać cię do Londynu, cały czas siedziałem w parlamencie. Byłem głupcem i marzyła mi się kariera.
- I zostawiłeś mnie z nią.
- Sądziłem, że kiedy lepiej cię pozna, z pewnością cię polubi.
- Błąd. Prędzej polubiłaby żmiję. Co dnia przypominała mi, że nie jestem godna zaszczytu, który mnie spotkał.
- Przepraszam cię, Jo, gorąco cię przepraszam.
- Tak czy inaczej, teraz to już stare dzieje, prawda? Nie jestem podlotkiem i nie wierzę, że namiętność może usunąć ze swej drogi nawet największe przeszkody. Przy Garym nauczyłam się, że przyjaźń w małżeństwie mocniej je scala niż taka namiętność, jaka łączyła nas, Dree.
- Podejrzewam, że potrzeba i tego, i tego.
- Ale nie tylko. Trzeba też chociaż cienia zaufania, a na tym, stwierdzam z przykrością, akurat ci nie zbywało. - Odwróciła się i odwzajemniła jego spojrzenie. - Jak mogłeś pozwolić, by mnie szpiegować? Wiedząc, co o mnie sądzi, jak mogłeś jej posłuchać?
- Miałem zaledwie dwadzieścia trzy lata, Jo.
- A ja dziewiętnaście, Dree, ale gdyby świat oskarżył ciebie, nie uwierzyłabym.
- Nie chcę rozgrzebywać starych ran - powiedział szorstko. - Bóg mi świadkiem, że mam ich tyle, co ty.
- Ciebie przynajmniej nikt nie szczył.
- Nie mogłem znieść ludzkiego gadania, ich politowania, Jo. Zaciągnąłem się do lekkich dragonów, byle dalej od Armitage'u. Jak najdalej, gdzie tylko toczyła się woj-



na. Z Hiszpanii pognało mnie do Portugalii, potem znów do Hiszpanii. Raz z tarczą, raz na tarczy. Te same tereny zdobyliśmy dwukrotnie. To było piekło. Ciudad Rodrigo. Badajoz. Salamanka. Victoria. Byłem tam, w każdym z tych miejsc, Jo.

- Ale skandal był twoim własnym dziełem. Sam zdecydowałeś o wyjeździe, a to zupełnie co innego, niż zostać zmuszonym do opuszczenia kraju, w którym się urodziłeś.

- Mówiłem ci, nie byłem w stanie znieść ludzkiego politowania.

- Gary'emu jednak nie zostawiłeś wyboru, a on zasługiwał na więcej.

- Ale wy...

- Jacy „my”, Dree?

- Szkoda gadać. Było, minęło - urwał, z roztargnieniem przeciągając palcami po włosach. - Gary nie żyje, więc to i tak nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma.

Czuł się tak, jakby patrzył na nią z drugiego brzegu przepastnej, bezdennej otchłani, której pokonać nie potrafił.

- To już ponad sześć lat, Jo. Przez wzgląd na Justina, nie możemy chociaż być przyjaciółmi?

- Nie wiem. Zawsze będę ci wdzięczna za uratowanie mu życia.

- Nie musisz uciekać z Barrasfordem. Nie możesz powiedzieć, że go kochasz, bo ledwie się znacie.

- Jest za co Johnny'ego podziwiać. W dużym stopniu przypomina mi Gary'ego.

- Nie masz litości, prawda?

- A czy ty miałaś? - odpaliła.

- Mogłaś odpowiedzieć na zarzuty. Mogłaś mnie przekonać, że są bezpodstawne.

- Nie. Skoro uwierzyłeś, że stać mnie na taką podłość,

nie było sensu odpowiadać. Co się stało, to się nie odstanie. Ale, jak powiedziałaś, prawda dalej cię nie obchodzi. Justin wydobrzeje, ja wyjdę za Johnny'ego i znowu się mnie pozbędziesz.

- Na miłość boską, Jo! - niemal wydarł się na nią. - Przynajmniej znajdź sobie kogoś, kogo byś kochała!

- Raz już wyszłam za mąż z miłości i skutki były opłakane. A teraz racz wybaczyć, ale chciałam się przebrać. Miałaś się chyba z kimś pożegnać, a śmiem twierdzić, że w tym stroju pan Blake nie wypuści cię z domu.

- Niełatwo mu się ze mną żyje - przyznał Adrian, po czym, kiedy uderzył go komizm sytuacji, uśmiechnął się blade: - Powinnaś polecić nieszczęśnika Barrasfordowi. Z takiego pana jak Johnny każdy lokaj byłby dumny.

- Owszem, umie się ubrać - zgodziła się ze słodyczą w głosie. - Jeśli jednak sugerujesz, że jest gogusiem lub kimś w tym rodzaju, to zapewniam cię, że się myślisz.

- O, Barrasfordowi niczego nie brakuje - przytaknęła sprawiedliwie. - Uważam go niemal za przyjaciela. Fakt, ma wiele zalet - świetnie jeździ konno, kapitalnie powozi, a do tego jest elegantem w każdym calu.

- Nie wspomniałaś, jaki jest przystojny.

- Przynajmniej w ocenie większości kobiet.

- Dree, jeśli chcesz dać mi do zrozumienia, że ugania się za spódniczkami...

- Nie, nie. Już nie. Jeśli się nie mylę, wyleczyła go z tego ostatnia tancerka z opery. Musiał jej wyznaczyć piekielnie wysoką pensję, żeby się jej w końcu pozbyć. - Zerknął na zegarek i schował go do kieszeni. - Pożegnam matkę w twoim imieniu.

- Dree...

Wstał, poszukał butów i posłał jej kolejny uśmiech.

- A Johnnym bym się martwił, Jo. Choć jest irytująco doskonały, nie jest takim osłem, by w mig nie połączyć się w sytuacji. Jeśli chcesz, napisz do niego.

- Wielkie dzięki, ale wołałabym sama mu wszystko wyjaśnić. Właśnie, wezmę się za to od ręki. Nie zniósłabym, gdyby dowiedział się od osoby trzeciej.

- Zatem ja tylko ofrankuję twój list. Najlepiej przekaż go po prostu pani Johnson, ona się tym zajmie.

Poczekala, aż wyszedł, po czym sprawdziła, czy drzwi między sypialniami są zamknięte. Ku swojemu zadowoleniu przekonała się, że tak jest, szybko przebrała się w skromną sukienkę, którą wytrzasnęła skądś pani Johnson, usiadła przy niewielkim biurku i zaczęła szukać papieru, pióra i atramentu. Niełatwo będzie napisać do lorda Barrasforda i wytłumaczyć się z obecności w Armitage'u, ale nie ma innego wyjścia, pomyślała sobie, wzdychając. Dobrą minutę zbierała myśli, po czym w kilku liniijkach opisała wypadek Justina i obrażenia, które odniósł.

Przez chwilę biła się z myślami, czy napisać, że matka Adriana postanowiła wyjechać na znak protestu, uznała jednak, że lepiej być zupełnie szczerą. Zakończyła obietnicą informowania go o rozwoju sytuacji codziennie. Trudno to nazwać listem miłosnym, pomyślała kwaśno, przebiegając go wzrokiem, ale też i okoliczności były co najmniej dziwne. Za nią Justin poruszył się i jęknął. Osuszyła bibułą atrament i odłożyła list na bok.

- Wszystko w porządku, kochanie - powiedziała, idąc w kierunku syna. - Zadzwoń, żeby przynieśli śniadanie, a jak zjemy, dam ci znowu lekarstwo, żeby noga tak nie bolała. - Pociągnęła za sznurek przy łóżku i przysiadła na krawędzi materaca, żeby przyglądać chłopcu włosy. - Chce ci się pić?

Pokręcił głową. Oczy miał zamglone, ale zrobił dzielną minkę.

- Mamo... - Usiłując przybrać wygodniejszą pozycję, zerknął na poduszkę. Wciąż jeszcze widniało na niej wgłębienie, które pozostawiła głowa Adriana. - Tata był tu ze raną, wiesz?

- Justin... - Zawahała się, niepewna, czy wyprowadzać go z błędu.

- Wiem, że tak, mam - upierał się mały. - Mówiłem do niego, a on mi odpowiadał, czyli tu był. Leżał obok mnie, mam.

- To był książę, najdroższy.

- Nie, to był tato - cienki głos drżał z przejęcia. - Powiedział, że mnie kocha.

- Rozumiem. Hm... mówił coś jeszcze?

- Nie wiem, chyba tak. - Próbował sobie przypomnieć, po czym oczy mu pojaśniały. - Tak mi się chciało spać, mam, ale opowiadał mi, jak był mały, kiedy znał ciebie i księcia... I zasnąłem.

- Cóż, może ci się to tylko śniło, kochanie. - Starą się, by głos jej zabrzmiał pogodnie, ale narastała w niej złość na Adriana za to, że budził w małym dziecku płonne nadzieje. - Masz, weź łyżeczek wody.

- To nie był sen, czułem go. Obejmował mnie, tak jak zawsze wtedy, kiedy się bałem. - Posłusznie siorbnął, po czym opadł na posłanie. - Mam nadzieję, że wróci, mam.

Joanna nie wiedziała, co powiedzieć, dlatego wdzięczna była losowi, kiedy w drzwiach pojawiła się pani Johnson ze śniadaniem. Ochmistrzyni postawiła tacę na stoliku przy łóżku i krzątała się po pokoju, porządkując go z grubsza. Rozsunęła zastony i oznajmiła wesoło:

- Piękny mamy ranek, wasza... milady. - Odzyskawszy rezon, dodała: - Myślę, że deszcz skończył się na dobre.

- Mam nadzieję.

- Jego miłość posłał do Haven po rzeczy pani i chłopca. Widzi mi się, że bród będzie przejezdny. - Wróciła po tacę i zdjęła przykrywkę, pod którą ukazał się półmisek z parówkami, jajkami na miękko i bułeczkami. Zręcznie rozłożyła płócienną serwetę na piersi Justina, upychając jej koniuszek pod kapę. - No, proszę, nie chcemy chyba okruchów w łóżku, prawda, paniczu?

Zmierzył energiczną, pełną animuszu kobietę znużonym wzrokiem.

- Chcę, żeby mama mnie nakarmiła.

- Hola, paniczu, hola... Ręki nie masz złamanej, prawda? Nie, daj mamie zjeść śniadanie, a jeśli sam nie umiesz, to mogę ci pokroić. - Nie czekając na dalsze protesty, podzieliła parówkę na małe kawałki. - Gotowe.

- Nie jestem głodny.

- No, otwórz buzię. Widzisz ten stateczek? - Pani Johnson uniosła widelec z kawałkiem wędliny. - Czyli potrzebujemy przystani, prawda? Zuch chłopak - pochwaliła, kiedy otworzył usta. - Pamiętam, jak niania karmiła tak twojego tatusia.

- Znała pani mojego tatę?

Pani Johnson rzuciła Joannie spłoszone spojrzenie i dostrzegła w jej oczach ostrzegawcze błyski.

- A... tak. To jest, znałam ich wszystkich, twojego tatę, mamę i księcia, kiedy byli tacy mali, jak ty.

Jedzenie nagle wydało się Joannie pozbawione wszelkiego smaku. Im szybciej omówi tę sprawę z Adrianem, tym lepiej, postanowiła ponuro. Po prostu nie do przyjęcia byłoby, gdyby osoba postronna powiedziała Justinowi, że Gary nie był jego ojcem. Nie mogłaby - i nie zamierzała - biernie przyglądać się, jak ktoś trzeci niszczy jego wspomnienia o Garym. Odstawiając talerz, zwróciła się do ochmistrzyni:

- Ja go nakarmię, dziękuję.

- Och, milady, nie chciałam...

- Wiem, ale mogę sama się nim zająć.

Pulchna kobiecina patrzyła na nią, zdeprymowana. Kiwnęła głową w czymś na kształt ukłonu i wypadła z pokoju. Joanna przyglądała się jej wyjściu z westchnieniem. Trudno będzie mieszkać choćby i kilka tygodni w domostwie, w którym służba domyślała się związku między panem domu a młodym hrabią. Im szybciej wy-

zdrowieje i oboje znajdują się w Irlandii, tym lepiej dla wszystkich.

Na dole w holu wejściowym panowało jakieś zamieszanie, ale Joanna nie była zainteresowana jego powodem. Skoro Helen życzy sobie narobić szumu wokół swojego wyjazdu... Nie jej sprawa, chociaż wyjazd byłej teściowej sprawiał jej pewną satysfakcją. Nałożyła ociupinkę jajka na niewielki kawałek bułki i odwróciła się przodem do syna.

- Jeszcze troszkę, kochanie - poprosiła. - A potem dostaniesz laudanum.

- Nie lubię.

- Wiem, ale czujesz się po nim lepiej, prawda?

- Spać mi się od niego chce, mamó. - Rzucił w stronę buteleczki z lekiem nienawistne spojrzenie. - Obrzydlistwo!

- Wiem, ale może jutro nie będziesz musiał brać go tak często.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież, wpadł przez nie mały chłopiec i zaczął podskakiwać na łóżku. Justin skulił się bólu i odepchnął brata dalej od chorej nogi.

- Robin, złaż ze mnie w tej chwili!

- Robercie Sherwood, proszę grzecznie przywitać się z mamą - odezwała się szorstko stojąca w drzwiach lady Anne. - I nie chodź po łóżku, nie można bratu przeszkadzać. Noga i tak daje mu się dość we znaki, nawet bez twojego gramolenia się po niej.

- Mama!

- Chwała Bogu bród jest przejezdny. - Hrabina zbliżała się dostojnie, w oczach jednak miała iskierki rozbawienia. - Pomyślałam, że przydałaby ci się przyzwoitka. Wolę nie myśleć, jak musiałas się czuć. Napisałam już do lorda Barrasforda, by zawiadomić go o całej sprawie.

- Skończyłam list dziś rano, ale jeszcze nie wysłałam - tłumaczyła się Joanna.

- Cóż, wie, że tu jestem, więc nie martwiłabym się zbytnio, kochanie. - Zająta Justinem, uśmiechnęła się czule. - Doigrałeś się, młody człowieku. A przy okazji napędziłeś nam wszystkim stracha, powiadam ci.

- Wpadłem do dziury, babciu.

- Słyszałam. - Chwyciwszy mocno Robina, Anne ściągnęła go z łóżka. - Twój brat nie chciał pójść spać, dopóki nie był pewny, że się znalazłeś. - Pochyliła się i czule cmoknęła go w czoło, po czym zmarszczyła brwi. - Chyba ma gorączkę, Jo.

- Wiem, doktor Goode ma pojawić się tu dziś rano i zamierzam go o to wypytać. Rana była otwarta, do tego ta woda...

- Cud, że zdołaliście go wyciągnąć, Roxbury napisał, że to była nieczynna studnia. Do tego dość głęboka, jak rozumiem.

- Dree zszedł po niego.

- Roxbury? Niemożliwe! Dziwne, że o tym nie wspomniał, prawda?

- To było naprawdę niebezpieczne. Obluzowywało się coraz więcej kamieni i byłam już przekonana, że obaj skończą w rumowisku. Ale nie odważyliśmy się czekać. Woda podniosłaby się, a Justin najpewniej by utonął.

- Cóż, często sobie myślałam, że Adrian Delacourt ma więcej zalet, niż mu ich przyznajemy - mruknęła sprawiedliwie Anne. - I z całą pewnością przenigdy nie miałam go za tchórza. Przeciwnie, od Veroniki Wychwood wiem, że pod Salamanką spisał się wcale, wcale, nawet dostał za to jakiś medal. Zdaje się, że udekorował go sam regent.

- Ach, tak?

Justin mozolnie starał się usiąść.

- Mama mi nie wierzy, babciu, ale widziałem tatę, słowo. Był tu wczoraj w nocy.

Anne zmierzwiła mu czuprynę, pełna współczucia.

- To tylko sen, kochasiu.

- Nie, nie sen! - sprzeciwił się gwałtownie. - Wiem, że nie, dotknąłem go! Powiedział, że mnie kocha! - Twarz nagle wykrzywiła mu się w grymasie bólu i opadł na poduszki.

- Oczywiście, że tak powiedział - zgodziła się. - Jak nic, to to całe laudanum. Podajesz mu laudanum, prawda, Jo?

- Tak, ale... - Joanna rzuciła znaczące spojrzenie w kierunku Justina. - Hm, później ci opowiem. - Wyjęła zatyczkę z butelki z lekiem i wlała, licząc krople, właściwą dawkę do szklanki. Dodała trochę wody z dzbanka i zamieszała całość. - No, kochanie - zwróciła się do starszego syna - pora na lekarstwo. Dobrze ci zrobi.

Wychylił zawartość naczynia niemal chętnie i skrzywił się.

- Fuuj! Robin, mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał tego pić.

Młodszy chłopiec, który nieśmiało przysłuchiwał się rozmowie, zbliżył się i dotknął przykrytej kapą nogi.

- Bardzo cię boli? - spytał nabożnie.

- Piekielnie - wymamrotał Justin przez zaciśnięte zęby. - Nie boli tylko, jak śpię.

- Ale spisujesz się nad wyraz dzielnie - mruzczała Anne łagodnie, siadając obok starszego wnuka i odgarniając mu włosy z twarzy. - Naprawdę jestem z ciebie dumna, kochanie. - Nachyliła się i znowu go ucałowała. - Spróbuj się teraz przespać, a kiedy się obudzisz, porobimy coś razem. Przywiozłam parę potrzebnych rzeczy.

Drobne rączki obłąpiły ją za szyję.

- Cieszę się, że tu jesteś, babciu.

Łzy zalśniły w oczach Anne.

- Ja także bardzo się cieszę, kochanie. Nie mogłabym znieść myśli, że jesteś chory, a ja nie mogę się tobą zajmować.

Joanna, jak zawsze czuwając, by braci nie poróżniło



uczucie zazdrości, wzięła Robina na ręce i podeszła z nim do okna.

- Widzisz ten ogród, skarbie? Jest chyba najpiękniejszy w hrabstwie, może księżę pozwoli nam pospacerować po nim, kiedy Justin uśnie. Za tym wyższym żywopłotem mieści się labirynt, w którym bawiliśmy się z tatą i Dree, kiedy byliśmy dziećmi. Pamiętam, jak się czasem gubiłam, a oni śmiali się ze mnie.

- Nie chcę się zgubić - powiedział Robin, mierząc ogród nieufnym spojrzeniem.

- Cóż, w takim razie rozejrzemy się w nim we dwoje - obiecała.

- Mamo, a kto to Dree? - zapytał zniecierpliwiony.

- Księżę, który tu mieszka.

- Lepiej odpocznij sobie, póki można - napomniała ją z łóżka Anne.

- Czuję się dobrze, przespałam większość nocy. Dree... - Ugryzła się w język i poczerwieniała nagle, kiedy przyszło jej do głowy, co pomyślałaby Anne, słysząc, że jej synowa spędziła noc w tej sypialni.

- Jednak musisz zachować siły na to, co, jak sądzę, okaże się dla nas wszystkich czasem próby. Kazałam panie Finchley zostać na dole, żeby dopilnowała rozpakowania bagażu, ale jestem pewna, że z chęcią zabierze Robina do ogrodu.

- Nie! - Robin wykręcił się w ramionach Joanny. - Ja chcę z mamą!

- To przywiozłaś i pannę Finchley? - spytała z niedowierzaniem. - Roxbury pomyśli, że to inwazja.

- Takie było jego wyraźne życzenie, skarbie. „Proszę przywieźć ze sobą drugiego chłopca i jego nianię”, dokładnie tak napisał. Ale zamiast niani przywiozłam pannę Finchley. Pomyślałam sobie, że kto jak kto, ale ona będzie umiała zająć Justina w okresie rekonwalescencji.

- Anne wstała, wygładzając spódnice, żeby przykryć rą-

bek halki. - Ucałowałam od ciebie Helen na pożegnanie, moja droga. Wyjeżdżała razem z Benningtonami, kiedy tu się pojawiłam - dodała z lekkim uśmiechem. - Sama widzisz, że potrzebna ci obecność nas wszystkich, żeby nie rozeszły się plotki.

- To musi być dla ciebie bardzo trudne, mamó - powiedziała cicho Joanna - przebywać tutaj po tym wszystkim, co zaszło między Dreem a Garym, ale jestem ci nieskończenie wdzięczna za przyjazd.

- Nonsens - zbyła ją Anne. - Nadal pamiętam, jaki Adrian był przed tą niefortunną aferą. Poza tym, w pewnym sensie winię Gary'ego za to, że nie zabrał głosu. Ale to działo się dawno temu, Joanno. Teraz powinniśmy robić wszystko, żeby Justin wydobrzezał. Trudno będzie zachowywać się, jak gdyby nigdy nic, ale sądzę, że tak właśnie trzeba - dodała szorstko. - Przez wzgląd na Justina.

Joanna kiwnęła głową.

- Przez wzgląd na Justina. Ale będzie trudno, bardzo trudno. To miejsce przywołuje czasem tyle wspomnień, że nie umiem się z nimi uporać.

- Mamó, możemy już iść na dwór? - nalegał Robin, ciągnąc ją za kosmyk włosów. - Możemy? Nie chcę zostać z Finch, nie chcę... nie tak od razu.

- Skoro i tak nie chcesz się położyć, myślę, że równie dobrze możesz iść - powiedziała Anne. - Justin zostanie pod moją opieką i nic mu nie będzie. Ale dopilnuj przy okazji, żeby panna Finchley dostała jakiś pokój, dobrze? Nieprzyjemnie mi myśleć, że błąka się gdzieś po tej ogromnej stodole, a przypuszczam, że Roxbury'emy będzie szkoda czasu, żeby się nią zająć. Nie, żeby był nieuprzejmy, oczywista.

- Ma teraz sporo na głowie, mamó.

- Pewnie tak - mruknęła Anne. - Nie może mu być łatwo, biorąc pod uwagę fakt, że nie ma zasad dotyczą-

cych goszczenia byłych żon. Myślę wręcz, że ta sytuacja bywa niezręczna dla was obojga.

- I to bardzo, przynajmniej dla mnie - Joanna uciekła spojrzeniem i westchnęła. - On dalej nie wierzy, że Gary i ja byliśmy niewinni. Odesłał Helen, ale w głębi serca nie przestał wierzyć w jej kłamstwa. Może wbrew sobie, ale jednak wierzy. A ja o tym wiem.

## 22

Przyjechał doktor Goode, obejrzał nogę Justina i ponuro pokręcił głową.

- Obawiam się, że są objawy infekcji. Trzeba postawić cięte bańki, żeby przeciwdziałać stanowi zapalnemu.

- Nie! - głos Adriana brzmiał szorstko, niemal gniewnie. - Będziemy okładać nogę kataplazmami, żeby ściągnąć zakażenie, ale prędzej padnę trupem, nim pozwolę panu go wykrwawiać. Na wojnie widywałem to aż za często i, proszę mi wierzyć, to bezużyteczna, barbarzyńska praktyka. Pamiętam ludzi, których puszczanie krwi zabiło.

- Dree...

- Nie, Jo. Czy wypowiedziałem się w tej kwestii wystarczająco jasno, doktorze? - spytał z naciskiem Adrian.

- Jak najbardziej, wasza miłość, muszę jednak zaprotestować. Mówimy o bańkach! - zachnął się dotknięty do żywego Goode. - To chłopiec, a nie koń!

- Naprawdę, Dree...

- Nie!

- Milordzie, niechże pan się zastanowi! Zakażenie zaburza równowagę krwi między zdrową a chorą nogą. I je-

śli mamy ją uratować, bez baniek się nie obejdzie. Widzi pan, humory...

- Pal licha humory! Wiem, co widziałem na własne oczy! Jo, posłuchaj mnie, Justin jest zbyt słaby, żeby znieść utratę krwi. Musisz to chyba widzieć, prawda?

- Tak, ale doktor Goode z pewnością... - Chociaż w duchu przyznawała rację Adrianowi, nie chciała obrazić jedyne go doktora w promieniu wielu mil. - Cóż, nie zrobiłby niczego, co mogłoby Justinowi zaszkodzić, tego jestem pewna.

- Joanno, w tej kwestii zgadzam się z Adrianem. - Anne podniosła na nią wzrok, nie wstając z łóżka. - Puszczanie krwi może sprawdzać się w pewnych przypadkach, ale sądzę, że Justin jest zbyt mały, żeby mu to wyszło na dobre.

- Widzisz, nawet twoja teściowa zgadza się ze mną.

- Dree, to mój syn - przypomniała Joanna.

- Nie chcesz chyba, żeby był jeszcze słabszy. Słuchaj mnie, czy kiedykolwiek widziałaś kogoś, kto po ciętych bańkach, mimo utraty krwi, poczułby się lepiej? Nie, nie widziałaś - odpowiedział za nią. - Jo, gorączka podnosi mu się nawet teraz, kiedy o tym rozmawiamy. Proszę, nie róbmy niczego, co zmniejszałoby jego szanse na wyzdrowienie.

Nie chcąc zrazić do siebie zarówno księcia Roxbury, jak i starszej hrabiny Carew, doktor skapitulował.

- Jak pan sobie życzy, milordzie. Mogę przepisać kaptaplazm, ale trzeba będzie nakładać go skrupulatnie. Co zaś do samej gorączki, to nie ustąpi i nie zelżeje, dopóki trwa zakażenie. Zwykle w podobnych przypadkach pojawiają się zlewne poty, falista gorączka, aż przychodzi kryzys. Potem, jeśli Bóg da, temperatura będzie stopniowo opadać. To znaczy, przez pewien czas gorączka będzie nawracać, ale już nie będzie taka wysoka.

- Ale wyjdzie z tego, prawda? - spytała z niepokojem Joanna.

- Miła pani, jego los spoczywa w rękach kogoś potężniejszego niż ja. Jak zamierzałem właśnie powiedzieć, mam przy sobie specyfik, który, jak się przekonałem, bywa użyteczny w zwalczaniu gorączki. Obawiam się jednak, że ma dość nieprzyjemny smak, i podanie go może przysporzyć wam pewnych trudności.

- Nie może być gorsze od laudanum - mruknęła Joanna.

- Nie szkodzi, ja mu go podam - zapewnił Adrian.

- Dobrze. - Lekarz zajął się teraz małym pacjentem. Poklepał go pokrzepiająco. - Masz wielkie szczęście, że żyjesz, wiesz, chłopcze? Ale szmat drogi przed nami, zanim wyzdrowiejesz. Paskudnie złamałeś tę swoją nogę, w brudnej wodzie była trucizna, która się do niej przedostała. - Widząc, że płonące gorączką oczy rozszerzają się, kiwnął głową: - Tak, tak, i trzeba się tej trucizny pozbyć.

- Jak? - zachrypiął Justin.

- Trzeba ją z ciebie wypłukać. A można ją wypłukać, tylko pijąc, młody człowieku. Masz pić tyle, ile tylko pomieści się w żołądku, rozumiesz? Taaak, i brać lekarstwo, które mama ci poda. Nie jest smaczne, ale pomoże, jeżeli tylko zdołasz je przełknąć. - Patrząc, jak Justin potrząsa głową z isticie oślim uporem, Goode powiedział protekcyjnym tonem: - Ejże, miody człowieku... Jesteś już duży, prawda? Liczę na to, że pomożesz mi przeprowadzić kurację.

- Tak, proszę pana - padła niechętna odpowiedź.

- I żebyś mi się nie skarżył, kiedy będą kłaść ci na nogę gorący kataplazm, zrozumiano? To też pomoże wyciągnąć z ciebie truciznę.

- Tak, proszę pana.

- Zuch - mruknął Z aprobatą Goode. Patrząc już na Joannę i Adriana, poradził jeszcze: - Nie pozwalajcie mu się odkrywać, kiedy będzie się pocił, w przeciwnym razie powstanie ryzyko zapalenia płuc. - Sięgnął po zno-

szoną skórzaną torbę, pogmerał w niej i wyjął fiolkę z jakimś proszkiem. - Kto podaje mu leki?

- Ja to zrobię - odezwał się Adrian. - Jego matka ledwie widzi na oczy.

- Zatem proszę rozpuścić pół łyżeczki tego medykamentu w niewielkiej ilości wody i dopilnować, żeby wypił do dna. Zwykle potem gorączka spada po półgodzinie, ale potem znowu się podnosi. Proszę dobrze zrozumieć, to nie leczy schorzenia, ale łagodzi jego objawy. Miejmy nadzieję, że pacjent łatwiej wszystko znieś, wasza miłość. - Przeniósł wzrok na Joannę i ostrzegł: - Będzie się zlewał potem za każdym razem, kiedy gorączka zelżeje, a musi być suchy. Proszę zmieniać ubrania i pościel.

- Dobrze.

- Jak często ma przyjmować lek? - dopytywał się Adrian.

- Nie częściej niż raz na cztery, pięć godzin, chyba że będzie miał konwulsje. Gdyby tak się stało, proszę natychmiast podać dawkę, a po godzinie następną, jeżeli gorączka nie opadnie.

- Konwulsje? - Przerażenie ścisnęło Joannę w żołądku.

- Doktorze Goode, możemy zamienić słowo na osobności przed pańskim wyjazdem? - spytał cicho Adrian.

- Oczywiście. A później będę chciał zamienić słowo z kucharką, powiem jej, jak przygotować kataplazm. Proszę raz na trzy godziny przykładąć go na jakie dwa kwadransy, tak gorący, jak tylko chłopiec będzie w stanie wytrzymać. Rozumie pan, to co innego niż zakładanie kataplazmu koniowi. Spodziewam się, że otworzą się ropne przetoki, i ostrzegam, że kiedy to się stanie, widok będzie wyjątkowo nieprzyjemny, wręcz okropny. Nie jestem pewny, czy lady Carew...

- Ja się tym zajmę - przerwał mu Adrian. - Widziałem gangrenę, a to nie może być gorsze.

- Świetnie, jeśli zatem lady Anne zostanie przy chłopcu...

- Oczywiście, że zostanę. No, idźcie już, a kiedy załatwicie sprawę z doktorem Goodem, najlepiej odpocznijcie, póki można. I nie patrz tak na mnie, moja droga - zwróciła się hrabina do Joanny - poradzę sobie z nałożeniem kataplazmu. Pozwólcie, żebym posiedziała przy dziecku w ciągu dnia. Przypuszczam, że wy będziecie mu o wiele bardziej potrzebni w nocy.

- Wolałabym go nie zostawiać, mamó.

- A co mu to da, że sama się rozchorujesz? - odparowała Anne. Po czym dodała stanowczo: - A teraz zmykajcie już.

Wyszli za Goodem do holu. Adrian zatrzymał się.

- Co pan myśli, szczerze? - spytał, wpatrując się badawczo w twarz doktora. - Jego matka i ja chcemy poznać prawdę, choćby najgorszą.

Medyk zawahał się, po czym zerknął na Joannę.

- Nie jestem pewny, czy milady powinna... - znacząco zawiesił głos.

- Proszę pana, nie jestem ani przewrażliwiona, ani bojaźliwa - oznajmiła.

Goode popatrywał to na nią, to na Adriana, po czym odetchnął głęboko. W końcu odezwał się:

- Myślę, wasza miłość, że cudem będzie, jeśli nie straci nogi.

- Jeśli nie straci nogi?! - Dłonie Joanny pofrunęły do twarzy. - Och, nie!

- Rana była brudna, milady. - Doktor przeniósł na nią strapiiony wzrok. - Już zaczyna ropieć, a gorączka wskazuje na to, że zakażenie postępuje. Będziemy musieli starać ulżyć mu, ile można, i mieć nadzieję na najlepsze.

- Dree, może te bańki...

- Nie pomogą, Jo.

- Doktorze...?

- Cóż, ja...

- Niech pan jej powie prawdę.

- Wasza miłość, nigdy w życiu nie skłamałem w podobnej sprawie - odparł sztywno Goode.

- Wcześniej chciał pan postawić bańki - powiedziała głucho Joanna.

- Tak, ale jego miłość...

- Jo, nie widziałaś tego, co ja. Gdyby puszczenie krwi mogło powstrzymać rozwój zakażenia w kończynie, nikt z moich towarzyszy nie umarłby na gangrenę. Nigdy nie widziałem, żeby chirurg stawiał bańki komuś, kto potem zachowałby kończynę czy choćby przeżył.

- Ale to jeszcze małe dziecko, Dree.

Walczyła ze łzami. Adrian, widząc to, chwycił ją za rękę.

- Nie pozwolę, żeby ktokolwiek obciął mu nogę. Nie, jeżeli istnieje szansa, żeby ją zachował i przeżył - obiecał. - Ale nie zgadzam się na puszczenie krwi. Musi mieć siły, żeby walczyć.

Przygryzła drżącą wargę i spytała:

- Ile potrwa, zanim będziemy wiedzieć?

- Niedługo, góra kilka dni. Kiedy gorączka jest wysoka, kryzys następuje zwykle w przeciągu dnia lub coś koło tego. - Pełen przemożnego współczucia, Goode dodał, patrząc na Joannę z uwagą: - Ważne, żeby skrupulatnie trzymać się obranej przez nas terapii. Kataplazmy muszą być przykładane ściśle według moich zaleceń.

- Dobrze. Czy radziłby pan nam robić coś jeszcze?

- Modlić się.

- To się rozumie samo przez się, panie doktorze.

- Cóż, pójdę zatem pokonferować z kucharką - oświadczył Goode. - Resztę pozostawiam państwu. Proszę po mnie posłać, rzecz jasna, gdyby zaszła taka potrzeba. W innym wypadku pojawię się dopiero jutro rano.

Kiedy tylko mężczyzna wyszedł, Adrian wyprowadził Joannę na dwór do otoczonego murem ogrodu.

- Teraz możesz się wypłakać, Jo, a kiedy skończysz, musimy zaplanować, jak najlepiej się opiekować Justi-



nem. Proponuję, żebyśmy podzielili dobę na cztery *zmiany*. Będziemy czuwać nad nim we troje: ty, hrabina i ja. Razem jakoś damy radę.

- Nie zostawię go - powtórzyła, z uporem kręcąc głową - jestem mu potrzebna.

- Potrzebuje cię zdrowej, Jo.

- To takie niesprawiedliwe, Dree! Tyle go już spotkało! - Twarz jej się wykrzywiła, do oczu cisnęły łzy. - Stracił Garry'ego, a teraz... och, a jeśli straci nogę? Jak będzie żył?

- Modłę się, żeby do tego nie doszło, ale gdyby stało się najgorsze, będziesz musiała być silna. Wolałbym mieć jednonogiego syna niż nie mieć go w ogóle.

- Nie myślisz chyba, że umrze? - Wykrztusiła te straszne słowa i z trudem przełknęła ślinę. - Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć. Muszę trzeźwo myśleć... wziąć się w garść, prawda?

- Tak.

- Nie zniosłabym jego śmierci, nie umiałabym. Nie masz pojęcia...

- Nie mów tak, nawet tak nie myśl! - przerwał. - Będziemy kłaść kataplazmy na nogę, dopóki nie przestanie ropieć, a wtedy będziesz miała pełne ręce roboty, żeby pewnego małego chłopca utrzymać w łóżku przez długie tygodnie. - Zgiętym palcem uniósł podbródek Joanny. - Nie dopuścimy do amputacji, jeśli tylko leży to w ludzkiej mocy.

W głosie Adriana było tyle przekonania, w ciemnych oczach tyle żarliwości, że niemal mu uwierzyła. Nie dawniej niż miesiąc temu nie wiedział nawet, że ma syna, a teraz zapewnia, że będzie walczył u jej boku, by go uratować. Raz już Justina ocalił - wtedy kiedy opuścił się do tamtego szybu. Patrzyła mu w oczy, czując obezwładniającą wdzięczność.

- Dziękuję ci, Dree - wykrztusiła.

Stuloną dłońią objął brodę Joanny, odchylając jej gło-

wę do chwili, w której ich twarze znalazły się kilka cali od siebie. Silne, ciepłe palce dodawały otuchy. Kiedy odezwał się znowu, poczuła jego ciepły oddech na swym policzku.

- Nie po to odkryłem, że mam syna, żeby pozwolić mu umrzeć, Jo - powiedział miękko. - Żałuję tylko, że nie byłem przy nim od samego początku.

Poczuła w gardle bolesny ucisk i nie mogła dobyć głosu. Kiwnęła głową, a łzy znowu napłynęły jej do oczu i zalśniły na rzęsach. Tak bardzo pragnęła powiedzieć to, czego powiedzieć nie mogła.

- Dla jego dobra proszę cię, żebyśmy odłożyli na bok wzajemne urazy - kontynuował Adrian cicho. - Musimy oboje dokładać wszelkich starań, żeby stanął na nogi. Nawet jeżeli nie jesteś w stanie zaakceptować mnie jako męża, musisz pozwolić, żebym dzielił z tobą ciężar rodzicielstwa, dopóki nasz syn nie wyzdrowieje. - Zamilkł i szukał w twarzy byłej żony przyzwolenia. - Spójrz na mnie i powiedz, że na pewien czas możesz odłożyć na bok swoje rozgoryczenie.

Ucisk w krtani narastał. Joanna czuła, że brakuje jej tchu.

- Nie... nie wiem - zdołała w końcu odpowiedzieć. - Ale spróbuję.

Cofnął rękę i westchnął.

- Nie mam prawa o nic cię prosić...

Ból rozprzestrzenił się; teraz czuła ucisk w piersi.

- Mam wobec ciebie dług, od kiedy zszedłeś do tamtej studni, ale... - umilkła, niezdolna ubrać sześciu gorzkich lat w słowa.

- Ale nie potrafisz zapomnieć, co ci zrobiłem - dokończył.

- Nie potrafię.

- Ani ja. Kiedy wracam myślami do tamtych dni, ból jest tak samo żywy jak kiedyś. Czasem cię nienawidzę,

ale powtarzam sobie, że nie ty jedna byłaś winna, że pewnie pobraliśmy się za młodo, że Gary...

- Proszę, wolałabym o tym nie rozmawiać. Nie teraz.

- Chciałbym wiedzieć... mimo wszystko znać powód... jakoś zrozumieć, dlaczego...

- A czemu miałoby to służyć? - wykrzyknęła z rozpaczą. - Czy zmieniłoby to, co się stało? Czy Gary znowu by żył? Mój ojciec nagle znowu zobaczyłby we mnie swoją córkę?

-Jo...

- Dree, straciłam wszystko, co było mi wtedy drogie: rodzinę, przyjaciół, a nade wszystko ciebie. Umarłabym, gdyby nie Gareth Sherwood. A potem pojawił się Justin. Żywa pamiątka po tym, jakie mogło i powinno być moje życie! Ale Gary kochał go mimo wszystko. - Odwróciła się, żeby ukryć powódź łez, których nie umiała dłużej powstrzymać. - Nie mów mi o bólu, Dree! Straciłam ciebie, straciłam Gary'ego, a teraz mogę utracić Justina - i nie wytrzymam tego! Nie podźwignę się z kolejnej straty!

-Jo... Jo...

Podszedł do niej, objął w talii i kołysał delikatnie, przygarniając do siebie. Szlochając, obróciła się w jego ramionach i wtuliła mu twarz w ramię. Jedną ręką głaskał ją po plecach, drugą muskał pieszczotliwie jasne włosy.

- Nie, Jo, nie możesz płakać - mruczał raz za razem.

- Ale n-nie m-mogę p-przestać!

W końcu Joannie zabrakło łez, zadrżała i ucichła. Nie przestawał głaskać jej po plecach, dopóki nie odepchnęła się od niego obiema rękami.

- Przepraszam, po prostu się trochę zdenerwowałam - wytłumaczyła się powściągliwie. - Trąc zapłakane policzki grzbietem dłoni, posłała Adrianowi najbledszy z uśmiechów. - Gaska ze mnie, prawda? Użałam się nad

sobą, kiedy powinnam się troszczyć tylko o Justina. Zwykle nie mam skłonności do popadania w histerię, wiesz?

- Wiem. - Podał jej chusteczkę. - Wytrzymaj nos, Jo. Nie możesz się chłopcu pokazać w takim stanie. Będziesz musiała się pozbierać i zrobić dzielną minę. Ja zresztą też.

- Spróbuję.

- Idziemy do niego, czy chcesz wyjść na dwór i trochę ochłonać?

- Wszystko w porządku, naprawdę.

- No to chodź.

Wziął ją za rękę i poprowadził z powrotem do domu. Pod drzwiami sypialni zatrzymał się na chwilę.

- Chcę pomóc ci przez to przejść, Jo. Chcę, byśmy byli przyjaciółmi, dopóki to się nie skończy.

- Tylko obiecaj mi, że nie będziesz próbował zniszczyć jego wspomnień o Garym. - Chciała się uśmiechnąć, ale nie zdołała. - Chcę, żeby pamiętał, jak bardzo ojciec go kochał. Gary zasługuje przynajmniej na tyle.

Jej słowa napełniły Adriana goryczą. Uzmysłowiły mu, ile stracił, jak wiele go w życiu ominęło. Stracił prawa do własnego dziecka.

- Musisz mi to obiecać, Dree.

- Chyba jestem to Gary'emu winny - odparł w końcu. - Nie mogło mu być łatwo wychowywać moje lustrzane odbicie. Nie sądzę, żebym umiał zdobyć się na tyle serca. Czułbym się oszukany, tak myślę. Ale też i przypuszczam, że zgodziłby się na wszystko, byle tylko zdobyć ciebie.

- Ty dalej nic nie rozumiesz, co? To nie tak. - Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, przekreśliła kławkę i zniknęła w sypialni.

- Gdybym nie wiedziała lepiej, Roxbury, pomyślałabym, że coś ci zaszkodziło - zauważyła Anne Sherwood, pojawiając się w drzwiach.

- Jak on się czuje?
- Jest rozdrażniony i ma gorączkę. Szczerze mówiąc, straszliwie się martwię.
- Ja też. - Łypnął na zamknięte drzwi. - Duma, niezawodna wada głupców - wymamrotał pod nosem.
- Mówisz o Joannie czy o sobie samym?
- O sobie.
- Taak, dobre i to na początek, nieprawdaż? Choć uważam, że nie jesteś jedyną osobą obarczoną tą przywarą.
- Dlaczego się z nią ożenił? Mówiła, że wiedział o Justynie.

Zapanowała pełna napięcia cisza, którą przerwało westchnienie Anne.

- Spodziewam się, że Joanna umiałaby lepiej odpowiedzieć na to pytanie, nie zgodzisz się ze mną? Jeśli o mnie chodzi, to cała wasza trójka zachowywała się co najmniej pochopnie. A teraz, jeśli mi wybaczysz, pójdę zająć się kataplazmem.

Patrzył za Anne, a w mózgu rozbrzmiewało mu echo słów Joanny: *Straciłam wszystko, co było mi wtedy drogie: rodzinę, przyjaciół, a nade wszystko ciebie... a nade wszystko ciebie...*

## 23

Dzień był ciepły, powietrze wpadające przez długie, wąskie okna przesycone wonią letnich kwiatów. Od trzech jednak dni wydawało się, że nad domem wiszą czarne chmury; ściszone głośnie szeptano po kątach, że pomimo wszelkich starań doktora Goode'a z nogą pa-

nicza Carew jest coraz gorzej. Robin, znużony ciągłym wyczekiwaniem, aż wszyscy przestaną krążyć wokół jego chorego brata jak stado duchów, cisnął na ziemię kolorową kredę i z buntowniczą miną porozrzucił na podłodze skrawki papieru.

- Już nie chce mi się rysować, Finch - poskarżył się markotnie.

Charlotte miała istne urwanie głowy, żeby malec przez cały czas miał jakieś zajęcie i nie wchodził dorosłym w drogę. Rozumiała jednak jego zniecierpliwienie i szczerze mu współczuła.

- Cóż, myślę, że możemy pójść na dwór pospacerować - zaproponowała.

- Chcę pojechać do Irlandii i pojeździć na kucyku.

- I pojedziesz. Ale najpierw Justin musi wyzdrowieć.

- Czy on umrze, Finch?

- Oczywiście, że nie - powiedziała i poprawiła się szybko: - Nie sądzę.

- Tata umarł.

- Tak, ale łódź twojego taty wywróciła się podczas silnego sztormu. Ludzie zwykle nie umierają z powodu złamanej nogi. - Starając się zmienić temat, wzięła chłopca za rękę i podprowadziła do okna. - Spójrz tylko na te kwiaty, Robinie, chciałbyś zerwać kilka dla mamy?

- Wolę obejrzeć konie Bury'ego.

- Dobrze. - Dokładnie w tej samej chwili usłyszała powóz zbliżający się po długim, krętym podejździe. Śledziła go wzrokiem do momentu, kiedy pokonał ostatni zakręt. Natychmiast rozpoznała herb i rzuciła bez tchu: - Ojej, lord Barrasford! - Nieświadomie poprawiła włosy, przyklepując niesforne loczki. - Biedna lady Carew - mruknęła z cicha. - I tak ma teraz tyle spraw na głowie, a tu jeszcze to. Cóż, lepiej ją uprzedzić, na wszelki wypadek.

- Barrasford tu jest? - Rozpromieniając się, Robin

mocniej ścisnął ją za rękę. - Przywiózł kucyka? Powiedział, że dostanę powóz i kucyka, Finch.

- I dostaniesz, kiedy tylko pojedziesz do Irlandii.

- Ale ja chcę teraz - marudził, drepcząc u jej boku.

W holu Charlotte niemal zderzyła się z hrabiną, wychodzącą właśnie z sypialni chorego.

- Och, milady, przyjechał Barrasford, i nie sądzę, żeby lady Carew...

- Justinowi się pogorszyło, panno Finchley. - Anne zerknęła za siebie na zamknięte drzwi. - Joanna nie odchodzi od jego łóżka od wczorajszego ranka.

- Babciu, Barrasford zabierze mnie do Irlandii! - pochwalił się Robin.

Kiedy to mówił, lokaj otworzył drzwi do westybulu. Ukazał się w nich narzeczony Joanny w towarzystwie skromnie ubranego mężczyzny. Panna Finchley potrząsnęła głową.

- Jakaż to niezręczna sytuacja, milady. Nie wyobrażam ich sobie siedzących we trójkę w pokoju Justina: on, lady Carew i Roxbury. Lord Barrasford z pewnością by sobie tego nie życzył.

- To zrozumiałe - przyznała Anne. - Moja droga, obawiam się, że będziemy musieli poprosić ciebie i Robina, żebyś zajęła... to jest, dotrzymała towarzystwa naszemu gościowi, dopóki Justinowi się nie poprawi.

- Mnie? - rzuciła dziewczyna bez tchu. - Och, droga pani, doprawdy nie jestem pewna, czy...

- Nonsens - zbyła jej wątpliwości Anne. - Jak trzeba, to każdy staje na wysokości zadania. Sądzę, że będzie wolał przebywać z tobą niż wisieć Justinowi nad głową. Rozumiem też, że trochę się znacie, prawda?

- No tak, ale on i lady Carew...

- ... są zaręczeni - dokończyła Anne. - A co to ma do rzeczy? Chce poznać Robina, a ty jesteś guwernantką mojego wnuka i trudno by się dopatrzeć czegoś niesto-

sownego w twoim towarzystwie. - Potem zaś, domyślając się zgoła innej przyczyny, dla której młoda kobieta wzdraga się towarzyszyć przystojnemu lordowi, dodała łagodnie: - Chociaż znam go dość powierzchownie, nie wydaje mi się, żeby należał do ludzi, którzy patrzyliby na ciebie z góry z powodu twej sytuacji majątkowej. Przecież na to nie miałaś wpływu.

- Litości nie zniosę, wszystko, byle nie litość!

- Moja droga, o tym, kim jesteś, decyduje twoje urodzenie i tego nikt ci nie odbierze. W zarabianiu na chleb nie ma niczego zdrożnego. Wstydem byłoby tylko, gdybyś postanowiła zarabiać nań w niegodny sposób. A teraz liczę, że dopilnujesz, aby lord Barrasford i Roxbury nie deptali sobie po piętach w tych i tak już trudnych okolicznościach. Jasno się wyraziłam w tej materii?

- Zrobię, co mogę, żeby pomóc - obiecała Charlotte Finchley.

Lokaj prowadził właśnie Johnny'ego i jego towarzysza po schodach i guwernantka, widząc, że nie ma gdzie się schować, otarła dłonie o spódnicę prostej, zielonej sukienki. Barrasford patrzył jednak na hrabinę.

- Przyjechałem, jak można było najszybciej, lady Anne. Chłopiec ma się dobrze, prawda? - Powaga na twarzy kobiety starczyła za odpowiedź. - Rozumiem. Może zatem dobrze się stało, że przywiozłem ze sobą doktora Bascombe'a, znacie się państwo, nieprawdaż?

- Ze słyszenia. Podobno jest pan znakomity. - Anne wyciągnęła rękę w geście powitania. - Miło mi pana poznać, doktorze. Obawiam się, że ten cały Goode nic nie potrafi dla mojego wnuka zrobić. Mogę pana zapewnić, że pańskie usługi będą mile widziane.

- Zasięgnąłem, języka w Londynie i wszyscy zgadzają się, że doktor Bascombe jest najlepszy - zapewnił ją Johnny. - A Joanna? Jak ona się trzyma?

- Na tyle dzielnie, na ile to możliwe, jak sędzę. Jest nie-



przytomna ze zdenerwowania. Nie wiem, czy spała godzinę w ciągu ostatnich dwu dni - odpowiedziała Anne.

- Przywiozłeś dla mnie kucyka? - spytał Robin, ciągnąc Barrasforda za płaszcz.

- Nie, ale już czeka na ciebie. - Barrasford zmierzwił złotorudą czuprynę malca. - Ale pomyślałem sobie, że przywiozę ci coś, co, jak mam nadzieję, powinno ci się spodobać - wyjął spod poły płaszcza paczuszkę owiniętą w brązowy papier. Nie zważając na nieskazitelne bryczesy, uklęknął na podłodze i rozpakował zawiniątko. - No, zajrzyj do środka.

- Żołnierze! - wykrzyknął mały. - Finch, babciu, patrzcie! Barryford przyniósł mi żołnierzy!

- Żołnierzy, skarbie - poprawiła Anne.

Charlotte Finchley pochyliła się, żeby obejrzeć Robinowy skarb.

- Proszę, proszę, będzie z dwunastu grenadierów, Robinie. I popatrz, tyle samo królewskich gwardzistów - zauważyła z entuzjazmem. - A widzisz tę figurkę? To żołnierz regimentu szkockiego sir Johna Gordona. Co się mówi?

- Dziękuję! - Robin pamiętał.

- Po tym, jak zobaczą się z twoją mamą, ustawimy je w szyku bojowym - obiecał Johnny. - Pokażę ci, jak przebiegła bitwa pod Victorią. - Wyprostował się i znowu spojrzął na Anne. - Chciałbym zobaczyć się z Joanną. Przyjechalibyśmy pomóc w miarę możliwości.

- Tak, naturalnie.

- Ale mieliśmy się bawić! - zaprotestował Robin.

Johnny znowu zmierzwił mu włosy.

- I będziemy, ale muszę najpierw zobaczyć się z twoją mamą. Justina też jeszcze nie widziałem.

- Nie może się bawić, ale wyzdrowieje.

- Oczywiście, że tak, a wtedy razem pobawimy się twoimi żołnierzami. Razem pokonamy zaborców.

- To znaczy armię francuską - wyjaśniła panna Finchley. Przypomniawszy sobie o prośbie hrabiny, zwróciła się do Barrasforda. - Obiecałam zabrać go na dwór, ale jeśli zechce pan udać się z nami do pokoju dziecinnego, z pewnością znajdziemy dość miejsca, żeby rozmieścić jego oddziały.

- Nonsens - wtrąciła Anne. - Zbyt piękny dziś mamy dzień, żeby siedzieć w domu. Mniemam, że w ogrodzie znajdzie się niejedno świetne miejsce dla armii Robina. Jestem też pewna, że pan Barrasford będzie ci równie wdzięczny za towarzysztwo na dworze, jak w pokoju dziecinnym.

- Tak, proszę mi towarzyszyć - powiedział szybko Johnny. - Nie mam zbyt wiele doświadczenia w postępowaniu z trzylatkami.

- Mam już prawie cztery - poprawił go Robin. - W Gwiazdkę będę miał cztery.

- Och, to całkowicie zmienia postać rzeczy - oznajmił Johnny z uśmiechem.

- Tak, cóż, jeśli chce pan zobaczyć Joannę i Justina, proszę za mną. - Patrząc na doktora Bascombe'a, Anne dodała: - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym, żeby udał się pan z nami. Sądzę, że im szybciej poznamy pańskie zdanie, tym lepiej.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, milady.

- Taak, tylko tyle możemy, prawda? Z góry uprzedzam, że nigdy nie widziałam dziecka w równie poważnym stanie. - Odczekała, aż panna Finchley odejdzie z Robinem dość daleko, by chłopiec nie mógł ich słyszeć, po czym wyznała: - Strasznie się martwię, że z tego nie wyjdzie, a jeśli stanie się najgorsze, to obawiam się o zdrowie psychiczne mojej synowej. Tyle już przeszła, doktorze, że doprawdy nie wiem, skąd czerpie siły, by walczyć.

- Biedna Jo. A fakt, że są u Roxbury'ego, a nie u siebie,

sytuacji z pewnością nie poprawia - mruknął Johnny.

- Roxbury zachowuje się jak uosobienie życzliwości, milordzie. Więcej nawet, jego oddanie wobec Justina jest wręcz zdumiewające. - Zatrzymała się na chwilę przed drzwiami do sypialni Adriana, wyprostowała się i ostrzegła: - Proszę się niczemu nie dziwić. Joanna nie wygląda najlepiej.

Chociaż dzień był słoneczny, w pokoju panowały ciemności; ciężkie, brokatowe draperie nie wpuszczały z zewnątrz światła, tak że jedynym jego źródłem był stojący na stoliku obok łóżka kandelabr. Johnny omiół wzrokiem mroczne wnętrze, zanim w końcu zobaczył Joannę. Siedziała w fotelu, wychylona do przodu, z twarzą wtuloną w połyskliwą kapę. Wyciągniętą rękę trzymała na drobnej, opatulonej postaci skulonej na środku łoża.

-Jo?

Drgnęła i wyprostowała się, zaskoczona, słysząc jego głos. W blasku świec ujrzał jej wychudłą, ściągniętą twarz, wzierającą spod płataniny jasnych włosów, niebieskie oczy tak podkrążone i opuchnięte, że niemal niewidoczne.

- Mój Boże, Jo.

- Cały jest rozpalony, Johnny - powiedziała bez wyrazu. - Cały rozpalony, a ja mogę się tylko bezradnie przyglądać.

Podszedł do łóżka i dotknął gorącej, poczerwieniałej buzi chłopca.

- Od dawna jest w takim stanie?

- Od dwóch dni, ale teraz mu się pogarsza. Podaję mu lek, ale wydaje mi się, że za każdym razem, kiedy gorączka mu spada, dostaje jeszcze wyższej w przeciągu godziny. -. Patrzyła na niego z udręką. - Nie wiem, co robić, Johnny, po prostu nie wiem, co robić.

- Musisz trochę odpocząć.

- Nie mogę zostawić go w takim stanie - powiedzia-

ła, zniżając głos do szeptu. - Muszę przy nim być.

- Sprowadziłem z Londynu lekarza. Nazywa się Bascombe. Podejrzewam, że Roxbury o nim słyszał; Bascombe zyskał sobie pewną sławę, lecząc poważniejsze obrażenia wojenne. Prawdę mówiąc, gdyby nie on, jeden z moich towarzyszy broni, Ponsonby, nie żyłby dziś. - Johnny pogłaskał ją po głowie, przyglądając potargane włosy. - Och, naturalnie wiem, że okoliczności są inne, ale pomyślałem sobie, że brudna woda nie może być gorsza od tego, w czym zdarza się leżeć rannym na polu bitwy.

- Bascombe to dobry człowiek.

Dopiero wtedy zauważył, że po drugiej stronie łóżka siedzi Adrian Delacourt. Księżę wstał ciężko i ze znużeniem potarł pokryte ciemnym zarostem policzki. Najwyraźniej był w równie kiepskim stanie jak Joanna.

- Mogę rzucić okiem na chłopca? - spytał delikatnie lekarz.

- Tak, naturalnie. Doktor Goode się nim zajmuje.

- Zrobimy konsylium.

- Pal licha konsylium! - warknął Adrian. - Jeżeli Barasford pana nie zatrudnił, ja to zrobię. Dość mam czekania, aż tamten konował go wykończy.

- Dree!

- Po prostu cieszę się, że widzę odpowiedniego człowieka, i tyle - mruknął. - Posłałem do Knighton, ale nie dostałem żadnej odpowiedzi. Zresztą i tak uważam, że Bascombe lepiej zna się na rzeczy.

- Dziękuję, wasza miłość - odparł z szacunkiem lekarz.

Przez ulotną chwilę Adrian patrzył na Joannę, po czym zwrócił się do Johnny'ego:

- Lepiej zabierz ją stąd na czas badania. To piekielnie nieprzyjemny widok.

- Nigdzie się nie wybieram, Dree.

- Czy czuć tę ranę, milordzie? Widać ślady gnicia? - pytał Bascombe.

- Nie. To ta przeklęta gorączka. Joanna już mówiła, dzieciak jest cały rozpalony - odparł ze znużeniem w głosie. Spojrzał na Bascombe'a. - Zapłacę każdą cenę, jeśli wyzdrowieje. Oddałbym ostatniego pensa, żeby tylko pozbyć się tej gorączki.

- Wyzdrowienie, milordzie, spoczywa w rękach Boga, nie moich. Ja zaś, medyk, chirurg, jestem tylko człowiekiem śmiertelnym. I musiałbym nie mieć sumienia, żeby wyłudzać cokolwiek ponad moje zwykłe honorarium.

- Proszę mu nie ucinać nogi - wyszeptała Joanna z zamkniętymi oczami.

- Mówiłem ci, żebyś ją stąd zabrał, Johnny.

- Nie, nigdzie nie pójdę! - Uchyliwszy się przed Bar-rasfordem, mocno chwyciła syna za rączkę. Pochylając się nad nim, powtarzała cicho: - Mama tu jest, Justinie. - Wolną ręką muskała gęste, czarne włosy. - Mama kocha cię ponad wszystko, moja ty słodczy...

Johnny odwrócił wzrok, kiedy Bascombe zdejmował opatrunek, obnażając łubki, potem opuchniętą nogę. Przez chwilę, która wydawała się wiekiem, wodził dłońmi po zgrubiałej, przebarwionej skórze, naciskając w miejscu, w którym przebiła ją kość. Wyprostował się w fotelu, po czym stwierdził:

- Nastawiona właściwie, sama kość wydaje się goić. Poza odrobiną wysięku nie widać wokół rany śladów gnicia.

- To dlaczego jest taki chory?

- Zakażenie dostało się do krwi.

- Ale przecież kataplazmy ściągnęły całą ropę, doktorze! To znaczy, jak to? - spytała bezradnie Joanna.

- Krew krąży po całym ciele, milady. - Pochyliwszy się ponownie nad Justinem ze świecą w dłoni, uniósł dziecku powieki, po czym pokręcił głową. - Odpowiada, kiedy pani do niego mówi?

- Tak, ale kiedy ma wysoką gorączkę, mówi od rzeczy. Kiedy gorączka opada, wszystko jest w porządku.

- Zatem nie wydaje się, by choroba objęła mózg. To przynajmniej mogę uznać za dobry znak. - Wyprostował się i dodał: - Będę naturalnie musiał przeprowadzić gruntowne badanie, ale mogę państwu powiedzieć, że chłopiec jest w ciężkim stanie.

- Ale czy może pan coś zrobić?

- Mam nadzieję, milady, mam szczerą nadzieję. Wiem z doświadczenia, że gorączka niekoniecznie musi oznaczać coś złego, choć kiedy jest tak wysoka, może być dość niebezpieczna sama w sobie.

- Bańki by pomogły? Doktor Goode nalegał na puszczenie krwi, ale Dree... Roxbury uparł się, że się nie zgodzi.

- Jo, to go tylko dodatkowo osłabi.

- Racja, wasza miłość - przytaknęła Bascombe. - Choć bańki bywają skuteczne w pewnych okolicznościach, u naszego pacjenta, zważywszy na niewielkie ciało, i co za tym idzie, niewielką ilość krwi, byłyby bezużyteczne, w szczególności jako środek na pozbycie się gorączki. Trzeba zwiększyć ilość płynów, a nie ją zmniejszać.

- Mówiłem, Jo. - Zwrócił się do lekarza z pytaniem: - Czego możemy się spodziewać?

- Od jak dawna ma tak wysoką temperaturę?

- Gorączkował już przedwczoraj - odparła Joanna.

- Ale dopiero od wczoraj gorączka jest tak wysoka - przypomniał Adrian. - Wcześniej udawało się nam zmniejszać ją lekiem od Goode'a, chociaż, na bardzo krótko. A teraz, wraca niemal natychmiast.

- Rozumiem. Miał konwulsje?

- Nie. Po prostu nie wie, gdzie jest, i nie poznaje mnie. Myśli, że jestem... że jestem jego nieżyjącym ojcem.

- Rozumiem. - Lekarz, popatrując to na księcia, to na chore dziecko, usiłował ukryć zaskoczenie.

- Moim mężem był Gareth Sherwood, hrabia Carew

- wtrąciła pospiesznie Joanna. - Ale teraz nie pora na takie rozmowy. Myśl, że Gary jest z nim teraz, uspokaja Justina.

- Brak konwulsji to pomyślny znak - Bascombe uważnie dobierał słowa, żeby nie odbierać im resztek nadziei. - Zwykle w podobnych przypadkach mamy do czynienia z czymś w rodzaju nasilania się choroby, gdzie gorączka wzrasta i trwa coraz dłużej, aż pacjent znajdzie się w stanie krytycznym, który decyduje o wszystkim. W tej fazie ciało pacjenta zaczyna tryumfować nad zakażeniem albo ostatecznie przegrywa bitwę. - Kładąc rękę na czole Justina, powiedział: - Jestem zmuszony sądzić, że u niego kryzys nastąpi jutro, może pojutrze. Na razie konieczne jest, żebyśmy zmniejszyli gorączkę, nie usuwając jej całkowicie. W innym wypadku, jak już mówiłem, choroba obejmie mózg, a wtedy na pełne wyzdrowienie nie będzie można liczyć.

- Nie rozumiem... - odezwał się Johnny.

- Gorączka mózgowa jest zwykle śmiertelna, milordzie, a nawet jeśli pacjent przeżyje, pociąga za sobą poważny spadek zdolności umysłowych. W takich przypadkach szczęśliwiej by było, gdyby pacjent nie przeżył.

- Nie!

- Jak już mówiłem, milady, brak konwulsji dobrze wróży. A teraz, kiedy tylko dostanę moją torbę, chciałbym przeprowadzić badanie. I chciałbym przeprowadzić je w samotności.

- Och, ależ...

- Milady, nawet jeżeli ma wyzdrowieć - tłumaczył cierpliwie Bascombe - jego stan pogorszy się przed ostateczną poprawą. Będzie wymagał najlepszej możliwej opieki w okresie rekonwalescencji, a tej nie zapewni mu pani bez odpoczynku.

- Nie zdołałabym usnąć, choćbym nie wiem jak się starała, panie doktorze.

- Może i tak, ale zalecam pani przynajmniej czterogodzinne leżenie w łóżku. - Patrząc na Anne, dodał: - Podam pani recepturę naparu, który proszę przygotować dla synowej. Ma wypić cały, a potem się położyć. Zimny okład na oczy powinien zmniejszyć obrzęk.

- Zajmę się tym, doktorze.

- Nie mogę zostawić syna - zaprotestowała Joanna.

- Na miłość boską, Jo! - wybuchnął Adrian. - Posłuchajże go!

- Co zaś do pana, milordzie - teraz doktor zainteresował się gospodarzem - to wygląda na to, że i panu niedozowny jest odpoczynek. Jeśli ma pan trzeźwo myśleć, kiedy przyjdzie kryzys, musi się pan trochę przespać. Parę kropli laudanum...

- Nie potrzebuję żadnego przekłętego laudanum! - Adrian uzmysłowił sobie, jak niewdzięcznie musiały zabrzmieć jego słowa, i ze znużeniem przeciągnął rękami po piekących, suchych oczach. - Przepraszam, powinienem był powiedzieć, że mam do tego paskudztwa awersję. Nie lubię niczego, co odbiera jasność myślenia, zwłaszcza w takiej chwili.

- Tak czy inaczej, wasza miłość, proszę mi się tu nie pokazywać przez najbliższe cztery do sześciu godzin. Jako że gorączki zwykle nasilają się pod wieczór, chory będzie potrzebował pańskiej uwagi później.

Johnny, widząc, że Joanna nie kwapi się do wyjścia, zaproponował cicho:

- Nie mam doświadczenia w opiece nad chorymi, ale z chęcią posiedzę z Justinem, a wy trochę się prześpicie.

- On ciebie nie zna - rzucił Adrian szorstko. - Nie, ja zostanę.

Anne delikatnie oparła mu dłoń na ramieniu.

- I tu się mylisz, bo pójdziecie wszyscy. Ja zostanę z wnukiem, a jeśli zajdzie taka potrzeba, pošlę po was. - Zauważyła, że Adrianowi ściskają się szczęki, i dodała



miętko: - Kocham go, przecież wiesz. - Przeniosła wzrok z Roxbury'ego na Barrasforda i przypomniała: - Jeśli się nie mylę, czeka na pana pewien mały chłopiec, z którym miał się pan pobawić. I tak czuje się zaniedbywany. Wszelka pomoc udzielona pannie Finchley będzie dla nas bezcenna. Chociaż Robin wie, że Justin jest chory, trudno trzylatkowi zrozumieć, dlaczego -wszyscy zajmują się jego starszym bratem. Przy okazji będzie pan mógł poznać go lepiej.

- Zrobię wszystko, o co mnie poprosi Jo - odparł Johnny i podniósł na nią pytający wzrok. - Jeśli chcesz, pobawię się z młodszym, a potem do ciebie wrócę.

- Nie. - Odwzajemniła jego spojrzenie, niemal zbyt zmęczona, żeby myśleć. - Jestem pewna, że mama ma rację. Robin bardziej cię potrzebuje. - Zmuszając się do uśmiechu, dodała: - Cieszę się, że przyjechałeś, Johnny.

- Nie ma takiej siły, która mogłaby mi w tym przeszkodzić. - Objął Joannę ramieniem i wycisnął na jej policzku lekki pocałunek. - Przykro mi, że przechodzisz przez coś takiego, moja droga. Chciałbym być bardziej pomocny.

- Zajmowanie się Robinem to więcej niż dość - zapewniła go. - To niełatwe zadanie, uwierz mi. Biednej Finch muszą się już kończyć pomysły.

- Nie wiem, wydaje się w tej materii osobą kompetentną.

- Tak, ale tyle zważyło się na barki tej biedulki - powiedziała gładko Anne.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał. Joannę poprosił jeszcze, całując ją w czoło: - Spróbuj zasnąć. - Cofnął rękę i skłonił się Adrianowi: - Do twoich usług, Roxbury.

- Zostaniesz na kolację, prawda? - zawołał za nim Adrian.

- Jeśli będę potrzebny.

Kiedy wyszedł z pokoju, Adrian mruknął pod nosem:

- Jakby w domu nie było dość zamieszania.

- Owszem - przyznała uprzejmie hrabina. - Ale sądzę, że panna Finchley ucieszy się z jego towarzystwa, ze względu na Robina, rzecz jasna. A teraz, Joanno, kochanie, pójdiesz do mojej sypialni i prześpisz się te cztery godziny w ciszy i spokoju.

- Mamo...

- Bess przyniesie ci twój napar. No, idź już, jeśli się naprawdę rozchorujesz, dopiero znajdziemy się w opałach. To samo tyczy ciebie, Roxbury. Jeśli sam nie wyjdiesz, osobiście wypchnę cię za drzwi - zagroziła mierząca pięć stóp wzrostu kobieta.

- Idź, idź, Jo - ponaglił Adrian. - Podejrzewam, że mamy przed sobą kolejną długą noc. - Podeszedł do okna i przyglądał się, jak Johnny wychodzi z domu i idzie przez trawnik w kierunku Robina i guwernantki. Choć szczerze Johnny'ego lubił, nagle przyłapał się na myśli, że najchętniej odesłałby go do wszystkich diabłów. Głośno zaś zauważył tylko: - Ta panna Finchley jest całkiem ładniutka, prawda? Chciałem powiedzieć, gdyby miała środki, żeby o siebie zadbać, byłaby z niej prawdziwa piękność.

- Dziwne - odpowiedziała półgłosem Anne - dokładnie to samo sobie myślałam, kiedy wysyłałam ją na dół, żeby dotrzymała towarzystwa lordowi Barrasford. - Kiedy Adrian odwrócił się w jej stronę, dodała niewinnie: - Cóż, ktoś musi go zająć, nieprawdaż?

## 24

Na stoliku przy łóżku tykał bogato zdobiony zegar, odmierzając kolejne godziny - godziny, które Joanna przestała już liczyć. Całą sobą chciała krzyczeć z wy-

czerpania, ale dawno już minęła pora, kiedy mogła sobie pozwolić na sen. Zmęczonymi oczami śledziła małe, ruchliwe ciało syna, miotające się niespokojnie na wielkim łożu. Jedna ze świec zaskwierczała, po czym zgasła i w pokoju zapanował jakiś dziwny półmrok, ale Joanna nawet tego nie zauważyła.

Usta jej poruszały się w bezgłośnej, żarliwej modlitwie; błagała, obiecywała wszystko, wszystko w zamian za życie jednego małego chłopca. Sytuacja była rozpaczliwa: Bascombe poinformował ich, że kryzys się zbliża. Gorączka nadal trawiła ciało Justina, zaćmiewała jego umysł i londyński lekarz zaczął podejrzewać, że objęła już mózg, czyniąc z choroby o wiele bardziej niebezpiecznego przeciwnika niż gangrena, której tak niedawno bali się najbardziej. Obrzęk mózgu niemal z pewnością spowodowałby śmierć Justina.

Joanna wychyliła się do przodu i oparła głowę na krawędzi materaca. Ogarnęło ją znużenie tak wielkie, że zabrakło jej sił, by dalej się modlić - myśli miała tak nieskładne, tak mętne, że nawet Bóg nie zdołałby ich pojąć. Ale nie chciała się poddać i poddać się nie zamierzała. Nie, dopóki w Justinie kołatała się bodaj jedna iskierka życia.

Poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia, i podniosła wzrok, by zobaczyć Adriana. Wyglądał na równie zmęczonego, ale uścisk jego dłoni był silny i kojący, gdy masował jej napięte do bólu mięśnie, przynosząc ulgę obolałemu ciału. Na chwilę odchyliła się do tyłu, zamknęła oczy i rozkoszowała się tym uczuciem, pozwalając, by jego palce zajęły się szyją i barkami.

- Nie słyszałam, jak wchodzisz - powiedziała po prostu.
- Nie chciałem ci przeszkadzać w modlitwie.

Zdażyła już przyzwyczaić się do jego obecności. W ciągu tych kilku dni, gdy stan Justina się pogarszał, zrodziła się między nimi pewna więź, poczucie wspólnoty: razem toczyli bitwę o życie dziecka. Z czasem sytu-

ację tę domownicy Armitage'u zaczęli traktować jako normalną. Ucichło szeptem powtarzane od piwnicy po strych słowo „skandal” - od zwykłego stajennego po samą ochmistrząnię wszyscy byli przejęci tragedią, która dotknęła „biednego małego panicza”. Drzwi do sypialni jego miłości stały teraz otworem dla służby, bezszelestnie krzątającej się wokół księcia i żony, którą kiedyś odrzucił. Czasem tylko ciszę przerywało zdawkowe pytanie czy rzucona półgłosem uwaga.

- Jakież zmiany?

- Chyba na gorsze. Może powinniśmy obudzić doktora Bascombe'a? - odpowiedziała Joanna pytaniem, gdy Justin nagle krzyknął i zacisnął rączki, jakby chciał złapać się powietrza. - Boję się, że przy takiej gorączce dostanie konwulsji.

W miejsce odpowiedzi Adrian nachylił się nad łóżkiem i złapał chłopca za ręce. Mruczając pod nosem uspokajające słowa, usiadł i przyciągnął Justina do siebie. Mały skulił się, drżący, bełkocząc coś niezrozumiale. Z wysiłkiem otworzył ciemne oczy i spróbował skupić wzrok.

- Tato? - spytał przez spierzchnięte od gorączki usta. - Tato, zabierz mnie do domu.

Joanna dawno już przestała protestować przeciwko pozostawieniu chłopcu jego złudzeń. Oczywiściecia był dla niej fakt, że czerpał z nich otuchę, tak jak oczywiście było, że w gorączce brał Adriana za Gary'ego. Później, kiedy będzie dochodził do siebie, położy temu kres, ale jeszcze nie teraz.

- Przynieś mi trochę wody, Jo - polecił Adrian zwięźle. - I kawałek płótna. - Ponownie zajął się Justinem: podparł niewielkie ciało ramieniem, podtrzymując je, i zamruczał: - Tato tu jest... Tato tu jest, maluszku. - Głaskał ciemne, lekko kręcone włosy. Czuł się zupełnie tak, jakby obejmował gorącą cegłę. - Jo, kiedy dałaś mu lek przeciwko gorączce?

- Nie wiem, chyba niecałą godzinę temu. Nie spojrzalam na zegarek.

- Tato! Tato! - krzyczał chłopiec, miotając się dziko w ramionach Adriana.

- Ciiii... A kiedy coś pił?

- Kiedy brał lekarstwo, chociaż bardzo niechętnie. Musiałam długo z nim walczyć, żeby wypił do dna.

- Tato! - Ciało chłopca wygięło się w łuk, po czym zeszywniało.

- Przynies więcej wody i to płótno, a potem dzwoń na służbę i, na miłość boską, pospiesz się! - Położył chłopca na łóżku, docisnął, żeby leżał na płask, przytrzymując wstrząsane drgawkami kończyny. - Do jasnej cholery, gdzie ten Bascombe?!

- Pewnie już idzie, sama wezwałam służącego - rzuciła, biegnąc do drzwi.

- Woda, Jo!

Wróciła po dzbanek. Ręce jej drżały, gdy wlewała jego zawartość do płytkiej miski. Znalazła czysty, złożony gałganek, po czym podała wszystko Adrianowi.

- Przytrzymaj go, dobrze? - rozkazał. Nabrał wody w stulone dłonie i chlusnął nią na Justina, przemaczając jego koszulę. Sięgnął nad nim po kartkę, leżącą na stoliku, i zaczął energicznie go wachlować. - Musimy go ochłodzić - mruknął. - Zupełnie jakby stał w ogniu. - Moczając kawałek płótna w misce jedną ręką, drugą niezręcznie obrócił głowę Justina w bok. - Muszę w niego wmuścić trochę płynu, a nie chcę, żeby się zakrztusił.

Joanna obiegała łóżko, żeby pomóc unieść głowę syna, Adrian zmusił go do rozwarcia zaciśniętych szczęk i wcisnął mu do ust koniec ociekającego wodą gałganka.

- Musisz pić, Justinie, musisz spróbować się napić. No, proszę, spróbuj, spróbuj dla taty - namawiał.

Chłopiec zakrztusił się i bronił się dziko, bijąc na

oślep rękami i odwracając głowę. Joanna walczyła ze łzami. Głaskała go po włosach, szepcząc:

- Tylko odrobinę, tylko odrobinę. Posłuchaj tatusia.

Tym razem, gdy Adrianowi udało się ponownie wsunąć dziecku róg gałganka do ust, Justin zaczął słabo ssać. Woda pociekła mu z kącików ust, ale w końcu przeżył. Adrian powtarzał ten zabieg kilka ładnych razy, aż wreszcie Justin odepchnął jego rękę. Moszcząc chłopca na poduszkach, spojrzął na Joannę.

- Jest spokojniejszy, myślę więc, że udało się nam coś wskórać. - Raz jeszcze zmoczył płótno, wyjął je i otarł czoło Justina. - Gdybym uważał, że zdoła jeszcze cokolwiek przełknąć, spróbowałbym wmusić w niego więcej tego proszku. Może wtedy gorączka by spadła. Ale nie sądzę, żeby dał radę pić z filiżanki.

- Mówiłam ci już. Dostał dawkę jakąś godzinę temu.

- Może podałaś mu za mało.

Podniosła fiolkę i przysunęła ją do świecy.

- Trochę zostało. Może gdybyśmy tak nie próbowali go tym napoić, a po prostu nasypali na język...

- Ma zbyt gorzki smak - odparł, kręcąc głową. - I tak nie wiem, jak zdołałaś podać mu aż tyle.

- Opierał się za każdym razem, ale nie sądzę, żeby wiedział, co się z nim dzieje. Myślę, że w ogóle nic do niego nie dociera, Dree.

Opuścił wzrok na syna i poczuł, że ogarnia go rozpacz, wiedział jednak, że musi ukryć przed Joanną swój lęk. Zostało im mało czasu - Bascombe spodziewał się kryzysu w każdej chwili. Gdy Adrian tak patrzył, ręce i nogi Justina znowu ogarnęło drżenie, następnie gwałtowne drgawki objęły całe drobne ciało.

- Dree!

- Daj mi to lekarstwo, a sama idź po Bascombe'a - powiedział z całym spokojem, na jaki umiał się zdobyć.

- Ma konwulsje!

- Lekarstwo, Jo! - Wyszarpnął jej fiolkę z ręki i wręcz wydarł się: - No, idźże wreszcie po tego Bascombe'a, teraz, Jo, teraz!

Kiedy Adrian unosił głowę dziecka, błysnęły białka oczu i rozpacz Joanny sięgnęła zenitu. Potykając się jak ślepiec, wypadła na korytarz i zaczęła krzyczeć:

- Doktorze Bascombe! Doktorze Bascombe! Proszę, na Boga, niech ktoś nam pomoże!

- Już dobrze, wielmożna pani - uspokajał Blake, ubrany w pospiesznie przewiązany szlafrok, gdy Joanna oparła się o framugę i rozpłakała. - Pani Johnson już go budzi.

- Mój syn umiera, Blake, ja to wiem. - W końcu ubrała w słowa swoje najgorsze obawy. - Mój syn umiera, a ja nie mogę nic zrobić! Jestem przeklęta, Blake, tracę wszystko, co kochałam!

Zaniepokojony tym wybuchem, lokaj chwycił Joannę za ramiona i mocno nią potrząsnął.

- Spokojnie, spokojnie, przecież nie może pani tego wiedzieć, a doktor już idzie, milady.

Skuliła się z twarzą wykrzywioną w grymasie cierpienia, a potem zwiotczała nagle, szlochając z głową opartą o jego ramię.

- Joanno, co się tu...? - Z sypialni na drugim końcu holu wyłoniła się lady Anne i, bosa, pobiegła w jej stronę. Wyraz twarzy synowej mówił sam za siebie. - Och, moja kochana, nie!

Blake pospiesznie popchnął rozszlochaną Joannę w ramiona hrabiny i przyłączył się do ochmistrzyni, dobijającej się do drzwi doktora Bascombe'a. Pocziwy lekarz, wyrwany z głębokiego snu, otworzył w końcu drzwi i zamrugał powiekami, oszołomiony.

- Ejże! W czym rzecz? - spytał ze zniecierpliwieniem, usiłując skoncentrować się na wszystkich zebranych w holu osobach równocześnie.

- Chodzi o Justina - poinformowała go zwięźle Anne. - Obawiam się, że mu się pogorszyło.

Adrian całego tego zamieszania nie słyszał. Na siłę rozchylił Justinowi szczęki i wsypał mu resztkę gorzkiego leku prosto do ust. Niemal natychmiast chłopcem szarpnęły mdłości, po czym zaczął szamotać się, dziko młóćąc rękami. Adrian ponownie zmoczył gałganek i usiłował wepchnąć jego skraj między kurczowo zaciśnięte wargi, ale Justin rzucał głową na wszystkie strony, skutecznie to uniemożliwiając. Unieruchomiwszy drobne rączki, Adrian rozkazał surowo:

- Pij dla taty, musisz to przełknąć, dla taty! Słyszysz mnie, Justinie? Musisz to przełknąć!

Bascombe z miejsca zauważył, co się dzieje. W jednej sekundzie oprzytomniał i zaczął nie znoszącym sprzeciwu tonem wydawać polecenia depczącej mu po piętach służbie.

- Wannę z wodą! Tylko żeby mi była zimna! - Na Adriana fuknął tylko: - Proszę go trzymać, po co ma sobie zrobić krzywdę, milordzie!

- Gdybym go mocniej ścisnął, pogruchotałbym mu kości - odmrugnał Adrian. W desperacji ułożył się obok syna, opasując jego ciało ramionami. - Nic ci nie będzie, Justin, nic ci nie będzie - powtarzał w kółko. - Nie puszcę cię.

Wydawało się, że chłopiec mimo swojej drobnej postury miał siłę dorosłego, gdy miotał się gwałtownie, bezrozumnie krzycząc:

- Tato! Tato! Mamooo!

Joanna wpadła do pokoju i wgramoliła się pospiesznie na brzeg łóżka.

- Jestem tu, kochanie - odpowiedziała łamiącym się głosem.

- Trzymaj go, Jo! - rozkazał Adrian. - Bo zrobi sobie krzywdę!



Przeturlała się obok niego, oplótła nogi syna swoimi, ściskając go między sobą a Adrianem.

- Justin! - przycisnęła do piersi główkę chłopca. - Postaraj się nie ruszać, postaraj się dla mamy!

- Jest woda, wasza miłość - rzucił Blake zza parawanu.

- Woda?

- Trzeba go zanurzyć w wodzie - wytłumaczył Bascombe. - Musimy przerwać konwulsje albo już po nim.

- Przezięb się!

- To jedyny sposób, żeby zbić gorączkę, milordzie.

Adrian przeturlał się do krawędzi łóżka, wstał, chwycił miotającego się chłopca na ręce i wrzucił go, w koszuli, z łubkami, do lodowatej kąpieli. Kiedy zanurzył mu głowę pod wodę, mały chwycił się kurczowo krawędzi wanny, po czym wychynął nad powierzchnię, krzycząc:

- Tato! Tato!

- Tato jest tuż, tuż - mruzczała zza Adriana Joanna. - Trzyma cię za rękę, kochanie.

- Zuch chłopak - mówił Adrian, ściskając drobną rączkę - po prostu nie ruszaj się, niech cię woda ochłodzi. - Gwałtowne dreszcze z wolna ustępowały i dziecko zaczynało drżeć z zimna. - Prośmy tylko Boga, żeby nie dostał po tej kąpieli zapalenia płuc - odezwał się Adrian do Bascombe'a.

- W tej akurat chwili, wasza miłość, to najmniejsze z moich zmartwień. Ale zrobił pan, co trzeba, woda ostudzi przegrzane ciało.

Ze łzami w oczach Joanna zaczęła polewać Justina zimną wodą, pozwalając jej spływać mu po głowie. Chłopiec z pluskiem poruszył się w wannie, starając się jakoś uchylić. Szeroko otworzył oczy i usiłował skupić wzrok.

- Tata? - Przyglądał się ze zdumieniem Adrianowi, który wciąż ścisnął go za rękę. - Gdzie mój tata?

- Wróci - obiecał mu Adrian.

- Ale on tu był!

Joanna wymieniła z Adrianem bezradne spojrzenia, po czym opadła na kolana, bliżej syna.

- Tata musiał wyjechać, słoneczko, ale nie możesz się martwić. Był z tobą, kiedy potrzebowałeś go najbardziej.

- Konwulsje na razie minęły - zwrócił się Bascombe do Adriana - najlepiej wyjmijmy go z wanny i porządnie wytrzymy, milordzie.

- Ja to zrobię, wasza miłość - zaproponował Blake. - To byłoby niestosowne.

- Bzdura! - odparował Adrian. - Było, nie było, to przecież mój... - urwał, nie mając siły dokończyć. - Cóż, nie mam żadnych obiekcji, poza tym i tak jestem już porządnie przemoczony.

- Ja ci pomogę, Dree - wtrąciła Joanna, żeby rozładować sytuację. - Pani Johnson, jeśli tylko postara się pani o czystą pościel, my go tu raz, dwa wyszukujemy.

Razem z Adrianem wytarli chłopca, przebrali w świeżą koszulę i zapakowali do łóżka. Nadal miał gorączkę, ale już nie tak wysoką. Przez dłuższą chwilę stali, przyglądając się, jak zapada w spokojniejszy sen.

- Lepiej się czuje, Jo - rzekł w końcu Adrian.

- Tak, lepiej - zgodziła się miękko. Zerkając na niego przez posklejane od łez rzęsy, uśmiechnęła się z trudem. - Dziękuję ci.

- Cóż - odezwał się Bascombe z wyraźną ulgą. - Powiedziałbym, że ma się lepiej, przynajmniej na razie. - Pochylił się nad Justinem, przyłożył mu do czoła grzbiet dłoni, po czym z zadowoleniem pokiwał głową. - Zaprowadziliśmy nad gorączką.

- Tuż przed pańskim przyjściem podałem mu trochę tego proszku od Goode'a - przyznał Adrian.

- A ja jakąś godzinę wcześniej - uzupełniła Joanna. - Mam nadzieję, że nie przedawkowaliśmy.

- Możliwość przedawkowania jest ostatnią kwestią,

na jakiej powinniśmy się teraz koncentrować - odparł Bascombe. - Nadmierna dawka mogłaby wpłynąć na jego słuch, tak sądzą niektórzy moi koledzy, ale alternatywa jest nie do pomyślenia. Nie, nie można zaprzeczyć skuteczności tego leku, jeśli jest podawany właściwie. Produkuje się go z kory drzewa rosnącego w Andach. Muszę przyznać, to jedna z tych kilku użytecznych rzeczy, które zawdzięczamy Hiszpanom. I gdyby tylko aptekarze umieli usunąć jego gorzki posmak, przepisywalibyśmy go na wszystko, od malarii po zapalenie płuc. Ale jest jak jest i przekonałem się, że jego smak jest wybornym lekarstwem na hipochondrię dręczącą znużone damy - przyznał z lekkim uśmiechem. - Taak... no, skoro pacjent ma się lepiej, chciałbym -wrócić do łóżka. Oczywiście, proszę mnie obudzić, gdyby sytuacja się powtórzyła, lady Carew.

- O to nie musi pan się martwić, zapewniam - odparła Joanna cierpko. - Napędził mi porządnego stracha, także Roxbury'emu.

- Wyglądacie jak zmory, oboje - zabrała głos Anne. - Wiem, że daleko stąd nie odejdziecie, ale moglibyście chociaż trochę się przejść, ja zostanę. Gdyby jego stan uległ zmianie, zwłaszcza na gorsze, natychmiast po was poślę. Po czymś takim musicie odetchnąć świeżym powietrzem.

- Nie. - Joanna pokręciła głową. - Chcę z nim być.

- Ja też - przytaknął ponuro Adrian.

-Jak już mówiłem, nocę są zawsze najtrudniejsze - odezwał się doktor Bascombe, patrząc na starszą hrabinę - może więc będzie lepiej, jeśli matka z nim zostanie. Podejrzewam, że kryzys jest bliski, jeśli już nie minął. Być może wolałaby pani posiedzieć z nim rano - zasugerował nie bez ciepła w głosie.

Jeśli już nie minął. Słowa te przeszły mózg Joanny, budząc falę nadziei. Podniosła wzrok, by upewnić się, czy

Adrian słyszał to samo. Słyszał. Spojrzenia ich, pełne wzajemnej wdzięczności, spotkały się.

- Dziękuję, Dree - wyszeptała raz jeszcze. Poczuła nagle, że każdego dnia ma mu coraz więcej do zawdzięczenia.

- Cóż, nie wydaje mi się, aby to, że sterczymy tu wszyscy w środku nocy, na cokolwiek się zdało, nie sądzicie? - spytała Anne przez łzy. Złożyła delikatny pocałunek na policzku Joanny i rzuciła cicho: - Obudź mnie, gdybym była potrzebna, kochanie.

- Mniemam, że na razie nie mamy nic do zrobienia, wasza miłość - oświadczył Bascombe. - Ale jak już mówiłem lady Carew, będę do państwa dyspozycji.

- Tak, naturalnie - mruknął z roztargnieniem Adrian.

Kiedy wszyscy oprócz niego i Joanny już poszli, Adrian opadł na masywny fotel, wyczerpany. Po chwili odezwał się, zamykając oczy:

- Rzeczywiście powinnaś położyć się na godzinę czy dwie, Jo. Jeśli nie umiesz odpocząć na kanapie, możesz zająć moje łóżko.

- Co za różnica, i tak nie zasnę - odparła. Przysunęła sobie krzesło i usiadła obok.

Przez dłuższy czas milczeli oboje, każde pogrążone we własnych myślach. Na łóżku głęboko, spokojnie spał Justin. Zegar tykał i tykał, w miarowym rytmie odmierzając nocne godziny. W końcu Adrian przerwał to milczenie, pytając z cicha:

- Dlaczego on tak bardzo kocha Gary'ego?

Drgnęła, zaskoczona tym niespodziewanym pytaniem, po czym zdawała się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Dlatego, że Gary właśnie jego kochał najbardziej - wyznała niemal niedosłyszalnie.

- Nie rozumiem.

- Urodził się niedługo po skandalu, Dree - tłumaczyła z westchnieniem - a jego podobieństwo do ciebie od samego początku było tak uderzające, że mógłby być

twoim sobowtórem. Najpierw z trudem znosiłam jego widok, ale na szczęście w Garym nie było tyle goryczy. - Przez dłuższą chwilę patrzyła na łóżko. - Może Bóg karze mnie za to, że go najpierw nie chciałam.

- Bzdura, Jo. Wręcz go psujesz.

- Teraz tak. Ale czasami zastanawiam się, czy Justin w jakiś dziwny sposób nie wiedział, że na początku Gary kochał go bardziej niż ja.

Adriana ogarnęło poczucie osamotnienia. Tak wiele zawdzięczał Garethowi Sherwoodowi, nigdy jednak nie będzie miał szansy mu odpłacić.

- A może myślał, że Justin jest jego? Zanim się urodził, chciałem powiedzieć. Miał powody, by tak myśleć? - spytała.

- Wiedział, że tak być nie mogło - odparła z roztargnieniem. - Nie, kochał Justina, bo kochał ciebie.

- I ciebie.

- Tak.

- Ale musiał chyba chcieć, żeby Robin po nim dziedziczył.

- Nie dbał o to. Żałował jedynie, że przez wasze podobieństwo nie może przywieźć Justina z powrotem do Anglii. „Sobowtór księcia” - tak go zwykle nazywał, kiedy byliśmy sami.

Adrian znowu zamilkł, na powrót dręczony poczuciem winy i wątpliwościami. Miał tak wiele pytań, jednakże na nowo przywrócony pokój między nim i Joanną był zbyt kruchy, by ryzykować jego utratę rozgrzebywaniem starych ran. Połączyła ich wzajemna życzliwość, życzliwość zrodzona ze wspólnego celu, i chciał, by stan ten trwał nawet za cenę spokoju jego ducha.

Zabrakło mu słów. Wstał i dotknął czoła Justina. Skóra chłopca nie wydawała się już tak rozpalona, ale Adrian bał się dowierzać swoim zmysłom. Tego bowiem, że chłopiec oddycha łatwiej, z mniejszym wysiłkiem, był już pewny.

-Jo...

Nie odpowiedziała, obejrzał się więc w jej stronę; siedziała z nieobecny wyrazem twarzy, jakby myślami znajdowała się gdzie indziej. Pomyślał, że musiała być równie zmęczona jak on sam: w ciągu tych pięciu dni w Armitage'u prawie wcale nie spała. Drgnął, widząc, że wyglądała na jeszcze szczuplejszą, jeszcze bardziej wycieńczoną niż kiedykolwiek dotąd, nawet w sądzie. Mimo to wciąż była niewiarygodnie piękna. Poza fizycznym wyczerpaniem odczuwał zmęczenie, tak wielkie zmęczenie walką z samym sobą, wypieraniem się własnych pragnień. Mimo swoich dwudziestu dziewięciu lat poczuł się strasznie stary. Podszedł do kanapy i wziął do ręki szal.

- Myślę sobie, że chociaż jedno z nas powinno się przespać - powiedział, kładąc się i wyciągając na całą długość. Stopy zwieszały mu się śmiesznie zza krawędzi mebla, a szal nie przykrywał go nawet w połowie.

- Mógłbyś po prostu pójść do łóżka.

- A ty mogłabyś mnie po prostu nie obudzić. A tak usłyszę, jeśli będę ci potrzebny.

- Justin jest chyba w lepszej formie, nie uważasz, Dree?

- Być może - odparł ostrożnie.

Przesiadła się na fotel i zaczęła przygotowywać do samotnego czuwania. Słyszała, jak Adrian próbuje ułożyć się na przykrótkiej kanapie, potem zorientowała się, że śpi. Właściwie nie chrapał, ale nie spał też bezgłośnie. Tykanie zegara, spotęgowane miarowym, ciężkim z wyczerpania oddechem, zdawało się głośniejsze.

Usiłowała o nim nie myśleć, zamiast tego koncentrując się na synu, ale zadaniu temu nie potrafiła sprostać. Jeżeli Justin przeżyje, w niemałej mierze będzie to zasługą Adriana. Nie szczędził sił, prawie nie spał, gotowy na każde jej wezwanie. Kiedy zastanawiała się nad tym, nie

mogła nie dziwić się nad przemianą, jaka się w nim dokonała.

Gdyby ktoś jej powiedział, że Adrian Delacourt całkowicie poświęci się pielęgnowaniu dziecka, jego syna czy nie, nigdy nie uwierzyłyby, że to możliwe. A jednak. Niegdyś zniszczył jej życie, a mimo to zaryzykował własne, by ocalić ich wspólne dziecko. Wbrew sobie pozwoliła myślom powrócić do wspomnień tak bolesnych, że przez całe swoje długie wygnanie trzymała je, jak pod kluczem, w jakimś ciemnym zakamarku umysłu.

Kiedy Helen oskarżyła ją po raz pierwszy, Gary powtarzał, że Adrian jest człowiekiem honoru, że będzie chciał poznać prawdę. Ona jednak była zbyt nieszczęśliwa, nazbyt załamana, by walczyć. Skoro Dree uwierzył, że mogła go zdradzić, nie miała mu nic do powiedzenia. Nie zamierza błagać o zaufanie, które się jej należy - powiedziała wtedy Gary'emu. Teraz jednak, trochę starsza i mądrzejsza, zastanawiała się, czy sprawy nie ułożyłyby się inaczej, czy można było oszczędzić Gary'emu lat na obczyźnie. Kochała go jak brata, a on zasługiwał na o wiele więcej. Najgorsze zaś, musiała przyznać, to fakt, że była największą miłością jego życia.

Dziś, kiedy od tamtych strasznych chwil dzieliło ją sześć lat, musiała zastanawiać się, co stałoby się, gdyby walkę podjęła. Czy Adrian uwierzyłby jej wtedy? Czy uwierzyłby teraz? Nie, ból, który jej zadał, był zbyt wielki i nic już tego zmienić nie mogło.

Jednakże z tego ciemnego zakamarka umysłu dobiegał także wątyły głosik, który nakazywał winić samą siebie. Czy nie pozwoliła zawładnąć sobą zranionej dumie? Czy, przez własne milczenie, nie ponosi bodaj części odpowiedzialności za to, co spotkało Adriana, Gary'ego i ją samą? Nie, słusznie postąpiła, nie reagując na zarzuty nawet jednym słowem. Gdyby Adrian ją kochał, nie uwierzyłby Helen.

Pochyliła się, żeby sprawdzić Justinowi temperaturę, i aż drgnęła. Poczowała pod palcami spocone czoło. Radość ogarnęła ją niczym fala. Chłopiec poruszył się sennie, następnie otworzył ciemne oczy bez śladu gorączki:

- Mama?

- Och, najdroższy! - wykrzyknęła, tuląc Justina do piersi.

- Mam sucho w buzi - poskarżył się stłumionym głosem.

Serce w niej szalało, gdy drżącymi rękami nalewała wody do filiżanki i pomagała mu usiąść.

- Pij powoli, kochanie - upomniała. Wypił do dna. Kiedy pozwoliła synowi opaść na poduszki, przyszło jej na myśl, że cuda rzeczywiście się zdarzają. - Niech cię przynajmniej przykryję, żebyś mi się nie przeziębził - powiedziała, opatulając go pieczołowicie.

- Mam? - Leżał na plecach, słabiutki, ale zupełnie przytomny. - A gdzie tata?

Zawahała się, nie chcąc jeszcze tej sprawy poruszać.

- Tatuś jest w niebie, Justinie - odparła w końcu.

- Ale był tutaj, kiedy go potrzebowałem. - To nie było pytanie, raczej stwierdzenie faktu.

- Tak, kochanie, był.

Zbyt słaby, by drążyć temat, zamknął oczy i powiedział:

- Cieszę się.

Usiadła na skraju łóżka i siedziała przez dłuższy czas, nieruchoma, trzymając go za rękę. Kiedy w końcu upewniła się, że spokojnie śpi, że gorączka nie wraca, wstała. W świetle wschodzącego słońca pokój nabrał dziwnej, różowej barwy. Potrząsnęła Adrianem.

Zbyt zmęczony, by dać się łatwo obudzić, przetoczył się na bok, usiłując przybrać wygodniejszą pozycję na wąskiej kanapie. Nie zamierzała jednak zachować radosnych wieści dla siebie. Potrząsała nim z uporem.

- Dree!



- Mhmmm...  
- Dree!!  
- C-co? - wymamrotał sennie, siadając.  
- Lepiej się czuje.  
- He?  
- Justin lepiej się czuje, Dree! Gorączka ustąpiła i napił się!

Powoli zaczynał rozumieć. Złapał ją za rękę.

- Jesteś pewna?

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się przez łzy.

- Będzie żył, wiem to. Nie ma gorączki, Dree. Już nie ma gorączki.

Ożywił się w jednej chwili. Odsunął ją i chwiejnie podszedł do łóżka, by dotknąć czoła syna.

- Udało się nam! Och, Boże, dziękuję ci, Dree - powiedziała z żarem, po czym dodała łamiącym się głosem: - Nie przeszłabym przez to sama.

- Jeszcze nie jest całkiem zdrow - powiedział miękko - ale kryzys już chyba minął. - Odwrócił się i wziął Joannę w ramiona, ściskając tak mocno, jakby była samym życiem. Wtulił twarz w jej pachnące włosy i rozkoszował się chwilą tryumfu, która miała jednak gorzki smak. Jest w niej beznadziejnie zakochany, uzmysłowił sobie. Nadal. Znów. A co w tym wszystkim było najgorsze, to fakt, że zaręczyła się z Johnnym Barrasfordem.

## 25

Gdzieś w głębi domu zegar wybił czwartą. Adrian leżał w pełni trzeźwy i myślał, w jaki potworny bałagan zmienił swoje życie. Chociaż nad wyraz cieszył się z ros-

nących szans syna na powrót do zdrowia, miał pełną świadomość, że on sam będzie zmuszony pogodzić się z faktem, że w życiu chłopca przyjdzie mu odgrywać drugorzędną rolę, raczej ojca chrzestnego niż ojca. A może nawet i to nie. Wiele zależeć będzie od Barrasforda, a lord Johnny nie po to przecież wywozi Joannę i chłopców do Irlandii, żeby mieć w Adrianie wiecznego gościa.

Joanna. Boże, jakież był z niego głupiec, rozmyślał gorzko. Nie raz, ale dwa razy stracił jedyną kobietę, jaką kiedykolwiek kochał i kochać będzie. Najpierw odebrał mu ją Gareth Sherwood, teraz - Johnny Barrasford. Duma i młodzieńcza arogancja popchnęły go do tego, co niewybaczalne, i będzie za swój błąd płacić przez resztę życia. Rozumiał, że musi stawić tej myśli czoło, pogodzić się z nią, ale wszystko w nim krzyczało.

„Odebrałeś mi wszystko” - powiedziała. Był kiedyś czas, gdy chciał zemsty, kiedy pragnął ukarać ją i Gary'ego, doprowadzić oboje do ruiny. Niemal cieszył się, że jakiś głupiec wymachiwał Gary'emu pistoletem przy twarzy, krzycząc, że karą za cudzołóstwo jest śmierć. Po prostu śmieszne - dobra połowa towarzystwa miała na sumieniu ten sam grzech. Większość plotek tyczyła właśnie tego, kto miał *affaire de l'amour* i z kim, kto spłodził najnowszego potomka jakiejś utytułowanej damy. Nie chciał wtedy, by inni mieli go za głupca, a jak na ironię losu, sam swojej głupoty dowiódł. On, nie Gary, był ojcem Justina.

Zdążył już stracić pewność, że w ogóle do romansu doszło. Naturalnie Gary wszystkiemu zaprzeczył, Joanna jednak nie odezwała się słowem. Nadal, gdy zamykał oczy, widział wyraz jej twarzy w chwili, gdy ją oskarżył, ale teraz to ona wydawała się oskarżać jego. Nie potrafił nawet winić Gary'ego za brak przekonania, z jakim jej bronił - Gary kochał Joannę od zawsze, a oskarżenia Adriana pchnęły ją prosto w jego ramiona.

Rację miał poeta, mówiąc: „Śmieszni są ci śmiertelnicy!”, rozmyślał Adrian ponuro. A on okazał się śmieszny po stokroć. Poruszył niebo i ziemię, by pozbyć się rzekomo zbłąkanej żony, teraz zrobiłby wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby ją odzyskać, ale sam przekreślił swoje szanse na szczęście.

Letnia noc była upalna, w pokoju panował zaduch. Mając serdecznie dość tych niewesołych myśli, zrzucił przykrycie i zerwał się na równe nogi. Włożył na siebie tyle sztuk garderoby, ile nakazywała przyzwoitość, by mógł pokazać się na dole. O niczym bardziej nie marzył jak o tym, by wyrwać się z tego pokoju. Gdziekolwiek spojrzął, wszędzie czaiło się dość wspomnień, by ciało jego przeszywała fizyczna wręcz tęsknota. Skoro ze spania nicy, równie dobrze może udać się do gabinetu i utopić tę tęsknotę w porządnej butelce wina. Od wypadku Justina nie miał do trunków głowy.

Panowała niezmacona, niemal niepokojąca cisza, gdy wymknął się z sypialni do ciemnego korytarza uzbrojony w lichtarz. Kiedy znalazł się przy schodach, płomień świecy zamigotał nagle, gdy owiął go delikatny podmuch wiatru wpadający przez otwarte okno. Boso, bezszelestnie ruszył na dół, potem przez wyłożoną marmurem podłogę westybuli i zaszył się w niewielkim pomieszczeniu, w którym znajdowała się część rodowego księgozbioru. Wolał je od urządzonej z przepychem głównej biblioteki Armitage'u i z czasem stało się jego prywatnym azylem. Niczego mu tu nie brakowało, miał nawet oddzielne wyjście na ogród. Od czterystu lat przodkowie Adriana kolekcjonowali bezcenne woluminy - zbyt cenne, by je czytać, spoczywały w zamykanych kufrach. Grzechem było trzymać je pod kluczem, Delacourtowie jednak robili tak od lat.

\*„Śmieszni są ci śmiertelnicy” - William Shakespeare, „Sen nocy letniej”, akt III, scena 2. Przeł. Stanisław Barańczak.

Zapalił świece na kandelabrze i z dużym kieliszkiem madery usiadł, by podumać nad portretem Richarda de la Court, który zapoczątkował ich linię. Orlonosy Richard patrzył z góry, wyniośle, przesywającymi czarnymi oczami. W pełnej zbroi, ze zwieńczonym piórami hełmem wciśniętym w zagięcie ręki, stary wojownik wyglądał groźnie. Adrian uniósł kieliszek w geście toastu, po czym opróżnił go jednym haustem.

- Dree, dlaczego nie śpisz? Jest środek nocy.

Podniósł wzrok. W otwartych drzwiach stała Joanna - zjawą w długiej, białej koszuli. W dłoni trzymała ogarek świeczki. Na ślicznej twarzy tańczyły refleksy światła.

- Mógłbym zapytać cię o to samo.

- Jestem zbyt szczęśliwa, żeby spać.

- Jak się czuje Justin?

- Znowu ma gorączkę - odparła, wchodząc - ale o wiele, wiele niższą. Doktor Bascombe ma nadzieję, że najgorsze już minęło.

- Cieszę się.

- Nie wiem, jak ci dziękować za to, co dla niego zrobiłeś - powiedziała cicho. - Ciągłe ci to powtarzam, ale taka jest prawda. Nie żyłby, gdyby nie ty.

- Nie chcę wdzięczności - oznajmił bez wyrazu. - To także mój syn. Inne nazwisko... Irlandia... nic nie może tego zmienić. Nawet jeżeli nie zobaczę go więcej, zawsze będzie moim dzieckiem. - Wziął duży łyk madery, zanim znowu spojrzał na nią. - Patrząc, jak walczy o życie, czułem się jak przy jego narodzinach. Żałuję, że nie było mnie przy nim od początku.

- Dree...

- Wiesz, gdybyś mi powiedziała...

- Co by to zmieniło? Zaczekałbyś z rozwodem, aż go urodzę? A gdyby był bardziej podobny do mnie, a nie do ciebie? - pytała ze znużeniem. - Nie chcę już rozmawiać na ten temat. Co się stało, to się nie odstanie.

- Owszem. - Wpatrywał się w nią z uwagą, po czym powiedział: - Ty też nie jesteś do końca bez winy. Pozwoliłaś mi wierzyć, że byliście z Garym kochankami.

- Nie, nic podobnego. To akurat sprawa twojej matki. Ty za to nie chciałaś wierzyć we mnie. Czy w Gary'ego, jeśli idzie o ścisłość. O nic nie pytałaś, sam to wiesz, oskarżałaś tylko. A zasługiwałam na coś więcej, Dree. - Zerknęła na pusty kieliszek w jego dłoni, następnie na butelkę. - Lepiej wrócę na górę. Zeszłam napić się ciepłego mleka, ale nie będę po nocy rozpałać pod kuchnią.

- Trzeba było obudzić pokojówkę.

- O tej porze? - uniosła brew. - Biedulka byłaby mi za to szczerze wdzięczna, nie sądzisz? Chociaż, z drugiej strony, człowiek o twojej pozycji nie kłopotczy się takimi błahostkami, prawda? - Zbliżyła się nieco i uśmiechnęła blade. - W domu moich rodziców pokojówki były regularnie odprawiane, żeby ojciec mógł wymigać się przed wypłacaniem im pensji. Jako „byle baron”, jak lubiła nazywać go twoja matka, nie miał wielkopańskich manier. Nauczyliśmy się nie wyręczać innymi.

- Pamiętam, że nigdy nie było go w domu. Nawet myślałem kiedyś, że jesteś sierotą - przypomniał sobie.

- Pewnie na jedno wychodzi. Wiecznie coś sprzedawał, potem jechał do Londynu w nadziei na to, że uda mu się zbić fortunę na zakładach w tej czy innej jaskini hazardu. Niestety, zawsze przegrywał.

- Wygrał dość, żeby zafundować ci londyński sezon.

- Nie, zrobiła to ciotka Ephingham. Raz nas odwiedziła, powiedziała, że powinien zrobić majątek na mnie, i przekonała go, żeby pozwolił jej zabrać mnie do Londynu. Nie pamiętasz sukni, w której wystąpiłam na debiucie, prawda?

- Biały muślin, pod spodem biała satynowa halka, spódnica wyszywana w malutkie różowe kwiaty. Do tego bukiet od jakiegoś wielbiciela.

- Zadziwiasz mnie - przyznała. - Tak czy inaczej, była to przerobiona suknia po Sophie, drugiej córce ciotki. Kwiaty kupiliśmy na straganie w St. James. Ale jako że nie słyszałam wcześniej o Madame Cecile, myślałam, że prezentuję się wspaniale.

- I tak było, Jo. Pamiętam każdą minutę tamtej nocy. Cztery razy prosiłem cię do tańca, prawda?

- O zgrozo, tak. I przypawiłeś ciotkę o palpacje. Gdy poszliśmy do ogrodu zaczerpnąć powietrza, przekonała wszystkich, że zamierzasz mi się oświadczyć.

- O ile pamiętam, tak właśnie zrobiłem.

- Tak. Nigdy w życiu nie czułam się równie oszołomiona - wyznała. - Chodziłam z głową w chmurach przez długie tygodnie.

- Tak jak i ja.

- No, cóż... - Nakazała sobie spokój. - To działo się bardzo dawno temu. Sama nie wiem, po co znowu o tym mówię.

- Wspomnienia. Mamy niejedno. Żyliśmy razem przez rok i pamiętam...

- Teraz to nie ma już znaczenia, prawda? - przerwała mu pospiesznie. - Od tamtej nocy każde z nas żyło swoim życiem, a most między nimi już spalony. Po prostu rozkleiłam się trochę. To dlatego, że Justin lepiej się czuje. - Wciągnęła powietrze głęboko do płuc i wypuściła je powoli. - Tak, hm, lepiej już wróć na górę - powtórzyła.

- Nie idź, Jo. Mieliśmy zostać przyjaciółmi, dopóki to się nie skończy - przypomniał.

- To raczej zawieszenie broni, Dree - powiedziała, nie ruszyła się jednak. - Musimy myśleć o Justinie.

- Poczekaj, naleję ci trochę wina. Będzie ci łatwiej zasnąć - zaproponował. Następnie uniósł butelkę i oświadczył: - Najlepszy trunek pod słońcem. - Podniósł się z fotela i podszedł do elżbietańskiego kredensu po drugi kieliszek. Wracając, otworzył przeszkłone drzwi do ogrodu, wpuszczając

ciepłe powietrze, które napełniło pomieszczenie zapachem kwiatów. - Pomyślałem sobie, że jest dość duszno - wyjął, napełniając kielich. - No, spróbuj.

- Całkiem niezłe. - Z uznaniem kiwnęła głową, wzięwszy łyk rubinowego płynu. Rozkoszowała się jego smakiem, robiąc kolejny głęboki wdech. - Piękna noc, prawda? Teraz, kiedy Justin czuje się o wiele lepiej, nawet nie czuję się zmęczona.

- Trochę za ciepłe jak na mój gust. Ale dziś kocham świat i nie będę narzekał. - Zerkając znad krawędzi swojego kieliszka, wyznał nagle: - Naprawdę nie wiedziałbym, jak cię pocieszać, gdyby nie przeżył. I tak straciłaś w życiu aż nazbyt wiele.

- Wolałabym teraz o tym nie myśleć.

- Wiesz, pamiętam, jak zobaczyliśmy cię z Garym po raz pierwszy. Twoja guwernantka dyskretnie rozglądała się na wszystkie strony w obawie, że ktoś ją nakryje, a ty, uszczęśliwiona, brodziłaś w wodzie z sukienką podciągniętą nad kolana. Od razu pomyśleliśmy sobie, że z ciebie bezwstydną mały urwipołec.

- A z ciebie dyktator, o ile pamiętam - odparowała. - W każdej naszej zabawie musiałeś być przywódcą, a przecież byliście z Garym w tym samym wieku.

- Ale zawsze byłem większy.

- To było wspaniałe miejsce dla dzieci, nie sądzisz? - spytała niespodziewanie. - Tak dobrze się wtedy bawiliśmy, przynajmniej ja. O tylu rzeczach nie pamiętałam już, dopóki nie pokazałam Justinowi miejsca naszych zabaw. Właśnie wtedy się zgubił, wiesz. - Usta nagle wykrzywiły się jej w kwaśnym uśmiechu. - Gotowałeś się ze złości.

- Mało powiedziane. Byłem wściekły. Kiedy usłyszałem Justina, zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy nie przejechać bokiem. Ale później, kiedy go już zobaczyłem... mój Boże, Jo, brak mi słów, żeby opisać moje myśli. - Widząc, że wysączyła już prawie pół kieliszka,

pochylił się i napełnił go ponownie. - To był dla mnie szok.

- Tak, zapewne. - Spoglądając na portret, raptownie zmieniła temat: - Nie sposób nie zastanawiać się, jaki był, prawda?

Czując przyjemny szum w głowie, Adrian rozparł się wygodnie w fotelu, żeby lepiej przyjrzeć się malowidłu.

- Podejrzewam, że miał na rękach krew wielu ludzi. W tamtych czasach król nagradzał za zasługi na polu bitwy. A on - Adrian kiwnął w kierunku obrazu - zaczynał tę swoją błyskotliwą jak na owe czasy karierę wojenną praktycznie bez ziemi. Sądzę więc, że nie znał litości. Nie wiem dokładnie, czym się zasłużył, ale zdobył dzięki temu kobietę, która wniosła w posagu część ziem, które dziś należą do nas.

- Może był trochę jak William zwany Marszałkiem, który honor cenił sobie ponad życie.

- Chłuba angielskiego rycerstwa? - Ponownie zmierzył Richarda de la Court wzrokiem i potrząsnął głową. - Nie, myślę, że trafniej opisuje go słowo „bezlitosny”. Spójrz tylko na te oczy.

- Prawdę mówiąc, są dość podobne do twoich.

- Sama widzisz.

Sącząc mocne wino, popadli na pewien czas w pełne zadumy milczenie, każde zatopione we własnych myślach. W półmroku studiował rysy Joanny, rozmyślając nad tym, jaka jest piękna, że nie widział kobiety, która mogłaby się z nią równać. Włosy miała rozpuszczone, wietrzyk igrał delikatnymi, płowymi pasemkami, muskając nimi jej twarz. Opuścił wzrok na misterną koronkę, którą wykończony był dekolt jej koszuli, potem jeszcze niżej; górne guziki były rozpięte, odsłaniając jasną skórę na wysokości rowka między piersiami. Nagła fala pożądania rozlała się po nim, sprawiając, że zaschło mu w ustach, a serce zaczęło tłuc jak oszalałe. Siłą oderwał



od niej oczy, podniósł się ciężko i podszedł do otwartych drzwi: setki gwiazd znaczyły czarne jak atrament niebo.

Czuła napięcie, które narastało między nimi, i wiedziała, że powinna wyjść. Zamiast posłuchać intuicji, odsta-  
wiła kieliszek i podeszła do Adriana.

- Niewiarygodnie piękna noc jak na Anglię, prawda? -  
zauważyła miękko. - Prawie taka, jak na Capri.

- Myślałem o twoim debiucie.

Zrobił głęboki wdech, po czym powoli wypuścił po-  
wietrze z płuc. Czuł na nogach muśnięcia wzdymającej  
się na wietrze koszuli. Zamknął oczy, starając się zapa-  
nować nad żądzą. Jednakże nawet wiatr wydawał się  
szepsem przypominać mu, jak cudownie było kochać się  
z nią. Cały płonął, wspominając jej dotyk.

Spojrzała na niego - wiatr mierzwił jego gęste włosy  
i uderzyło ją, jaki jest przystojny. Miał profil greckiego  
boga i godne jego ciało. Gdy wpatrywała się w niego,  
otworzył oczy.

- Pamiętam wszystko, Jo - powiedział ochryple. -  
A ty? Pamiętasz, co czułaś, kiedy kochałem się z tobą?

Teraz to ona musiała zamknąć oczy, by ukryć przed  
nim ich wyraz.

- Tak - wyszeptała. - Jakże mogłabym zapomnieć?

- Boże, Jo, chcę poczuć to znowu. Pragnę tego ponad  
wszystko.

Słyszała, jak zbliżał się do niej. Gorące ciało parzyło  
jej skórę, pragnęła poznać je na nowo, każdy jego cal. Ale  
słaby głos rozsądku mówił, że tak nie wolno.

- Nie mogę, Dree! - krzyknęła, wyrwijąc się z jego  
ramion. Cofając się, wyszeptała: - Nie rób mi tego, pro-  
szę - odwróciła się, wybiegła do ogrodu i skrzyżowała rę-  
ce na piersi. Zdawało się, że z jej pobladłej twarzy pozo-  
stało tylko dwoje ogromnych oczu.

Dogonił ją i chwycił za łokcie.

- Ja tobie?! Nie, to ty nie rób tego mnie - rzucił, pod-

nosząc głos. - To ty zesłaś na dół w samej koszuli - przypomniawszy. - To ty wskrzesiłaś wspomnienia, Jo.

- Ale ja nie mogę...

Słowa uwięzły jej w gardle, zdławione brutalnym pocałunkiem, uściskiem, który zdawał się miażdżyć. Zapomniała o całym świecie, zapamiętała w doznaniach. Posłuszna namiętności, zwarła się z nim bez tchu. Gorące wargi parzyły jej usta. Dłonie chciwie błędziły po ciele, znacząc ognisty szlak.

Fala od dawna powstrzymany pożądanego zmyła resztki oporu. Pocałunkiem odpowiadała na pocałunek, dotykiem na dotyk. Chciała tego wszystkiego, co on pragnął jej dać. Oderwał się od jej ust. Powędrował wargami ku uchu, potem w dół szyi. Czując jego pełne ognia pocałunki, chciała zaprotestować, ale zdławiony okrzyk przerodził się w jęk rozkoszy.

- Pozwól mi cię kochać - szepnął zdławionym głosem, kładąc ją na miękkie łożo z mchu.

Ciasno z nim spleciona, pomyślała: „To błąd”. Ta myśl znikła jednak równie nagle, jak się pojawiła. W ułamku sekundy świat zawęził się do tego jedyne go mężczyzny. Wparła dłonie w jego ramiona. Przyciągnęła do siebie, prosząc o jeszcze. Jego dłoń wsunęła się pod cienką koszulę, unosząc jej skraj, obnażając nagą skórę. Wiła się z rozkoszy, czekając na więcej.

Miotła się pod nim bezwstydnie, a on napierał na nią raz za razem. Paznokciami orała osłonięte koszulą plecy, prężąc się, podając mu ciało. On, wsłuchany w siebie, posłuszny pierwotnemu rytmowi, nie słyszał coraz głośniejszych jęków, wreszcie przesywającego krzyku rozkoszy. Ogarnięty ekstazą, opadł na nią ciężko, szmatycznie łapiąc oddech. Było zupełnie tak, jakby wszystko wróciło na swoje miejsce. Zaspokojony, odgarnął jej mokre od potu włosy ze skroni.

- Boże, jak ja za tobą tęskniłem - szepnął jej do ucha.

Leżała pod nim, milcząca, z zamkniętymi oczami, wsłuchana w bicie jego serca, urywany oddech. Powoli wracała na ziemię. Zapach wilgotnego, jakby lekko spleśniałego mchu mieszał się w powietrzu z zapachem tysięcy kwiatów. Gdy ochłonęła nieco, uświadomiła sobie, co się właśnie stało.

Wyczuwając w niej jakąś zmianę, Adrian przetoczył się na plecy i wpatrzył w rozgwieżdżone niebo. Milczenie Joanny sprawiało mu ból.

- Żałujesz, tak? - spytał w końcu.

Pospiesznie obciągnęła koszulę i usiadła plecami do niego.

- Pewnie myślisz, że zachowałam się jak dziwka. Wesoła wdówka, której nigdy dość - powiedziała głucho. - Ale przecież właśnie za taką kobietę mnie uważasz.

- Byłaś moją żoną, Jo.

- Dawno temu, Dree. - Złapała się niskiej gałęzi i podniosła z ziemi, po czym stała chwilę, pocierając ramiona, jakby było jej zimno. - Lepiej już wróć.

- Byłaś śmiertelnie zmęczona, to przez tę maderę - tłumaczył, pełen rozpaczy, z pustką w sercu.

- Nie. - Czując na udach wilgoć, odwróciła się od niego. - Wino jest wymówką ludzi słabych. Nie może popchnąć do czegoś, czego zrobić się nie chciało - odparła żałośnie. Wygładziła pomiętą koszulę, starając się odzyskać choć pozory godności. Ruszyła w stronę domu. - A ja, głupia, sądziłam, że możemy zostać przyjaciółmi, Dree - odezwała się w drzwiach, teraz już bezpieczna, odwracając się w jego stronę.

-Jo...

- Proszę, nie rób z tego wielkiej sprawy. To była czysta żądza, nic ponadto. - Nie zdążył odpowiedzieć, nim uciekła na górę.

Zanim Adrian zszedł na dół na śniadanie, zatrzymał się, żeby sprawdzić, co u Justina. Kiedy wchodził do pokoju, Anne spojrzała na niego i uśmiechnęła się promiennie.

- Doktor Bascombe był tu przed chwilą, powiedział Joannie, że nie ma wątpliwości co do tego, że kryzys już minął. Mniemam, że trochę to potrwa, zanim Justin odzyska siły, ale jestem tak szczęśliwa, że nie wiem, czy się śmiać, czy płakać.

Z ulgą zerknął na śpiącego chłopca, po czym spytał zniechęcony:

- A gdzie Jo?

- Na dworze, jak sądzę. Wydaje się zdenerwowana, ale to zapewne reakcja na chorobę syna. Nie ma chyba innych powodów...

- Nie wiem. Ja już w ogóle nic nie wiem.

- Niemożliwe, żebyście oboje wstali w takim podłym nastroju - oznajmiła hrabina przebiegle, mierząc go wzrokiem. - Stoczyliśmy zwycięską bitwę, a wy dwoje chodzicie z nosami spuszczone na kwintę.

- Sam nie wiem, co mi jest, może... za mało spałem - skłamał.

- Tak, cóż, przynajmniej nie musisz kłopotać się o Barrasforda przez kilka dni. Pojechał do domu, żeby się spakować. Jutro wyjeżdża do jakiejś miejsciny, bodajże Baxter Greys.

- Ach, tak?

- Chyba zmarł jego ojciec chrzestny. Wydaje się, że

wiadomość ta zasmuciła także pannę Finchley - zauważyła na pozór obojętnie. - Jak rozumiem, cała jej rodzina dość dobrze go znała, i jeśli się nie mylę, jej siostra wyszła za kuzyna ojca chrzestnego Barrasforda. Jaki ten świat mały, nieprawdaż? - Nie przejęta brakiem odpowiedzi, kontynuowała pogodnie: - Uważam, że byłoby dobrze, gdyby biedaczka pojechała na pogrzeb, nie zgodzisz się ze mną? Tak bardzo tęskni za domem rodzinnym, a obie jej siostry nadal mieszkają w okolicy.

- Musiałyby zabrać ze sobą pokojówkę. Podejrzewam, że moglibyśmy obejść się bez Bess przez kilka dni.

- Jeśli Joanna nie będzie miała nic przeciwko temu, pošlę po suknię odpowiednią na pogrzeb i kilka ubrań do podróży. Jestem przekonana, że nie odmówi tego panie Finchley.

Przez dłuższy czas przyglądał się hrabinie z chytrą miną.

- Rzeczywiście zależy ci, pani, by panna Finchley pojechała, prawda?

- To nie tak, uważam po prostu, że jesteśmy jej to winni - odparła z wieloznacznym uśmiechem. - Było nie było, okazała tyle życzliwości Robinowi i bardzo nam pomogła, opiekując się nim w tak trudnych dla nas chwilach. Doprawdy nie wiem, jak poradziłibyśmy sobie bez niej. Gdyby nie ona, Barrasford i jego żołnierzyki, Robin zanudziłyby się na śmierć. I jestem szczerze przekonana, że skoro Justin ma się coraz lepiej, sama świetnie poradzę sobie z młodszym wnukiem.

- A co sądzi o tym Jo?

- Jeszcze nie poruszyłam tej kwestii, nie pytałam też Barrasforda, czy zabierze ze sobą dziewczynę, ale zamierzam zrobić jedno i drugie. Po prostu byłam ciekawa, jak ty zapatrujesz się na ten pomysł?

- Panna Finchley pracuje dla Joanny, nie dla mnie.

- Widzę, że musieliście się pokłócić - powiedziała pogodnie.

- Lady Anne...
- Cóż, pewnie jedna wścibska matka to dość jak na jednego człowieka, nieprawdaż?
- Owszem.
- Nic dziś nie jadła, nawet nie napiła się czekolady.
- Panna Finchley czy Jo?
- Joanna. Powiedziała, że nie ma zbytnej chęci na śniadanie.

Podszedł do łóżka, żeby popatrzeć na Justina. Dotknął jego czoła - było ciepłe.

- Wciąż ma gorączkę - powiedział, marszcząc brwi.
- Jak sobie zapewne przypominasz, Bascombe uprzedzał, że to może się zdarzyć. - Anne podeszła do Adriana i mruknęła zza jego pleców: - Wielce mnie zaskoczyłeś, Roxbury. Przyznam, nigdy nie przypuszczałam, że go tak pokochasz. Sądziłam, że to próżność kazała ci posłać do Joanny pana Thorpe'a.

- Może ma pani rację. Ale teraz tego żałuję. Żałuję wszystkiego.

- Tak, zapewne.
- Gary kochał go, prawda? - spytał niewyraźnie. - Wiesz, pani, najpierw jakaś częśćka mnie w to nie wierzyła. Ale teraz wierzę i cieszę się. Naprawdę niełatwo jest dorastać ze świadomością, że jest się złem koniecznym, a nie owocem miłości - wyznał. - Wątpię, czy w ciągu dwudziestu czterech lat zamieniłem z ojcem choć tysiąc słów.

- Justin był pierworodnym Garetha. Mój syn rozpieszczał go od chwili, w której po raz pierwszy wziął go na ręce.

Zapadło niezręczne milczenie, które przerwał Adrian, mówiąc szorstko:

- Jeśli pani życzy sobie, by panna Finchley wyjechała, pomogę zajmować się drugim chłopcem.

- Ten „drugi chłopiec”, jak go nazywasz, ma na imię Robin, a właściwie Robert, i myślę, że uznasz go za roz-

brającego berbecia, kiedy lepiej go poznasz. Obawiam się, niestety, że kiedy już będzie w Irlandii, nie będziesz miał tej możliwości.

Kolejne przypomnienie o planowanym ślubie Joanny z Johnnym.

- Nie sędzę, żebym mógł coś na to poradzić - odparł ze znużeniem. - Nie będę ich przecież więził.

- Oczywiście, że nie. Ale chcę dla moich wnuków tego, co dla nich najlepsze, Adrianie, dla nich obu. I dla Joanny, rzecz jasna. A przy okazji bądź łaskaw dopilnować, żeby Joanna coś zjadła - dodała hrabina, kładąc dłoń na kłamce. - O nią też bardzo się martwię. Było nie było, jest dla mnie jak córka. Owdowiałam, mając dwadzieścia trzy lata. Gdyby nie to, miałabym dom pełen dzieci.

- Powinnaś była, pani, ponownie wyjść za męża.

- Niestety, miłość zapukała do mych drzwi tylko raz i obawiam się, że z Joanną jest tak samo, tylko nie chce się do tego przyznać. I nie przyzna się, naturalnie. Na swój sposób jest równie uparta jak ty.

- Proszę poczekać... - Gdy na poły odwróciła się w jego stronę, dokończył: - Jeśli chce pani odesłać pannę Finchley do krewnych w wielkim stylu, niech pani dopilnuje, żeby coś zrobiła z włosami. Niech Bess je obetnie.

- Powiem jej. A skoro sama właściwie nie jest w żałobie, myślę, że zielone fatałaszki nadałyby się do podróży. Wiesz, kiedy ma się orzechowe oczy, zieleń jest wielce twarzowa. Ale tracimy tylko czas, gawędząc o pannie Finchley. Na twoim miejscu zajęłabym się Joanną.

Znalazł ją w ogrodzie. Siedziała na kamiennej ławce niecałe kilkanaście stóp od miejsca, w którym mech posłużył im za łożę, z udręką na twarzy. Jeżeli nawet słyszała, jak zamykał bramę, nie dała nic po sobie poznać. Zatrzymał się, przez dłuższy czas podziwiając jej profil.

- Co powiesz Barrasfordowi? - spytał w końcu.

- Nie wiem. Jak powiedzieć komuś, że tak bardzo po-

mylił się w ocenie innego człowieka? - odparowała z rozpaczą. - Że jestem dziwką, za którą uważają mnie ludzie?

-Jo...

- Nie, nie zbliżaj się do mnie. Mało mi głowa nie pęknie.

- Nie musisz mu niczego mówić. Nie spodziewa się przecież, że będziesz dziewicą.

- Proszę, przestań.

- W towarzystwie pełno jest kobiet, które przechodzą z rąk do rąk, a żadna z nich nie ponosi tego konsekwencji.

- W twoich ustach te słowa brzmią zabawnie, Dree.

- Nie musi wiedzieć. Nie jesteście nawet po ślubie, nie może więc oskarżać cię o zdradę. - Usiadł obok niej i wsparł łokciami o kolana. - Nie powinienem był dawać ci madery. To ja jestem wszystkiemu winny, nie ty.

- Do wczoraj po Garym nie było nikogo - powiedziała głucho.

Odczuwał jej ból niemal jak swój własny.

- Nie kochasz go chyba? To znaczy, Barrasforda. - Nie odpowiedziała od razu, a on drażył dalej: -Jeżeli powiesz, że kochasz, będę życzył ci szczęścia i na tym koniec.

-Jest niewiarygodnie uprzejmy. Zupełnie jak Gary, chciał wesprzeć mnie, kiedy wszyscy inni odwrócili się plecami.

- To ci wystarcza? - spytał szorstko.

- Musi. Nie mogę się wycofać, po prostu nie mogę.

- Rozumiem. - Dostał wreszcie odpowiedź, wcale jednak go nie zachwyciła. - Twoja teściowa mówi, że jeszcze nie jadłaś śniadania, ja zresztą też.

- Nie jestem głodna.

- No chodź, wrócimy coś przekąsić. Po prostu za dużo wczoraj wypiliśmy i tyle. Gdyby nie wino, do niczego by nie doszło.

- Chciałabym w to wierzyć, Dree. Byłoby mi o wiele łatwiej stanąć twarzą w twarz z Johnnym, gdybym mogła winić nie tylko siebie samą.



Westchnął przeciągle.

- Wiń mnie.

- Nie.

- Nie wiem, czy to się na coś zda, ale chciałem powiedzieć, że nigdy więcej nie wykorzystam sytuacji. - Wstał i podał Joannie rękę. - Pamiętam, co mówiłaś wczoraj w nocy, Jo, ale proszę cię, żebyśmy zostali w przyjaźni. Chociaż do chwili, kiedy Justin dojdzie do siebie na tyle, żeby móc opuścić Armitage. No chodź, są ważniejsze sprawy niż użalanie się nad sobą. Jest Justin, który ma przed sobą długą drogę do wyzdrowienia.

## 27

- Och, proszę pani, nigdy bym nie mogła! - protestowała Charlotte Finchley. - To znaczy, dzieci...

- Tym proszę się nie martwić - zapewniła ją Anne. - Dwa czy trzy dni mogę spokojnie zajmować się wnuczkami.

- Tak, ale... - Młoda kobieta odetchnęła głęboko, zanim wyznała w końcu: - Nie chcę wracać do domu jako uboga krewna, milady. I nie mogę uwierzyć, że lord Bararsford chętnie weźmie na siebie dodatkowy kłopot w mojej osobie.

- Nie ma nic przeciwko temu - zbyła jej zastrzeżenia Anne. - Przeciwnie, kiedy go spytałam, oświadczył, że zabranie ciebie i Bess nie sprawi mu najmniejszego kłopotu, skoro i tak sam się tam wybiera.

- Ale...

- I nie musisz się zamartwiać, że będziesz wyglądała jak uboga krewna, moja droga, jako że Joanna ma sukni

aż w nadmiarze. Bess kilka wyjęła i czekają teraz na przymiarę.

- Ale dlaczego...?

- Cóż, dlatego choćby, że twoje przywiązanie do Justina i Robina nie pozostało nie zauważone i muszę powiedzieć, że jesteśmy ci szczerze wdzięczni. Jestem przekonana, że bez ciebie nie dalibyśmy sobie rady - kontynuowała, gestem przyzywając pokojówkę. - Bess - oznajmiła - pomożesz panie Finchley wybrać stosowny strój na wyjazd do Baxter Greys. - Patrząc zaś na Charlotte, dodała: - Może i na miejscu obowiązywać cię będzie żałoba, w podróży jednak spokojnie możesz nosić coś barwniejszego. Tak sobie myślę, że może coś w zieleni. Bess, zielona suknia podróżna lady Carew, jeśli łaśka. Wiesz która, ta z czarnymi guzami. I ten zabójczy kapelusik do kompletu. Ale, rzecz jasna, trzeba będzie skrócić te loki, żeby nie sterczał na nich jak na stogu siana, zresztą krótkie włosy są teraz niesłychanie modne. Podetniemy tak, żeby okalały twarz, nie sądzisz?

- Tak, psze pani - sapnęła Bess.

- Ale ja nie... milady, cóż pomyśli sobie lord Barrasford? - spytała z niepokojem Charlotte. - Za skarby świata nie chciałabym, aby przypuszczał, iż zastawiam na niego sidła. Z pewnością będzie wiedział, że mnie na takie luksusy nie stać.

- Jeśli chcesz, dam mu do zrozumienia, że pragniemy, byś odwiedziła rodzinę w stylu odpowiednim do twojego urodzenia, nie sytuacji życiowej. Doprawdy nie wiem, jak poradziłibyśmy sobie bez ciebie.

- Za żadne skarby nie chciałabym, żeby zrozumiał to opacznie.

- Twoje skrupuły, choć godne podziwu, są całkowicie nieuzasadnione w tym wypadku - zapewniła jeszcze raz Anne. - W odróżnieniu od lorda Rivingtona, lord Barrasford jest dżentelmenem w każdym calu.

- To pani wie o lordzie Rivington? - spytała Charlotte ze zgrozą.

- Cóż, czytałam referencje od lady Rivington i dośpie-  
wałam sobie resztę. Musiał być pewien problem, och, nie  
z tobą, moja droga. Powiedzmy, że Joanna i ja poznały-  
śmy pobieżnie milorda, wystarczająco jednak dobrze, by  
wiedzieć, jak niezręcznie musiałaś się czuć, mieszkając  
w jego domu.

- Miła pani, nie mogłam zrobić kroku, żeby się na nie-  
go nie natknąć. Sytuacja była wręcz żenująca, proszę mi  
wierzyć. Wcześniej jeszcze zatrudniłam się u lady Milto-  
wer, której mąż nastęczał niemal tyle samo problemów,  
co lord Rivington. Nie może pani wiedzieć, co to za radość  
uczyć w domu, w którym nie ma nikogo, kto wiecznie pró-  
bowałby podszczypywać czy wręcz obłąpiać. Zaczęłam już  
tracić nadzieję, że kiedyś znajdę taką posadę.

- To przekleństwo osób urodziwych i zdanych zarazem  
na łaskę pracodawcy - mruknęła Anne ze współczuciem.

- Cóż, mam tylko nadzieję, że zostanę poproszona  
o towarzyszenie chłopcom do Irlandii - wyznała Char-  
lotte. - Tak bardzo ich lubię.

- Mam szczerą nadzieję, że do Irlandii pojedziesz, mo-  
ja droga. Teraz jednak o wiele bardziej istotne jest, żebyś  
była gotowa, kiedy przyjedzie po ciebie lord Barrasford.  
Nie powinno się kazać mężczyźnie czekać, nawet jeśli  
jest dżentelmenem.

- Och, naturalnie. Milady, nigdy nie zdołam odpłacić  
się pani i lady Carew za waszą życzliwość.

- Ależ już nam odpłaciłaś. A teraz, Bess, gdzie ta zie-  
lona suknia? Może jeszcze ta z granatowego diagonalu.  
Szary muślin będzie nadawał się na pogrzeb, jak sądzę,  
a brąz na podróż powrotną. Jeszcze suknia dzienna.  
Myślę, że ta brzoskwiniowa w drobne pączki będzie  
w sam raz.

- Bedzie sie panienka przebierać do kolacji? - spytała Bess.

- Moje siostry żyją dość skromnie - odpowiedziała Charlotte.

- Tak, ale na wypadek, gdyby gdzieś cię zaproszono, weź tę kreację z zielonej gazy - zaproponowała Anne.

- Ależ będę potrzebowała całego kufra, żeby to spakować.

- Trzeba zawsze starać się wyglądać jak najlepiej, moja droga.

- Ale wszyscy domyśla się, że nie stać mnie na...

- Ciiiicho. Niech sobie pomyślą, że weszłaś w posiadanie niewielkiego majątku.

- Drzę na myśl, co jeszcze.

- To nie są stroje ladacznicy, jeśli tego się obawiasz. Przeciwnie, są dość skromne jak na obecną modę. Nie, uciesz serce starej kobiety, moje dziecko, a sądzę, że będziesz z efektu wielce zadowolona.

- Mam nadzieję, szczerą nadzieję - odparła Charlotte. - Za nic nie chciałabym wyrzucić na lordzie Barrasfordzie złego wrażenia.

- Cóż, zostawię was z Bess, żebyś mogła się przyszykować. Wnoszę, że lord Barrasford zamierza wyjechać zaraz po posiłku, żeby dotrzeć do Harby przed nocą. Zapomniałam, z czego Harby słynie, ale na pewno sobie później przypomnę.

- Mówią, że tana urodziła się lady Marion - powiedziała Charlotte z uśmiechem.

- Tak? To bardzo ciekawe. - Anne podniosła się ze stojącego przy oknie fotela i majestatycznie podryfowała ku drzwiom, gdzie zatrzymała się i obejrzała za siebie. - Moja droga, mam nadzieję, iż wiesz, że zasłużyłaś sobie na to przywiązaniem do moich wnuków. Wolałabym tylko, żeby okoliczności twoich odwiedzin w domu były szczęśliwsze. Dobrze choć, że przybędziesz w wielkim stylu. Ponadto zobaczysz się z siostrami.

- Dziękuję pani.

- Nie, to ja pragnę podziękować tobie, moja droga. Och, byłabym zapomniała! Ponieważ jestem przekonana, że lord Barrasford jest zbyt szarmancki, by pozwolić ci samej opłacić swój przejazd, pozwoliłam sobie dać mu trzydzieści funtów na twoje wydatki.

- Trzydzieści funtów!

- Gdyby ta suma nie wystarczyła, mam nadzieję, że powiadomisz mnie o tym fakcie po swoim powrocie.

- Milady, brak mi słów... to znaczy....

- Nonsens. Postaraj się tylko czerpać z tego wyjazdu tyle radości, ile to możliwe, moja droga. Jestem pewna, że wzbudzisz powszechną zazdrość.

Charlotte nie miała co do tego wątpliwości - w końcu przybędzie w towarzystwie zabójczo przystojnego lorda. Gorzki to jednak będzie tryumf, pomyślała, jako że mężczyzna taki jak Barrasford, nawet gdyby nie miał zobowiązań wobec innej, przenigdy nie zainteresowałby się zwykłą guwernantką. A i tak nie mogłaby mu na to pozwolić, był bowiem zaręczony z jej pracodawczynią. Nawet gdyby odziedziczyła fortunę, nie mogłaby rywalizować o uczucie mężczyzny z taką piękną jak Joanna.

Powóz z turkotem przemierzał wąską, pożłobioną koleinami drogę, rzucając trojgiem pasażerów, znoszących niewygody jazdy w milczeniu. Johnny spojrzał na siedzącą vis-a-vis stronie kobiety.

- Będzie równiej, kiedy wjedziemy na główną drogę - pocieszył.

- Och, mnie to nie przeszkadza - zapewniła pospiesznie Charlotte. - Naprawdę cieszę się, że mogę odwiedzić rodzinę.

- Pozwolę sobie powiedzieć, że pięknie pani wygląda.

- Przepraszam?

- Do twarzy pani w tym kapeluszu.

- Och, cóż, dziękuję, milordzie - odpowiedziała z nieśmiałym uśmiechem.

- Powinna pani częściej się uśmiechać.  
- Wezmę te słowa pod uwagę.  
- Nie, nie, poważnie, dopiero teraz zauważyłem ten dołeczek.

- Obawiam się, że zawsze go miałam.

Ta niezręczna próba nawiązania rozmowy nie przyniosła skutków i znowu zapanowała cisza. Przez dłuższy czas Johnny wyglądał przez okno, podziwiając łagodne wzniesienia, rozmyślając, jak diabelnie niestosowny moment musiał wybrać na to, by zostawić Joannę samą w Armitage'u.

- Zapewne nie słyszała pani, ile jeszcze potrwa, zanim będzie można przewieźć chłopca gdzie indziej? - spytał w końcu.

- Przep... och, chodzi panu o Justina?

- Tak.

- Niestety nie, ale sądzę, że jeszcze kilka tygodni. To przez te łubki. Wydaje mi się, że doktor życzył sobie, żeby chłopiec nauczył się w nich chodzić, zanim będzie można pozwolić mu na podróżę.

- Ach, tak.

- Dobrze chociaż, że lepiej się czuje.

- Tak. Po prostu wolałbym, żeby wrócił do Haven. - Westchnął i wyznał otwarcie: - Dopóki czuje się swojsko w Armitage'u, na pewno mnie nie polubi. Nie mam zbyt wielu szans, kiedy Roxbury wisi mi nad głową.

- Cóż, po powrocie do domu to się z pewnością zmieni, milordzie. Zresztą, jakże mógłby pana nie polubić? To znaczy, uważam, że jest pan o wiele bardziej przystępny niż książę i chłopcy z pewnością się do pana przekonają. Prawdę rzekłszy, myślę, że Roxbury jest nazbyt...

- Nazbyt jaki? - spytał żywo Johnny.

- Cóż, chciałam powiedzieć wyniosły, ale to nie najtrafniejsze określenie, jak sądzę.

- Arogancki? - odpowiedział.

- Arogancki? Nie, właściwie nie.

- Antypatyczny?

- Nie, przeciwnie, był uosobieniem uprzejmości, ale... hm... nie wiem, jak to określić. Nazwałabym to raczej pewnością siebie, która bierze się stąd, że zawsze dostaje to, czego chce. Podejrzewam, że to dlatego, iż jest księciem, nie zgodzi się pan ze mną?

- Jako że sam księciem nie jestem - odparł z uśmiechem - trudno mi się w tej materii wypowiadać, panno Finchley.

- Och, nie to miałam na myśli... to znaczy, zapewniam pana, że nie chciałam zasugerować... - Rumieniąc się, wykrztusiła niezręcznie: - Lordzie Barrasford, bynajmniej nie miałam takich intencji. Przeciwnie, lubię pana o wiele bardziej niż Roxbury'ego. - Uzmysłowała sobie, jak to musiało zabrzmieć, i usiłowała się poprawić: - Jeśli wolno mi się wytłumaczyć, milordzie, chciałam powiedzieć, że na miejscu lady Carew policzyłabym sobie za o wiele większe szczęście być zaręczoną z panem niż z Roxburyem... i jestem pewna, że ona tak właśnie myśli.

- Dziękuję.

- Nie wiem zresztą, jak mogłaby mieć inne odczucia - dodała, wpatrując się w splecione na podołku dłonie. - Zachował się wobec niej dość podle, prawda?

- Mało powiedziane.

- Nie powinno się przenigdy ranić osoby, której deklaruje się miłość.

- Niepoprawna panna Finchley - powiedział, rozbaawiony.

- Jeżeli naśmiewa się pan ze mnie, proszę tego nie robić. To, że sama nigdy nie wyjdę za mąż, nie oznacza, że nie wyrobiłam sobie zdania w tej materii.

- Trudno nazwać cię, pani, starą panną, moja droga.

- Mam dwadzieścia cztery lata, milordzie, i ani cienia nadziei na odmianę losu, toteż do kwestii zamążpójścia

podchodzę realistycznie. Kiedy dowiedziałam się, że mój ojczym roztrwoniał pieniądze mamy, pogodziłam się z sytuacją z takim spokojem, na jaki umiałam się zdobyć. - Odważyła się spojrzeć na niego i pokiwała głową. - A że lubię dzieci, postanowiłam uczyć cudze.

- Szczerze pani współczuję...

- Litość jest ostatnim, czego pragnę, milordzie. - Uniosła dumnie brodę. - Nie jestem aż tak słaba, żeby nie móc zatroszczyć się o siebie.

- Naturalnie, że nie. Po prostu wydaje się niefortunnym zbiegiem okoliczności, że kobieta taka jak pani nie ma innego wyboru. - Świadom, że tylko pogorszył sytuację, wrócił do poprzedniego tematu. - Co Justin sądzi o Roxburym?

- Justin był zbyt chory, by nad czymkolwiek się zastanawiać, milordzie. Jestem jednak pewna, że kiedy wydobrzeje, będzie musiał dowiedzieć się, że to Roxbury pomagał doglądać go w chorobie.

- Och.

- Chociaż jak najbardziej potępiam fakt, że Roxbury, wykorzystując chorobę chłopca, pozwolił mu wierzyć, że jest jego nieżyjącym ojcem. Jestem pewna, że lady Carew nie była tym zachwycona.

- Wcale się nie dziwię.

- Teraz, kiedy Justin dochodzi do siebie, księżę stara się pozyskać sympatię Robina. Choć daleko mu do pańskich sukcesów na tym polu, milordzie - pocieszyła go. - Robin bardzo ucieszył się z żołnierzyków od pana... i muszę przyznać, że ja także. Gdyby jednak zależało to ode mnie, wolałabym więcej żołnierzy regimentu szkockiego. Widzi pan, jedna z moich prababek należała do klanu Gordonów, z tych mniej majątnych, ale zawsze.

- Mam rozumieć, że jest pani spokrewniona z Byronem? - spytał żartobliwie.

- Odległe to pokrewieństwo, jak sądzę. - Przez chwi-



lę patrzyła przez okno, po czym wyznała z pewnym smutkiem: - Pomimo tego, iż nie mogę pochwalać rozwiązłego trybu życia, jaki prowadzi, muszę przyznać, że jego utwory bardzo mi się podobają.

- Naprawdę?

- Uśmiełam się do łez, czytając satyrę „Angielscy bar-dowie i szkoccy recenzenci”. Pan zapewne jej nie czytał?

- Nie. Poprzestałem na „Wędrownkach Childe Harolda”.

- Nie podobało się panu?

- Podobało, tak chyba zresztą jak całemu światu. Jed-nak w odróżnieniu od większości nie uważam, żeby by-ła to biografia Byrona.

- Myślę, że przedstawia w niej tylko obraz mrocznej, udręczonej duszy - zgodziła się. Zaintrygowana tym prze-lotnym wejrzeniem w myśli Barrasforda, dodała cicho: - Zatem lubi pan poezję? Ma pan ulubionego autora?

- Tak. To Thomas Gray. Uważam, że jego „Elegia pi-sana na wiejskim cmentarzu” jest jednym z najwspaniał-szych dzieł literatury angielskiej.

- Cóż za dziwny zbieg okoliczności! Jestem tego sa-mego zdania. „Potęga, władza, dumne rodowody, / Bo-gactwo, piękność, wszystko, co na przedzie, / Kiedyś się przecież w mroczne skryje chłody”...

- ... „Nawet i sława do grobu nas wiedzie” - dokoń-czył miękko.

- Kiedy czuję się przytłoczona, kiedy muszę zazdro-ścić tym, którym majątek i tytuły tak wiele dają, czerpię z tych słów pewną pociechę. Wobec śmierci wszyscy je-steśmy równi, wszystkich nas ona czeka.

- Nieuchronnie, panno Finchley. Słowa godne córki pastora, jeśli wolno mi dodać.

\* Tłum. Jan Kasprowicz.

- Taa, ja tam uważam, że lepiej takiego gadania nie słuchać - odezwała się nagle Bess. - Co ma być, to będzie, i po co komu siedzieć i śmierci wypatrywać. - Po tym oświadczeniu, dodała: - Dałabym se głowę uciąć, że lady Carew interesuje księcia nie mniej niż chłopiec. Ma to wypisane na twarzy i tyle.

- Bess! - w głosie panny Finchley zabrzmiało wyraźne ostrzeżenie.

- Ślepy chyba, jeśli sam tego nie widzi - sarknęła pokojówka, łypiąc na Barrasforda, bynajmniej nie skruszona. - Och, nie mówię, że hrabina też ma się ku niemu, gdzie tam. Ale kto wie...

- Bess, obie powiedziałyśmy już za dużo - skarciła ją Charlotte surowo. - Jestem pewna, że lord Barrasford nie ma ochoty na wysłuchiwanie naszych domysłów.

Johnny zapadł się plecami w miękkie poduszki i przymknął oczy. Nie, w tej kwestii panna Finchley się myliła, przyznał w duchu. Niczego nie pragnął bardziej, niż dowiedzieć się, co łączy Joannę i Roxbury'ego. Gdyby jednak o cokolwiek pytał, naraziłby się tylko na śmieszność.

- Ja tam myślę, że jego miłość nie spocznie, póki jej nie odzyska - oznajmiła Bess.

- Dość tego. - Niewiele myśląc, Charlotte wychyliła się do przodu, by dotknąć ręki Johnny'ego. - Nie wolno jej panu słuchać, milordzie. Okoliczności zmuszają księcia i lady Carew do pewnej wzajemnej uprzejmości, i na tym koniec, wszelkie plotki nie mają podstaw.

Spojrzał na jej rękę w czarnej, jedwabnej rękawiczce: drobną, delikatną, o smukłych palcach. Dłoń damy, pomyślał. Powędrował wzrokiem w górę. Zachwycił go surowy krój pięknej zielonej sukni podróżnej, ozdobionej stójką i rzadkiem dużych, czarnych guzików, burza drobnych, kasztanowych loczków, zielono-czarny kapełusik, spod którego wyzierał subtelny owal twarzy.

- Czy coś się stało, milordzie? - spytała, podnosząc na niego ogromne, orzechowe oczy.

- Nie, nie. - Wyprostował się i wyjrzał przez okno. - Tak sobie myślałem, że w Baxter Greys nikt pani nie pozna. Nie przypomina pani tego urwisa z rozwichrzonymi włosami, którego widywałem podczas moich wizyt.

## 28

- Nie widzę powodów, dla których miałabyś kisić się w czterech ścianach, zwłaszcza teraz, kiedy Justin czuje się tak dobrze - zapewniła Joannę teściowa. - Pragnę ci także przypomnieć, że masz jeszcze jednego syna, kochanie. Teraz, kiedy panna Finchley przebywa u krewnych w Baxter Greys, Robin cię potrzebuje jeszcze bardziej.

- Ale Justin jest taki niespokojny - zaoponowała Joanna.

- I dobrze. Doprawdy, moja droga, jeżeli będziesz dalej hołubić go ponad miarę, rozpuścisz go nie do zniesienia. - Hrabina przeszła na drugi koniec pokoju, gdzie rozparty na łożku siedział rekonwalescent, ze zdrową nogą skrzyżowaną na tej w łubkach. - Przyniosłam karty, skarbie - zwróciła się do wnuka - przyjemnie spędzimy trochę czasu, a twoja mama pójdzie na dwór odetchnąć.

Ignorując wojowniczo wysuniętą szczękę Justina, przysiadła na łożku i zaczęła rozdawać. Oczy jej pojaśniały, kiedy niechętnie podnosił swoje karty.

- Możesz zacząć, skarbeczku. - Po czym, jakby tknięta nagłą myślą, dodała, zerkając na Joannę przez ramię: - Robina powinnaś zastać w towarzystwie Roxbury'ego gdzieś przy stajni.

Joanna westchnęła. Wiedziała, że jest obiektem bezwstydných manipulacji, ale Anne miała argumenty nie do zbicia. Justin rzeczywiście czuł się o niebo lepiej, gorączka nie dokuczała mu nawet w nocy. Stan jego poprawił się na tyle, że doktor Bascombe wrócił do Londynu. Teraz bardziej niż ból dokuczała Justinowi nuda. A od owego poranka, kiedy zadeklarowali wzajemną przyjaźń, Adrian zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Przestał nawet zadreć ją pytaniami o ślub z Johnnym.

- Dobrze więc, mamó, ale muszę cię uprzedzić, że niemożebnie się złości, kiedy przegrywa.

- Nie brak mi doświadczenia w opiece nad małymi chłopcami i zabawianiu ich, moja droga - przypomniła jej Ann stanowczo. - Sio! I posiedź mi trochę na dworze, bo wyglądasz jak zmora.

Joannie pozostało jedynie pójść za radą teściowej. Kierując się do różanej komnaty, do której przeniosła się, kiedy wyzdrowienie jej syna stało się niemal pewne, zło-wiła kątem oka własne odbicie w lustrze toaletki. Twarz w zwierciadle nadal była blada, choć Joanna miała teraz sypialnię do własnej dyspozycji i dużo więcej spała. Adrian postanowił przeprowadzić się do pokoju gościnnego na końcu korytarza, czego, ku jej zaskoczeniu, nawet Blake nie uznał za dziwne.

Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna odpisać na list od Johnny'ego, ale doszła do wniosku, że nie. Ojciec chrzestny zostawił mu do załatwienia parę spraw - pisał - pannę Finchley ogromnie cieszy pobyt u siostr, nie spodziewa się wrócić przed końcem tygodnia. Uznawszy, że sama nie ma wiadomości godnych przekazania, pospiesznie przeciągnęła szczotką po włosach i wyruszyła na poszukiwanie młodszego potomka.

Nie musiała szukać dżugo. W chwili, w której wyszła na dwór, truchtali właśnie w stronę domu. Na jej widok Robin puścił się przodem i pomknął ku niej jak strzała.

- Mamo! Bury zabierze mnie na ryby!

- Oo? - Rzuciła Adrianowi pytające spojrzenie. - Myślałam, że już nie wędkujesz.

- Miałem krótką przerwę - przyznał. - Ale woda opada i pomyślałem sobie, że moglibyśmy złowić coś tuż ponad brodem. Poza tym dzisiaj pokonaliśmy już Francuzów ze trzy razy.

Adrian miał wypieki na twarzy, zapewne po wyścigach z Robinem, ciemne włosy potargane, ale uśmiech, który jej posłał, rozbroił ją całkowicie. Opuściła wzrok niżej, na rozpiętą pod szyją białą, bawełnianą koszulę, spod której wyzierał umięśniony tors.

- Brzmi zachęcająco - odparła z trudem, czując, że sama jego bliskość przyprawia jej serce o galop.

- Chodź z nami - poprosił nagle. - Urządzimy sobie piknik. - Opacznie odczytał jej wahanie. - Justin ma się świetnie. Jeśli będziesz wiecznie się z nim cackać, wyrośnie na maminsynka. - Uświadamiając sobie, co właśnie powiedział, poprawił się szybko: - Przepraszam cię najmocniej, Jo. Nie można ganić cię za to, że jesteś dobrą matką.

- Proszę, mamo, zgódź się. - Robin uczepił się jej dłoni. - Babcia może zostać z Tinem.

Nie mogła się nie uśmiechnąć, rozbawiona sposobem, w jakim skracał imiona i nazwiska do znośnej długości. Robił tak, od kiedy zaczął mówić. Justina zawsze nazywała Tinem, a teraz Adrian, o którym hrabina z uporem mówiła per „Roxbury”, stał się dla niego po prostu „Bury”. Ścisnęła drobną łapkę.

- Nie uwierzysz, Robinie, ale dokładnie to samo powiedziała twoja babcia.

- Pójdiesz z nami? - prosił chłopiec żarliwie.

- Cóż, kiepski ze mnie wędkarz, wiesz - wyznała, odwzajemniając spojrzenie Adriana. - Ale owszem, pójdę. - Serce zadrżało w niej niespokojnie, kiedy błysnęła zębami w szelmowski uśmiechu, który znała tak dobrze.

- Akurat, Jo. Jeśli dobrze pamiętam, przestaliśmy z Garym zabierać cię z nami, bo zawsze wracałaś z większą ilością ryb. Twoja matka, Robinie, była mistrzynią w łowieniu na wędkę.

- Cóż, nie przypominam sobie nic podobnego, milordzie. Nigdy nie przepadałam za zdejmowaniem tych biednych stworzeń z haczyka.

- Prawda, ale byliśmy ciągle zajęci zakładaniem ci przynęty i zdejmowaniem ryb. Sama przyznaj. Pewnie dlatego wracaliśmy zawsze z pustymi rękami.

- Do niczego się nie przyznaję - odparła wesoło. - Nie wierz w ani jedno jego słowo, Robinie. Opowiada o mamie niestworzone historie.

Adrian milczał, uśmiech znikł z jego twarzy. Dokładnie te słowa wyrzekła owego ostatniego dnia w Londynie. „Do niczego się nie przyznaję” - powiedziała. I od tamtej pory nie zdołał niczego więcej z niej wyciągnąć.

Robin zerka! to na matkę, to na księcia. Choć zaledwie trzylatek, wyczuł zmianę, jaka zaszła w nastrojach dorosłych. A sam, będąc w promiennym humorze, nie mógł tego ścierpieć. Puścił rękę matki i jednym susem dopadł do Adriana, łaszcząc się jak szczenię.

- Proszę cię, Burciu, możemy już iść? Finch pozwoli, na pewno pozwoli.

- Panna Finchley wyjechała - przypomniała Joanna.

Chłopiec miał w sobie tyle z Gary'ego, że Adrian chciał niemal odwrócić wzrok. W drobnej twarzyczce jedynie oczy, błagalnie w niego wpatrzone, przypominały mu Joannę. Przemknęło mu przez myśl, że patrzy oto na dziecko dwojga najbliższych mu ludzi. Poczuł, że na udzie zaciska mu się mała łapka.

- Bury, ja chcę iść łowić ryby. Chcę złapać jedną, o, taaką dużą - oznajmił Robin, pokazując rączkami odległość dobrych dwóch stóp.

- Zatem chodźmy koniecznie. - Adrian poderwał chłopca do góry i wziął go na barana. Robin pisnął z zachwytu i dla zachowania równowagi chwycił gęste, czarne włosy. - Auu! Trzymaj mnie za szyję, urwisie, bo spadniesz i co będzie?

- Rozwałę sobie głowę.

- Właśnie - potaknął Adrian i ruszyli w drogę.

Z okna na piętrze scenie tej przyglądała się Anne - milcząco, za to z ukontentowaniem. Po raz pierwszy w życiu wcieliła się w rolę swatki i od razu z nie najgorszym skutkiem. Choć Roxbury nie był chodzącym ideałem, z pewnością zdążył już wykazać, że jest godny jej wnuków, a w odróżnieniu od Barrasforda, nie wywiózłby ich z ojczyzny. Miała tylko nadzieję, że suknie, w które wyekwipowała Charlotte Finchley, przyniosły oczekiwany skutek, jeśli bowiem Joanna nie zamierzała zerwać zaręczyn, Barrasford będzie musiał ją wyręczyć.

- Musi się dziać na dworze co ciekawego - zauważyła służąca. Podeszła do Anne i wyjrzała, zaintrygowana. - Niosą wędki, milady.

- Wędki! - zakwilił Justin. - To niesprawiedliwe!

- Ciii, skarbie - mruzczała uspokajająco hrabina. - Jak możesz narzekać, skoro mnie doszczętnie ograłeś?

- Akurat, babciu. Dajesz mi fory - poskarżył się.

- Fory? - Delikatnie zarysowana brew powędrowała do góry w udawanym oburzeniu. - Nic podobnego! Urodzony szuler z ciebie, młody człowieku.

- Ale...

- Ale nuży cię towarzystwo starszej pani, tak?

- Nie, ale wolałbym побыć z księciem, zamiast siedzieć tu Z obwiązaną nogą.

- Lubisz księcia? - spytała Anne lekko.

- Och, tak! - Przyglądał się jej podejrzliwie. - A ty nie?

- Bardzo, zawsze go lubiłam, wiesz?

- Przyjaźnił się z tatą, prawda? Tak powiedział.

- On, twoja mama i tato byli w wielkiej przyjaźni, skarbie.

Przez chwilę wydawał się zastanawiać nad odpowiedzią babki, po czym pokręcił głową.

- Czasem myślę, że tak, czasem, że nie.

- Cóż, można się czasem w tym wszystkim pogubić, ale ja sądzę, że lubią się nadal. - Przewiązała talię tasemką i odłożyła ją na stolik. - Rozumiem, że nie chcesz już grać w karty, tak?

- Tak. Nie cierpię siedzieć w łóżku.

- Znalazłby się pewnie kawałek płótna...

- Malować też mi się nie chce!

- Nonsens. Musisz się czymś zająć, Justinie. Namalujesz dla mamy śliczny obrazek, a potem ci poczytam. A jeżeli będziesz bardzo grzeczny i nie będziesz za dużo narzekał, przekonam księcia, że koniecznie powinno się ciebie znieść na dół.

- Serio? - Rozpromienił się i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Och, babciu, byłoby byczo!

- Tylko nie narzekaj - przypomniała. - A teraz pójdę po farby. Panna Finchley z pewnością je zostawiła.

- Nie.

- Justinie, wiesz, że twoja matka nie toleruje kłamczuchów.

- Leżą w pudle w garderobie księcia - skapitulował niechętnie.

Gdy Anne sięgała po konieczne przybory, na podjeździe ukazał się powóz. Zwęziła oczy w szparki, usiłując przyjrzeć się herbowi na ozdobionych czarnymi i złotymi panelami drzwiczkach.

- Nie, tylko nie oni - jęknęła żałośnie.

Powóz zwolnił, potem zatrzymał się, z kozła zeskoczył stangret, żeby wypuścić pasażerów. Anne stała jak wryta, dopóki z powozu nie wysiadł elegancki mężczyzna, który następnie odwrócił się, by pomóc wysiąść młodej



kobiecie. Jego ręce nie pozostały na jej talii dłużej, niż to było konieczne, zauważyła z rozczarowaniem Anne.

- Kto to? - zaciekawił się Justin.

- Panna Finchley i lord Barrasford.

- Myślałem, że pojechali z wizytą do jakichś nieboszczyków.

- Wrócili. I śmiem twierdzić, że panna Finchley będzie nad wyraz szczęśliwa, widząc cię ponownie.

- Barrasford może mi dać tyle koni, ile pomieści cała stajnia księcia, nie obchodzi mnie to. Robinowi może namieszać w głowie, ale nie mnie. Nie chcę jechać do Irlandii i nie pojedę. Chcę zostać z księciem, babciu.

Ciekawa, dlaczego wbrew temu, co pisał, lord Barrasford skrócił wizytę, Anne pospiesznie wezwała służącą i poleciła jej przygotowanie łóżka Justina do malowania, po czym, mówiąc chłopcu, że niebawem wróci, wyszła z pokoju.

Kiedy zesłała po schodach, stali już w westybulu.

- Stało się coś złego? - spytała. - Nie spodziewaliśmy się was tak szybko.

- Wszystko w porządku, ale uznałem, że może lepiej będzie, jeśli wrócimy. Martwiłem się o Joannę. Nie chciałbym, żeby pomyślała, że nie pragnę jej wspierać. A panna Finchley łaskawie zgodziła się ze mną, że pora już wracać.

- Rozumiem.

- Przywiozłem ze sobą mojego służącego i trochę rzeczy - dodał znacząco. - Może zostałbym tu, dopóki Justin nie wydobrzeje na tyle, żeby wrócić do domu.

- Naturalnie. Jestem przekonana, że Roxbury nie będzie miał nic przeciwko temu - powiedziała z trudem, świetnie wiedząc, że Adrian najchętniej posłałby rywala do wszystkich diabłów. Przemknęło jej przez myśl, żeby wysłać mu liścik z ostrzeżeniem, ale, tknięta inną myślą, z pomysłu tego zrezygnowała.

- Jak się czuje chłopiec?

- O wiele lepiej, naprawdę. Chociaż trochę markotny, bo wciąż nie wolno mu obciążać chorej nogi. Wczoraj wieczorem Roxbury zniósł go na dół, żeby godzinę posiedział na świeżym powietrzu, ale nie mogę powiedzieć, żeby to poprawiło mu humor. Teraz wolałby być wszędzie, byle nie w łóżku.

- Chciałbym go zobaczyć.

- Tak, oczywiście, zapraszam na górę, milordzie. I proszę mu wybaczyć, jeśli będzie nie w humorze.

- To zrozumiałe.

Wyminął ją i ruszył po schodach, Anne tymczasem zainteresowała się Charlotte Finchley. W szarej, połyskliwej sukni i pasującym czepku dziewczyna wyglądała czarująco.

- Mam nadzieję, że miło spędziła pani czas z siostrami, moja droga - rzuciła półgłosem.

- Och, było cudownie - zapewniła Charlotte. - Nie wiem, jak pani dziękować za umożliwienie mi tej podróży. Poza samym pogrzebem, który sam w sobie jest wydarzeniem dość ponurym, wszystko inne było niezwykle przyjemne - wyjaśniała z uśmiechem. - W strojach lady Carew, przywieziona wspaniałym powozem lorda Barrasforda, wywarłam ogromne wrażenie w Baxter Greys. Och, milady, nawet sobie pani nie wyobraża! - powiedziała żarliwie, a oczy jej lśniły. - Barrasford nie mógłby być bardziej uprzejmy, zabierał mnie wszędzie, byliśmy na herbatce u każdej starszej damy w okolicy, naprawdę nie umiem wyrazić, jakie to wszystko było przeziębienie.

- Cieszę się, że tak uważasz, moja droga.

- Przekona się pani, że odpoczęłam i mogę przejąć opiekę nad Justinem. Z tego, co pani mówi, wnoszę, że bardzo brak mu rozrywki. - Uśmiech guwernantki zbladł nieco. - Lord Barrasford nie mógł się doczekać rozmowy z chłopcami.

- Może się rozczarować. Justin na samą wzmiankę o Irlandii wpada w histerię. Obawiam się, że on i Roxbury ulepieni są z tej samej gliny. Kiedy już coś postanowią, obstają przy swoim do upadłego.

- To zbyt dobry człowiek, by go tak rozczarować, miłady - powiedziała Charlotte z głębi serca, zerkając w kierunku schodów i kręcąc ze smutkiem głową.

- Co do tego się zgadzamy, moja droga. Czasem jednak większe rozczarowanie płynie stąd, że mylimy to, czego, jak nam się zdaje, pragniemy, z tym, czego naprawdę nam trzeba. Podejrzewam, że Barrasford wyleczy się ze złamanego serca, i to szybciej, niż myślisz. Śmiem jednak twierdzić, że będzie potrzebował oddanego przyjaciela lub przyjaciółki.

-Tak.

- Rozumiemy się zatem. - Cofnęła się o krok i przez pewien czas trzeźwo lustrowała guwernantkę wzrokiem, po czym skinęła z aprobatą: - Tak, wyglądasz dziś jak malowanie, moja droga.

## 29

Joanna, z krajem spódnicy malowniczo owiniętym wokół kolan, siedziała na przyniesionym przez Adriana wozystym szalu, przyglądając się, jak zakłada przynętę na haczyk i zarzuca wędkę Robina. Znajdowali się jakieś pięćdziesiąt stóp, może więcej, w dół rzeki, gdzie woda, cofając się, pozostawiła gładki, brunatny skrawek obnażonej ziemi stopniowo przechodzącej w rzeczny szlam. W górze szeleściły liście poruszane przez lekki wiatr, spokój zakłócały jedynie sporadyczne krzyki ptaków.

Adrian walczył właśnie z wyjątkowo opornym robakiem, którego zamierzał użyć jako własnej przynęty, gdy Robin zaczął tańczyć wokół niego, pełen przejęcia.

- Bury, Bury, zobacz! - zaszczebiotał i wypuścił z ręki wędkę, żeby złapać Adriana za ramię. Wędka z linką pewnie zakotwiczoną w rybim pyszczku zakołysała się gwałtownie, po czym podryfowała ku głębszej wodzie. - Moja wędka! - pisnął chłopiec, wstrząśnięty, brodząc po płyciźnie.

- O, co to, to nie, młody człowieku. - Adrian złapał go z tyłu i przeniósł na brzeg. - W niektórych miejscach woda mogłaby sięgać ci ponad głowę.

- Moja wędka! - kwilił Robin.

Nie oglądając się na swoje drogie ubranie, Adrian wszedł do wody.

- Poczekaj tutaj - ostrzegł, kiedy wlała się mu do wysokich butów, po czym sięgnęła wysokości ud. Widział już wędkę, zaczepioną o częściowo zanurzone korzenie drzewa przy drugim brzegu.

- Dree, ostrożnie! Na płyciżnach nurt jest rwący! - zawołała Joanna.

Ignorując jej przestrogi, przeszedł na drugą stronę. Prąd zniósł go dobre dwadzieścia stóp w miejsce, gdzie brzeg był stromy. Płatannina korzeni rzadko rosnących tu drzew nie była w stanie zatrzymać luźno spojonej ziemi, wypłukiwanej przez silny nurt. Długie korzenie, dzikie wino i strzepy ściółki zwieszały się Adrianowi nad głową, poruszane podmuchami wiatru. Złapał się gałęzi, sprawdził, czy utrzyma jego ciężar, i wciągnął się na górę. Ruszył wzdłuż brzegu, by zatrzymać się dokładnie nad podskakującą wędką. Ześlizgnął się do wody i wyplątał linkę. Ku jego zaskoczeniu, ta zwiotczała najpierw, potem naprężyła się silnie: Robinowa ryba nadal tkwiła na haczyku. Usta Adriana rozciągnęły się w szerokim, chłopięcym uśmiechu i zaczęła się istna walka.

- Jest! - odkrzyknął z tryumfem. - To prawdziwy olbrzym!

Obawiając się, że Robin popędzi do wody, żeby przyrzeć się swojej zdobyczy, Joanna porzuciła szal na łaskę losu i podbiegła do syna. Kiedy go złapała, odwrócił się, szczebiocząc:

- Mamo, Bury ma moją rybę! Ma moją rybę! - Kiedy Adrian szedł na ich stronę, Robin ruszył mu na spotkanie, płasząc i podskakując radośnie wzdłuż płaskiego brzegu. - Kapitalnie, Bury! Mogę ją zobaczyć?

Adrian znalazł się 'wreszcie na suchym lądzie; spodnie zwiślały na nim, przemoczone, niegdyś czysta koszula była mokra i ubłocona, ale on promieniał. Zatrzymał się na tak długo, ile było trzeba, by chłopiec zdążył poddać rybę gruntownym oględzinom i wydać serię zachwyconych „ochów” i „achów”, następnie ruszył w górę rzeki z rybą w jednej ręce i Robinem uczeptionym drugiej. Uniósł zdobycz, by pokazać ją Joannie.

- Gdybym wiedział, że zdarzają się tu takie olbrzymy, nie przestałbym wędkować.

Bezwiednie przeniosła wzrok z ryby na jego mokrą koszulę, klejącą się do torsu i ramion. Na widok zarysowanych pod materiałem mięśni odezwał się w niej stary dreszczyk emocji. Nakazała sobie zarzucić te niebezpieczne myśli i opuściła oczy.

- Zniszczył pan ubranie, milordzie.

Zauważył wyraz jej twarzy i wiedział, co on oznacza. Starając się, by głos jego zabrzmiał pogodnie, choć serce żywiej w nim zabiło, zmierzwił rdzawe loczki Robina i odparł:

- Wiem. Od kiedy wróciłaś ze swoimi urwisami, straciłem więcej ubrań, niż mógłbym się doliczyć. Weston powinien oddać ci część swojej zapłaty, moja droga.

- Blake'a to nie rozbawi - oznajmiła z udawaną powagą.

- Mogę ją potrzymać? - spytał Robin niecierpliwie, szarpiąc Adriana za rękę. - Mogę, Bury, mogę?

- To twoja ryba. Wiesz co, przynieś sak, to będziesz mógł ją do niego włożyć. Stoi tam, obok maminego szala.

Dziecko posłusznie podreptało na krępych nóżkach do miejsca, gdzie leżał szal Joanny. Obok stały sak i kosz z jedzeniem. Adrian przyglądał się chłopcu, osłaniając przed słońcem oczy przytkniętą do czoła dłonią.

- Jest bardzo podobny do Gary'ego, prawda? Do wszystkiego tak się zapala.

- Prawda. - Obróciła się i przez chwilę przyglądała Robinowi. - Jak już mówiłam, żaden z moich synów niewiele ma ze mnie. Wspominałam ci, że kiedy Justin był malutki, Gary nazywał go pieśczośliwie twoim sobowtórem? Później, kiedy podrósł na tyle, żeby zacząć o to pytać, przestał. Gary nie mówił o tobie inaczej jak „książkę”, nawet kiedy byliśmy dziećmi. A teraz Justin nazywa cię tak samo.

- Gary byłby z młodszego naprawdę dumny - odpowiedział cicho, czując bolesne ściskanie w krtani.

- Byłby dumny z nich obu.

- Brakuje mi go, wiesz?

Spojrzała na niego. Na usta cisnęły się jej gorzkie słowa, powstrzymała się jednak, widząc ból w ciemnych oczach Adriana. Przez chwilę czuła istniejącą między nimi silną więź.

- Był dla mnie bardzo dobry.

- Kochałaś go. - To zabrzmiało jak stwierdzenie faktu, nie oskarżenie.

Westchnęła ciężko.

- Kochałam go chyba tak samo jak ty, Dree. Był takim dobrym człowiekiem, trudno było go nie pokochać, nie sądzisz? Ale nie był wielką namiętnością mojego życia i o tym wiedział.

Odpowiedź ta, chociaż podobne słyszał wcześniej, na

nowo obudziła w nim dręczące wątpliwości. Tak wiele nadal chciał się dowiedzieć, tak bardzo bał się pytać o nią i Gary'ego.

- Ja kochałem go jak brata, Jo.

- Tak - zgodziła się po prostu.

- Bury! - Robin nie mógł złapać tchu, zziębnięty po biegu. - Teraz mogę ją potrzymać?

- Jest zimna i mokra - ostrzegła Joanna.

Adrian zerknął na wiszącą na linie rybę, teraz zwiotczała.

- Lepiej włóżmy ją do wody, bo umrze. No, podaj mi sak, a ja dam ci rybę.

Dokonawszy wymiany, Adrian otworzył wypłataną wiklinową klatkę i wyciągnął ją w stronę Robina. Chłopiec wrzucił rybę do środka i patrzył wyczekująco. Adrian uklęknął i wyjął jej haczyk z pyszczka.

- I po strachu. - Z twarzą niemal na wysokości buzi dziecka wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Śmiało, Robinie, włóż biedulkę do wody i możemy dalej wędkować. A za jakiś czas mama przygotuje coś do jedzenia.

Joanna wróciła do porzuconego szala, usiadła i oparła się plecami o drzewo, przyglądając się ciemnowłosej dwójce. Dawny ból nie minął, ale zelżał nieco dzięki temu, iż mogli rozmawiać o Garym; w jakiś subtelny sposób łączyło ich poczucie straty. Poza tym miała za co być wdzięczna: Justin przeżył. Żałowała tylko, że sprawy nie potoczyły się inaczej, że nie mogli cofnąć czasu i znów być szczęśliwi. A potem poprawiła się w myślach. Chwile szczęścia okupione były zbyt wielkim cierpieniem.

Słuchając piskliwych okrzyków zachwyty i wypowiedzianych niskim głosem słów zachęty, przyłapała się na tym, że znowu wspomina dawne dni, siebie, małego urwisa w spódnicy wałęsającego się za dwójką brudnych jak nieboskie stworzenia chłopaków. Miała szczęśliwe, niekonwencjonalne dzieciństwo - jej ojciec nie kłopotał

się o nią zbyttnio, czego zresztą dawno przestała żałować. Czasami zastanawiała się, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby jej guwernantka nie poślubiła nauczyciela Adriana. Przy rozrzutności ojca wyszłaby zapewne za zwykłego pastora albo podzieliła los Charlotte Finchley. A tak była kiedyś księżną Roxbury, teraz hrabiną Carew. Doświadczyła namiętności tak gwałtownej, że wypaliła się w przeciągu jednego roku. Poznała też o wiele tkliwszą miłość Gary'ego. A teraz nawiedzało ją wspomnienie jednego krótkiego, gwałtownego spotkania, kiedy to pozwoliła sobie zapomnieć o bólu, kiedy owej nocy oddała się Adrianowi. I na nowo odżyła w niej stara, jakże znajoma tęsknota.

- Obudź się, śpiochu! - Adrian potrząsał nią, aż powoli otworzyła oczy i zmrużyła je, oślepią słońcem. Pomyślała cierpko, że musiała przysnąć, i zobaczyła Robina targającego pełen kosz ryb, tak ciężki, że ledwie mógł go udźwignąć.

- Zobacz, mamuś! Złapaliśmy je z Buryem!

- Prawdę mówiąc, tylko zakładałem przynętę - wyjaśnił skromnie Adrian. - Moja droga, twój młodszy syn ma zadatki na kapitalnego wędkarza.

- Dree, kategorycznie odmawiam jedzenia czegokolwiek, dopóki będzie się na mnie gapić cała ławica - skarciła go surowo.

-Ja je odniosę, Bury - zaoferował się Robin.

- Nie, dziecko. Ja to zrobię, a ty i twoja mama rozłóżcie na trawie jedzenie.

- Wiesz, mamó - oznajmił Robin, siadając po turecku na brzeżku szala - lubię Bury'ego, wolę go nawet od Barryforda.

- Barrasforda, skarbie - poprawiła.

- Nie chcę nigdy stąd wyjeżdżać.

- Proszę, tylko nie mów o tym księciu.

- O, już mu mówiłem - odparł radośnie. - Już się umó-



wiliśmy. On chce, żebyśmy z nim zostali. Lubi nas, mamó.

- Lord Barrasford także.

- Ale ja już nie chcę jechać do Irlandii, wolę mieszkać tutaj.

- Obawiam się, że to niemożliwe, Robinie. - Ukroiła gruby plaster sera i położyła go na serwecie obok owoców. - Będziemy mieszkać u lorda Barrasforda w Irlandii. Mówiłeś, że lubisz lorda Barrasforda, pamiętasz?

- Ale nie chcę zostawiać babci.

- Będzie nas odwiedzała.

W jasnych, niebieskich oczach malowała się powaga. Starał się zrozumieć.

- Nie lubisz Bury'ego?

- To nie ma nic do rzeczy, kochanie. Jestem zaręczona z lordem Barrasfordem i jako jego narzeczona muszę za niego wyjść.

- Nie możesz powiedzieć, że nie chcesz?

- Nie, nie mogę.

Przetrawiał tę informację, po czym zastanawiał się głośno:

- Hm, może on też chciałby tu mieszkać. Bo Bury'ego lubi, co nie?

- Nie „co nie?“, a „prawda?“ - poprawiła znowu. - Robinie, nie możemy gościć u księcia bez końca - tłumaczyła cierpliwie. - Za tydzień czy dwa, kiedy Justina będzie można przemieścić, wrócimy do Haven. Proszę, jedz chleb z serkiem.

- Ale Bury mówił...

- Może mówić, co chce. Nie może układać twojego życia - odparowała z irytacją. - *Ja* tak.

- Cóż, widzę, że na mnie nie czekaliście - zauważył Adrian, siadając obok nich. - Konam z głodu, Jo.

- Zjedz moją porcję. Straciłam apetyt.

Przez chwilę przyglądał się jej podejrzliwie, ale i z wyraźnym zatroskaniem.

- Źle się czujesz? Jeszcze przed chwilą wydawało mi się, że wszystko jest w porządku.

- Naturalnie, że nie - odparła. - Jestem zdenerwowana, jeśli musisz wiedzieć.

- Z jakiego powodu? - spytał bez ogródek.

- Nie mogę o tym teraz rozmawiać. - Rzuciła znaczące spojrzenie w kierunku Robina. - Nie tutaj.

- Rozumiem. Może zatem po powrocie napijemy się herbaty w bibliotece, to porozmawiamy.

- Właściwie nie ma o czym. - Wzięła jabłko i zaczęła je ogryzać. Między jednym a drugim kęsem zapatrzyła się na rzekę i spytała: - Ile twoim zdaniem trzeba czasu, zanim Justin będzie gotowy do podróży?

- Wiele tygodni.

- Skądże znowu. Chciałabym jak najprędzej zabrać go do domu.

- Podejrzewam, że Goode będzie wiedział. Od kiedy Bascombe wrócił do Londynu, jest na nas jakby mniej obrażony.

- Zapytam go jutro.

Zapisał sobie w pamięci, by zamienić z Goodem słowo, zanim zrobi to Joanna. Nie miał zamiaru szybko pozwolić na jej wyjazd. Podczas jednej z długich, bolesnych nocy, kiedy walczyli o życie Justina, przyznał się przed sobą, że kocha ją równie mocno, jak jej pragnie, że wybaczyłby jej wszystko, byleby wróciła. Od nocy zaś, kiedy miał ją w ogrodzie, nie umiał myśleć o niczym innym. Nawet teraz, kiedy zamykał oczy, czuł smak ust Joanny, dotyk jej ciała. Wiedział także, że jeśli dopuści do jej powrotu do Haven, Joanna poślubi Johnny'ego Barrasforda z poczucia obowiązku, a nie z miłości.

- Jak sobie życzysz, skarbie.

Pozorna obojętność Adriana rozdrażniła Joannę jeszcze bardziej.

- Nie jestem pańskim skarbem, milordzie.

- Pańskim? Milordzie? - Uniósł brew. - Co, do diabła, w ciebie wstąpiło, Jo?

- Nie przeklinaj w mojej obecności.
- Dobrze, co, do czorta, w ciebie wstąpiło?
- Nie zamierzam o tym teraz rozprawiać, powiedziałam.
- Nie rozumiem, dlaczego - zauważył rozsądnie. - Jeżeli się nie mylę, Robin śpi. Kiedy ty robiłaś mi przytyki, on przeczłogał się, o tam, i zdaje się, uciał sobie drzemkę.

Powiodła wzrokiem we wskazanym kierunku. Jej synek, tak do drzemek nawykły, istotnie uległ temu przyzwyczajeniu. Zadowolony, leżał zwinięty w supeł obok pozostałości po uczcie, z rudymi kędziorami rozsypanymi na dziecięcym, pulchnym ramionku. Drobną klatka piersiowa unosiła się i opadała miarowo. Kiedy ponownie odwróciła się, Adrian leżał już wyciągnięty na boku tuż obok niej, z głową podpartą na łokciu. W ciemnych oczach malowało się rozbawienie.

- No?
- No co?
- Miałaś, zdaje się, wyjaśnić, co cię tak niezwykle poirytowało, Jo.
- Nie jestem, jak się wyraziłeś, niezwykle poirytowana - fuknęła.
- Nie? Zatem lepsza z ciebie aktorka niż pani Siddons, moja droga, bo mnie nabrałaś. Wyduś to z siebie, Jo. Co przeszkrobałem tym razem?

Był o wiele zbyt blisko, by mogła trzeźwo myśleć. Wilgotna, klejąca się do ciała koszula i potargane włosy, zamiast gasić jego urodę, przydawały mu jedynie pewnego niepokornego uroku. A już wręcz niesprawiedliwością było to, co z nią wyprawiał, kiedy patrzył na nią w ten szczególny sposób.

- Nie rozbrosisz mnie, wdzięcząc się do mojego syna - odparła w końcu, zgrzytając zębami.
- Twojego, ale też Gary'ego, Jo. Jakże mógłbym go nie pokochać?

- Nie musiałeś od razu się starać, żeby chciał tu zostać! Świetnie wiesz, że nie mogę... że ja tutaj nie zostanę!

- A, już rozumiem - odparł z westchnieniem. - Na-burmuszyłaś się, bo chłopak mnie lubi.

- Tak! Świetnie wiesz, że wyjeżdżamy do Irlandii, więc po co rzucasz nam kłody pod nogi? Dlaczego mi to robisz?

Zamiast okazać skruchę, posłał jej szeroki uśmiech, w zamyśle rozbajający.

- Jo, zanim odsądzisz mnie od czci i wiary, może pozwolisz mi wyjaśnić...

- Nic mnie to nie obchodzi, nie zgadzam się.

- Powiedział, że chciałby tu mieszkać - kontynuował, niezrażony - a ja powiedziałem, że bardzo bym się z tego ucieszył. Czy to taka zbrodnia? Poczytywałbym sobie za zaszczyt możliwość wychowywania syna Gary'ego, zrozum. - Wodził po jej twarzy ciepłym, serdecznym wzrokiem. - Zrobiłbym dla jego syna nie mniej, niż on uczynił dla mojego. Jestem mu to winny, Jo, ale nawet i bez tego wiem, że mógłbym kochać obu chłopców. Nie chcę znowu pozwolić ci odejść. - Machinalnie, pieśczo-tliwym gestem, musnął ją po udzie.

Siedziała jak wykuta z kamienia, zaciskając dłonie, które same się ku niemu wyciągały. Ten jeden dotyk, tak lekki, wzbudził falę pożądania, w której gotowa była utonać. Zamknęła, oczy, by ukryć to przed nim, i westchnęła przeciągle.

- Nie.

- Nie zaprzeczysz, że to, co nas kiedyś łączyło, istnieje nadal, po prostu nie możesz. I nie łatwiej ci zapomnieć o tamtej nocy niż mnie.

- To przez maderę, sam tak powiedziałeś.

- Nie. Na mnie to ty tak podziałałaś.

- Dree, nie możemy cofnąć się do czasów, kiedy oboje byliśmy młodzi i krew w nas wrzała. A tamta noc... to

była tylko żądza. Nie mogę cię znowu kochać, nie mogę - rzuciła z rozpaczą. - Te oskarżenia... rozwód... zniszczyły wszystko, co było kiedyś między nami.

- Bzdura, Jo. Myślę, że przebaczyłem ci w chwili, w której zobaczyłem Justina. - Pochylił się bliżej i powiódł palcami po jej ramieniu; jego dotyk parzył. - Pragnę cię tak samo, jak kiedyś.

Wyrwała się ze złością i zerwała na równe nogi. Niepomna na śpiące dziecko, wybuchła z oburzeniem:

- Zbytek łaski, milordzie! Nikt tu o wybaczenie nie prosi. Zasluguję na coś więcej... na wiarę!

-Jo...

- Nie! Wysłuchaj mnie, bo nie będę powtarzać. Byłam dobrą i wierną żoną, Adrianie Delacourt! Nie dałam ci powodów, byś we mnie wątpił, ale ty uwierzyłeś w podłe łgarstwa swojej matki, pozwoliłeś, żeby, wykorzystując gesty przyjaźni, wysnuła tę swoją chorą historyjkę o cudzołóstwie! Rozwiodłeś się ze mną! Zniszczyłeś mnie! A teraz chcesz mi wybaczyć? Wolne żarty, milordzie! Wybaczenie to o wiele za mało!

- Kocham cię, Jo.

- Gdybyś mnie kochał, wierzyłbyś we mnie! - odparowała z furją.

Policzki miała zaczerwienione z emocji, pierś unosiła się gwałtownie. Kiedy tak stała nad nim, Adrian miał ochotę złapać ją i przyciągnąć do siebie na ziemię, pieszczotami przegnać gniew, ukoić ból. Chciał zacząć od początku, ale było już za późno. Patrzył, bezradny, jak potrząsnęła Robinem, by go obudzić.

- Pora wracać, kochanie - powiedziała dziecku. - Babcia pewnie ma już Justina powyżej uszu.

Usiadł sennie, spłoszony, trąc oczy. Brutalnie wyrwany z drzemki, wybuchnął płaczem.

- Moje ryby! Chcę moje ryby!

Adrian wstał, podpierając się o drzewo.

- Zaraz przyniosę - powiedział, pokonany. - Ty spakuj kosz.

Kiedy wrócił z sakiem i wędkami, Joanna stała pod rozłożystym drzewem z koszykiem w ręce, drugą podtrzymywała usadowione na jej biodrze dziecko.

- Weźmiesz kosz? - spytała w końcu. - Mały jest za bardzo zmęczony, żeby iść, a ja nie udźwignę wszystkiego.

- Zaniosę i jego, i kosz - zaproponował Adrian - jeśli ty poniesiesz ryby.

- To chyba już wolę kosz - odparła, kiedy przerzucił sobie Robina przez ramię niczym wór mąki. Malec zsunął się nieco i umościł się wygodnie, wciskając główkę w zgięcie szyi Adriana i podtrzymując się grubiućką łapką. Choć Joanna nadal była wściekła, nie mogła nie zauważyć nedorzecznosci tej sceny: jego miłość księżę Roxbury objuczony wędkami, sakiem i z pulchnym dzieckiem na ręku. - Te ryby cuchną, Dree - skrzywiła się.

- Ja też, woda z rzeki nie pachnie fiołkami, kiedy wyschnie - wyznał ze smutkiem - ale wydaje się, że to mu nie przeszkadza.

- Tylko dlatego, że śpi.

Długi spacer z powrotem odbyli w napięciu, każde bowiem usiłowało uporać się ze swoimi odczuciami. Joanna czuła niemal ulgę. Potrzebowała ponad sześciu lat, żeby przyznać się przed nim, co zraniło ją najdotkliwiej. Sam skandal, nawet rozwód, błady wobec łatwości, z jaką uwierzył, że zdolna jest do zdrady. Co gorsza, chyba wierzył nadal. Obok niej w milczeniu siedł Adrian, owładnięty poczuciem dojmującej straty. Przez te ostatnie dni, kiedy Joanna nowo zamieszkała w Armitage'u, pozwolił sobie na nadzieję, na myśl, że istnieje jakiś sposób, by na nowo wskrzesić młodzieńczą miłość. Teraz już wiedział, że niczego bardziej nie pragnie, jak być z Joanną, że kocha ją ponad wszystko. Chciał wierzyć, że ona czuje to samo. Nie, on wiedział, że tak jest. Ale po raz kolejny spaprał sprawę.

To, co powiedział o Robinie, mówił całkiem szczerze. Mógłby pokochać - i z pewnością pokochałby - tego słodkiego berbecia, który miał w sobie tyle z Gary'ego. Desperacko pragnął, by wszystko wróciło na swoje miejsce, by z Justinem, Joanną i Robinem tworzyli jedną rodzinę. Tylko jak?

Patrzył pod nogi, dopóki nie znaleźli się na podjeździe, a tam zatrzymał się jak wmurowany, pełen niedowierzania. Przez dłuższy czas gapił się na powóz stojący przed długim gankiem, po czym zaklął soczyście:

- A niech to szlag!

Joanna zatrzymała się, wyrwana z niewesołych myśli, i spojrzała przed siebie. Bez cienia entuzjazmu, raczej z przygnębieniem, powiedziała, wzdychając ciężko:

- Johnny wrócił.

Obiekt tych lakonicznych uwag od pewnego czasu przyglądał się im z okna w bibliotece. Na widok księcia w uwalanym błotem ubraniu, dziecka na jego ramieniu i Joanny idącej przy nich niemal tanecznym krokiem poczuł ukłucie w sercu - tworzyli sielski obrazek, jeśli nie czystą idyllę. Widział też portret Joanny na swoim dawnym miejscu naprzeciwko portretu Adriana. Niepokój zakiełkował w nim jeszcze wcześniej - komentarze, które padły z ust Bess i Charlotte w trakcie podróży z Baxter Greys, nie podnosiły na duchu. Czuł się zupełnie tak, jakby każdy, kto mówił o Joannie, musiał jednym tchem dodać: „a Roxbury...”

Kiedy zbliżyli się do frontonu budynku, Joanna wzięła na ręce Robina, żeby Adrian mógł odnieść ryby i wędkę na tył domu. Johnny'emu wydało się, że tak są ze sobą zżyci, że musiał odwrócić wzrok. Nagle gdzieś za nim rozległ się głos Charlotte.

- Lepiej pójdę po Robina - powiedziała cicho. - Domyślam się, że pragnie pan побыć z lady Carew sam na sam.

Joanna z roztargnieniem przebrała się do kolacji, nie odzywając się słowem nawet wtedy, gdy Bess wyjątkowo mocno pociągnęła ją za włosy, próbując je rozsypać. Do jej serca zakradł się dręczący niepokój, jakby przecucie nieuchronnej straty, gdy siedziała wpatrzona w kratę wygasłego kominka.

- Ale psze pani ma piękne włosy - zauważyła pokojówka, skręcając pszenicznózłotą kaskadę w niski kok i upinając go szpilkami. Cofnęła się, żeby ocenić efekt, i pokiwała z zadowoleniem głową. - A ładna pani jak malowanie, wasza miłość. Nie dziwota, że... - ugryzła się w język, zawstydzona, widząc, że Joanna sztywnieje. - Och, ja... to znaczy... - Urwała niezręcznie, gdy na twarzy jej pani pojawiła się udręka. - Och, milady - zapiszczała - najmocniej przepraszam... ja nie chciałam... tylko że teraz, jak paniny portret znowu wisi na dole, to zaczęłam myśleć o pani jako o naszej księżnej.

- Nic nie szkodzi - zapewniła Joanna, choć wszystko w niej dygotało. - W tym domu wszystko stoi na głowie.

- To przez tę Mary! - wybuchnęła znieczeka Bess. - Gadaliśmy o tym, Martha i Blake, i ja, tak się nie godzi! Jak jego miłość pojechali do Londynu, księżna zapłaciła temu głupiemu, chciwemu dziewczuszysku, żeby panią szpiegowała!

- Powiedziałam już, nic nie szkodzi, było, minęło. To stare dzieje.

- Ale gdybyśmy tylko wiedzieli, gdybyśmy przy tym byli, nigdy by się nie odważyła tak mu nakłamać! Ale



państwo wywieźli ją do samotnego Londynu i nic żeśmy nie wiedzieli. Tak się nie godzi, milady, tak się po prostu nie godzi. A biedulek hrabia... co się z jego miłością przyjaźnił, od kiedy obaj latali w krótkich porciętach... myśmy widzieli, że nic nie było! Rękę by sobie pierwiej obciął, zanim by podniósł ją na jego miłość! Och, ta kobieta... ta zła, zła kobieta... jak można zrobić coś podobnego rodzonemu dziecku, pytam?

Ten nieoczekiwany i niezwykły wybuch emocji u słuchającej, która nigdy nie zapominała, gdzie jej miejsce, głęboko Joannę poruszył.

- Dziękuję ci, Bess, ale nie mów o tym więcej - zdołała wyszeptać przez ściśnięte gardło, z oczami pełnymi łez, po czym rozszlochała się gwałtownie: - Och, Bess, jestem najniezwyklejszą z kobiet!

Przerażona reakcją, którą wywołały jej własne słowa, Bess pochyliła się i niezręcznie poklepała Joannę po ramieniu.

- Ten mój przeklęty jęzor, milady... powinnam se go była odgryźć. No, już... już... szkoda pięknej buzi na płakanie - pocieszała bezradnie. - Nie teraz, kiedy na dole czeka na nią taki przystojny mężczyzna, do tego lord, co ma panią poślubić.

Barrasford. Joanna pociągała jeszcze nosem, ale przestała płakać. Usiłowała wziąć się w garść, jednak myśl o Johnnym Barrasfordzie wydawała się jeszcze sytuację pogarszać. Podczas owej krótkiej rozmowy, którą odbyli po powrocie z wyprawy na ryby, był jakiś inny, bardziej wyciszony, zamyślony... i bardziej odległy. Naturalnie, dalej zachowywał się bez zarzutu - to musiała przyznać - ale w ich wzajemnych stosunkach zaszła jakaś subtelna zmiana. Może to wyobraźnia, może to tylko nieczyste sumienie dlatego, że nie umiała cieszyć się myślą o zbliżającym się ślubie. Niemniej jednak po raz pierwszy od ich zaręczyn Johnny ledwie cmoknął ją

w policzek. Z drugiej strony dopiero co wrócił z Baxter Greys...

Pozostawało robić dobrą minę do złej gry. Nie może się wycofać, nie wolno jej nawet o tym myśleć, to ona poprosiła go o pomoc. Potrzebowała jego wsparcia w walce z Adrianem, z całym światem, i otrzymała je. Nie, sumienie nie pozwala cofnąć danego słowa. Nie może też powiedzieć mu o tamtej nocy, kiedy cztery kieliszki madery sprawiły, że okazała się słaba. Ale dręcząca obawa, że mogła wtedy począć, nakazywała opóźnić ślub, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Nie obarczy Johnny'ego dzieckiem Adriana.

- Dobrze się wielmożna pani czuje? - spytała z niepokojem Bess. - Przepraszam, żem panią tak zdenerwowała.

- Och... tak, naturalnie. - Joanna zmusiła się do uśmiechu. - Jestem tylko odrobinę zmęczona, ale czuję się dobrze. - Podniosła się i przyjrzała pobieżnie swojemu odbiciu w lustrze. - Wystarczy, Bess. Dziękuję, że doprowadziłaś mnie do przyzwoitego wyglądu. - Wygładzając na biodrach miękką, różową suknię Z jedwabiu, odwróciła się i dodała: - Zajrzę do Justina, zanim zejdem na dół.

Przeszła drzwiami łączącymi sypialnie z przyklepionym uśmiechem na twarzy. Mijając kąpielowy parawan, zatrzymała się z tchem zapartym gdzieś między piersią a krtanią: na łożu siedział Adrian, w domowym stroju, bez butów, całkowicie pochłonięty rozpakowywaniem jakichś niewielkich przedmiotów. Nagle spojrzął na nią i na usta wypłynął mu chłopiący uśmieszek.

- Zamówiłem resztę brytyjskich żołnierzy, z tymi od Johnny'ego będzie komplet - powiedział, pokazując jaskrawo pomalowaną, drewnianą figurkę. - Mieliśmy właśnie ustawić ich w szyku jak pod Salamanką.

Podeszła bliżej z sercem tłukącym się w piersi na widok tych dwojga, siedzących tuż obok siebie z ciemnymi głowami pochylonymi nad kolekcją drewnianych za-

bawek rozłożonych na kapie. Justin podzielił je według mundurów.

- Patrz, mamó! Książę kupił mi cały zestaw królewskich dragonów! Z kompletem Robina mamy dość żołnierzy na całą bitwę. - Pokręcił się na boki wokół unieruchomionej w łubkach nogi. - Blake!

- Tutaj, paniczku, ale głuchy to ja nie jestem - ofuknął go z czułością służący Adriana.

- Widziałeś Finch i mojego brata? - spytał Justin.

- Sądzę, że są w pokoju dzieciennym.

- Chciałem przed kolacją pokazać mu moje żołnierzyki - mruknął Justin, a mina mu zrzędała. - Chciałem, żeby doniósł swoje.

- Spróbuję go znaleźć.

- I pannę Finchley - zawołał za nim Justin. - Będą się jej podobały.

- Teraz, kiedy są rozpakowane, powinieneś porozkładać je w oddzielne obozy - poinstruował Adrian, zsuwając się z łóżka. - I jeśli zawiniesz kapę, o, w ten sposób, będziesz miał linię frontu. Następnie możesz wytoczyć armatę, o, tak. - Zademonstrował właściwe położenie, odsuwając część starszych, wyrzeźbionych z drewna miniaturowych dział. - Naturalnie, musisz tylko uważać, żeby twoi ludzie nie znaleźli się w linii ognia. Bywa to opłakane w skutkach. Widywałem takie sytuacje.

- Pamiętam tę figurkę, Dree. To z kompletu, który dostałeś od ojca, kiedy biegałeś jeszcze w krótkich spodenkach - odezwała się Joanna cicho zza jego ramienia.

- Artyleria jeszcze nie nadciągnęła, będziesz więc musiał polegać na nich. - Odwrócił się. Od Joanny dzieliła Adriana odległość niecałej stopy. Biła od niego świeża, mile drażniąca nozdrza woń wody węgierskiej, która mieszała się z zapachem jej lawendowego mydła. Na zbyt blisko, by serce Joanny nie tłukło się boleśnie. Bała się, że zemdleje. Cofnęła się, krzyżując na piersi ręce

w niemal obronnym geście. Gest ten bynajmniej nie uszedł jego uwagi. Odsunął się nieco i zauważył lekkim tonem:

- Rozumiem, że Johnny zamierza tu zostać kilka dni.

- Dopóki Justin nie będzie mógł wrócić do Haven.

- Ja nie chcę wracać do Haven! - rozległy się pełne irytacji słowa dziecka. - Do Irlandii też nie chcę jechać!

- Justin! Nie będziesz się tak zwracać do matki, dopóki przebywasz w moim domu - skarcił go Adrian ostro.

- Ale ja...

-Justinie... - W głosie mężczyzny pojawił się niski, ostrzegawczy ton. - Nie będę tolerował braku szacunku wobec matki ani tutaj, ani gdziekolwiek indziej.

-Ja... ja chciałbym cię przeprosić, mamo.

- To już mi się bardziej podoba, Justinie. Musisz pamiętać, że nie wolno być nieuprzejmym wobec dam, a w szczególności wobec twojej mamy. - Przez chwilę Adrian patrzył Joannie prosto w oczy. - Nawet wtedy, kiedy ponoszą cię emocje, a to ci się będzie często zdarzać, mogę ci to obiecać.

- Nie prosiłam Johnny'ego, żeby wracał, Dree.

- Nie mam nic przeciwko jego pobytowi tutaj, skądże. Możesz mnie otaczać dowolną menażerią, chociaż wolę nie myśleć, jaki teraz gruchnie skandal.

- Z pewnością Johnny także nie jest sytuacją zachwycony - podkreśliła - ale uważa, że powinien mnie wspierać, zwłaszcza teraz, kiedy Justin ma się lepiej.

- Doprawdy? - Ciemna brew powędrowała do góry, kącik ust zadrgał od powstrzymanego uśmiechu. - Taak, mógłbym się założyć.

- A co to ma niby znaczyć?

- Może jest zazdrosny.

- Cóż, nie ma powodów... - ugryzła się w język, zmieszana, i odwróciła wzrok. - Nie zamierzam znowu pić z tobą madery. I choć myślę, że powinnam mu powie-

dzieć, po prostu nie mogłam się na to zdobyć, nie wie więc o... o moim wybryku.

- I słusznie. Szczerze wątpię, czy zdołał zapomnieć o tym, co kiedyś było między nami. Ja na jego miejscu nigdy bym nie zapomniał. Nawiasem mówiąc, widziałem, jak podziwiał twój portret. Nie, sądzę, że ma aż nadto powodów do zazdrości - podsumował, cofając się na bezpieczną odległość. Zatrzymał się przed oknem.

Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, nie odezwała się jednak słowem. Od powrotu z Baxter Greys w Johnnym wyczuwało się jakieś napięcie.

- No cóż, będę musiała uspokoić go w tym względzie - powiedziała, siłąc się na lekki ton. Różowawe światło poranka tworzyło wokół Adriana aureolę, podkreślając zarys jego ramion i łagodząc rysy twarzy. Patrząc na jego gęste włosy ułożone w nieskazitelną fryzurę, na skrawek nagiego ciała wycierający spod niedopiętej koszuli, nie mogła nie pomyśleć, jaki jest męski i przystojny.

- Nie zamierzasz ubrać się do kolacji, Dree? - przypomniała, siłą odrywając od niego oczy.

- A właśnie... - Łypnął na rozpięte mankiety: z dziurek zwieszały się eleganckie spinki. Zręcznie zapiął jedną z nich, po czym wyciągnął drugą rękę. - Mogłabyś, Jo? Blake'a nie ma pod ręką, a zawsze mam z nimi piekielne kłopoty.

- Och, hm... tak, oczywiście. - Sięgnęła ostrożnie i ściągnęła mankiety na wysokość nadgarstka.

- Nie ugryzę cię.

- Nie, skądże.

Palce jej drżały, kiedy umieszczała spinkę we właściwym miejscu. Ręka Adriana była ciepła i pełna życia, pod koniuszkami palców wyczuwała miarowe tętno, i ciała ich obojga przebiegł dreszcz. Podniosła oczy - spojrzenie miało wygłodniałe. Ponownie opuściła wzrok na spinkę i szybko ją zapięła.

- Ehm... pomyślałem sobie, że zajrzę do chłopca przed kolacją.

Obrócili się gwałtownie na głos Johnny'ego Barrasforda. Twarz Joanny spłonęła nagłym rumieńcem. Nie tyle zawstydziła się swoich myśli, raczej miny narzeczonego. Wypuściła rękę Adriana tak nagle, jakby trzymała rozżarzony pogrzebacz.

- Mały czuje się o wiele, wiele lepiej, dziękuję.

Justin był dotychczas całkowicie pochłonięty ustawianiem swoich oddziałów - zależało mu na tym, by jak najkorzystniej rozmieścić je przed pojawieniem się Robina i jego armii. Teraz jednak podniósł znad żołnierzyków ciemne oczy. Radość z zabawek przeważała nad jego niechęcią do Barrasforda.

- Robin i ja będziemy bawić się żołnierzykami! - zaszczębiotał z przejęciem. - Zobacz... dragoni królowej! A Robin znieś komplet, który dostał od ciebie! Mamy całą armię, sir!

- Niech no rzucę okiem. - Barrasford pochylił się nad chłopcem. - Rzeczywiście kapitalny zestaw. Czekaj, czekaj... jeśli tu zawiniemy, będę mógł pokazać ci, jak przebiegła bitwa pod Salamanką.

- To byłeś żołnierzem?

- Krótko. Gdzie mi tam do Roxbury'ego, ale uczestniczyłem w tej bitwie - odparł, a w szarych oczach zamigotały figlarne iskierki. - Część dragonów będziemy musieli przenieść w tamtą stronę, a tych tutaj niżej. Artylerię najlepiej ustawić na wzniesieniu, o, tak. Gotowe.

Adrian i Joanna przyglądali się mu, kiedy usiadł ciężko na łóżku i zaczął przestawiać zabawki. Dokładnie w tej samej chwili do pokoju wparował Robin, ciągnąc za sobą pannę Finchley.

- A niech mnie, Tin! Blake mówił, że dostałeś więcej żołnierzy! Tylko popatrz, Finch!

- Proszę, toż to cała armia - odparła, taktownie zachwycając się nowym zestawem. - A ile dział!

- Bez nich nie ma wojny - pouczył ją Justin z wyższością. - Siadaj, Finch, razem z Robinem możecie walczyć przeciwko mnie i lordowi Barrasfordowi.

- Cóż, ja...

- Proszę cię, Finch, proszę! - zapiszczał Robin.

- Brat panny Finchley był żołnierzem - odezwał się Barrasford, po czym zmarszczył czoło. - Przepraszam, moja droga, nie chciałem robić ci przykrości.

- Och, skądże. To znaczy, to było tak dawno temu - zapewniła go guwernantka, przyciągając krzesło i stawiając je obok łóżka.

- Wybacz, Jo, ale chyba skończę się ubierać - mruknął Adrian do Joanny. Nachylając się w jej stronę, wyszeptał jeszcze ciszej: - Nos do góry, wcale się tym nie przejął.

## 31

Kolacja przebiegała w spokojnej, choć przygaszonej atmosferze. Ciężar uprzejmej, acz błahej rozmowy wzięły na swoje barki hrabina wdowa i panna Finchley. Adrian, Joanna i Johnny ograniczali się do odpowiadania na wygłoszone pod ich adresem uwagi. Guwernantka w podziwu godny sposób stanęła na wysokości zadania polegającego na podtrzymywaniu rozmowy towarzyskiej, wykazując się przy tym dowcipem i żywiołowością, o które nikt jej wcześniej nie podejrzewał. Siedząca naprzeciw Adriana lady Anne mierzyła pannę Finchley wzrokiem, w którym na nowo zabłysła nadzieja.

Kiedy nakrycia zostały uprzątnięte, Joanna zmęcze-

niem wymówiła się ze zwyczajowego tete-a-tete, panna Finchley niezbyt ochoczo wspomniała o robótce, która po prostu nie mogła czekać, a lady Anne postanowiła dopilnować układania wnuków do snu. Pozostawieni sam na sam, Adrian i Johnny przeszli do biblioteki na obowiązkowy kieliszeczek porto. Rozsiadłszy się w fotelu nieopodal ciemniejszego okna, Barrasford rozejrzał się po pomieszczeniu, delektując się pierwszym łykiem wina. I tym razem zatrzymał wzrok na portrecie Joanny, myśląc, że bez wątplenia zasługuje na miano jednej z najpiękniejszych kobiet, jakie spotkał.

- Dzieło Lawrence'a, nieprawdaż? - spytał, gestem wskazując obraz.

- Tak - potwierdził Adrian. - Zamówiłem oba tuż po tym, jak przyjęła moje oświadczyzny. Miała wtedy osiemnaście lat. To było parę ładnych lat temu, ale wcale się nie zmieniła, prawda?

- Świetny portret. - Barrasford pokręcił się w fotelu i skinieniem głowy wskazał drugie malowidło. - Z twoim nie spisał się w połowie tak dobrze, wiesz?

- Och, w jakim sensie?

- Trudno powiedzieć, ale coś w nim jest nie tak. Joannę uchwycił dokładnie taką, jaka jest. Nawet tę jej szczególną wrażliwość, dzięki której jest jeszcze piękniejsza. Ale malując ciebie, minął się z prawdą, choć bardzo nieznacznie. Sam nie wiem - zastanawiał się głośno - może zbyt wiele arogancji widnieje w tych ciemnych oczach, w tym lekkim uśmiechu.

- Tak sądzisz? - Adrian przyglądał się swojej podobiznie. - Przyznam, że zawsze mi się podobał. Uważałem, że mi pochlebia.

- Nie. Dolej mi wina, Roxbury - rozkazał Barrasford, wychylając się i wyciągając rękę z kieliszkiem. - Wiesz, zamierzam się dzisiaj upić. - Czekał, aż Adrian napełni kieliszek, i zakręcił nim, aż zachlupotało, wpatrując się



w porto z takim natężeniem, z jakim wróżka wpatruje się w herbaciane fusy. - Ona ciebie kocha. To jasne jak słońce - powiedział w końcu.

- Nie. - Adrian pokręcił głową i apatycznie zapatrzył się w swój kielich. - Zniszczyłem ją, Johnny. Wierz mi, próbowałem usunąć cię z jej życia przy każdej okazji. Diabli, zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby ją odzyskać.

- Roxbury, jesteś cholernym głupcem - rzucił pod nosem Barrasford.

- Co?

- Powiedziałem, że jesteś cholernym głupcem.

- Jesteś pijany.

- Niestety nie. - Raptownie zerwał się na równe nogi i sięgnął po karafkę. - Wybacz, że tak szybko cię opuszczam, stary druhu, ale za twoim pozwoleniem zabiorę to do sypialni. Opłakany brak manier, wiem, ale nie jestem w tej chwili w szczególnie towarzyskim nastroju.

- Johnny...

- Zostaw mnie w spokoju, Roxbury. Jakoś to przeżyję.

Adrian przyglądał się bezradnie, jak Barrasford wychodzi z biblioteki, po czym wstał, żeby przynieść sobie z barku inną butelkę. Wrócił na fotel, nalał kolejny kieliszek i wpatrzył w portrety, najpierw swój, potem Joanny. Teraz cień arogancji we własnym uśmiechu wydawał mu się szyderstwem, Joanna zaś patrzyła na niego niewinnie, lecz tak uwodzicielsko, że było to wręcz nie do zniesienia. Co do jednego Johnny miał zupełną rację: Lawrence uchwycił Joannę dokładnie taką, jaka była jako młoda dziewczyna. Uniósł kieliszek w geście toastu, toastu za najpiękniejszą kobietę świata. Był przeklętym głupcem i zdawał sobie z tego sprawę, ale nie widział sposobu, by cokolwiek naprawić. Za wyjątkiem tej jednej jedynej nocy w ogrodzie, kiedy wino zaszumiało jej w głowie, szorstko zbywała wszelkie jego wysiłki, by na nowo obudzić w niej miłość.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi: niemiły zgrzyt, który zmusił go do powrotu do terażniejszości. W pierwszym odruchu chciał je zignorować, ciekawość jednak wzięła górę. Z kieliszkiem w ręku podniósł się, żeby otworzyć pokryte ciemnymi panelami drzwi. Ku swojemu zdziwieniu ujrzał Anne Sherwood, która minęła go i wpadła do środka jak burza.

- Co tak sterczysz z rozdziawionymi ustami jak jaka niemota? - zaczęła szorstko. - I proszę mi odstawić ten kieliszek. Nie znoszę pijaków. - Głos miała surowy, ale na jej ustach igrał uśmiech. Poczekała, żeby zamknąć drzwi, i wyciągnęła dłoń z niewielkim pudełeczkiem. - Myślę, że Gary chciał, by trafiło w twoje ręce, Adrianie, w przeciwnym razie nie zachowałby go.

- Co w nim jest?

- Drobiazgi, które były mu drogie. No, otwórz wreszcie! - zniecierpliwiła się Anne.

Podszedł do fotela, przy którym stał kandelabr, i usiadł. Zdjął przykrywkę ze zdobionego emalią puzderka, wstrzymał oddech i zajrzał do środka. Tam na wyściółce z niebieskiego aksamitu leżały dwa przedmioty: złota koperta zegarka i medalion w kształcie serca. O medalion nie potrzebował pytać: ten sam widniał na portrecie Joanny. Drżącymi dłońmi sięgnął po zegarek. Ciemne oczy wpatrywały się w Anne pytająco.

- Nie rozumiem.

- Gary nie żyje. Nic nie może go nam przywrócić.

Skinął głową i głośno wypuszczając powietrze z płuc, obrócił lśniący przedmiot w dłoni. Paznokciem podważył wieczko. W środku, schludnie spłaszczony pod szybką, znajdował się kosmyk pszenicznoszłotych włosów, przewiązany cienką, złotą tasiemką. Drugą część stanowiła prosta tarcza zegara, z godzinami zaznaczonymi małymi brylantami. Bez słowa zamknął wieczko, ponownie obrócił zegarek w ręce i przeczytał inskrypcję: „Ad-

rianowi, z okazji pierwszego wspólnie przeżytego roku. Niechaj zawsze symbolizuje moją miłość do ciebie. J. M. D." J. M. D. - Joanna Milford Delacourt. Poczł się tak, jakby ktoś rąbnął go pięścią między oczy.

Świadomy tego, że jest obserwowany, wykrztusił z trudem:

- Miałem go dostać. Mój Boże, nie wiedziałem...

- Po rozwodzie chciała, żeby został zniszczony, ale Gary nie mógł się na to zdobyć - powiedziała Anne po prostu. - I chociaż nie łudzę się, że pochwaliłaby mnie za to, że ci go pokazałam, uważam, że ten wasz głupi spór trwa o wiele za długo.

- Czyli nie dała go Gary'emu - Adrian ściszył głos do szeptu.

- Nie. Posłała do Londynu, żeby go zamówić. Gary miał go przywieźć, wracając do domu. To miała być niespodzianka dla ciebie.

- A medalion? - odważył się zapytać. - I medalion zachował?

- Także bez jej wiedzy. - Anne kiwnęła głową. - Powiedziała, że podarowałaś go jej jako symbol twojej miłości i że przestał cokolwiek dla niej znaczyć. Wyrzuciła go, ale Gary go odszukał. Chciał ci odesłać obie te rzeczy, pokazać ci, jak bardzo się myliłaś.

- Dlaczego tego nie zrobił?

- Prawdę rzekłszy, podejrzewam, że były ku temu dwa powody. Joanna nie chciała z tobą dalszych dyskusji. „Jeśli potrzeba mu dowodów, jaka jestem naprawdę, nie mam mu nic więcej do powiedzenia”, chyba tak się właśnie wyraziła.

- A drugi?

- Twoje oskarżenia popchnęły ją w jego ramiona.

Zamknął oczy i zobaczył Joannę: stała, pełna niedowierzania, ze zbiełałą twarzą, a jego matka promieniała. Zaczęła coś mówić, ale księżna wpadła jej w słowo, oskar-

żając jadownicę, a on tylko się przyglądał. W końcu Joanna odwróciła się w jego stronę i odezwała się: „Po prostu nie umiesz we mnie uwierzyć, prawda, Dree?” Nie odpowiedział i wybiegła z pokoju. Chciał pobiec za nią, ale duma nie pozwoliła mu ruszyć się z miejsca. Kiedy ochłonał na tyle, by móc z nią rozmawiać, powiedziano mu, że wyjechała, że opuściła dom, zabierając jedynie ubranie, które miała na sobie.

Wtedy właśnie uciekła do Gary'ego. Nie, nie tak - najpierw pojechała do ojca, gdzie odprawiono ją precz, kazało wracać do męża. Dopiero później udała się do Gary'ego. Adrian nadal pamiętał wyraz jego twarzy: jeszcze bardziej wstrząśniętą niż twarz żony. Gary nazwał go największym głupcem na świecie i miał rację. Adrian jeszcze mocniej zacisnął powieki i ponownie przeszył go ból jak wtedy, gdy usłyszał, że uciekli do Włoch i pobrali się. Bezwiednie zaciskał palce na zegarku, jakby chciał go zmiażdżyć.

- Tyle wycierpieli przez moje szaleństwo... - odezwał się w końcu.

- Nonsens - zaprzeczyła Anne głucho. - Nie łudź się, Roxbury. Niezależnie od tego, jak mu na tobie zależało, Joannę kochał bardziej. Bądźmy szczerzy, rozwodząc się z nią, dałeś mu najcenniejszy dar jego życia.

- Dlaczego mówisz mi, pani, to wszystko? - spytał, wpatrując się w nią czujnie.

- Ponieważ kocham ją i moich wnuków, obu, i chcę, żebyście wszyscy byli szczęśliwi. Widzisz, Gary ci wybaczył, i czas, żeby Joanna wybaczyła ci także. - Odwzajemniła jego spojrzenie, niewzruszona. - Och, wiem, Barrasford to przemiły człowiek, zdolny do ciepła, ale to nie byłoby to samo. Justin i Robin mieszkaliby w Irlandii i żaden z nich nie poznałby spuścizny po ojcu. - Ściągnęła wargi w kwaśnym uśmiechu i pokiwała głową. - Taak, Robin jest zbyt mały, by na długo zachować pamięć o oj-

cu, a Justin i tak kiedyś dowie się, że jest twoim synem. Myślę więc, że byłoby najlepiej, gdyby obaj wychowywali się tutaj, a wiem, że zdołałbyś ich pokochać. Myślę, że tego właśnie chciałby Gary.

- Ona musi mnie szczerze nienawidzić.

- Nienawiść to dziwne słowo, Adrianie. Mieści w sobie taką głębię uczuć, że nie sposób nie zastanawiać się, jak blisko nienawiści do miłości. Widzę, co dzieje się między wami, kiedy jesteście razem, i sądzę, że źle to sobie wykoncypowałeś. - Zawahała się, niepewna, czy powinna dalej naciskać. Westchnęła, patrząc jak Adrian siedzi w bezruchu, zgarbiony, z łokciami wspartymi o kolana. - Cóż, ja swoje już zrobiłam i czuję się strasznie zmęczona. Proszę, żebyś zastanowił się nad wszystkim, co ci powiedziałam, tylko nie oceniaj siebie, Joanny czy Gary'ego zbyt surowo. To, jak sądzę, powinno być zastrzeżone dla żmii, która wydała cię na ten świat.

- Nigdy nie zdołałbym wynagrodzić Jo doznanych cierpień. Nie, będzie o wiele szczęśliwsza z Johnnym - odparł w końcu tonem ostatecznej decyzji.

- Adrianie Delacourt, choć znam cię nie najgorzej, nigdy dotąd nie uważałam, że brak ci woli walki - oświadczyła Anne z mocą. - Rozumu, być może, ale nie ducha. Tak czy inaczej dość się nagadałam, teraz zostawiam cię, żebyś mógł spokojnie pomyśleć.

Wiele czasu upłynęło od wyjścia hrabiny, zanim choćby pomyślał o powrocie do sypialni; siedział i dumął z niewidzącym spojrzeniem wbitym w ścianę, wsłuchany w echo słów sprzed sześciu lat. Świece zaczęły kopicieć, w końcu zgasły, a on nadal siedział, zastanawiając się nad wszystkim: nad Joanną, nad Garym, Barrasfordem, swoim synem, synem Gary'ego i własną matką. Butelka była wciąż pełna, kiedy w końcu otrząsnął się z pełnych potępienia myśli pod własnym adresem i powłókł się na górę. Przed drzwiami sypialni natknął się na Blake'a, któ-

ry przestępował z nogi na nogę, pragnąc jak najszybciej przekazać mu najświeższe wieści: otóż panicz Justin nie chciał rozstać się z żołnierzami, dopóki wyraźnie nie kazano mu spać. Adrian rozparł się na krześle, a służący zabrał się za zdejmowanie mu butów.

- Powiedz mi - odezwał się Adrian, siłąc się na lekki ton - pamiętasz może Mary Cummings?

- Phi! Ano pamiętam, wielmożny panie, bezczelna dziewczucha, która wyłaziła ze skóry, byle pan na nią spojrział - prychnął Blake wzgardliwie. - A kiedy wiedziała, że nic z tego, umyśliła sobie napchać kieszeń złotem.

- Pewnie nikt nie wie, co się z nią stało po tym, jak... jak złożyła zeznania podczas procesu.

- Weszła w posiadanie ładnej sumki - odpowiedział Blake z naciskiem - i otworzyła sklep z kapeluszami w Paxton Grove.

- W Paxton Grove - powtórzył Adrian głucho.

- Tak, o ile się nie mylę, pańska matka ma tam koneksje. Daleka rodzina, nieprawdaż?

- Owszem. Kuzynostwo.

- Bez wątpienia pomogli jej rozkręcić interes - zauważył lokaj przebiegle. - Ponoć wyjeżdżając stąd, miała w kieszeni dwieście pięćdziesiąt funtów.

## 32

Powóz z turkotem przemierzał wąskie, brukowane uliczki. Adrian śledził z uwagą sklepowe szyldy, aż w końcu spostrzegł ten, którego szukał. Za długimi oknami w czerwonych ramach wyeksponowano cały asortyment kapeluszy i kapelusików, na zawieszanej nad nimi tablicy

widniał napis „CUMMINGS - MODNIARSTWO”, wymalowany dużymi złotymi i czarnymi literami, dopisek zaś głosił: „Najlepsze kapelusze i paryskie gorsety”. Nad framugą między oknami wypisano grubymi literami: „Mary Cummings. Właścicielka”. Adrian stuknął łaską o dach, dając stangretowi znak, by zatrzymał powóz.

Niemal w tej samej chwili drzwi sklepowe otworzyła od środka młoda kobieta, szykując się na przyjęcie klienteli. Wyszła na zewnątrz i pospiesznie omiotła pochyły podest, spostrzegła herb Roxburech na drzwiczkach powozu i czmychnęła do sklepu. Dłubała kluczem przy zamku, kiedy Adrian popchnął drzwi i wszedł do słabo oświetlonego wnętrza.

Kobieta wydała zduszony okrzyk i skryła twarz w dłoniach, po czym cofnęła się.

- W-wasza miłość... - wyjąkała słabo.

- Kiedyś bardziej cieszyłaś się na mój widok - przypomniał. - Nie mogłem kroku zrobić, żeby się na ciebie nie natknąć.

- Co... co, u nieba, wielmożny pan tutaj robi? - spytała; ciemne oczy miała okrągłe jak spodki.

- Mógłbym zadać ci to samo pytanie - odparł brutalnie. - Nie zarabiałaś tyle, żeby otworzyć własny sklep.

- Dostałam spadek.

- To kłamstwo. Dostałaś pieniądze od mojej matki.

-Ja... ja nie wiem, o czym pan mówi - przyglądając się bacznie księciu, wycofała się za drewniany kontuar, na którym piętrzyły się słomkowe kapelusze. Nerwowo przejechała językiem po wargach, kiedy ruszył w jej stronę. - Nie masz pan prawa przychodzić tu i obrażać uczciwą kobietę.

- Chcę poznać prawdę, Mary, i to natychmiast.

- Tylko spokojnie, wielmożny panie, ja nie mam nic do powiedzenia. - Oceniała wzrokiem dystans, jaki dzielił ją od drzwi, i śmignęła w ich stronę.

- Nie tak szybko, moja droga - mruknął, łapiąc ją za rękę. Zmusił do odwrócenia się przodem. Na twarzy kobiety malował się lęk. - Powinienem cię tłuc, aż wszystko wyśpiewasz, ty mała wiedźmo. - Miał ochotę ją uderzyć. W końcu popchnął ją lekko w stronę ściany, gdzie skuliła się w kącie. - Ile ci zapłaciła? - spytał, podchodząc. - Psiakrew, odpowiadaj!

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Nie, na Boga, powiesz mi całą prawdę albo skończysz w więzieniu za krzywoprzysięstwo. - Widząc, jak krew odpływa jej z twarzy, skinął głową: - Trzy razy fałszywie zeznałaś przeciwko mojej żonie, prawda? To były same kłamstwa, czy tak?

- Nie... nie, milordzie, nie kłamałam!

- Skłamałaś, Mary, i łżesz teraz. Klnę się na Boga, że nigdy nie uderzyłem kobiety, ale jeśli mi nie odpowiesz, zrobię to!

- Nie!

- Zatem mów... opowiedz, jak skłamałaś, Mary... opowiedz, co kazała ci zeznać moja matka.

- Nie mogę, sir! Nie mogę! - krzyknęła.

- Nigdy nie widziałaś mojej żony w ramionach Garetha Sherwooda, tak? - Złapał ją za ramię i potrząsnął nią z pasją. - Mówże, psiakrew!

- Odbierze mi mój sklep! - Kiedy ją puścił, opadła na kolana i skuliła się u jego stóp, zawodząc: - Pośle mnie do więzienia, powiedziała, że jak pisnę słowo, pójdę siedzieć.

- Pójdziesz, jeśli nie powiesz, do diabła! Wiesz, jak jest w Newgate, Mary? - spytał jadowicie. - Chcesz się przekonać?

- Nie! To nie moja wina, milordzie, to ona... ja tylko powtórzyłam, co mi kazała.

- Stek kłamstw, tak?

- Pan nie może mi tego zrobić, ja tego nie przeżyję -



szlochała Mary Cummings żałośnie, zmieniając się w kupkę nieszczęścia.

- Ile ci dała za skalenie imienia mojej żony? - Złapał ją za nadgarstek i pociągnął tak, że stanęła na nogi. - Ile, Mary? Nawet jeśli będę musiał tutaj stać, póki piekło zamrznie, nie wyjdę, zanim nie poznam prawdy. Możesz mi odpowiedzieć teraz albo pójść do więzienia za krzywoprzysięstwo, wybór należy do ciebie. - Nie odpowiedziała, powtórzył zatem pytanie: - Ile ci dała? Powiedz, to cię puszcze.

- Więcej, niż bym mogła kiedykolwiek zarobić - zakwiliła żałośnie.

- Ile?

- Prawie trzysta funtów. Miało być dwa razy tyle, ale już po sprawie stara księżna powiedziała, że więcej to nie jest warte, a gdybym zaczęła narzekać, zezna, że i to ukradłam. Powiedziała, że jeśli sama nie odejdę, dopilnuje, żebym znalazła się za kratami.

- Czyli skłamałaś pod przysięgą, mówiąc, że żona mnie zdradziła.

- To nie były same kłamstwa, milordzie. Hrabia odwiedzał ją w Armitage'u.

- Nigdy jej nie uwiódł, Mary. To był najbardziej godny szacunku człowiek, jaki stapał po tej ziemi, i sama o tym wiesz. Przekreśliłaś wszystko, co między sobą mówili, prawda? - Nie patrzyła na niego, spytał więc: - Jak mogłaś zrobić coś podobnego kobiecie, która nigdy nie odezwała się do ciebie złym słowem? Jak mogłaś uczynić to mnie? Masz pojęcie, ile bólu przysporzyłaś?

- Wielmożna pani zapłaciła mi fortunę - wyszeptwała. - Jak mogłabym nie przyjąć?

- Fortunę? Nie powiedziałbym. Moja matka więcej wydaje na jedną suknię balową.

- Dla mnie to więcej niż pensja za dziesięć lat. Starczyło na ten sklep. I nie wiedziałam, dlaczego kazała mi

skłamać, wasza miłość... Nie wiedziałam, że będę musiała powtórzyć wszystko w sądzie, ale potem, jak chciałam się wycofać, powiedziała, że skończę na szubienicy albo jeszcze gorzej. Wtedy to już bałam się komukolwiek powiedzieć. - Nie śmiać patrzeć Adrianowi w twarz, zwięsiła głowę. - Miałam tylko skłócić pana z młodą panią, tylko tyle. Nie szło o same pieniądze.

- Nie rozumiem.

- Jak ona zamieszkała w domu, nawet pan na mnie nie spojrział.

- Była moją żoną. - Zaciskał szczęki, starając się pohamować wściekłość. - No dobrze - oznajmił w końcu - nie wniosę przeciwko tobie oskarżeń, jeśli opowiesz mi, jak było. Mary, chcę wiedzieć wszystko. Nie oszczędzaj mi niczego.

### 33

Dawno już minęło południe, kiedy Joanna zeszła po rozległych schodach, by przekonać się, że na dole czeka na nią Barrasford. Podniósł na nią wzrok, chłonąc spojrzeniem starannie, upięte włosy, szlachetne, proste rysy, te cudowne oczy, atłasową szyję i ramiona, suknię o wysokim stanie z muślinu w różyczki, opinającą się na jędrnych piersiach i opadającą prosto do ziemi. Zupełnie tak, jak gdyby chciał raz na zawsze wyryć jej obraz w swojej pamięci. Dopiero na ostatnim schodku zauważyła kufer i stojącą na ziemi walizkę.

- Mógłbym zamienić z tobą słówko na osobności, moja droga? - spytał rzeczowo, opierając się ręką o drzwi do błękitnego salonu. Kiedy skinęła głową, cofnął się, żeby

ją przepuścić, wszedł za nią i starannie zamknął drzwi.

- Stało się coś złego, Johnny? - Serce boleśnie tłukło się jej w piersi, gdy zadawała to pytanie. Miał na sobie strój do podróży: nienagannie leżący gołębi płaszcz, pasiastą kamizelkę i czarne, gładkie spodnie. Kapelusz i laska spoczywały na stoliku tuż przy drzwiach. W szarych oczach malował się cień smutku, uśmiech jednak, który jej posłał, pełen był ciepła.

- Nie stało się nic, czemu nie można by zaradzić odrobiną szczerości, jak sądzę. - Podszedł do okna, z którego rozpościerał się widok na ogród, i zapatrzył na morze kwiatów. - Wiesz, Joanno, zdarzało mi się pozazdrościć Roxbury'emu tego domu - myślał głośno - a teraz widzę, że będę zazdrościł mu ciebie.

- Co proszę? - Drgnęła, pełna poczucia winy, a oczy jej poogromniały.

- Musisz wreszcie pogodzić się z faktem, że nadal go kochasz - mówił cicho. - Ja się pogodziłem.

- Przecież nie możesz tego wiedzieć, Johnny, nawet ja sama nie jestem tego pewna! - wykrzyknęła, kiedy ponownie udało się jej dobyć głos. - A on mnie nie kocha! Gdyby coś do mnie czuł, nie opowiadałby o wybaczeniu, tylko poprosiłby o nie.

- Och, moja droga - odparł ze współczuciem - możesz sobie wmawiać, że go nienawidzisz, że tolerujecie się wzajemnie z powodu chłopca, ale nawet ślepiec wiedziałby lepiej.

- Johnny...

- Nie - uciął. - Wysłuchaj mnie, Joanno, bo nie zastanawiam się nad niczym innym, od kiedy zobaczyłem was razem po moim przyjeździe.

- Kiedy wracaliśmy z wyprawy na ryby? Johnny, myśm się chwilę wcześniej pokłócili!

- Nie, nie w tym rzecz, moja droga, a w tym, co dzieje się między wami przy każdym waszym spotkaniu.

W tym uczuciu, które sprawia, że w pokoju jesteście zawsze wy dwoje i reszta świata.

- Johnny... - Szukała słów, by mu zaprzeczyć, żadnego jednak nie znalazła. W końcu zapytała po prostu: - Zatem chcesz wszystko odwołać?

- Nie, moja miła, ale wierzę, że w głębi duszy ty tego chcesz.

- Nie mogę go kochać - wyszeptała z dziwną desperacją. - Nie mogę, nie po wszystkim, co między nami zaszło.

-Joanno... - Zbliżył się, oparł dłonie na jej ramionach i kontynuował cicho: - Ożeniłbym się z tobą choćby i teraz, zrobię to, jeśli sobie tego życzysz, ale nie wierzę, żebyś była ze mną szczęśliwa. - Widząc jej zmartwiałą minę, objął ją. Wtuliła twarz w jego ramię i wybuchnęła płaczem. Przez kilka minut stał, trzymając ją w ramionach, głaszcząc po plecach, dopóki łzy nie obeschły. Wtedy delikatnie się odsunął i wyciągnął chustkę. - Nie dręcz się tak z mojego powodu, moja miła. Jakoś to przeżyję, ty zresztą też.

Odwróciła się, zdruzgotana, z myślami w rozsypce.

- Nie wierzę własnym uszom, Johnny. A co z Justinem? Justin nigdy nie zrozumie, że to... że on...? Nie mogę zniszczyć jego wspomnień o Garym... nie mogę. Jest następcą Gary'ego, nie Adriana.

- Justin jest jeszcze mały, Joanno, i nauczy się wszystkiego, czego będziesz chciała go nauczyć. Za jakiś czas będziesz mogła powiedzieć mu, co się stało, a wtedy już zdoła zaakceptować prawdę. A wcześniej, po co mówić mu cokolwiek? Niech kocha ich obu. Prawda nie będzie już miała znaczenia.

- Nie będzie? Johnny, Gareth Sherwood dał mu nazwisko, miłość, wszystko! Nie mogę tego przekreślić, ze względu na nich obu.

- Nie mnie o tym decydować, moja droga. - Podeszedł do Joanny i raz jeszcze przelotnie oparł dłonie na jej ra-

mionach. - Wiesz, chciałbym, żebyś mnie kochała, ale rozumiem. - Uścisnął ją szybko. - Z Bogiem, Joanno.

- Z Bogiem, Johnny - zawtórowała pusto.

Stała jak wrośnięta w ziemię, niezdolna się ruszyć. Słyszała, jak służba znosi resztę jego bagażu, potem trzaśnięcie drzwi wejściowych i pospieszny stukot oddalających się kroków. Opadła na fotel i uświadomiła sobie, że przeżyła w niej uczucie wdzięczności. Johnny Barrasford, dżentelmen w każdym calu, zrobił to, co ona powinna uczynić ponad tydzień wcześniej.

Kiedy powóz Johnny'ego podjechał pod same schody, dogoniła go Charlotte Finchley.

- Milordzie! - zawołała. Kiedy odwrócił się, po chwili wahania zdobyła się na krzywy uśmiech. - Nie wolno panu winić lady Carew, milordzie - powiedziała miękko. - Wie pan, sercu się nie rozkazuje.

W pobladłej twarzy lśniło dwoje wielkich, orzechowych oczu, na czole i skroniach kładły się kosmyki wilgotnych włosów. Pomyślał przelotnie, jaka z niej śliczna dziewczyna.

- Zapewne - odparł z westchnieniem. - Tak naprawdę, to wiedziałem już od pewnego czasu.

- Ale niełatwo jest zrezygnować z marzeń, prawda? Proszę mi wierzyć, świetnie to rozumiem, milordzie.

- To nie do końca tak. Właśnie taką kobietę pragnęłam poślubić.

- Jest bardzo piękna.

- Więcej niż tylko piękna. Na balach aż roi się od pstogłowych piękności, które bardziej interesują się strojami i kosztowną biżuterią niż tym, co w życiu ważne. Joanna natomiast darzy swoje dzieci szczerą miłością. - Spojrzał w górę i zmarszczył czoło, patrząc prosto w słońce. - Chciałem założyć rodzinę, wychować następców. Byłoby nam dobrze w moich posiadłościach w Irlandii, panuje tam taki błogi spokój... Wszystko inne już

w życiu robiłem, wyszumiałem się i dojrzałem do tego, by się ustatkować.

- Wiem, milordzie.

- Chciałem znaleźć kobietę troskliwą, kobietę, która umiałaby pokochać mnie i nasze dzieci. Nie dbam o to, czy jest bogata, czy biedna, z tytułem czy bez. Może właśnie dlatego tak bardzo cenię Joannę: pod majątkiem i urodą nie kryje się pusta głowa czy puste serce. Boże, jakżeż ja zazdroszczę Roxbury'emu jego przeklętego szczęścia!

- Nie brakuje panu wielbicielek.

- A ile z nich chce zamieszkać na wsi, w otoczeniu koni i dzieci? - odparował.

Uzmysławiając sobie, że po jego wyjeździe najpewniej więcej go nie zobaczy, Charlotte Finchley na jedną kartę postawiła swoje serce, dumę i życie.

- Ja bym chciała - oznajmiła mężnie. Kiedy zwrócił na nią pełne niedowierzania oczy, oparła się pokusie, by po prostu uciec. - Byłabym nad wyraz szczęśliwa. - Przygryzając drżącą wargę, zdołała jakoś kiwnąć głową. - Milordzie, kocham pana dobre pół mojego życia.

- Mój Boże.

- Jak już mówiłam, sercu się nie rozkazuje.

- Jakże to tak? To znaczy jeszcze w Baxter Greys, le-dwie mnie pani znała.

Gorące łzy napłynęły jej do oczu.

- Był pan dla nas wszystkich taki uprzejmy, taki elegancki, a przecież tak życzliwy. - Rozumiejąc, że zaryzykowała i poniosła klęskę, otarła oczy wierzchem dłoni i odwróciła się, żeby wrócić do domu. - Z Bogiem, milordzie - rzuciła przez ściśnięte gardło.

- Panno Finchley... Charlotte... - Poczuli na ramionach jego ręce i musiała się obrócić. - Nie miałem pojęcia - wyznał.

- Doskonale rozumiem, że wyszłam na skończoną idiotkę - wyszeptwała. - Proszę mi wybaczyć.

Uniósł jej podbródek, musiała spojrzeć w te niewiarygodnie piękne szare oczy.

- Z pewnością mógłbym trafić gorzej - odezwał się miękko.

- Proszę sobie ze mnie nie żartować - wykrztusiła załośliwie.

- Chcę mieć dom pełen dzieci, Charlotte.

- A jednak drwi pan ze mnie.

- Zapewniam cię, że nie. - Nachylił głowę i musnął wargami jej usta. - Zanim padną wielkie słowa, chcę, żebyś wiedziała, czego się spodziewać.

Oczy się jej rozszerzyły, a serce zakołatało gwałtownie w piersi.

- To pan... pan nie śmieje się ze mnie?

- Nie. Jestem głęboko wzruszony, Charlotte.

- A... a...

- Chcę od ciebie czegoś więcej niż pensjonarskich czułości, mam nadzieję, że to rozumiesz.

Poczuła się tak, jakby chlusnął jej zimną wodą prosto w twarz.

- Tak, naturalnie. Jakaż ja byłam głupia...

- Ty z kolei masz prawo do czegoś więcej niż wyobrażenie sir Galahada, jakie sobie stworzyłaś. Musimy poznać się nawzajem, musimy nauczyć się sobie ufać.

-Tak.

- Ale przede wszystkim musimy nauczyć się kochać. - Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale uciszył ją, przyciskając do nich palec. - Mówię poważnie, Charlotte. Piszmy do siebie w nadziei, że znajdziemy w sercach miłość, moja droga, a kiedy to się stanie, urządzimy najwspanialsze wesele, jakie kiedykolwiek odbyło się w Baxter Greys. Jeśli nie, zostaniemy przyjaciółmi.

Chwycił dziewczynę w mocne objęcia, całując z żarem, który zaparł jej dech w piersi. Kiedy ją w końcu puścił, musiała się o niego oprzeć.

- Muszę już iść, ale będę pisał. A kiedy tu sprawy się ułożą, przyjadę z wizytą. Tymczasem niech Bóg ma cię w swojej opiece.

- I pana, milordzie.

Uśmiechając się przez resztki łez, machała mu, aż powóz zniknął z pola widzenia, po czym wróciła do domu, gdzie schodami dla służby pomknęła do swojego pokoju. W samotności przycisnęła dłonie do oszalałego serca. Ta miłość była jeszcze zbyt nowa, zbyt cenna, by dzielić się nią ze światem.

Kiedy Joanna porządnie się wypłakała, otarła oczy chusteczką Johnny'ego Barrasforda i schowała ją do kieszeni z poczuciem, że oto skończył się kolejny rozdział jej życia.

- Mama?

W głosie Robina słysząc było niepewność, ale i zaciekawienie. Zaglądał przez otwarte drzwi. Joanna kiwnęła głową i uklękła, a chłopiec popędził w jej ramiona.

- Cóż, paniczu Robinie... - Zdobyła się na uśmiech. - Miałby pan chęć puścić papierowy stateczek w fontannie? A może wolałby pan nakarmić gęsi Roxbury'ego?

- Nakarmić gęsi!

- Może panna Finchley chciałaby pójść z nami, jak myślisz? Czy zajmuje się teraz Justinem?

- Finch ćwiczy z Tinem literki, mamó.

- Zatem wygląda na to, że będziemy musieli iść tylko we dwoje, prawda? Idź poprosić kucharkę o trochę chleba, a ja zmienię buty.

Justina i guwernantkę zastała całkowicie pochłoniętych pracą. Siedząca nieopodal Anne wyszywała coś, pracowicie śmigając igłą. Teściowa, widząc zaczerwienione oczy Joanny, wstała i w milczeniu poszła za nią do różanej sypialni.

- Joanno, dziecko moje, wszystko dobrze?



- Tak. - Joanna otworzyła na oścież drzwi do garderoby i zaczęła szukać na półce odpowiednich do spaceru butów. - Barrasford wyjechał, mamó - powiedziała półgłosem, schylając się po nie. - Ślubu nie będzie. To postanowione.

- Posprzeczaliście się?

- Nie. Johnny jest dżentelmenem, mamó. Po prostu wierzy, że nadal Kocham Adriana.

- Moja droga...

- Z mojej winy - kontynuowała Joanna - dlatego, że to prawda. Czuję się jak jakaś bezwstydnica bez serca, wręcz pchałam się mu w ręce, żeby nie stracić Justina, mamó. Ale Johnny nie ma do mnie żalu.

- Jakoś to przeżyje.

- Tak właśnie powiedział.

- Ma trzydzieści trzy lata i chce się ustatkować. Bynajmniej bym się nie zdziwiła, gdyby znowu się do nas odezwał, i to niebawem, jeśli się bowiem nie mylę, gorąco współczuje naszej drogiej Charlotte.

- Panna Finchley? Naprawdę?

- Panna Finchley - powtórzyła Anne z emfazą. - A czemuż by nie, pytam? Nie są dla siebie obcy, a brak majątku z pewnością mu nie przeszkodzi. Do tego ona lubi dzieci.

- Pannie Finchley nawet nie śniłoby się...

- To kobieta, Joanno, i owszem, śniłoby się. Nie opłakiwałabym zatem złamanego serca lorda Barrasforda, Kochanie. Stawiam dziesięć do jednego, że wkrótce się ono zagoi.

- Wydajesz się zadowolona.

- Bo i jestem. Przez sekundę nie wierzyłam, że ty i Barrasford się rzeczywiście pobierzecie.

Joanna usiadła na niskiej ławie i zaczęła sznurować buty.

- Pewnie nie widziałas dzisiaj Dree? - spytała nieoczekiwanie.

- Zjedliśmy z Roxburym śniadanie przed jego wyjazdem do Paxton Grove, bodajże.

- Paxton Grove?!

- Tylko tyle mi wiadomo, ale nie sędzę, że wyjechał na długo. To znaczy, nie można mieć wiele do załatwienia w czymś, co nazywa się Paxton Grove. - Anne przyglądała się solidnym butom Joanny z wyraźnym obrzydzeniem. - Nie zamierzasz chyba w tym wyjść?

- Idziemy z Robinem do parku nakarmić gęsi.

- Och, rozumiem, że wygoda ma znaczenie, ale...

- Mamo, czy Bury może iść z nami? - Robin wpadł do pokoju tanecznym krokiem niosąc worek z suchym chlebem. - Właśnie zajechał... Może?

- Cóż, ja... - Podniosła wzrok, nie ruszając się z ławki, i zamarła z zapartym tchem, widząc Adriana. Schylił się, żeby wziąć chłopczyka na ręce, przytulił z czułością i podał dziecko Anne.

- Nie tak szybko, brzdącu. Pójdiesz grzecznie z babcią, a my do was za chwilę dołączymy. Gęsi nie umrą z głodu, daję ci słowo, a ja muszę zamienić słowo z mamą.

- Właściwie to sama zabiorę go do parku, Roxbury - Zgłosiła się Anne na ochotnika. - Nie karmiłam gęsi, od kiedy ty i Gary byliście parą nieznośnych urwisów.

- Ja chcę z Bury! - zaprotestował Robin.

- Naturalnie - mruzczała Anne, łapiąc go za ramionka i popychając w stronę drzwi. - I on zaraz do nas dojdzie. Jest dość gęsi do nakarmienia dla nas wszystkich - dodała. Wychodząc, starannie zamknęła za sobą drzwi.

Joanna siedziała w bezruchu, czując, jak serce zaczyna się jej tłuc w piersi, kiedy Adrian się zbliżał. W ustach jej zaschło, kiedy zatrzymał się tuż przed nią. Zacisnęła palce na krawędziach ławy.

- Czy zdołasz mi kiedyś wybaczyć? - zapytał cicho.

Niebieskie oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Widziałem się dzisiaj z Mary Cummings, znam całą

prawdę. Wiem, co się stało, co uczyniła ci moja matka... i chciałbym móc jakoś ci to wszystko wynagrodzić. - Przy-sunął się tak blisko, że nogą dotykał jej kolana. - Wszystko dałbym za to, żeby móc cofnąć czas i zachować się inaczej, Jo. - Niepewnym gestem dotknął jej upiętych w koronę włosów. - Byłem takim głupcem... takim dumnym, cholernym głupcem.

Zamknęła oczy i z trudem przełknęła ślinę, czując w gardle bolesny ucisk.

- Proszę cię, Dree...

- Wiem, nie mam prawa niczego oczekiwać - kontynuował - ale kocham cię, Jo. Zawsze cię kochałem i zawsze będę kochać. - Ujął ją za brodę, zmuszając do uniesienia twarzy. - Czy możesz mi kiedyś wybaczyć? - spytał jeszcze raz, cofając rękę.

Miała łzy w oczach, krtań ściśniętą do tego stopnia, że nie mogła dobrać głosu. Zamiast tego skinęła głową i pochyliła się, by objąć go ramionami w pasie. W chwili, w której go dotknęła, odpłynęły gdzieś pełne goryczy lata. Przez długi czas siedziała tak, oparta policzkiem o jego twarde, płaski brzuch, czując, jak Adrian głaszcze ją po włosach.

- Chcę się z tobą ożenić - powiedział w końcu. - Zabrać cię do Londynu i wykrzywić towarzystwu, że spotkała cię krzywda, że byłaś niewinna. Na początku może okazać się, że na całym świecie nie mamy ani jednego przyjaciela, ale nie cofnę się przed niczym, zanim wszystkie drzwi nie będą stały przed tobą otworem.

- To nie ma znaczenia - padła stłumiona odpowiedź.

- Nie ma znaczenia?! - wykrztusił. Przyciągając ją szorstko do siebie, wziął ją w ramiona. - Naturalnie, że ma! Jesteś księżną Roxbury, Jo, moją żoną! - nagle urwał i opuścił wzrok. - Bo wyjdiesz za mnie, prawda?

- Och, Dree... - Musiała przygryźć wargę, tak jej drżała, ale zdołała się zdobyć na leciutki uśmiech. - Przecież wiesz, że tak.

Przycisnął usta do jej ust, najpierw z czułością, nieśmiało rozkoszując się jej smakiem, a potem... potem było lato w Londynie, sezon, czas pełen obietnic, które niesie młodość, uwodzicielska muzyka, wonny wietrzyk. Na nowo odkrywali cud miłości. Wiele czasu upłynęło, zanim znowu uniośł głowę.

- Poślę Simsa po pastora z Greenlea. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym wziąć ślub jeszcze dzisiaj.

- Dzisiaj? Ale moja fryzura...

- Wracając do domu odwiedziłem biskupa i uzyskałem dyspensę.

- Ale żeby dziś? Dree...

- Chcę od tej sekundy dzielić z tobą życie i łożę. Co ty na to?

- Och, tak. Ale, Dree, cóż my powiemy Justinowi?

- Co sobie życzysz, Jo. Jeśli tak zdecydujesz, nie powiem mu nic, dopóki nie podrośnie na tyle, żeby coś zrozumieć. Teraz jest następcą Gary'ego, a to nie wydaje się sprawiedliwe ze względu na Robina, ale jeśli tak właśnie chcesz, uszanuję twoją decyzję. - W ciemnych oczach zamigotały lubieżne ogniki. - Wiesz, nie spodziewam się, żeby zabrakło mi następców.

- Robin ma wyjątkowo wojownicze usposobienie i tak czy inaczej zapewne wybierze karierę wojskową, nie tytuł - mruknęła, podając mu usta. - Pocałuj mnie, Dree.

I kiedy poczuła na sobie jego ramiona, wszystko wróciło na swoje miejsce.

koniec